



Pojawił się na chwilę,
by zostać w jej życiu na zawsze.
Opowieść o miłości,
sztuce i kobiecych sekretach.

IWONA J. WALCZAK

Dom złudzeń

Zosia

Replika

Sprawdź, za co czytelniczki pokochały wcześniejsze książki Iwony J. Walczak

Nagie myśli

Ta książka jest jak konfetti. Rozłożona na drobne elementy mieści w sobie mieniącą się tęczę emocji: od tych skrajnie czarnych, jak nienawiść i cierpienie, po skrajnie jasne, jak radość i miłość. (...) Sekwencję przechodzących jeden w drugi gatunków literackich, od początkowej powieści psychologicznej z elementami dramatu, po typowy romans w części drugiej. Książka kameleon!

clevera.blox.pl

*

Nie brak tu elementów humorystycznych, niekiedy więc robi się zabawnie, czasem romantycznie, a nawet erotycznie. Myśli Eli nie mają tych więzów, w których tkwi ona sama. Są więc barwne, dosadne, obrazowe.

soy-como-el-viento.blogspot.com

*

Bardzo prawdziwa, momentami dosadna, skupiająca się szczególnie na osobie głównej bohaterki i jej zmaganiach z życiem. Narracja w pierwszej osobie i barwny język powodują, że od książki ciężko się oderwać.

zksiazkawdloni.blogspot.com

*

Iwona J. Walczak podarowała nam książkę naładowaną niesamowitymi emocjami i genialną w swojej nieskomplikowanej formie, bo o czym w niej mowa...? O życiu, byciu kobietą, prawdziwą, kochaną, pieszczoną słowem i spojrzeniem.

szelestksiazek.blogspot.com

Złocista dolina

Co mnie urzekło w tej książce? Realizm i obyczajowość. (...) Autorka nie daje nam recepty na szczęście, nie każe nam rzucić wszystkiego, sprzedać pralki i wyjechać, bo, jak już Seneka setki lat temu stwierdził: jeżeli problem jest w nas, nie załatwimy go zmianą miejsca, jeżeli wciąż będziemy tacy sami. Problemem nie są miejsca, problemem często jesteśmy my. I w tej książce to widać.

kasiek-mysli.blogspot.com

*

Gorąco polecam tę książkę na czas urlopu i na letnie dni. Zajrzyjcie do Mordek, poznajcie gospodynie uroczego ośrodka. Ich perypetie zawodowe i osobiste z pewnością okażą się bardzo relaksującą i przyjemną lekturą.

cudownywiatksiazek3.blogspot.com

*

Iwona Walczak moje serce zdobyła przede wszystkim tym, że w ludziach nie dostrzega tylko ich wad i zalet, ale to, co mają w sobie. A każdy z nas ma wiele pasji (...). Dzięki pasjom postrzegamy więcej, mocniej i intensywniej. Lepiej się żyje po coś, dla czegoś, ale też i dla kogoś.

sabinkat1.blogspot.com

*

To niesamowita opowieść o zwyczajnym życiu, o jego radościach, o pracy i o relacjach (...). Kasia, Dora i Majka to kobiety z krwi i kości, niczego już nie udają, śmieją się, płaczą, złością i czasem kłócą. Wszystko spowija przyjaźń, która zmienia w Mordkach swoje barwy wraz z porami roku.

annamatysiak.blogspot.com

IWONA J. WALCZAK

Dom złudzeń

Zosia


Replika

Copyright © Iwona J. Walczak
Copyright © Wydawnictwo Replika, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Marta Akuszevska

Projekt okładki
Iza Szewczyk

Zdjęcia na okładce
Copyright © depositphotos.com/Sandralise
Copyright © depositphotos.com/belchonock

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2015

ISBN 978-83-7674-345-5

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 61 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

Dla Bożeny, Uli, Ani i Asi – z czułością

Rozdział 1

*Noce niedośnione,
Oczy nieprzytomne,
Mija w rzece woda,
Mija bossa nova –
Wybacz, że sama śpię...*

Agnieszka Osiecka, *Bossa Nova do poduszki*

Wyk.: Maryla Rodowicz

Wrzesień 2009

– Pozwól mi dokończyć myśl. – Objął ją ramieniem. – Chcę, żebyś wiedziała o mnie wszystko. Kochałem tylko raz, niestety, coraz bardziej się mijaliśmy: Iza lubiła świat i imprezy, ja wolałem dom. Silna psychicznie, po trupach szła przez życie, ja nie. Ponieważ nie chciałem psuć związku, więc się całkowicie podporządkowałem. Kiedy zachorowałem na nerwicę lękową, ze dwa miesiące nie wychodziłem z domu. Leżałem w łóżku i patrzyłem w sufit. W końcu doczołgałem się do psychiatry i po lekach psychotropowych, jakie mi przepisał, wreszcie się odważyłem wyjść na spacer, choć i tak uczepony jej ramienia. Dla mnie to był wyczyn, dla niej objaw słabości, w końcu spakowała się i zniknęła. No i dzięki temu w końcu się za siebie wziąłem. Psychoterapia, joga, no i praca. Wyjechałem do Holandii, gdzie pracowałem fizycznie, sprzątałem Uniwersytet w Groningen. Fizycznie? Po studiach? Gorzej już upaść nie można! Tak pewnie o mnie niektórzy myśleli. Ja zaś tam właśnie zapomniałem o lękach... Słuchasz mnie?

– Tak. Choć nie mówisz mi tego po raz pierwszy... – odpowiedziała.

– Pewnie masz rację, ale nie znasz mojej historii tak usystematyzowanej. – Lekko się uśmiechnął i kontynuował gawędziarskim tonem. – Do pracy u ciebie zgłosiłem się krótko po powrocie do Polski, absolutnie przypadkiem trafiłem na ogłoszenie, jakie dałaś. Drawsko Pomorskie? Brzmiało

egzotycznie. W tamtych czasach byłem pewien, że już nigdy nie związę się z żadną kobietą... Ale serce nie respektuje poleceń. Zafascynowałaś mnie i wszystko, co zaplanowałem, poszło w kąt. W życiu nie spotkałem nikogo, kto najpierw myśli o innych, a dopiero potem o sobie. Do tego jest to śliczna babka... – Piotr patrzył na Zosię z czułością, a ona odwróciła głowę. – Zakochałem się. Uwierz mi! – Piotr po tych słowach klęknął przed Zosią, patrząc w jej oczy. – Jeśli potrzebujesz się zastanowić, poczekam! – dodał nieco głośniej, ale widząc jej nieprzenikniony wyraz oczu, spieszył się.

Przestraszyła się gwałtowności w jego głosie. Wołała wyważone uczucia, mniej afektu w postępowaniu. Bała się wszystkiego, co skrajne. Nie chciała emocji, udręki. Mężczyzn. Już nie. Pokiwała przecząco głową. Oczy Piotra były niebieskie, przeraźliwie smutne.

Nie chciała go zranić!

– Dzieciaku! Zastanów się, co mówisz! Masz przed sobą życie, nie możesz zauroczenia nazywać miłością! To się rozróżnia w miarę nabywania doświadczeń.

Piotr wstał z kolan. Zrozumiał, że ona już postanowiła.

– „Ogniska malinowe niczym róże zakwitają na śniegu...”^[1] – powiedział. – Najbardziej pogrąża mnie to, że jestem młodszy? Tak? – dodał z nadzieją, że ona zaprzeczy.

Zosia nie odpowiedziała. Ogniska malinowe... i tak dalej. To był ich ulubiony cytat. Użył go, chcąc ją zatrzymać. Była już jedną nogą poza Drawskiem, spakowana od paru dni. Wszystko, co było związane z przeprowadzką, miała zaplanowane znacznie wcześniej. Zdał sobie z tego sprawę.

– Nie jestem głupi. Wiem, że jesteś po przejściach, że masz za sobą porażki, że jesteś ostrożna. Nie mów, że z mojej strony to zauroczenie! Nigdy nie przestanę się starać o twoją wzajemność. Pokochasz mnie, wiem to! – prawie krzyknął.

Gdy się pożegnali, zniosła walizki i kartony do samochodu. Wróciła po drobiazgi. Laptop stał otwarty na biurku. Usiadła przed nim i... udostępniła na Facebooku arię *Flover Duet z Lakmé*, a wpis opatrzyła komentarzem: „Wzrusza tylko sztuka, która pochodzi z najgłębszych pokładów szczerości. Nie odchodzi w niepamięć, jak... ludzie?”.

Wyłączyła laptop i spakowała go do walizki. Westchnęła. Zamykała kawał swojego życia. Zeszła na dół, spojrzała na blok, w którym mieszkała

kilkanaście szczęśliwych lat, w okna swojego mieszkania na pierwszym piętrze. Wsiadła do auta na parkingu przed blokiem.

Na pewno przeczytał ten wpis.

Jechała bardzo szybko, słuchając arii. *Borys Godunow*. Libretto na podstawie dramatu Puszkina. Borys wzywa do siebie syna i udziela mu ostatnich rad, po czym umiera. W tej roli jej ulubiony Bernard Ładysz. Ach. *Le Nozze di Figaro* Mozarta, Anna Netrebko, Ildebrando D'Arcangelo i Christine Schäfer, wykonanie z Salzburga. Renée Fleming i *Casta Diva* z Normy Belliniego. Pięknie. Potem Callas. *Porgi Amor* z *Don Giovanniego*, *Aida*, oczywiście *Carmen* i *Madame Butterfly*. Znów *Norma*.

Marieta najlepiej brzmiała w *Traviacie*. Mimo warsztatowych niedostatków miała w głosie coś, co ją wyróżniało. Tęsknotę i słowiańską melancholię. Mariette Diene, jej ukochana córeczka, koloraturowy sopran, przyszła diva, o którą walczyć będą największe światowe sceny.

O tak, kiedyś spełnią się ich marzenia!

Był początek września 2009 roku, słoneczny, ciepły, choć już nieupalny. Zofia Kulińska, prowadząc auto, wyobrażała sobie miejsce, do którego zmierzała. Zapach, kolor. Jakie będą? Wierzyła zmysłom. Ważne było dla niej pierwsze wrażenie, ono po prostu się jej zawsze sprawdzało. Kiedy jako dziecko przyjechała do Drawska Pomorskiego, było ciepło, słonecznie, a miasto zachęcało gwarem, jaki czynili wczasowicze. Pokochała miasteczko od pierwszego wejrzenia.

Teraz zamieniała Drawsko na miejscowość znacznie mniejszą. Uściślijmy – na wieś, po prostu. Wieś rodzinną – jeśli uwzględnić, że kiedyś mieszkała w niej rodzina brata jej dziadka. Nie miała jednak poczucia, że to będzie zapadła dziura, że się w niej, mówiąc kolokwialnie, zakopie.

Jeszcze tylko parę kilometrów. „Pobiedziska” – przeczytała na tablicy. Wjechała do miasta. Według wskazówek z nawigacji miała kierować się z ulicy Fabrycznej w lewo, na drogę lokalną prowadzącą do celu podróży. Ale skręciła w drugą stronę, do rynku. Jechała wolno. Miasto powitało ją ciszą i ciepłem. Jednak poźółkłe przedwcześnie od słońca liście na drzewach przypominały o porze roku, jaka miała nadejść. Na rynku nie było widać ludzi. Wielkość tego miasta była porównywalna z Drawskiem Pomorskim. Pomorze zamieszkiwali ludzie napływowi, wojenni tułacze i ich potomkowie, a Pobiedziska miały tradycje sięgające dwunastego wieku.

Objechała rynek i wróciła do drogi do wsi.

Złotniczki. Była tam tylko raz, pod koniec lat pięćdziesiątych, wtedy stał jeszcze dom Floriana Leśniewskiego, brata jej dziadka. Opuszczony, był w opłakanym stanie. Jakże smutne było to, że nikt o ten dom nie dbał, a przecież staruszek miał bliską rodzinę! Iga Podkańska albo Bednarz, czy jak się obecnie nazywała (!), była jego jedyną wnuczką, a w pobliżu podobno mieszkała także córka Leśniewskiego, Basia. Chyba po mężu inaczej. Pozwoliły by rodowy dom poszedł w obce ręce, a teraz będą się handryczyć o budynek, który wprawdzie stał obok, ale nigdy nie był własnością Leśniewskich! Zawsze należał do gminy, jak się zorientowała.

Na wąskiej drodze wiodącej do wsi nic nie jechało, mogła zatrzymać auto na poboczu, rozprostować kości i pooddychać tutejszym powietrzem. Wysiadła i rozglądała się po okolicy, morenowy krajobraz, lasy, jeziora, wzgórza i doliny. Na poboczu drogi kwitły wrzosy. Wyciągnęła z plecaka smartfon, ustawiła aparat, zrobiła fotkę. Zauważyła, że wyświetliło się kilka nieodebranych połączeń od Piotra. Przez chwilę trzymała telefon w dłoni, wreszcie wcisnęła numer. Gdyby nadal nie łączyły ich zawodowe zależności, z pewnością by do niego nie zadzwoniła.

– Halo, halo, przepraszam cię, ale miałam wyciszony dzwonek. Piotrze, nie zapomnij, że Chrobaczewscy obiecali przekazać wyroby cukiernicze, a Bendkowsy pieczywo. Jedni i drudzy zadeklarowali przynajmniej miesięczne wsparcie. Dopilnuj, by pieczywo i wypieki były świeże. Chyba mamy problem z wyrobami wędliniarskimi, Kusek się na nas pogniwał i trzeba będzie koniecznie znaleźć innego dostawcę, oczywiście zostawiam to tobie.

Nie potrafiła jeszcze oddalić się od spraw domu pomocy. Piotr, przejmując go w zarząd, chciał, by mu pomogła, ale nie wyobrażała sobie, by miało to mieć miejsce w tak błahych sprawach. Musiał sobie radzić bez niej.

– A tak w ogóle, to dzwoniłeś..? – dodała po chwili.

– Tak, owszem. Chciałem się wprawdzie na ciebie obrazić, ale nie wyszło... Po prostu mi uwierz. Tylko to chciałem...

– Nie teraz! – Zosia przerwała mu niegrzecznie, w pół zdania. – Rozmawialiśmy. Przestańmy truć siebie swoimi sprawami. Masz na głowie dom pomocy i tylko na tym się teraz skup. Nie zapomnij, że umowę o doradztwo mam tylko na parę miesięcy. Teraz moim miejscem pracy będą Złotniczki.

– Weź pod uwagę jeszcze jedno. Gdy wysłałaś mnie na przetarg, byłem

pewien, że razem będziemy tworzyć dom dla uzdolnionych dzieci, a Drawsko prześlemy komuś innemu. Łudziłem się, tak wychodzi.

– Daj spokój...

Pracując w fundacjach prawie całe swoje zawodowe życie, Zosia bardzo dbała o reputację. W małych miastach nie można się było skryć. W jej rodzinie zawsze liczone było z opinią społeczną, to był jeden z nurtów filozofii życiowej Kulińskich i Leśniewskich, bycia społecznie użytecznym, dla innych ludzi przykładem. Myśląc o rodzinie, nie zauważyła, że znalazła się na podjeździe przed domem w Złotniczkach. „Kurcze. Budynek jest znacznie ładniejszy niż na zdjęciach” – pomyślała i od razu się zawstydziła. – „Ktoś musiał włożyć sporo pieniędzy w jego remont. Nie ktoś, a Iga albo jej mąż, były mąż, jak wynikało ze zmian nazwiska wariatki”.

Zosia nigdy nie przypuszczała, że los ją skieruje do Wielkopolski. Wszystko się zaczęło, gdy Marieta dostała się na studia muzyczne w Poznaniu i zamieszkała w akademiku. Zosia, jadąc kiedyś do niej pociągiem, kupiła w kiosku na dworcu czasopismo o urządzeniu wiejskich domów, niektóre fotografie jej się bardzo spodobały. Siedliska skryte w zieleni, wśród róż, rododendronów i maciejek. Na tarasach i w pokojach stały wiklinowe kosze pełne suszonych i świeżych kwiatów. W pokojach i kuchni bielone meble i belki na suficie, ściany z piaskowca, kominek, a nad nim wiszące różnokolorowe dzwonki. Jasna kanapa, łóżko na bielonych paletach, przykryte żółtym włochatym pledem z angory. W przedpokoju kapelusze, na ścianie wisiało ich mnóstwo, miały różne kształty i odcienie, niektóre przepasane były wstążkami albo ozdobione kwiatami.

Pomyślała wtedy, by zamieszkać blisko córki. Oglądała programy o ucieczkach na wieś. Zaczęła szukać ofert sprzedaży i przeglądać informacje o przetargach na komunalne mienie. Kiedyś dowiedziała się o przetargu na gminny dom w Złotniczkach. To był impuls. Cena wywoławcza nie była wysoka, Zosia miała pieniądze po rodzicach, wystarczyło na wadium, trochę jeszcze zostało. Stała do przetargu, ale sama nie mogła przyjechać. Pełnomocnikiem ustanowiła Piotra Brasia. No i... wygrali przetarg za cenę wywoławczą! Druga oferentka się nie pojawiła. Po prostu. To, że nie wpłynęło więcej ofert kupna tej nieruchomości, było niesłychanie zaskakujące. Piotr zażartował wtedy, że coś z tym domem musi być nie tak. Wokół ładne krajobrazy, nieruchomość można było zasiedlić od razu, jezioro w pobliżu, a właściwie ich ciąg. Może tam straszny? Może nikt w tym domu nie był

szczęśliwy? Wymyślając coraz bardziej dramatyczne, a nawet zahaczające o sceny z horroru powody braku zainteresowania przetargiem, świętowali udaną transakcję, pijąc wino.

Niedługo przyszło się Zosi cieszyć nowym nabytkiem. Dosłownie następnego dnia po przetargu, wczesnym rankiem, do drzwi jej mieszkania ktoś zaczął walić tak, jakby chciał wyrwać je razem z futryną. Iga Bednarz, wnuczka Floriana Leśniewskiego, brata dziadka Zosi!

Rude potargane włosy, w oczach wrogość, bluzka rozpięta. Widać, że szukała miejsca ujścia negatywnych emocji, jakie miała wręcz wypisane na twarzy. Jakże wrzeszczała! Nazwała Zosię znajdą, która wypadła spod ogona nie wiadomo komu. Pomówiła ją o manipulację, o uknucie planu zawładnięcia nieswoim majątkiem.

Podobno Zosia oszukała Igi dziadka!

Oczywiście, furiatka nie potrafiła udzielić odpowiedzi na proste pytanie: dlaczego nie przyjechała przed przetargiem, dlaczego nie próbowała odnaleźć Zosi wcześniej? Nic do niej nie docierało. Wrzasnęła, że odnajduje się kogoś pożądanego, a Zosia taką osobą dla niej nie była. Dlatego powinna użyć bardziej trafnego słowa. Nie „odnalazła”, a „wytropiła”! Tropi się przestępców, a złodziej domu to przestępca.

To nie tak! Zośka chciała jej o sobie opowiedzieć, o tym, że została sama, że chce być blisko jedynej córki. Już nawet zaczęła, ale Iga nie dała jej dojść do głosu.

– Kobieto! Lepiej już w tej sprawie nie otwieraj ust. Kradzież to kradzież! Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, należało przyjechać, porozmawiać, a przede wszystkim ujawnić swoje intencje. Oczywiście, powinnaś była to zrobić na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy mój dziadek przekazał tobie wszystkie pieniądze, zamiast mi, jak obiecał. Tak byłoby uczciwie, nieprawdaż?

Taaak... W sumie dopiero niedawno Zosia zaczęła szukać wiadomości o Idze. Okazało się, że wróciła do Złotniczek w 2004 czy 2005 roku z ówczesnym nowym mężem, Leszkiem Podkańskim, a po kilku latach taki zonk. Iga Bednarz. W tak krótkim czasie zdążyła po raz drugi wyjść za mąż, rozwieść się i ponownie wyjść za mąż. Trzykrotna mężatka, za taką nikt nie nadaży!

– To nieprawda! – Zosia była rozzalona, nikt wcześniej nie oskarżył jej o kradzież. Nie miała takich intencji. Wprost przeciwnie. Nie potrzebowała rzeczy dla siebie, pomagała przecież ludziom będącym w potrzebie. Jej celem

nie było egoistyczne gromadzenie majątku. Tym razem tak wyszło. Starła się mówić bez emocji, choć wewnątrz przeżywała piekło.

– Nie jestem złodziejką, tego mi nie wmówisz! Trzeba się było ujawnić, pokazać, powiadomić, że znów zmieniłaś nazwisko. Nazywałaś się Podkańska, a do przetargu przystępowała Iga Bednarz. Zaczynaj od zlustrowania siebie. Bardzo cię proszę.

Zosia tak powiedziała w złości, w rzeczywistości przecież martwiła się, że podkupiła dom Idze. W końcu to rodzina. Ale miała świadomość, że dzięki temu dom będzie w części społecznie użyteczny, takie miała plany. Owszem, chciała zamieszkać na strychu, ale dół miała zająć fundacja.

Iga nic wtedy nie odpowiedziała. Zmieszała się. Musiałaby się przyznać do pychy. Właśnie pycha ją zgubiła, umysłowe lenistwo. Jak mogła nie sprawdzić, czy w przetargu startuje sama, czy był może jeszcze ktoś chętny? Taka biznesowa głupota nigdy przedtem jej się nie przytrafiła. Niemniej bolała ją ta porażka. Przegrana na własne życzenie, i to z krewną, złamała Idze serce! Do Drawska Pomorskiego pojechała po swoje, a konkretnie po to, by wymusić zwrot domu, a po słowach Zosi zakręciła się na pięcie i bez pożegnania wybiegła z mieszkania. Uspokoiła się dopiero po paru kilometrach szalonej jazdy.

To, co ta znajda powiedziała o matrymonium, bardzo jej dopiekło.

Zosia oczywiście wsiadła do auta, by ją dogonić i raz na zawsze wyjaśnić animozje, ale było to po prostu niemożliwe. Musiałaby za wariatką pędzić z prędkością dwustu kilometrów na godzinę.

Dom i obejście mile zaskoczyły Zosię. Roślinność wokół była uboga, ale nowa właścicielka już wiedziała, że posadzi róże. Dużo róż. To był jej dom, od razu to poczuła. Weszła na podwórze, stanęła przed drzwiami, wyciągnęła z torebki klucz. Dotknęła ręką żeliwną kołatkę z otwartą lwią paszczą, postukała. Usłyszała ostry dźwięk. Pomyślała, że musi zmienić kołatkę, najlepiej żeby była z motywem kwiatowym. Ta sprawiła, że czuła się tak, jakby wchodziła do paszczy drapieżnika.

Przestąpiła próg. Zatrzymała się na parterze. Obeszła wielkie i puste pokoje. Wszystko było w znakomitym stanie. No, ściany wymagały jedynie farby. Klatka schodowa – elegancka. Na strychu Zosia wzięła głęboki oddech.

Otworzyła drzwi. Kremowe ściany też wymagały pomalowania, kamień na kominku – umycia i zaimpregnowania, a ciemna szafka na buty przy wejściu nie pasowała do lekkości, jaką Zosia chciała nadać pomieszczeniom. Nie lubiła ciemnych mebli, firanek na oknach i fioletowych kwiatów w doniczkach i wazonach. Lubiała wszystkie odcienie żółtego, błękit, róż, pastelową zieleni, écru. W takich kolorach widziała zarówno dom, jak i pracownię dla dzieci na parterze. „Dom kojarzyć się musi z ciepłem, wypoczynkiem, a miejsce pracy z radością tworzenia” – pomyślała. Mieszkanie w Drawsku Pomorskim też było słoneczne i jasne. Zorientowała się, że nie będzie musiała nic zmieniać w łazience. Była zielono-żółta. Myjąc twarz, przeglądała się w lustrze. W jej oczach widać było radość, a zmęczenie po przemyciu twarzy natychmiast ustąpiło.

Musiała to przyznać. Iga zostawiła dom w nienagannym stanie, było czysto, sterylnie, ale nie zostało po niej nic, co mogłoby określić jej prawdziwy charakter. Brązowa szafka, jedyny mebel, być może świadczyła o smutku i przemyśleniach, jakie Ige dręczyły, na pewno nie o przebojowości, z jakiej słynęła i jaką Zosia dostrzegła w niej podczas krótkiego i burzliwego spotkania. Jedynie nad kominkiem nieco usmolona okładzina z kamienia dowodziła, że poprzednia mieszkanka domu była ciepłolubna.

Zosia przywiozła ze sobą tylko dwie walizki z ubraniami i drobiazgami. Kilka kartonów z książkami. Pościel, koc. No i laptop, bez niego się nie ruszała. Postawiła go na podłodze, otworzyła, przykucnęła i zaczęła szukać informacji na temat fundacji. „O wpisie fundacji do Krajowego Rejestru Sądowego decyduje sąd rejestrowy” – przeczytała. Zamknęła laptop. Zeszła na dół.

Chciała podzielić się z kimś radością. Marieta miała wrócić z Mediolanu dopiero za parę dni. Zosia jednak, nie zważając na opłaty roamingowe, musiała jej natychmiast przekazać nowiny. Gdy córka była w Polsce, rozmawiały parę razy dziennie, bywało, że po kilka godzin. Zosia miała przymus przekazywania dziewczynie nawet najbardziej błahych wydarzeń dnia. Nie wyobrażała sobie inaczej. Chwyciła w rękę telefon. Marieta odebrała po pierwszym dzwonku.

– Córeczko, proszę cię, koniecznie po powrocie przyjedź do mnie na dłużej, tutaj jest tyle miejsca, że nawet ćwiczyć możesz. Fortepian przyjedzie jutro, ale nie wstawię go na strych, dam piętro niżej, dla dzieciaków, niech ćwiczą. Gdy będziesz w naszym domu, wystarczy, że zejdziesz na dół.

- Rozstroją go, mamó, zastanów się!
- Nie, kochanie. Będą się uczyć z nauczycielem, a nie bawić!
- No dobrze, mamuś. Przyjadę, mam tobie tyle do opowiedzenia.
- Mów teraz, proszę, mów.
- Wyobraź sobie, że na początku października będę miała koncert w auli, prawdziwy, z widzami! Wykonam dwie arie. Jedna to *Batti, batti, o bel Masetto* z Don Giovanniego, a w drugiej będę Muzettą z Cyganerii. Już się spinam, że nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. Nie mogę się doczekać!

Zośka rozpakowała walizki, ułożyła ubrania na podłodze w najmniejszym pokoju, nadmuchała materac, rzuciła na niego koc i poduszkę. Potem... ułożyła się na materacu na wznak, choć było dopiero popołudnie. Przez połaciowe okno patrzyła na niebo, już nie błękitne jak latem, ale jasne, bez chmur. Spokojne.

Usłyszała pukanie do drzwi na dole domu. We wsi było cicho, dźwięk kołatki od razu postawił ją na nogi. Okryła się szalem, zbiegła i otworzyła drzwi. Na ganku stał mały chłopiec, z ciemnymi włosami i ciemnymi oczami, może miał z siedem lat.

- Słucham, kochanie, co cię sprowadza do mojego domu?
- Czy to prawda, że będzie pani tutaj mieszkać na stałe i pomagać dzieciom?
- Tak, to prawda, parter domu będzie dla was, każde dziecko znajdzie dla siebie coś ciekawego. Chciałbyś się zapisać?
- Muszę zapytać mamę, ale ona może mi nie pozwolić.
- Dlaczego? Będziemy się uczyć tylko dobrych rzeczy, a to zawsze popłaca.
- Iga już tutaj nie wróci?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Taki szkrab!?

- Nie wiem, kochanie.
- Mama powiedziała, żebym się nigdy w życiu nie zbliżał do Igi, bo mnie nauczy wariactwa. W tym domu mieszka wariactwo, wie pani?
- Bo się wystraszę! – Zaśmiała się ubawiona słowami chłopca. Czy główna cecha Igi to rzeczywiście wariactwo? A może po prostu oryginalność?
- Kochanie, to moja kuzynka! Czasem dorośli mówią rzeczy, o których tak naprawdę nie myślą – powiedziała.

Chłopiec patrzył na nią i widać było, że coś waży w głowie. Nie umknęło to uwadze Zosi. Zapytała:

- Powiesz mi, w którym domu mieszkasz? I przedstawiś mi się, słoneczko? Ja się nazywam Zofia Kulińska. – Podała chłopcu rękę, którą on potrząsnął jak

dorosły.

– Ja się nazywam Kajtek Buczek, mieszkam w tym domu. – Kajtek podszedł do okna, ciągnąc Zosię za rękę. Pokazał duży dom naprzeciwko, który rzucił się jej w oczy jako pierwszy. Stał na byłej działce Leśniewskich. Po rodzowym domu nie było śladu, a na jego miejscu wyrosła wielka rezydencja, niezbyt pasująca do wsi. Dom prawie nie mieścił się na działce!

– Będziesz miał do mnie blisko. Wiesz co? Pobiegnij do domku i poproś mamę, by pozwoliła tobie tutaj przychodzić, tak bardzo, bardzo poproś. Powiedz, że pani Iga miała swoje kłopoty, a wtedy czasem popełnia się głupstwa, ale wszystko, co jest w tym domu, jak on wygląda i to, jaki jest ładny, jej właśnie należy zawdzięczać.

– I nie ma już wariactwa! – dodał chłopiec.

– Masz rację. Nie ma. Zapewniam.

1972

Sześcioletnia Zosia siedziała ojcu na kolanach i głaskała mundur, którego nie zdążył zdjąć po powrocie z poligonu. Siedziała grzecznie, wpatrując się z miłością w ogorzałą od wiatru i słońca twarz taty, a on opowiadał, jak się utrudził podczas budowy mostu pontonowego na Odrze. Wyjaśniał, na czym polega budowa takiej przeprawy.

– Odra to bardzo ważna strategicznie polska rzeka, po Wiśle druga co do długości. Z tym mostem pontonowym jest sprawa typowo wojskowa. Ale ciii, to jest ściśle tajne. Chodzi o to, żeby czołgi mogły sforsować rzekę, gdy w czasie wojny zburzone zostaną wszystkie stacjonarne mosty. Pod koniec drugiej wojny światowej nad Odrą toczyły się bardzo krwawe walki o niepodległość Polski.

– A którą idzie ta rzeka? Przez Świdwin?

– Nie idzie, a płynie. Po zachodniej granicy naszego kraju, z Niemcami. Kawałek drogi od nas, od Świdwina do Gozdowic jest trochę ponad sto kilometrów.

– Tato! Dlaczego budowaliście most dla czołgów? – Zosia, podekscytowana, przytuliła się do ojca. Była dumna, że o tym rozmawiają, bo wprawdzie ojcowie dzieci ze Świdwina byli przeważnie wojskowymi, ale takich rozmów jak u niej w domach się zazwyczaj nie prowadziło. Ona wiedziała znacznie więcej niż inne dzieci.

– Maleńka moja! Nie bój się, to wszystko działo się w ramach ćwiczeń. Mówi się, że jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny. Świat wciąż wrze.

Zosia roześmiała się z powiedzenia taty, wciąż siedziała na jego kolanach i wkładała paluszki pod wojskowe naszywki na ojcowskim mundurze. Nie bała się wojny, była bezpieczna w domu z kochanym żołnierzem, który zawsze miał uchronić jej dom przed wojną. Zeskoczyła z jego kolan i zatańczyła w kółko. Jej kremowa sukienka wirowała wokół drobnych nóżek.

– Przewieziesz mnie samochodem?

– Tak, jutro pojedziemy do Czaplinka nad jezioro. Przecież wiesz. Obiecałem.

– Hurra! – krzyknęła Zosia. Lubiła to jezioro.

Od kilku dni mieli pierwszy własny samochód, najnowszy model Syreny. Zosia kilka razy jeszcze podskoczyła z radości, a potem pobiegła na podwórko zakomunikować nowiny mamie i babci, które latem większość czasu spędzały w ogrodzie. Mama po pracy w bibliotece, a babcia w przychodni. Wszystko robiły wspólnie, tak były ze sobą zżyte. Nawet Zosia miała swoje małe grabki, łopatkę i koszyczek z nasionami i cebulkami. Jej babcia Ania i mama Krysia bardzo lubiły ogrodowe zajęcia. Uprawiały parę metrów ziemi pod blokiem, jakże ukwieconej, zaś wieczorem czytały książki, często na głos. Mama Zosi kładła na to szczególny nacisk. Biblioteka w domu zajmowała regały duże na dwie ściany. W tamtych czasach wszyscy mieli w pokojach meblościanki z kryształami, tylko u Kulińskich regały zajęte były książkami. Mama i tata czytali poważne pozycje, klasykę. Babcia natomiast lubiła romanse, bywało, że Zosia widziała ją zapłakaną nad książką. Znając siłę literatury, chciała to sprawdzić na własnej skórze.

Mówiono, że zaczęła płynnie czytać, gdy miała niecałe pięć lat.

Wrzesień 2009

Basia Koronowska miała tremę. Tyleż razy wyobrażała sobie spotkanie z wnuczką stryja, nieraz układała w myślach powitanie, nawet trenowała je przed lustrem. „Witaj nam Zosiu, czekaliśmy na ciebie długie lata, ale jesteś, z czego jestem bardzo rada”, „Kochana Zosiu, czym chata bogata, weź ten chleb i sól jako symbole dostatku i zgody”. Co jedno okazywało się gorsze...

W przeciwieństwie do Igi Barbara absolutnie nie miała Zosi za złe, że weszła w posiadanie Domu Złudzeń. Tak wyszło. Przecież Iga zaniedbała

sprawę, a i tak miała szczęście, że z jakichś powodów nikt więcej nie stanął do przetargu. Dobrze się stało, że w domu po Idze zamieszka swoja, jakby nie było. Oczywiście wiele sobie obiecywała w związku ze znajomością z Zosią, bowiem była bardzo samotna po wyjeździe Igi ze Stasiem i Olą do Beaumont. Jej mąż Ryszard poświęcił się pracy, a być może nawet z tęsknoty za Stasiem w nią uciekł. Dotkliwego uczucia samotności nie mogły w żadnej mierze zastąpić rozmowy z nimi przez komputer. Wprawdzie Iga zapraszała Koronowskich do siebie, nawet na pół roku, ale Rysiu nie mógł rzucić misji wyciągania firm z finansowego dołka i szaleć po świecie. Tak mówił, a Basi nie pozostało nic innego jak w to uwierzyć.

Barbara nieraz wyobrażała sobie Zofię Kulińską. Co ciekawe, najczęściej jako podobną do Igi, z długimi rudymi włosami, wysoką, zdecydowaną, co oczywiście widać będzie w jej postawie i tembrze głosu. Od lat zarządzała ośrodkiem dla bezdomnych, zatem musiała być realistką twardo stąpającą po ziemi, posiadającą wewnętrzną dyscyplinę. Inaczej nie dałaby sobie rady w tym łez padole!

Oczywiście Barbara wiedziała, że Zosia przyjechała już do Złotniczek, wszyscy o tym mówili. Powiadomiono ją o tym telefonicznie. W Domu Złudzeń rozbłysły światła, drzwi były otwarte na oścież, furka też, a jakże. Wszędobyłski Kajtek Buczek już się nawet zdążył przywitać. Podobno powiedział swojej mamie, że nowa właścicielka Domu Złudzeń nie wygląda jak wariatka. Czyli nie jak Iga. „Wiele czasu upłynie, zanim ludzie zapomną miotanie się Igi” – pomyślała Basia. Iga wpisała się w historię tego domu. Mieszkające w nim kobiety żyły marzeniami, zamiast tym co realne, do wypracowania, a w konsekwencji karmiły się złudzeniami... i były nieszczęśliwe. Wyprowadziły się i ślad po nich zaginął. Nigdy nie wróciły do Złotniczek. Iga straciła dom, choć bardzo chciała posiadać go na własność. Rzeczywiście i dla niej okazał się domem złudzeń.

Basia wreszcie zdobyła się na odwagę, zapakowała do bagażnika przemalowane na biało i ozdobione malunkami kwiatów eustomy szafki po Idze i wsiadła do auta, ale nie jechała prędko. Z Nadrożna do Złotniczek było nieco więcej niż kilometr drogi, ale ona musiała ustabilizować szybkie bicie serca. Gdy podjechała pod górę za krzyżem i zatrzymała auto z drugiej strony Domu Złudzeń, zobaczyła stojący przed domem wysłużony samochód marki Opel Corsa, okna na parterze i na piętrze były otwarte, słychać było symfoniczną muzykę. Weszła za ogrodzenie i stanęła przed drzwiami. Na

wycieracze stały żółte balerinki.

Zapukała do drzwi. Usłyszała szybkie kroki po schodach.

– To znowu ty, słoneczko? – Usłyszała miły głos. Zza drzwi wychyliła się kobieta zupełnie różna od portretu, jaki Barbara nosiła w wyobraźni i przede wszystkim jakże inna od... Igi. Przyszła boso, jej stopy były wypielęgnowane, o kształtnych paznokciach polakierowanych na turkusowy kolor. A poza tym miała jasne półdługie włosy, puszczone luźno, niebieskie oczy, w zasadzie jasnoblękitne, o odcieniu, jakiego Basia nigdy wcześniej u nikogo nie widziała.

– Od stóp zaczynają się choroby, proszę natychmiast coś na nie założyć! – powiedziała Basia zamiast powitania. Uśmiechnęła się.

– Podobno, ale wiadomo też, że receptory trzeba masować. Kiedyś chodziło się wyłącznie boso. – Zosia zaśmiała się dźwięcznie.

Tak. Zofia Kulińska sprawiała naprawdę dobre pierwsze wrażenie. Bardzo jej pasowała jasnożółta rozkloszowana spódnica z haftem na dole. A na górze jasnoblękitny bliźniak z perłowymi guzikami. Była dziewczęca, radosna, a przecież musiała być nieco starsza od Igi. Za sprawą urody na pewno spotkała się z niejednym problemem podczas prowadzenia fundacji. Basia od razu ją polubiła.

– Oj, tutaj są. – Zaśmiała się Zosia, wciskając stopy w żółte baleriny.

– Nie przedstawiłam się, przepraszam. Nazywam się Barbara Koronowska, jestem ciocią Igi Bednarz, córką Floriana Leśniewskiego, czyli kuzynką twojej mamy. To w skrócie – wymieniła jednym tchem.

Basia podała Zosi rękę, Zosia zaś objęła ją za ramiona.

– Kochana, możemy mówić sobie po imieniu? – Basia skinęła twierdząco głową. – Kim my dla siebie jesteśmy? Kuzynko-ciociami? – Obie zaczęły się głośno śmiać. – Przepraszam, Basiu, ale to ja pierwsza powinnam się przedstawić, zaanonsować, że jestem. Przepraszam. Przyjechałam wczoraj po południu i rozpakowanie się zajęło mi trochę czasu. Dzisiaj przyjadą meble. Tutaj jest tak pięknie, że mam megawyrzuty sumienia wobec Igi, wobec ciebie. Nie sądziłam, że ten dom stanie mi się tak bliski już od pierwszej minuty. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale tak jest. Czuję, że to jest moje miejsce na ziemi!

– Cieszę się. Chodź ze mną do auta, proszę. Tak sobie pomyślałam, a teraz mam pewność, że dobrze... Bo wiesz, przywiozłam szafki, które Iga zostawiła, kiedy wyemigrowała. Były brązowe, ja kazałam je zeszlifować, sama pomalowałam na biało, postarzyłam i ozdobiłam malunkami kwiatów.

Może się tobie przydadzą? Może dla dzieci je wykorzystasz?

Przeszły do samochodu Basi. W bagażniku były dwie szafki, obie śliczne. Zosi zaświeciły się oczy.

– Ojej. W moim stylu. Cudne. Wezmę je dla dzieci.

– No, to się bardzo cieszę. Tylko, wiesz, one tak naprawdę są własnością Igi, ale wyjeżdżając, zostawiła je w domu, więc...

Gdy przeniosły szafki do części na parterze i usiadły przy filiżance herbaty w pustej kuchni po firmie Igi, Basia westchnęła. Wróciły wspomnienia, tęsknota za starymi czasami. Zosia piła herbatę, ale jej myśli zajęte były czymś innym.

– Wiesz, Basiu, byłam dzieckiem. Dostaliśmy pierwsze mieszkanie w Świdwinie, to był spory lokal na osiedlu dla żołnierzy, z wielkiej płyty. Były tam dwa pokoje z kuchnią i łazienką, ale w ogóle nie mieliśmy mebli. W kuchni długo służyły nam za stół stare drzwi postawione na czterech taboretach. Gdy się przykryło obrusem, nie było widać, że to drzwi. Potem doszły białe szafki kuchenne. Właśnie białe, no i teraz mi się przypomniały.

Kiedy Zosia wieczorem została sama, mimo fizycznego zmęczenia przesuwaniem i ustawianiem mebli, usiadła na sofie po babci, wzięła do ręki kubek z kawą i patrzyła w ciemność nocy. Coś się zmieniło. Chciała zapomnieć o smutku, znów mieć rodzinę i bliskich.

Marieta od razu po powrocie z Włoch pojawiła się w Złotniczkach. Jej mały fiat uno przemknął przez wieś, oczywiście pojechała za daleko, aż na koniec miejscowości. Spodziewała się domu do remontu, takiego wypatrywała. Wszystkie, jakie mijala, były w znakomitym stanie. Nawróciła i zastosowała się dokładnie do wskazówek nawigacji. Była zdumiona tym, co zobaczyła. Otwarta żeliwna brama, wjechała na posesję i zaparkowała. Wyszła z auta, chodnik z kostki granitowej prowadził do drzwi. Też były otwarte. Postawiła na progu koszyk z niespodzianką dla mamy. „Ale się zdziwi!” – pomyślała. Weszła na parter i, podniecona tym, co zobaczyła, zaczęła otwierać drzwi i zaglądać do pokoi. Biegała od jednego do drugiego. Poślizgnęła się w korytarzu na marmurowej posadzce. Ściany miały kolor wanilii, a wpadające przez okna ze złotymi szprosami promienie słoneczne sprawiały, że dom wydawał się jeszcze cieplejszym.

– Mamo, mamo, gdzie jesteś!? No, super! Tutaj jest super! Mamy swoje królestwo, a my jesteśmy królowe! – wołała podniecona.

Zofia przybiegła na dół, wyściskała córkę i przyglądała jej się szczęśliwa. Jakże była ładna. Była w niej wiotkość, o którą z uporem od zawsze zabiegała. Niewiele jadła. Miała tendencję do tycia, nie wiadomo po kim. Zosia była szczupła, tata Mariety też.

– To wszystko nasze? Naprawdę? Nie wierzę! – Cieszyła się dziewczyna.

– Góra nasza, natomiast fundacja będzie na parterze. Pokoje, jak widzisz, są na razie bez mebli, ale fortepian stoi. Chodź, pokażę tobie, gdzie.

Stał w największym pokoju. Marieta podeszła do instrumentu i przejechała dłonią po klawiszach. Popłynęły dźwięki. Aktualnie nie potrzebowała używać instrumentu codziennie. Na uczelni ćwiczyła z akompaniatorami, sama na fortepianie nie grała już kilka miesięcy, ale kojarzył jej się z dzieciństwem, z rodziną, ze wspólnym muzykowaniem. Dostała go od babci Krysi i dziadka Tadeusza z okazji przyjęcia pierwszej komunii.

– Ciekawe, co na pierwszą komunię dostają czarni? – drwiła wtedy Asia, koleżanka z klasy, córka dyrektora szkoły. Śmiała się.

Mariety to wcale nie zabolowało.

– Czarny fortepian. Dostałam czarny fortepian.

Kilka koleżanek pocieszało Marietę. Inni pytali, dlaczego nie mieszka z ojcem. Ojcowie lepiej niż matki mogą bronić swoich dzieci. To, że nie знаła ojca, bolało Marietę najmniej. Jej babcia Krysia też żyła bez ojca, też go nie znała, bo zginął na wojnie. Ojciec Mariety też zaginął, niekoniecznie na wojnie. Tak to sobie ułożyła. Parę lat później, gdy zmieniła szkołę, sytuacja uległa poprawie. Trafiała na tolerancyjne koleżanki i kolegów. Kolor jej skóry nie stanowił problemu. Był atutem. Latem nie musiała się opalać.

W koszyku postawionym przez Marietę pod drzwiami coś zaczęło kwilić.

– Mamo, mam coś dla ciebie! – Marieta pobiegła po kosz. Wróciła i postawiła go na ziemi, podniosła wieko.

Coś z koszyka wylazło. Małe i śliczne.

– Przywitaj się z panią! Podaj łapkę! Mamo, to Mohito! Twój piesek! – Marieta patrzyła, jak Zosia bierze pieska na ręce i całuje go w pyszczek.

– Ale skąd, dlaczego? – Po minie Zosi było widać, że niespodzianka sprawiła jej wielką radość.

– Na wsi w każdym domu powinien być pies! – Obie zaczęły się śmiać. – Tak po prawdzie, masz spory metraż, możesz go do siebie przygarnąć.

Koleżanka z trzeciego roku dostała go parę dni temu od rodziców, a wyjeżdża na studia do Włoch.

– Jaki śliczny, jaki maleńki. – Zosia przytulała pieska, a on lizał ją po twarzy. Byli sobą zauroczeni.

– Seter irlandzki. Czytałam, że jest rodzinny, lubi ludzi, nie jest agresywny, opiekuje się dziećmi. Inteligentny jest i szybko się uczy. Pamiętaj, nie lubi kar i potrzebuje dużo ruchu. To wszystko, co wiem.

Zosia tuliła pieska do piersi, a Marieta usiadła przed instrumentem i zagrała walca Kilara z *Ziemi Obiecanej*. Zapomniała o czasie, dopiero głos mamy przywołał ją do rzeczywistości.

– Chodź na górę, córeczko! Jakże ja cię Kocham! – Zosia ścisnęła Marietę. Piesek plątał się pod ich nogami, starał się złapać w zęby pompon z klapka Zosi.

– Mamuś, wiem, wiem, wszystko wiem. – Marieta też przytulała się do Zosi.
– Muszę ci coś powiedzieć. Chciałabym kiedyś zamieszkać we Włoszech. Tam mi się wszystko podoba. W swoim poprzednim wcieleniu musiałam być Włoszką.

Marieta podobna była do mamy tylko z kształtu twarzy, nosa i ust, które były, podobnie jak u Zosi, delikatne i kształtne. Figurę Marieta miała proporcjonalną, zgrabną, oczy ciemne, jak zwykle, kiedy miesza się rasa biała z ciemną. Karnacja dziewczyny była czekoladowa, nie czarna. Włosy odziedziczyła po ojcu, ciemne, długie do ramion, z natury kręcone, tym razem były proste za sprawą prostownicy, bardzo gęste. Po ojcu też odziedziczyła długą szyję i długie palce, podobnie jak i zdolności do przedmiotów ścisłych oraz inteligencję i upór.

Ubrana była w złoto-czarne ciuszki, na nogach miała sztyblety, utrzymane w podobnej kolorystyce. Na jej ręce pobrzękiwało kilka sznurów ze złoto-czarnymi skórzanymi splotami. I czarnymi onyksami. W stylizacji dziewczyny odróżniały się tylko pomalowane żółtym lakierem paznokcie.

– Mamuś, jesteś mega! – powiedziała Marieta, gdy weszły na strych. Dziewczyna usiadła na rattanowym fotelu, który Zosia postawiła przed kominkiem. – Tutaj jest nadzwyczajnie, to prawdziwy dom pachnący waniliowym ciastem. A co z Piotrem?

– No co? Ma zajęcie w Drawsku.

– Jak to?

– Wiesz córuś, to nie jest takie proste, jakby się wydawało.

– No dobrze. Wiesz, zostanę tutaj parę dni, ale potem mam próby do *Lakme* z akompaniaturką. Tym razem będę miała koncert w auli szkoły. Masz jakąś biżuterię? Znaczą się kolczyki i kolier.

Zosia zaczęła rozpakowywać pudło, z którego wyciągnęła inkrustowane drewniane pudełko, skąd wyciągnęła złote długie kolczyki z cyrkoniami i taki sam naszyjnik.

– Wiesz, skąd to mam?

– Od babci?

– Nie, akurat nie. Ten komplet to prezent od twojego taty, na zaręczyny. A wiesz? Jeszcze mam do rozpakowania kilka drobiazgów, jeśli mi pomożesz, szybciej siądziemy przy filiżance kawy. Zajrzysz do pudła z kapelusami? Chyba trzeba je będzie odkurzyć.

Marieta otworzyła karton, dmuchnęła, w górę wzbił się kurz.

– Mamo, to jest nieprofesjonalne podejście do rzeczy!

Zosia zaczęła się śmiać.

– Ach, bo jak wygrałam przetarg, od razu zaczęłam się pakować, kapelusze leżały na szafie, z tej radości, bez odkurzania, wrzuciłam je do kartonu. Najlepiej będzie, jak je wywieszisz na sznurku w ogrodzie, klamerki na pewno gdzieś tutaj mam, bo pamiętam, że pakowałam.

– Najbardziej mi się podoba ten z kwiatami. – Marieta założyła na głowę słomkowy kapelusz z szafirowymi kwiatami.

– Fajnie.

Klamerki się znalazły. Marieta zbiegła na dół z kartonem pod pachą. Zosia z okna patrzyła, jak rozwiesza kapelusze, tanecznie podrygując. Nuciała coś pod nosem. Obok niej dreptał psi maluch – Mohito.

Kapelusze przypięte kolorowymi klamerkami do sznura ożywiły ogród, w którym brakowało jakby... życia? Zosia oczami wyobraźni widziała w nim mnóstwo kolorów, trawę, i kilka miejsc do ukrycia się ze swoimi myślami. Miała dwa metalowe ogrodowe krzesła, można je będzie pomalować kolorową farbą. „Jeszcze parę dni i trzeba będzie sadzić byliny, na wiosnę zakwitną i będzie kolorowo i pachnąco” – pomyślała.

Marieta pomieszkała w Złotniczkach dwa dni, choć obiecała dłużej. Gnało ją do Poznania, na próby. Zdążyły razem ustawić meble, pozawieszały na ścianach obrazki, poustawiały bibeloty. Dwa razy były na spacerze.

Potem Zosia została sama i nie bardzo chciało jej się wychodzić do wsi. Nie miała po co, w lodówce znajdowały się dwa serki i jeden jogurt, kawałek

placka, a w szafce orzechy, migdały i suszone morele. To wystarczyło, nie musiała dużo jeść, po prostu nie czuła głodu. Pomyślała, że podczas gdy gościła u niej Marieta, nie widziała Kajtka, który był wszędobyłski. Do tego już zdążyła przywyknąć.

Zeszła na dół i od razu zderzyła się z chłopcem. Brama i furtka miały zamki, ale były otwarte. Nie chciała ich zamykać. Dom i ogród powinny być dostępne dla dzieci, inaczej sobie nie wyobrażała.

– Dzień dobry pani! – powiedział Kajtek.

– A gdzie to się podziewałeś przez ostatnie dni? Wyglądałam ciębie, chciałam cię prosić, żebyś polecił kolegom i koleżankom nasz dom. Na podwórko już możecie wchodzić, wprawdzie nic ciekawego jeszcze nie ma, ale wspólnymi siłami zagospodarujemy wszystko. Zapytaj rodziców, czy nie mają niepotrzebnych mebli, może planują coś wyrzucić? Nam się przyda każdy mebel.

– Proszę pani, miałem karę siedzenia w domu, bo tupałem nogami. Chyba mamy stare meble w skrytce.

– To pobiegnij, kotku, do domu i zapytaj, czy są potrzebne albo lepiej zaprosz mamę tutaj, powiedz, że mam placek. Zapraszam na placek.

Kajtek w podskokach wybiegł z Domu Złudzeń. Zosia patrzyła, jak biegnie przez plac. Po kilku minutach wyszedł z domu, kopnął kamień, który mu leżał na drodze. Wszedł do Domu Złudzeń ze smutną miną.

– Mama powiedziała, że nie ma czasu jeść placka. Powiedziała też, że mamy do wydania stół po właścicieliu starego domu.

– To super, przyjdę do mamy jutro, to pogadamy. – Zosia nie takie przeszkody spotykała na drodze do pozyskiwania pieniędzy dla domu pomocy w Drawsku. Kajtek od razu się rozchmurzył, widząc, że wiadomością nie sprawił Zosi przykrości.

– A, proszę pani, skąd sobie pani przywiozła do pracy Murzynkę? – Na Zosię patrzyły wielkie, bardzo zaciekawione oczy chłopca.

O mało nie parsknęła śmiechem.

– No coś ty! To nie była Murzynka do pracy, to moja córka. Marieta.

Kajtek przyglądał się Zosi, co ją jeszcze bardziej rozbawiło, ale nie dała tego po sobie poznać. Powtórzyła więc, dbając o powagę.

– Naprawdę, nie kłamię. To była moja rodzona córka. Jej tatą jest pan z Afryki, o solidnym i gruntownym wykształceniu. Marieta nosi jego nazwisko, Mariette Diene, z francuska, bo kraj pochodzenia mojego byłego męża był

kiedyś francuską kolonią.

Zosia przez lata nauczyła się nie wyprzedzać pytań o kolor skóry córki. Niepytana, nie mówiła, kim jest ojciec Mariety. To zresztą nie było trudne, po prostu o nim zapomniała. Jeśli ktoś zapytał, wtedy mówiła, że nie mają z nim kontaktu. I to wszystko. Czasem dodawała, że widzieli się wiek temu.

Kiedy Kajtek pobiegł do domu, Zosia połączyła się z Piotrem, który rano przesłał jej SMS-a, że ma problem z żywnością dla podopiecznych. Nie chciała włączać się w sprawy domu pomocy w Drawsku, powinien radzić sobie sam. Ale społecznikowskie preferencje Zosi znów dały o sobie znać. Nie potrafiła nie pomóc.

- Poważnie? No jak to, że nikt nie chce dać mięsa? – obruszyła się.
- Rozmawiałem, ale próbują się wyłgać, mówiąc, że biznes nie idzie, że pójdą z torbami.
- No nic. Musisz kupić.
- Więc muszę wziąć z pieniędzy na opał.
- Wczoraj na koncje było coś ponad pięć tysięcy, powinno wystarczyć.
- Tak, ale wynagrodzenia...
- Piotr, nie możesz poczekać za pieniędzmi? Wypłać sobie część, jeśli bardzo potrzebujesz.
- Nie mogę czekać, muszę zapłacić za studia podyplomowe. Zosiu, ja dwa miesiące czekam za pieniędzmi!

Też czekała. Taka to praca, posłannictwo. Czekala, ale nie w ostatnich miesiącach, kiedy musiała mieć pieniądze na przeprowadzkę oraz w związku z tym, że wydawnictwo medyczne, dla którego wykonała sporo tłumaczeń, miało płatnicze poślizgi.

Robiło się ciemno, kiedy na dole domu znów słysząc było poruszenie. Zosia szybko pożegnała się z Piotrem i zbiegła po schodach.

W pustej sali stała gromadka dzieci z Kajtkiem na czele.

– Nie jest już po dobranocce? – zapytała.

Dzieci patrzyły na nią wystraszone.

– Przyszliśmy zapytać, czego nas będzie pani uczyć. – Na przód gromadki wysunęła się kilkuletnia dziewczynka, nieco wyższa od Kajtka Buczka. Była śliczną, jak z obrazka, blondynką z długimi falowanymi włosami i wielkimi niebieskimi oczami.

– Przedstaw się. – Kajtek szturchnął dziewczynkę w łokieć.

– Lisa Kuśmierek.

– Kochani, powiem ogólnie, będziemy się uczyć wrażliwości.
– Na zastrzyki? – zapytał mały chłopczyk w zielonych wytartych spodenkach sztruksowych.
– Nie, kochani, będziemy się uczyć wrażliwości na sztukę i może uda się nam wspólnie znaleźć w sobie talenty. To bardzo ważne.

– E tam. Ja jestem we wszystkim utalentowana, tata tak mówi. – Lisa znów wysunęła się na pierwszy plan.
– Akurat! Samochwała. – Kajtek Buczek zaczął się głośno śmiać.
Lisa uderzyła go w głowę.

– Dobrze, dobrze, ale teraz zmykajcie do domów. Spać, kochani, do łóżek!
Zosia chciała zacząć od przesłuchania głosów dzieci. Chciała stworzyć chór. Czytała o Piccolo Coro dell'Antoniano i o dzieciakach śpiewających pieśni religijne w poznańskim zespole Arka Noego. Była podniecona wizją. To było dla niej coś nowego, sympatycznego. Polubiła te dzieciaki.

No i w domu nie była sama. Dzięki córce. Towarzysz jej życia dawał o sobie znać jeszcze dwa razy tego wieczora. Wychodziła z Mohito na siusiu, raz nie zdążyła, niestety.

Przed nocą napisała notkę na Facebooku: „Znów jestem zakochana. Moja miłość merda ogonkiem, niczego nie udaje i nie jest ze mną na chwilę”. Dostała przeszło siedemdziesiąt lajków. Kilkoro wirtualnych znajomych deklarowało, że też potrafią merdać. To nawet było śmieszne. Potem wkleiła zdjęcie Mohito, podpisując: „Oto Pan mojego serca”.

Lubiła szybkie społeczne zajawki. Gdy ktoś polubił jej wpis, było jej milej. Zdjęcie pana jej serca znów polubiło ponad siedemdziesięciu znajomych i nieznajomych.

Marieta, która była zalogowana na Facebooku, wyłącznie z uwagi na marketing, rzadko się tam udzielała, zarzuciła kiedyś mamie, że jest zbyt aktywna w sieci.

– Mamuś, twój profil oglądają naprawdę różne osoby, o różnych zamiarach. Weź to uwzględnij.

– Oj, do tej pory się nie zawiodłam na nikim z sieci, tylko w realu. Na ulicy też spotykasz ludzi, ale przecież nie badasz ich zamiarów. Prawdę mówiąc, najmniej zaufania mam na drodze.

Zosia machnęła ręką na gadanie Mariety, ale potem i tak przystopowała trochę z wpisami na portalach. Dopóki znów nie zabrakło jej kontaktu z ludźmi.

1974

W Gdańsku Rębiechowie otwarto port lotniczy. Rodzice rozmawiali, że latanie ułatwia komunikację międzykontynentalną, że świat staje się coraz bliższy, a samolotem można się naprawdę szybko dostać do Paryża albo do Londynu. W tym samym czasie dojedzie się samochodem z Drawska do Szczecina. Na podróż do wielkiego świata wystarczy mieć paszport i „parę” złotych na bilet. Józef nie miał paszportu, a do Londynu dotarł, choć trwało to kilka miesięcy – zripostowała wtedy babcia Ania. – Z moją pomocą – dodała.

O społecznictwie Zosia dowiedziała się bardzo wcześnie, przy okazji wyboru przewodniczącego klasy. Dzieci chciały, by została nim drobna blondyneczka, z dwoma warkoczami, w granatowym fartuszk z nakrochmalonym białym kołnierzykiem. Zosia Kulińska. Wiedziała, że dzieciom i ludziom należy ufać i pomagać. „Ludzie z różnych powodów popadają w biedę, nie zawsze będąc winnymi, a nawet jeśli i tak się zdarzy, jeśli sami się do swojego położenia przyczynili, wtedy nadal trzeba im ufać i podać rękę. Bywają zagubieni, bezradni” – tak uważała babcia Ania Leśniewska, a Zosia jej słowa dobrze zapamiętała. Jej babcia mogła być wzorem. Pomogła dziadkowi Józefowi, ukrywając go w domu swoich rodziców w Weryni. Groziło to wszystkim, ale pomoc żołnierzowi była dla niej najważniejsza. Zosia знаła historię miłości babci. Dziadek był oficerem, po kapitulacji uciekał z Polski, zatrzymał się w Weryni, kilkadziesiąt dni ukrywając się w domu babci. Kiedy miał przedostać się do Węgier, wzięli ślub, a dzień po nim wyszedł z domu babci z plecakiem, w którym była żywność na parę dni. Szedł w stronę Kolbuszowej. Długo nie miała o nim wieści. Dopiero po miesiącu przyszedł pierwszy list, Józef był bezpieczny w Rumunii. Jakież szczęście zawitało do serca babci Ani! Potem nadchodziły kolejne listy, już z Wielkiej Brytanii. Babcia Ania stała się żoną oficera na obczyźnie.

W domu Zosi dużo się rozmawiało. Siadali do kolacji i każdy mówił to, co mu leżało na sercu. Nie było żadnych tajemnic.

Listopad 2009

Zosia wstała wcześnie rano, obudziło ją gruchanie gołębi. W nowym miejscu spało się jej dobrze, zazwyczaj nic się jej nie śniło, wstawiała rześka

i optymistycznie nastawiona. Jadła śniadanie, gryczane płatki owsiane na wodzie, z rodzynkami, suszonymi śliwkami i migdałami, kiedy zadzwoniła Basia i powiedziała, że się denerwuje o Adelę. Zosia nie wiedziała, co to za kobieta, ale po chwili wszystko się wyjaśniło.

Barbara opowiedziała jej historię znajomości Adeli z dziadkiem Igi. Wtedy dowiedziała się, że to właśnie dzięki Adeli Florian Leśniewski ją odnalazł.

– Dziwne, że jej jeszcze nie poznałaś. Zamknęła się w domu, a ja się denerwuję. Pojadę do niej. – Postanowiła Basia.

Zosia wyjrzała przez okno. Było dżdżyscie. Wrzuciła do kominka kilka drewniek. Zrobiło się przyjemnie. Otworzyła komputer i zaczęła pisać pisma z prośbą o sponsoring. Już dawno miała to zrobić, ale zawsze coś stawało na drodze. Szczegółowo opisała działalność, jaką zaczynała prowadzić. Dom dla uzdolnionych dzieci.

Zgromadziła się pokaźna gromadka dzieci chętnych na udział w zajęciach. Nie spodziewała się tylu. To nie były tylko dzieci rolników, jak by się mogło wydawać. W okolicy mieszkało wielu przedsiębiorców, kilkoro nauczycieli, dwóch prawników, dwie finansistki, a nawet artyści. Oni też mieli utalentowane dzieci. Niestety, o pieniądze było coraz trudniej. Zosia nie liczyła tylko na dotacje rządowe, te nie wystarczyłyby na bieżące koszty. Najbardziej hojne były banki. Ale ileż ich było!? Kilka. Kiedy zamknęła plik pod tytułem „Dotacje” i chciała wrócić do tłumaczeń, usłyszała pukanie do drzwi. Nowa kołatka, jaką zamontował jej sąsiad, już nie straszyla otwartą lwią paszczą. Obecną zdobił kiść winogron. Była ładniejsza, wydawała delikatniejszy dźwięk.

Zeszła na dół z kluczem w ręce. Przed drzwiami stał mężczyzna o ujmującym wyglądem. Wydał jej się skądś znajomy. Stał i patrzył na Zosię jak na objawienie. Ubrana była w błękitny dres, który kontrastował z tym, co było na dworze. Szarość i plucha.

– Michał Zawieja.

– U pana zawieja? U mnie jeszcze nie. – Zażartowała. – Czy ja powinnam pana znać? – Zosia podała mężczyźnie rękę. Przytrzymał ją dłużej.

– Niekoniecznie. Teraz właśnie się poznajemy. – Uśmiechnął się.

Facet był niewysoki, miał ciemne oczy, które chroniły okulary o brązowych błyszczących oprawkach. Ciemne kręcone włosy, dość długie, do ucha, cesał do góry. Ubrany był swobodnie, niezobowiązująco, przez co wyglądał jak obieżyświat, a przyjechał czerwonym sportowym autem. Poważny,

sprawiający dobre pierwsze wrażenie. Wiek? Był może nieco po czterdziestce, a przynajmniej na tyle wyglądał.

Zosia zaprosiła go do biura na parterze.

Gdy weszli, rozejrzał się po pomieszczeniach. Potem usiadł na krześle naprzeciwko Zosi. Rozglądał się.

– Spora powierzchnia – stwierdził.

– Spora. Rzeczywiście – przytaknęła.

Nastąpiła krępująca cisza. Zosia nie siliła się na grzeczność, to on przyjechał do Domu Złudzeń. Po co?

– Niewykorzystana – dodał.

– Na razie niewykorzystana – odpowiedziała.

Potem niejaki Zawieja się rozkręcił, zaproponował biznes. Chodziłoby o to, by ośrodek specjalizował się w eventach dla większej liczby dzieci, by owe wydarzenia były słyszalne w całym regionie. Tak powiedział. Osobiście mógłby zająć się współpracą z mediami. Nie zawsze jednak będzie miał na to czas, zastrzegł.

– Niestety, często wyjeżdżam, uczestniczę w różnorodnych projektach. Jestem menedżerem w zagranicznej korporacji.

– Wciąż myślę, czy się już gdzieś nie spotkaliśmy... – powiedziała.

– Jestem pewien, że nie, ale co szkodzi poszukać wspólnych miejsc? Czyli gdzie mogliśmy na siebie wpaść?

– No dobra. Po kolei. Do szkoły podstawowej chodziłam w Świdwinie, do ogólniaka w Drawsku Pomorskim, studiowałam w Mińsku, ale nie Mazowieckim, żeby nie było. To tak z grubsza.

– Nie, to nie są moje rejony. Szkoły kończyłem w Poznaniu, studia też. Mieszkam w Zalasewie, ale, przyznaję, od niedawna. Wie pani, gdzie to jest? Niedaleko Swarzędza. – Spojrzał na zegarek. – O, przepraszam. Muszę zniknąć.

Wstał z krzesła, wyciągnął z kieszeni marynarki tekturkę ze swoim imieniem i nazwiskiem i dopisał numer telefonu. Wręczył Zosi wizytówkę.

– Ładne kobiety nie powinny być samotne – powiedział jakby od niechcenia.

Z mety nabrała rezerwy, nie lubiła komplementów, generalnie nie tolerowała rozmów na temat samotności, związków, w ogóle zahaczających o prywatność. W jakimś sensie była oschła. Podopieczni z Drawska cmokali na jej widok, ona jednak szybko stawiała mur. Potrafiła być konkretna. By nie zapanował tam chaos, musiała ustanowić twarde reguły. Wielu z nich tego nie wytrzymało. Wracali na ulicę, woleli pić i spać na papierach niż w cieple i z miską gorącej

darmowej zupy. Nieraz docierały do niej wieści o zejściach po pijaku, zamarnięciach, bójkach z nożem w rękę. Cierpiała.

Potem czyniła wszystko, by każdy z nich miał godny pochówek.

Minęło kilka miesięcy od przeprowadzki Zosi do Złotniczek, a Adela Renz nie przyszła się z nią przywitać. Jej córkę Ninę też trudno było spotkać. To było dziwne. Basia ustaliła, że to dlatego, bo Adela od miesiący nie wychodziła z domu, źle się czuła.

Pod koniec listopada wysłała swoją córkę Ninę do lekarza po receptę na lekarstwo na nadciśnienie. Nina była niepełnosprawna, niesamodzielna, do tej pory chodziły wszędzie razem. Tylko do wiejskiego sklepiku Bednarzy Nina szła sama. Kiedy córka wyszła z domu, Adela się położyła. Od rana bolała ją głowa, nic nie pomagało.

Nina wróciła do domu po godzinie i... narobiła hałasu na całą wieś. Ktoś zadzwonił na pogotowie. Karetka przyjechała szybko i zaraz też odjechała na sygnale. Adela znalazła się w szpitalu w Poznaniu. Udar mózgu, podobno lekki, ale lekarze nie dawali gwarancji na całkowity powrót do zdrowia, a nawet na przeżycie.

Złe wieści dotarły też do Zosi. Jako pierwszy przyniósł je, mimo późnej pory, Kajtek, upewniając się, czy jeśli pani Adela umrze, to nadal będzie istniał dom dla twórczych dzieci.

– A dlaczego by miało go nie być po odejściu pani Adeli?

– Dla żałoby.

Nina tymczasem została sama w wielkim domu Renzów. Byli tacy, którzy widzieli ją siedzącą całą noc po ciemku i, mimo zimna, przy otwartych drzwiach wejściowych, tak jakby czekała. Ale gdy ktoś szedł ulicą, natychmiast kryła się za drzwiami.

Inni mówili, że Adela taka mądra, a czterdziestoletniej córki nie przygotowała do życia, nie nauczyła, jak ma żyć po jej odejściu. Nawet sprawunki Ninie nie wychodziły – albo coś zostawiła w sklepie, albo zgubiła pieniądze.

Grudzień 2009

Był czwartek tuż przed świętami Bożego Narodzenia, Zosia zostawiła auto przed Urzędem Wojewódzkim na Alei Niepodległości, ale po załatwieniu spraw nie chciała jeszcze wracać do domu, przeszła się w stronę Starego Rynku. Było przed dwunastą, torbę z zakupami postawiła na ławce, za chwilę miały się trykać sławne poznańskie koziołki. Stary Rynek, mimo chłodu, tętnił życiem. Mnóstwo turystów czekało na to samo co ona. Niektórzy wracali specjalnie na dwunastą ze zwiedzania Fary.

Błaszone koziołki wykonały kilka tryknięć, a Zosia poczuła wzruszenie, że jest tutaj, widzi to, o czym do tej pory tylko słyszała. Na ławce, na której stała jej torba z zakupami, przysiadł mężczyzna. Wzięła go za żebraka, ale nie wyciągał ręki, niewątpliwie nie był też pijany, a przynajmniej nic na to nie wskazywało.

– Się tak trykają i trykają, i nic z tego nie wynika. Pani jest pewnie przyjezdna, tak jak oni wszyscy? Bo naprawdę mało którego poznaniaka obchodzą koziołki. Ale gdy przestaną się trykać, wtedy dopiero miejscowi przystaną i zastanowią się: co się do diabła stało?

Koziołki zniknęły za drzwiczkami wieży.

– To ciekawe, co pan powiedział – zauważyła.

– Nie każdy by mi odpowiedział. – Spojrzał na Zosię uważniej.

– Taka jestem. – Wzruszyła ramionami.

– Jest pani jakimś aniołem czy co? – Mężczyzna wstał z ławki i dotknął włosów Zosi, wychodzących spod czapki. – Tak sobie wyobrażałem anioła, jak byłem mały. Anioła z jasnymi włosami, ale w czapce. Bo mi zawsze było zimno. – Posmutniał.

– Anioły nie istnieją, ale na pewno są na świecie dobrzy ludzie. Ja czasem czynię ich powinność, różnie mi to zresztą wychodzi ... – Zosia sięgnęła do torebki. Wyciągnęła swoją wizytówkę. Podała ją mężczyźnie.

– Zofia Kulińska. Dom Świętego Krzysztofa, Drawsko Pomorskie. A to dopiero! – przeczytał na głos. Wstał i podał Zosi wypielęgnowaną rękę, jej wygląd Zosię zaskoczył.

– Andrzej Bliski, poeta, ale głowa nie ta.

– Proszę dzwonić w razie potrzeby. Zapomniałabym! – Sięgnęła do torebki i wyciągnęła banknot stułotowy. Podała go mężczyźnie. Nie rzucił się na pieniądze jak zgłodniały wilk, jak oczekiwała. – Proszę się nie krępować, to wsparcie dla sztuki. Do widzenia.

Bliski schował banknot do kieszeni. Zosia odeszła.

Jeszcze wieczorem tego samego dnia zadzwonił i przez telefon przeczytał fragment erotyka napisanego na jej cześć. To nie była zła poezja, ale Zosia, zrażona zażyłością, jaką narzucił, szybko zbyła poetę.

Luty 2010

Minęło pół roku od przyjazdu Zosi do Wielkopolski. Zima się topiła. Topiły się też Zośki pieniądze. To, co miała po rodzicach, wydała, a pojawiło się naprawdę niewiele zleceń. I niewiele czasu. We wsi się zorientowali, że jest uczynna, że nie potrafi odmówić, za pomoc nie chce pieniędzy, więc każdy coś tam miał do załatwienia, a zima do tych spraw była najlepsza. A to ktoś pilnie potrzebował przetłumaczyć list od siostrzeńca z Francji, inny przyniósł artykuł z angielskiej gazety o Polakach w Wielkiej Brytanii, kolejna osoba napisała wiersz i bardzo chciała, by Zosia go zredagowała, jakiś furiat potrzebował napisać donos na urząd, więc Zosia miała być doradcą, jak to najskuteczniej uczynić. Pewnego dnia do Zosi domu zapukała kobieta, której marzeniem było dostać się do programu *Must be the music*. Chciała, by Zosia posłuchała, jak śpiewa i oceniła jej wokale.

Zosia podejmowała się każdej sprawy. Generalnie można było zasięgnąć jej rady niemalże co do wszystkiego, zdobywała nawet wiedzę na temat dofinansowań w rolnictwie. Byli we wsi takowym zainteresowani. Im też jej fachowe i mentalne wsparcie było potrzebne.

Zatrudniona wciąż była w Drawsku, więc nie głodowała z powodu braku pieniędzy. Ale miała sporo wydatków. Utrzymanie Mariety, mieszkania w Drawsku, koszty Domu Złudzeń. Zbierała się spora sumka. Musiała podjąć jakieś decyzje, no i więcej pracować. Dała ogłoszenie o tłumaczeniach do prasy wielkopolskiej, a na Domu Złudzeń umieściła szyld: *Tłumacz przysięgły języka angielskiego, niemieckiego i francuskiego*. Po jego powieszeniu schodziły się procesje, by przeczytać, co tam jest napisane.

– Ale pani dużo umie! Jak niekobieta – pochwalił ją Kajtek, gdy przyszedł na zajęcia. Odbywały się one kilka razy w tygodniu po południu. Najczęściej były to próby chóru. Niektórzy rodzice posłali swoje pociechy, by mieć kilka godzin opieki poza sobą, ale na pewno byli tacy, co wierzyli w talent swojego dziecka. Nikt z rodziców tych dzieci już nie mówił o wariactwie, co to jakoby zaległo się w Domu Złudzeń. Nawet zapomnieli o Idze. O czarnej córce Zosi także. W Domu Złudzeń zatrudnienie znalazła Krystyna Stelmach z Pobiedzisk.

To jej Zosia powierzyła chór. Mieszkańcy cieszyli się, że w ich wsi dzieje się tyle ciekawych rzeczy.

Rutyna małej miejscowości została złamana.

Miejsce pracy z dziećmi, koleżeńska pomoc mieszkańcom wsi, tłumaczenia – to wszystko zajmowało Zosi mnóstwo czasu, ale nie narzekała. W konsekwencji nie miała wielu chwil ani na myślenie o fundacji w Drawsku, ani na rozmowy z córką, czy na tęsknotę za nią. Na tłumaczenia poświęcała wieczory i noce. Z tego miała pieniądze na bieżące wydatki, choć bywało, że musiała się o nie upomnieć. Kiedy wreszcie w połowie nocy rzucała się na łóżko, w ubraniach, obok niej wskakiwał Mohito, który czekał, aż jego pani zaśnie. Wtedy... mógł wszystko. Rano Zosia budziła się na skraju łóżka, a na większej części w poprzek leżał pies. Bywało też, że w środku nocy, z powodu niewygody, przenosiła się na wersalkę. Wtedy Mohito już do rana sam spał na łóżku.

Odkąd się poznali, Michał Zawieja zadzwonił do Zosi ze dwa razy. Na początku roku z życzeniami. Po dwóch tygodniach znów się przypomniał i poinformował ją, że wyjeżdża i postara się pojawić w Złotniczkach po powrocie.

– No, okej – powiedziała Zosia.

Dziwny to był facet. Nie milkły też, znacznie bardziej denerwujące, nocne telefony od Bliskiego. Pisał te wiersze i pisał. Coraz bardziej erotyczne.

– Stop. Proszę pana. Dałam swój numer telefonu na wypadek, gdyby pan pilnie potrzebował pomocy. – Nie wytrzymała którejś nocy.

– Ależ ja potrzebuję pomocy – odrzekł Bliski.

Coś było na rzeczy z tymi facetami! Był jeszcze Piotr. Rozmawiali, ale Zosia dbała, by nie zesli z tematu służbowego na osobiste. Choć dobrze wychodziło jej przebaczenie, tolerancja, mimo to wciąż nie potrafiła zaufać. Emocjonalne oszustwo. Tego ze strony mężczyzn bała się najbardziej. Gdyby mogła cofnąć się w czasie do lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, nie popełniłaby wielu błędów.

Basia, dając Zosi numer telefonu do Igi, powiedziała krótko:

– Kochana, nie zrażaj się, jeśli będzie dla ciebie niemiła. Jest obcesowa, bywa niegrzeczna, ale po bliższym poznaniu naprawdę zyskuje.

Zosia chciała pogadać z Igą, była jej to winna, ale nie miała odwagi tego uczynić. Zamieszkała w Złotniczkach i od razu od ludzi dowiedziała się o niej wszystkiego. Jak wzięła w swoje ręce sprawy firmy męża, który w obliczu bankructwa stchórzył i skrył się w ramionach kochanki, zostawiając Igę w długach. Wiedziała już, że Iga jak lwica walczyła o ziemię rodzinną, zapominając o sobie, o rodzinie, choć czyniła to nie tylko dla siebie. Nikt jej nie pomógł. Została sama z maleńkim dzieckiem, a przeciwko niej cała zgraja chcących ją złupić. We wsi miała przede wszystkim wrogów, a przyjaciół niewielu, mało kto ją doceniał. Była niewątpliwie kontrowersyjna, ale nie dbała o to, by się komukolwiek przypodobać. Szła prostą drogą, bez umizgów. Imponowała Zosi, która nigdy nie musiała zmagać się z takimi przeciwnościami. Gdy miała problem z podopiecznym, z pieniędzmi dla fundacji, zawsze obok niej była rodzina, im mogła się zwierzyć ze wszystkiego. Iga zaś nie miała rodziców, dziadka, babci, męża. Tylko jej przyjaciel z dzieciństwa, Kosma Bednarz, podał jej rękę. Wyjechała w pośpiechu, opuściła Polskę, po prostu uciekła. Zosia dobrze знаła ludzi osieroconych, z racji pracy spotykała się z wyłącznie pokrzywdzonymi przez los. Niewielu z nich udało się coś osiągnąć.

Iga tymczasem bardzo jej imponowała. Silna i piękna kobieta. Prawdziwa wygrana. Powinna stać na podium dla zwycięzców. Tutaj, a nie gdzieś w Teksasie, nie u siebie.

To nieprawda, że Zosia ukradła jej Dom Złudzeń, dla Igi on był wyłącznie materialną rzeczą, majątkiem do połknięcia, nie mieszkałaby w nim. To jasne jak słońce. Niewątpliwie były przeciwieństwami. Iga, silna, przebojowa, wiedziała, czego chce. Najbardziej lubiła pieniądze. Zosia, altruistycznie nastawiona do życia, na swojej drodze niesienia pomocy ludziom niewiele takich osób spotkała. Razem wiele by wywalczyły dla potrzebujących. Mogłyby zostać przyjaciółkami, ba, nawet współpracownikami. Mogłyby ją uczulić na los innych. A Zosia od Igi nauczyłaby się, jak zarabiać pieniądze.

Jednak było też coś, czego Zosia jej zazdrościła. Iga nieraz się zawiodła na mężczyznach, jednak wciąż im ufała, wciąż była gotowa na miłość.

Zosia zraziła się do nich na zawsze.

Studiowanie szło Mariece lekko. Choć poświęcała sporo czasu na próby

i bywała zmęczona, jednak wciąż nastawiona optymistycznie i mimo że w świecie operowym była dziewczyną znikąd, nadal cechowała ją determinacja, by podbić sceny. Zosia, rozmawiając na temat Mariety z profesorem Zwolińskim, słyszała wyłącznie dobre słowa. Każda jego studentka chciałaby to usłyszeć. Że dziewczyna ma niespotykaną barwę głosu, że przed nią otworzyć się może kariera. Oczywiście, pod warunkiem, że wytrzyma presję, jaką ten zawód ze sobą niesie. Krytyka, trema, rywalizacja, różne inne hejty, poza tym zajęte wieczory, często soboty, niedziele.

Tymczasem dziewczyna, zachęcona pochwałami profesora, złożyła podanie na studia muzyczne w Berlinie w ramach wymiany studentów.

1978–1979

Zosia nie wyobrażała sobie babci mieszkającej pod jednym dachem z jakimś mężem. Babcia Ania, choć była wdową od wojny, wcale nie była zgorzkniała. Podobała się mężczyznom. Zosia bywała świadkiem umizgów, w jej mniemaniu, dziadków do babci. Na męskie zaczepki babcia Zosi odpowiadała zawsze tak samo: „Trzeba mi kłopotu w postaci starego trutnia? Jestem sama, ale nie samotna”. Babcia i Zosia nieraz się naśmiewały z nagabujących. Dla małej Zosi było oczywiste, że jej babcia nie była sama. Miała rodzinę! Niemniej starający się nie tracili nadziei. Komplementowali: „Taka piękna kobieta nie powinna być sama”. Jakiż banał.

Zosia szukała piękna w ludzkich duszach, a nie na twarzach. Jej babcia była piękna, bo miała najpiękniejszą duszę. A buzię? Też oczywiście niczego sobie. Ciemna cera, ciemne oczy, nadal ciemne włosy, krótko ścięte. Nosiła srebrne duże klipsy, z kamieniem nazywanym tygrysim okiem. Szybko się opalała, od razu na brązowo, w przeciwieństwie do Zosi, która jako naturalna blondynka najpierw była czerwona, dopiero po paru dniach brązowiwała. Tak bardzo była z urody niepodobna do babci. Mama Zosi też nie była brunetką, również nie była podobna do swojej mamy, Ani Leśniewskiej.

Życie Zosi było naznaczone miłością. W jej rodzinie kobiety troszczyły się bardziej o innych ludzi niż o siebie. Babcia odwiedzała chorych i starych, pomagała im w zakupach. Mama Zosi zaś, wychodząc do pracy w szkole, zawsze miała ze sobą kilka paczek z kanapkami dla głodnych dzieci. Ogólnie Kulińskim materialnie wiodło się bardzo dobrze, stać ich było na prywatne lekcje języka niemieckiego dla Zosi. Niewątpliwie dziewczynka miała

językowe zdolności, które ujawniła już w szkole podstawowej. W liceum potrafiła biegle mówić po angielsku i rosyjsku, a i w języku niemieckim potrafiłaby się porozumieć całkiem łatwo. W planach był francuski. Rodziców Zosi stać było także na wczasy w Bułgarii i na Węgrzech, a nawet dwa razy całą rodziną wyjechali na urlop do Jugosławii. Tadeusz Kuliński w 1977 roku był pułkownikiem Wojska Polskiego.

Po euforii związanej z konklawe w październiku 1978 roku i po wyborze Karola Wojtyły na papieża, pod koniec grudnia przyszła sroga i długotrwała zima, nazwana zimą stulecia. Tata Zosi nie wrócił z manewrów. Gdy się pojawił drugiego stycznia, z cerą pomarszczoną od mrozu, w domu było święto, jakby cudownie ocalał. Ale niestety za parę dni znów wyjechał, jego pułk został wyznaczony do usuwania skutków zimy. Nie było go w domu do połowy lutego. Mrozy, śnieżyce i zamrznięty grunt przyczyniły się do wybuchu gazu w Rotundzie PKO w Warszawie w połowie lutego 1979 roku. To była tragedia.

W czerwcu po raz pierwszy miał Polskę odwiedzić papież Jana Paweł II. Babcia i mama szykowały się, by pojechać na spotkanie z nim do Gniezna. W ostatniej chwili zdecydowały, że zabiorą z sobą Zosię. Tata był niewierzący, ale nie narzucał swojego światopoglądu rodzinie. Prosił tylko o wstrzeźliwość w okazywaniu pokłonów Bogu. Czasem z babcią miał starcia, kiedy chciała go nawrócić na katolicką wiarę. Babcia chodziła do kościoła codziennie, mama nie, po prostu nie chciała zaszkodzić ojcu. Co innego wyjazd na spotkanie z Janem Pawłem II poza Drawsko, wiedziała, że tam nikt związany z wojskiem jej nie spotka.

Jan Paweł II był młody i uśmiechnięty, jego samochód zatrzymał się dwa metry od miejsca, gdzie stały. Gdy wzrok Zosi spotkał się z oczami papieża, poczuła spokój i siłę.

„Pozdrawiam Polskę, ochrzczonej tutaj przed tysiącem z górą lat”. I dalej: „Mówimy «Gniezno» – to znaczy «gniazdo»! Gniazdo narodu, kolebka. Nad kolebką zawsze pochyla się kobieta, matka. Pragnę oddać hołd polskim matkom na naszej ojczystej ziemi!”.

Słuchały homilii z wypiekami na twarzy.

Zosia była zmęczona wielogodzinną jazdą do Gniezna, z przesiadkami, w zatłoczonych pociągach, a po spotkaniu z boskością (tak, tak właśnie czuła) stała się silna i spokojna. Pomyślała, że coś jest. Coś poza światem realnym jest.

Błądzi i zniecka sływa, jakby wiedziało na kogo.

Marzec 2010

Michał Zawieja znów pojawił się w Złotniczkach. Ale na chwilę. Po dwóch dniach ponownie przyjechał, na dłużej. Godzinę rozmawiali. Zawsze był miły i ujmujący. Nigdy się nie zapowiadał, zawsze Zosię zaskakiwał swoim przyjazdem. Wpadał. Po prostu. Akurat wtedy kiedy była w domu. Zażartowała, że ma szczęście i jeśli we wszystkim tak trafia, powinien grać w totka.

– Uczuciowo nie trafiam – powiedział, kokietując ją spojrzeniem. Tak jej się wydawało.

– Ho, ho! Od razu uściślijmy, tak jak ja. – Tym razem nie uciekła w inny temat. Michał tak.

– Może i ja dołożę swoje pięć złotych, by pomóc dzieciakom? Pozałatwiam swoje sprawy, wtedy dołożę. Mam nadzieję, że niebawem odnajdę swojego syna.

Tym nagłym wyznaniem zaskoczył Zosię.

– Przepraszam, ale nie chcę być nietaktowna. Niemniej skoro pan wspomniał... Syn jest poza Poznaniem?

– Poza Poznaniem? Mało. Osiem lat go nie widziałem. Teraz ja przepraszę, możemy mówić sobie po imieniu? Michał mi dali na chrzcie.

– Okej. Michał. Osiem lat nie widziałeś syna i tak spokojnie o tym mówisz?

– Zosia aż uniosła się na krześle.

– Nie mam wyjścia. Co mam zrobić? Wsiąść w samolot i przeczesać Amerykę Południową? Wywiozła go, wiele by mówić...

– Kto go wywiózł?

– Była żona.

– Matko jedyna! Aż tam? Jak to?

Zosia już intensywnie myślała, w jaki sposób mogłaby pomóc temu człowiekowi.

– Kiedyś tobie opowiem, dzisiaj muszę już lecieć.

Odprowdziła Michała do auta. Zanim wsiadł, położyła mu dłoń na plecach i delikatnie poklepała.

– Dziękuję. – Na twarzy Michała pojawił się uśmiech.

Na przednim siedzeniu jego auta leżała płyta Marii Callas. Ojej, ojej. Zosia

uśmiechnęła się szeroko. To było coś. Spotkać kogoś, kto (być może) podzielał jej zainteresowania. Nieczęsto się jej to zdarzało. Zazwyczaj narzucano jej swoje.

– Lubisz operę?!

Michał złapał jej spojrzenie.

– Lubię? Mało powiedziane. Uwielbiam! Nie wiem, czy wiesz, ale Callas wcale nie urodziła się w rodzinie o muzycznych tradycjach. Była córką greckiego emigranta, bankruta z Peloponezu, Georga Callasa. Jej matka pewnego dnia przyniosła do domu klatkę ze słowikami. „Masz zostać słowikiem, ucz się od nich” – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Maria miała piękny głos od dziecka, kochała śpiewać, to było jej pasją, a ponieważ przynigdy jej matka nie dałaby złamanego grosza na naukę śpiewu dla córki, więc dziewczynka zastosowała się do nakazu matki i podpatrywała, jak ptaszki śpiewają. Nabierała powietrza jak one, by wypuszczać je powoli albo szybko, w zależności od melodii.

– Nie wiedziałam... – Zosia chłonęła to, co mówił. Czynił to ciekawie, widać było, że jest pasjonatem sztuki operowej.

– Przyszłość rodziny Callasów leżała w gardle nieładnej, otyłej dziewczynki, która koniecznie chciała zostać kimś.

Michał pożegnał się i odjechał swoim sportowym autem sprzed Domu Złudzeń, zostawiając osłupiałą Zosię przed furtką. Jakże ją sobą zainteresował! Trafił w jej najbardziej wrażliwe miejsca. Długo Zosia myślała o sytuacji Zawiei. Gdyby jej zamiast Mariety urodził się syn, miałyby być może podobną sytuację. Wprawdzie ojciec Mariety był mężczyzną światowym i nowoczesnym, ale nie wiadomo, jak zareagowałby w wypadku presji rodziny albo islamskich ekstremistów? W Afryce córka wciąż była mniej ważna niż syn. Na szczęście.

Myśli o Michale nie dawały Zosi spokoju. Pracował w zagranicznej korporacji, był menedżerem. Tak powiedział. Bywało, że po kilka tygodni nie było go w Polsce ani w Poznaniu, był bardzo zajęty. Współczuła mu, widziała w nim pracoholika, który rzucał się w wir zajęć, by zapomnieć o dziecku, o rozstaniu. O tęsknocie.

Następnego dnia Zosia była w Nadroźnie. Rysiu Koronowski przywiózł dla żony w urodzinowym prezencie bukiet z pięćdziesięciu ośmiu tulipanów. Basia była po sześćdziesiątce, ale nie przyznawała się do wieku, uważała, że byłoby to dla niej dyskwalifikujące. Stałaby się niewidzialna, a nadal chciała się

podobać.

– Nigdy nie będę miała sześćdziesięciu lat, zapamiętaj to sobie. Mam pięćdziesiąt osiem i ani dnia więcej. W przyszłym roku też będę miała pięćdziesiąt osiem i w kolejnym także. I tak będzie aż do mojej śmierci.

Ryszard się oczywiście dostosował.

Zosia lubiła ich odwiedzać, grzała się w ich ciepło. Byli małżeństwem idealnym, podobnie jak jej rodzice.

Gdy wróciła do domu, pies nawet nie nasiusiał, wypuściła go na ogród. Zrobił swoją rundkę dookoła płotu, pobaraszkował w zaroślach hyczki, która szykowała się do ekspansji. Miała małe zawiązki liści. Zosia usłyszała jak z piskiem przebiegł kot, a zaraz za nim Mohito szczekając jeszcze bardziej piskliwie niż miauczał kot. Potem długo nie chciał wrócić do domu, a Zosia stojąc na progu domu, żałowała, że nie zabrała ze sobą kurtki.

Sąsiad, Broniek Jaworski, stary kawaler, zapytał ją kiedyś, dlaczego ma psa.

– Bo lubię psy. Pies jest przymilny, można się do niego przytulić, zadbać o niego. On tej pomocy potrzebuje i jest za nią wdzięczny. A gołębie? – zapytała z ciekawości. Nie lubiła ptaków, nie interesowały jej, były zimne, obce, nie dały się przytulić. Przyfruną, odfruną – to wszystko.

– Mówi się, że chciałoby się być wolnym jak ptak, prawda? Dlatego. One wolne są wtedy, gdy fruną. To ja im na to pozwalam.

Wróciła do domu, włączyła komputer. Będąc u Koronowskich, zrobiła zdjęcie bukietu, jaki Ryszard wręczył żonie. Wkleiła je na Facebooka. Opatrzyła napisem: „Są jeszcze monogamiści. Dojrzały, romantyczni, wiernie kochający chłopcy”. Dostała prawie pięćdziesiąt lajków, wszystkie od kobiet.

Piesek, zmęczony uganianiem się za kotem, długo jeszcze był rozdrażniony, tym bardziej, że wciąż z dworu dało się słyszeć kocie miauczenie przypominające płacz dziecka. Wreszcie wdrapał się na kolana Zosi, gdy pogłaskała go za uszkiem, natychmiast zasnął. Zosia zrobiła mu zdjęcie telefonem. Też wrzuciła na Facebooka. Znow miała dziesiątki polubień.

Ktoś napisał: „Jesteś bardzo dobrym człowiekiem”.

Dom Złudzeń tętnił życiem, dzieciaki czuły się w nim swobodnie. Krysia Stelmach, na co dzień udzielająca się w chórze kościelnym w Pobiedziskach, była przez dzieci bardzo lubiana. Zosię od pierwszej chwili ujęła, bo

prezentowała zapomniane już wartości, poza tym była osobą dystygowaną. Pierwszy raz pojawiła się w Złotniczkach uczesana w kok, w niebieskim płaszczu i sukience z tweedu. Miała piękne ciemne oczy, które błyszczały jak piasek pustyni nocą. Znana była w rejonie i poważana, no i na imię jej było tak jak mamie Zosi. Wszystkie Krysie, jakie Zosia знаła, były kobietami ciepłymi, radosnymi, no i można im było zaufać. Krystyna Stelmach miała dużo znajomych koleżanek o tym samym imieniu, poznała je podczas zjazdów Krystyn, w jakich parę lat wcześniej brała udział.

Od razu przystała na warunki pracy i ogłosiła do niej gotowość. Próby odbywały się dwa razy w tygodniu. Śpiewanie wychodziło dzieciakom coraz lepiej. Lisa i Kajtek mieli naprawdę ciekawe głosy, poza tym wrodzoną muzyczną kulturę. Każdy występ otwierać miała piosenka z filmu *Akademia Pana Kleksa*: „Witajcie w naszej bajce, słoń zagra na fujarce, Pinokio nam zaśpiewa, zatańczą wkoło drzewa, tu wszystko jest możliwe, zwierzęta są szczęśliwe, a dzieci, wiem coś o tym, latają samolotem. Nikt tutaj nie zna głodu, nikt tu nie czuje chłodu, i nawet – ja nie kłamię – nikt się nie skarży mamie. Witajcie w naszej bajce, słoń zagra na fujarce, Pinokio nam zaśpiewa, zatańczą wkoło drzewa, bo z wami jest weselej, ruszymy razem w knieje, a w kniejach i dąbrowach przygoda już się chowa. My ją znajdziemy sami, my chłopcy z dziewczętami, a wtedy daję słowo, że będzie kolorowo”^[2].

Chór był niewielki, raczej chórek, dzieci była dziesiątka. Zosia wraz z Krystyną wyszukiwały przebojowych kawałków. Najbardziej przypadła im do gustu składanka *Dziadek Lulka farmę miał, Kaczuszki, Czarne jagódki, Pieski małe dwa*.

Dzieci się zbuntowały, chciały śpiewać piosenki bardziej „dorosłe”, jeden z chłopców powiedział, że takich piosenek słucha jego brat, który nawet nie potrafi jeszcze mówić. Zosia i Krystyna uśmieły się serdecznie. W końcu wytłumaczyły dzieciom, że jeśli zaśpiewają piosenki dojrzałe, zinterpretują je po swojemu, wtedy utwory zabrzmiały inaczej i otrzymają drugie życie. W końcu zaakceptowały repertuar, a nawet im się spodobał.

Zosia, podglądając dzieci podczas prób, poczyniła pewne obserwacje. Że Lisa Kuśmierek była zazdrosna o Kajtkę, który naprawdę miał ponadprzeciętny muzyczny talent. Znakomicie trafiał w nuty, miał ciepły, wciąż dziecięcy głos i, co ważne, czuł emocje i cechowała go samorodna muzyczna kultura. Buczkowie ledwo dali się przekonać, by ich syn uczęszczał na zajęcia. Widzieli dla niego inną przyszłość. Prowadzili dobrze prosperującą

zwirownię, którą Kajtek miał odziedziczyć. Śpiewanie w ich ocenie było niemęskie!

– Kochane dzieciaki, znalazłam consensus! – obwieściła na kolejnym spotkaniu Krystyna. – Będzie tak, że Kajtek i Lisa nauczą się śpiewać pierwszej zwrotki *Na wyspach Bergamutach* Jana Brzechwy. Pamiętacie, jak to idzie?

– Nie – odpowiedzieli oboje naraz.

– To się nauczcie, bo to będzie wasza partia solowa. Wszystkie pozostałe dzieci włączą się po pierwszej zwrotce, więc tekstu oczywiście muszą nauczyć się wszyscy. Pojutrze zaczynamy próby. To na dzisiaj wszystko, spotykamy się za dwa dni. Pamiętajcie, że nie wpuszczę bez znajomości tekstu!

– Krystyna pogroziła dzieciom palcem, ale udawała srogość. Bardzo lubiła dzieci, swoich nie posiadała, bo nie pojawił się w jej życiu mężczyzna, z którym mogłaby je mieć. Kręcili się jacyś, ale żaden z nich na ojca się nie nadawał. To poświęciła się dzieciom cudzym. Też były warte kochania.

Lisa zatrzymała się w drzwiach, przepuściła wychodzące z Domu Złudzeń dzieci, a potem wróciła do sali.

– Nie mógłby mnie ktoś inny zastępować? Nie Kajtek.

– Dlaczego? – zapytała zniecierpliwiona Krystyna.

– Bo on nieładnie śpiewa. Ja nie chcę, żeby on mnie zastępował. Nie może pani wytypować kogoś innego?

– Kochanie, mylisz się – Krystyna powiedziała być może zbyt ostro. – Kajtek bardzo ładnie śpiewa, nam się podoba i tak zostanie. Nic nie zmienimy!

– On śpiewa nieprofesjonalnie, nie uczył się śpiewu, a ja tak! – Lisa przybrała płaczliwy ton.

– Owszem, może i masz rację, ale słysząc, że ma wielki talent. Jest diamentem. Ty też ładnie śpiewasz, ale on lepiej. Poza tym, Liso, źle nas rozumiałaś, to Kajtek będzie pierwszym solowym głosem, ty Liso, drugim. W zastępstwie Kajtka. – Zosia przysłała Krystynie z pomocą.

– Kajtek nie jest żadnym diamentem! On udaje! – Dziewczynka rozplakała się i wybiegła z Domu Złudzeń. Krystyna i Zosia patrzyły, jak biegnie w dół wsi, w stronę swojego domu, głośno zawodząc.

– Jest bardzo ambitna, niestety. Nadmierna ambicja też prowadzi do złudzeń – powiedziała Zosia, zaskoczona tym, co powiedziała.

Oczywiście w Domu Złudzeń dzieci nie tylko śpiewały, malowały i czytały książki. Pożądanym był każdy przejaw twórczości. Ściany obwieszane były

kartkami z najważniejszymi dla dzieci cytatai z książek. Wisały tam także własnoręcznie przez dzieci wykonane ozdoby wielkanocne i pierwsze próbki twórczości literackiej.

Lisa nie przyszła na zajęcia przez kilka kolejnych dni.

Jej mama, Iza Kuśmierk, podobno opowiadała w sklepie, że jej córka doznała w Domu Złudzeń wielkiej przykrości. Jej tata od lat uczy ją śpiewać i grać, a tymczasem w instytucji publicznej, która wydaje pieniądze podatników i ma służyć dzieciom, mówią całkiem co innego. Dziewczynka przeżyła rozczarowanie.

Przyszedł czas, by sprawdzić inne talenty dzieci. Najpierw to, jak malują. Lisa pojawiła się na zajęciach z rysunku. Dzieci wzięły kartki i usiadły przy stołach. Kajtek namalował wiosnę z ptaszkami, którym z dziobków wylatywały chmurki z napisami „pi, pi, pi”. Wyglądało to bardzo zabawnie, podobnie inni chłopcy, malujący żołnierzy z szablami, albo Zorro, ale nieporadnie. Jedyne Lisa podała Zosi bardzo ładny obrazek. Wejście do Domu Złudzeń z wiszącymi na sznurku kapeluszami. Obrazek z pamięci dotyczył jesieni poprzedniego roku, bo obecnie jeszcze było szaro i zbyt chłodno na dekoracje na ogro-dzie.

Zosia była zachwycona. Obrazek nadawał się do oprawienia w ramki.

– Pięknie, Liso, pięknie. Wiesz co? Przyniosę zaraz zdjęcie, jestem ciekawa, jak sobie poradzisz z obrazkiem na jego temat. – Zosia pobiegła do góry. Wróciła i podała Lisie fotografię. – Marieta bardzo lubi to miejsce, to jest w Drawsku Pomorskim, kiedyś kazała mi je sfotografować. I ja polubiłam tę fotografię. Spróbujesz namalować coś podobnego?

Iza spojrzała na obrazek swoimi wielkimi oczami i się uśmiechnęła. Usiadła przy stole, chwyciła ołówek i zaczęła nim wywijać nad kartką.

– Jeśli się pani spodoba, będę mogła śpiewać? – Podniosła wzrok znad kartki.

– Oj, uparłaś się. Zabierz obrazek do domu i się pobaw w odrysowanie, czym chcesz, farbą, ołówkiem, kredkami. Sama wybierz.

Krystyna, która przysłuchiwała się rozmowie, gdy dziewczynka wyszła do domu, powiedziała:

– Zosiu, robisz naprawdę wielką rzecz. Szukasz w tych dzieciakach talentu. Wiesz, ile czasu mi zajęło ustalenie, w czym jestem dobra? Nie wiesz. Dopiero po czterdziestce zachciało mi się uczyć dzieci śpiewu. Dziś uwielbiam to robić i uważam, że jestem w tym dobra. Wcześniej pracowałam

w różnych biurach, nawet w projektowym, byłam kreślarką. Gdyby ktoś wcześniej we mnie odkrył to upodobanie, żyłabym szczęśliwiej.

Kiedy kolejnego dnia Lisa przyniosła obrazek, Zosia usiadła z wrażenia.

– Liso, ależ, to ty sama miałaś namalować!

– Proszę pani, to ja malowałam te drzwi.

Drzwi były zielone, tak jak na zdjęciu, osadzone w popękany murze, porośnięte winoroślą. Wyglądały jak znacznie lepsza kopia zdjęcia. Namalowane farbami plakatowymi, nierozwodnionymi, jak często zdarza się to czynić dzieciom, obraz miał w sobie paletę jaskrawych kolorów. Był też nadzwyczaj dojrzały, niesłychanie wiernie odwzorowany, z klimatem. Od Lisy dowiedziała się, że w rodzinie jest dwóch wujków, z zawodu malarzy, ale sporadycznie malujących.

Wieczorem, kiedy dzieci były już w domach, Zosia zadzwoniła do Izy Kuśmierk.

– Lisa ma niesamowity talent, powinna malować, brać lekcje rysunku, talentu nie można ignorować, nie każdy go ma. To dar – mówiła podniecona odkryciem.

– Wie pani, rozmawialiśmy. Lisa jednak nie chce malować. Chce śpiewać i być lepsza od Kajtka.

Kilka dni później Zosia za własne pieniądze kupiła dla dziewczynki farby i blejtramy.

Rozpytywała wszystkich znajomych z okolicy o nauczyciela. Basia przypomniła sobie, że Rysiu zna takiego kogoś, być może się zgodzi. Na pewno ten ktoś potrafi malować. Był logistyką w firmie, której jej mąż doradzał. „W porządku facet” – odpowiedział na pytanie Ryszard, i to miało wystarczyć za całą charakterystykę człowieka. Mąż Basi był małomówny, rozkręcał się, gdy mowa była o gospodarce, o prowadzeniu firm. Dużo do powiedzenia miał na temat systemów jakości. No i pasjonował się historią.

Zosia jeszcze po drodze od Koronowskich do domu zadzwoniła do Krystiana Mąderka, który się zgodził na kilka lekcji, choć nie od razu. Mógł poświęcić dwie godziny w co drugą sobotę, przed południem. W ciągu trzydziestu minut przyjechał do Złotniczek na skuterze, żeby pogadać.

– Mieszkam niedaleko, znaczy w Barcinku – powiedział, gdy zobaczył minę Zosi.

Na dworze robiło się ciemno i zimno, a poza tym wiosna wciąż nie szykowała się do zamieszkania w Wielkopolsce. Krystian Mąderka był bardzo

lekko ubrany. Bez skarpet, tylko w japonkach. Wysoki, ciemnowłosy, w T-shircie i džinsach, jeśli chodzi o wiek – po trzydziestce. Ogólnie zrobił na Zosi dobre wrażenie, a gdy zaczął o sobie mówić, jeszcze lepsze.

– Ukończyłem liceum plastyczne, to wszystko w temacie moich umiejętności. Po szkole chciałem się dostać na malarstwo, ale mnie nie przyjęli.

– Nie aplikował pan w kolejnym roku?

– Nie potrafiłbym przeżyć kolejnego rozczarowania. Właściwie rzuciłem malowanie, od tamtego czasu nie wziąłem do ręki pędzla czy ołówka. Sztuka jest zajęciem złudnym, trudną panienką z dobrego domu. Zostałem logistyką, i całkiem dobrze się z tym czuję, przynajmniej nie narzekam na brak pieniędzy. Tam też muszę być kreatywny. – Zaśmiał się serdecznie.

– To zaczynamy. Chodzi o dzieciaki maksymalnie dziesięcioletnie. Niestety muszę zastrzec, że to działalność charytatywna, przykro mi, jeśli liczył pan na zarobek. Proszę powiedzieć, jeśli to przeszkoda nie do przejścia.

– Nie liczyłem. Naturalnie, że podejmę się społecznie. Lubię robić dobre uczynki, nie po to, by mnie chwalono.

– Cudnie. No i jeszcze jedno. Obawiam się, że będzie pan zmuszony wziąć w rękę pędzel. – Zaśmiała się Zosia.

– A to co innego. – Westchnął. – Służyć wiedzą mogę, ale malować? Wolałbym publicznie już nigdy nie wziąć pędzla do ręki.

– „Nigdy”... To słowo powinno zostać wykreślone ze słownika. Więc mamy sprawy dopięte. Na imię mi Zosia, mówmy sobie po imieniu, tak będzie łatwiej. Czekamy na ciebie w przyszłą sobotę.

Kolejnego dnia rano Zosia pojechała na wystawę psów. Chciała zobaczyć, czy Mohito by się nie sprawdził jako psia piękność. To było bardzo ciekawe wydarzenie, panował tam specyficzny klimat, pawilony były dobrze przygotowane, było sporo ringów. Najwięcej jednak berneńskich psów pasterskich i buldogów francuskich. Pierwsze miejsce zajął pies rasy Chihuahua, drugie airedale terrier, a trzeci był siberian husky. Zosia bawiła się doskonale, a jej irlandzki seter Mohito był w swoim żywiole. Nie omieszkał posikać trawnika i wszystkich murków.

Oczywiście nie zapomniała o wyprawie poinformować znajomych na Facebooku, wstawiając zdjęcie Mohito na wybiegu.

Lipiec 2010

Iga Bednarz zostawiła Polskę podobnie jak setka pierwszych polskich emigrantów ze Śląska, którzy do Galveston w Teksasie przyплыли statkiem. Mieli nadzieję na nowe, dużo lepsze życie. Oczywiście, nie można było porównać losu na amerykańskiej ziemi tamtych emigrantów z życiem Igi Bednarz, która przyleciała do Beaumont do męża, przede wszystkim po to, by czynić biznes. Zostawiła wieś pod Poznaniem, zostawiła ciocię Basię Koronowską i jej męża Rysia. Zostawiła Dom Złudzeń, który w głupi sposób przegrała, przez co mogła w nim zamieszkać ta rodzinna złodziejka domów – niejaka Zosia. Na amerykańskiej ziemi Iga starała się zapomnieć traumy z Polski: bankructwo firmy, śmierć przyjaciółki, chorobę, wiele przegranych, nerwy i rozczarowania, zwłaszcza dziadkiem, najważniejszym mężczyzną jej życia. Nie było to łatwe, złe doświadczenia ciągle w niej siedziały. Na szczęście jej syn Staś szybko zapomniał, że musieli kryć się przez komornikami, że żyli w Domu Złudzeń przy zgaszonych światłach, po domu chodzili na palcach. W ciągu roku od przyjazdu do Beaumont nauczył się języka i polubił amerykańskie życie. Za ledwie miesiąc posługiwał się w przedszkolu dwoma tabliczkami wykonanymi przez Igę, a mającymi za zadanie sygnalizować potrzeby Stasia: *I want to go to toilet, I want to drink*. Szybko nauczył się języka.

Iga wrosła w środowisko amerykańskie, ale skutki ostatnich, przed wylotem z Polski, nerwowych miesięcy odcisnęły swoje piętno. Reumatoidalne zapalenie stawów, na jakie zachorowała jeszcze w Polsce, przybrało ciężką postać. Tak to już jest. Gonisz i nic ci nie jest. Usiądziesz na chwilę, zaraz wyjdą wszystkie choroby. Kiedy do Stanów przeprowadziła się jej córka Ola, która postanowiła skończyć uzupełniające studia prawnicze w Nowym Jorku, Iga postawiła wszystko na jedną szalę. Zrezygnowała z kosztownego zdrowotnego ubezpieczenia, tym samym z leczenia choroby specyfikami biologicznymi. Wróciła do toksycznego, ale taniego methotreksatu. Mimo oszczędzania na wszystkim i czerpania korzyści z najmu kilku domów i tak Kosma dokładał do studiów i stażu Oli, a także do ich wspólnego gospodarstwa, choć miał dwoje swoich dzieci, i to o nie powinien zadbać najpierw. Iga poznała obie jego córki. Lucy była miłą i ładną dziewczyną, szybko się zaprzyjaźniły, i co ważne, polubiła się też z Olą i Stasiem. Niestety, starsza córka Kosmy, Jane nie utrzymywała z nimi żadnych kontaktów po tym, jak podrabiając podpis Igi, przywłaszczyła sobie jej pieniądze ulokowane na amerykańskim koncie. Wprawdzie oddała większość, ale nadal nie wszystko.

Kosma też się z Jane nie widywał, nad czym nieraz ubolewał. Iga miała wyrzuty sumienia, że za jej sprawą jego rodzina się podzieliła. Kosma bardzo opiekował się Igą, był jej prawdziwym przyjacielem. Ola go bardzo lubiła, doceniała to, co robi dla mamy, i Staś także.

Choć do kieszeni Igi wpływały spore pieniądze z najmu nieruchomości, ona nadal podnosiła poprzeczkę. Miała wiele planów biznesowych, no i oszczędzała. Tymczasem pierwszy mąż Igi, Emil Zaręba, ojciec Oli, rozczarował się córką, która zamiast kariery w Polsce postanowiła robić ją w Stanach i uznał, iż mają sobie radzić same. W Polsce Ola miała wszystko przygotowane pod spektakularny prawniczy sukces, za sprawą macochy – mecenas Masalskiej! Najpierw aplikację radcowską, potem staż w kancelarii, dobrych klientów, wreszcie partnerstwo w prowadzeniu kancelarii. Iga przewróciła córce w głowie, i ta pognała na koniec świata. Emil zdenerwował się, owszem, ale po kilku tygodniach zmienił zdanie, generalnie zawsze był wyważony i elegancki w obejściu. Zadzwonił i nawet w spokoju porozmawiał z Igą, cofnął swoją pierwszą decyzję, znów chciał rekompensować wydatki Igi związane z Olą. Zadeklarował, że będzie przysyłał na jej konto co miesiąc dwa tysiące złotych polskich, ale Iga się uniosła honorem i postanowiła, jak postanowiła. Przyszedł moment, że mogła wyrównać rachunki. Całe lata nie pomagała mu w utrzymaniu córki.

Mimo życia w bólu, mimo postępu choroby i coraz krótszych okresów remisji, Iga nie załamywała się. Szukała drobnych radości. Bo szczęście to momenty. Nauczyła się tego po polskim bankructwie. Gdy choroba się wyciszyła, zatrudniła się w kwiaciarni.

W Beaumont nie było mody na wiązanki kwiatowe, jakie Iga знаła z Polski. Bukiety z kwiatów o różnych kolorach i kształtach, były w sprzedaży, owszem, ale nie tak piękne jak w Polsce. Poczytała na temat kompozycji kwiatowych, dowiedziała się z poradników, jak łączyć ze sobą kwiaty, jak układać i pielęgnować. I wdrożyła to w życie. Zaczęła od urodzin właścicielki. Kupiła rośliny i ułożyła dla niej bukiet, jakiego pewnie nie otrzymała nigdy w życiu. Od tego się zaczęło. Od tamtej pory komponowała bukiety, od kilku dziennie, bywało, że do kilkunastu. Miejscowi przychodzili do kwiaciarni, by oglądać kompozycje kwiatowe, dzieła Igi. Ona tymczasem wciąż szukała w internecie inspiracji, podglądała gazony przed domami, naturę, łąki, przeglądała czasopisma. Tworzyła wciąż nowe bukiety, a każdy sprzedawał się od razu. To sprawiło, że właścicielka kwiaciarni, Emily, dobrze ją wynagradzała. Iga nie

trwoniła pieniędzy, gromadziła je, i z małych kwot, jakie po opłaceniu Oli i domowych wydatków jej zostawały, z czasem zgromadziła się spora suma.

Lubiła swoją pracę, na zapleczu kwiaciarni miała ciszę, zostawała tam ze swoimi myślami i inwencją. Potrafiła się skupić, uspokoić. Był jeden problem. Zrozumiała, że nie nadaje się, by kierował nią ktoś, kto czyni kardynalne błędy w zarządzaniu. Emily miała dawne nawyki i przyzwyczajenia, znajdującą się na zapleczu jej domu kwiaciarnię prowadziła od lat, może była też trochę zazdrosna o sukcesy Igi, z czasem zaczęła forsować własne pomysły. Iga zaś jako osoba z natury niepokorna uparcie stała przy swojej wizji, co nie zawsze było mądre, nie zawsze polityczne, więc często dochodziło do konfliktów. W końcu ułożyła sobie to tak: „Będę pracować dla Emily, dopóki Oli będą potrzebne pieniądze”. I już było jej łatwiej, niestety, od tamtej pory przestała się utożsamiać z firmą i już jej nie zależało, by bukiety podobały się klientom.

W Beaumont Iga nie miała przyjaciółek, nie chciała ich mieć. Bała się. Ubzdurzała sobie, że wszystkie kobiety, z jakimi się przyjaźniła, albo umierały, albo ciężko chorowały. Ze wszystkiego zwierzała się swojej zmarłej przyjaciółce – Ewie.

Pisała kolejne niewysłane listy.

„Ewuniu, ktoś, kto nie ma domu, powie, że grzeszę, ale my, mając ich kilka, naprawdę musimy bardzo się starać, by spiąć wszystko to, co zamierzamy osiągnąć. W dalekosiężnych planach jest sprzedaż jednego i być może zakup nieruchomości w Polsce, ale raczej nie w Złotniczkach. Kryzys i brak pieniędzy, walka o nie w Polsce wciąż siedzi mi w głowie, wciąż się boję, że coś się strasznego wydarzy i znów wszystko stracę. Zawsze tego się będę bała, dlatego staram się być znacznie bogatsza, stąd myśli, by osiągnąć znacznie więcej domów i pieniędzy, niż faktycznie potrzebuję. Boję się, by znów nie ulec pysze”.

W stanie Teksas mieszkało sporo polskich rodzin. Miasta pomiędzy Galveston do Houston: Panna Maria, Bandera, El Paso, San Antonio i inne od dziewiętnastego wieku korzystały z pracy polskich pracowników, inżynierów, farmerów i tłumaczy. Potem doszła polska emigracja solidarnościowa. W styczniu 1982 roku kilkunastu członków polskiego statku zeszło na ląd w porcie Houston. Wszyscy otrzymali azyl. Wśród nich był Kosma Bednarz. W Teksasie panowała specyficzna atmosfera, można tam było pobyć przez chwilę i poczuć się jak w westernie. Iga już w Polsce nosiła kowbojski kapelusz i buty kowbojki, niektóre oryginalne, to w Złotniczkach nazywano ją

kpiąco „Tekszańską”. Mieszkając w Beaumont, szybko nauczyła się przyrządzać regionalne jedzenie, podpatrując, jak robi to Kosma, potem jej dania z fasoli, gulasze i ostre sosy przebiły smakiem wszystkie okoliczne. Tak mówił Kosma. Czasem wychodzili do baru na chili, która to potrawa oficjalnie uznana została za stanowe danie Teksasu.

Rozterki związane z coraz gorszą atmosferą w kwiaciarni martwiły Igę. Wysłała kilka aplikacji o pracę do firm znajdujących się w pobliżu. Tymczasem któregoś dnia Emily zażądała spisu składników najładniejszych, zdaniem Igi, wiązanek. W kwiaciarni coraz częściej pojawiała się młoda dziewczyna. Siadała obok Igi i obserwowała, jak pracuje. Wygadała się, że jest córką siostry Emily i będzie pracować w kwiaciarni. Iga czuła się, jakby dokonywano kradzieży jej pomysłów. Specjalnie, ze złości, dobierała do wiązanek niepasujące do siebie kwiaty, które nie lubiły swojego towarzystwa i szybko więdły. Klienci zaczęli omijać kwiaciarnię Emily.

Pewnego dnia otrzymała zaproszenie na rozmowę do firmy zajmującej się organizacją wesel. Pojechała, opowiedziała o sobie, o tym, że w Polsce prowadziła firmę rolną, a mieszkając w USA, pracowała parę miesięcy w kwiaciarni, gdzie układała bukiety. Otrzymała tę pracę, dobrze płatną, z amerykańską stawką.

Wracając po rozmowie do domu, zastanawiała się, jak zorganizować dom, by nie ucierpiał z powodu jej sobotnich wyjazdów poza Beaumont.

Sierpień 2010

Wakacje. Marieta i Zosia wreszcie mogły pobyć ze sobą. Wybrały się do swoich ukochanych miejsc. Kiedyś sobie powiedziały, że każde wakacje tam spędzą. Najpierw odwiedziły cmentarz w Drawsku Pomorskim i zrobiły porządek na grobach, Zosia kilka dni poświęciła dla mieszkańców domu pomocy, którzy witali ją jak najlepszą przyjaciółkę. Piotr, trzeba przyznać, dobrze prowadził sprawy zawodowe. Znowu pojawili się sponsorzy, znalazł nowego psychologa, wyblagał w fabryczce na południu Polski komplety pościeli, umówił się z firmą cateringową na codzienne dostarczanie zupy, a z firmą mięsną na ich garmazerkę. Obiady tylko podgrzewali.

Potem pojechały do Bornego Sulinowa, gdzie zamieszkały w mieszkaniu zaprzyjaźnionej Ślązaczki, która w sierpniu wyjechała do córki. Urządzały dalekie rowerowe wycieczki aż do jednego z największych europejskich

wrzosowisk, kłomińskich. Pływały kajakiem po jeziorze Pile i jeziorze Długim, nurkowały po podwodnym lesie na dnie jeziora Pile. Zosia, będąc w Bornym Sulinowie tym razem dłużej, miała czas zajrzeć we wszystkie zakamarki miasteczka, ale największe wrażenie wywarł na niej cmentarz rosyjski, z niezrozumiale dla niej dużą liczbą grobów z tabliczką „nieznany”, a także były tam bardzo liczne groby dzieci. Zrobiły sobie ucztę dla podniebienia – *pielmienie, żarkoje, solianka*. Ale i barszcz, z uczciwą łychę porządnej śmietany. Do tego doskonałe, importowane rosyjskie piwo. „Wsio pa siercam” – tak mawiali prowadzący restaurację Rosjanie. Restauracja mieściła się w byłym budynku stołówki oficerskiej, stały tam samowary, matrioszki, w tle słychać było rosyjskie ballady. Borne Sulinowo zamieszkane było w dużej części przez zredukowanych z kopalń górników, którzy za odprawy kupili bardzo tanie mieszkania po Rosjanach.

Pogoda tego roku dopisała. Zosia bardzo dobrze pływała, ale Marieta znacznie lepiej. Córka poza tym lubiła grać w tenisa. Marieta nad jeziorem spotykała się z dawnymi koleżankami i kolegami. Dobrze jej to robiło, była wyluzowana i wesoła. Wychodząc wieczorem z domu, zwykła mówić:

– No, nadchodzi czas dla was. Cieszcie się z tego, macie ze cztery godziny. Jadę do Drawska potańczyć z kolegami.

Zosia wprawdzie prychnęła, ale w sumie rozśmieszały ją słowa Mariety.

Piotr rzeczywiście podczas wakacji towarzyszył jej często, był uczynny, dowcipny, bardzo dobrze się z nim bawiła, a wieczorami, zupełnie jak przed jej wyjazdem do Wielkopolski, gadali o książkach, o filmie i o wszystkim, ale ogólnie, jak przyjaciele. Znów było miło, bez podtekstu.

Wypoczęte wróciły do Poznania. Marieta po powrocie do Wielkopolski została w Złotniczkach, a w soboty zaśpiewała na kilku ślubnych ceremoniach. *Panis Angelicus, Ave Maria* i *Serenada* Schuberta, to były ślubne hity. Zosia postarała się dla niej o sukienki wieczorowe, kupiła je na aukcjach. Biżuterię – kolczyki i kolie – miały po babci i mamie Zosi. Kilka kompletów. Zwłaszcza mama Zosi lubiła się stroić, a nawet, będąc pułkownicową, musiała.

Każdy występ Mariety był hojnie opłacany przez nowożeńców. Podobał się jej śpiew.

Michał czasem zajrzał do Złotniczek, podobno był w pobliżu, i to dlatego. Zawsze po powrocie z projektowych wyjazdów. Miał dużo cech, jakich oczekiwała od mężczyzny. Był obyty, miał klasę, charyzmę. I, co ważne, lubił to co ona, był romantykiem, też podobnie jak i ona. Traktował Zosię

z szacunkiem, przepuszczał przodem, zawsze czekał, aż ona pierwsza usiądzie, dopiero potem on siadał. Miał ładny głos, ciepły, delikatny. Mówił wolno, cicho, bez emocji.

Gdy opowiadał jej o synu, w jego oczach pojawiały się łzy. Znała już część tej historii. Jak parę lat wcześniej z chórem studenckim wyjechał do Wenezueli, na zaproszenie towarzystwa kulturalnego z Caracas. O tym, jak zakochał się w dziewczynie, która przychodziła na ich koncerty. Carla pochodziła z rybackiej rodziny, a w stolicy Wenezueli studiowała rolnictwo. Była piękna. Opowiadał o ludziach w tamtym kraju, uśmiechniętych, przyjacielskich. O salsie, którą tańczyli na piasku w Puerto la Cruz. O Andach, dokąd wybrali się za drugim, już prywatnym jego pobytem. O plantacjach kawy, jakie tam widział, o górskich jeziorach pełnych pstrągów. I o ciąży. Bajka? Nie. Rodzice Carli nie zgodzili się na jej wyjazd z Wenezueli. Ona jednak przyjechała do Poznania, byli szczęśliwi, mieszkali w wynajętym mieszkaniu na Winogradach, urodził się Pawełek. Ciemnowłosy, śliczny, dobrze się rozwijał, szybko zaczął chodzić. Carla miała pracować w firmie hiszpańskiej. W dniu, kiedy powinna stawić się w firmie, a Pawełek w żłobku, zniknęli oboje. Carla zostawiła list z jednym zdaniem: „To nie jest miejsce dla mnie. Żegnaj”. No i Michał zaczął ich szukać. I tak jest nadal. Kiedyś wynajął detektywa, który złapał ślad ich bytności parę lat temu na Isla Margarita. Smutne.

Pod koniec września Zosia zaprosiła Michała na koncert charytatywny roku Mariety. Przyjechał po Zosię do Złotniczek ubrany w granatowy garnitur, choć gdy odchylił mu się krawat, zauważyła na jego markowej koszuli plamki i zmechacony mankiet. Pomyślała, śmiejąc się w duchu, że to dowód, iż na pewno nie ma kobiety w jego życiu, bo wtedy koszulę miałby upraną, a garnitur po czyszczeniu.

W ręce trzymał bukiet różnokolorowych mieczyków.

– Nie wiem, czy lubisz, bo nigdy nie mówiłaś. Nie mogłem się powstrzymać, by ich nie kupić. Staruszka, która je sprzedawała na rynku zapewniła mnie, że pochodzą z jej ogrodu.

– Czy lubię? Pewnie, że lubię. Spójrz na mój ogród! Ostatnio dosadziłam jeszcze dwa krzewy róż, na przyszły rok dom będzie tonąć w kwiatkach. Do drzwi nie trafisz bez mapy.

Michał się uśmiechnął. Próżno od niego byłoby oczekiwać spontaniczności. To się Zosi bardzo podobało, czuła się przy nim spokojna.

– Odpowiem cytatem z mojego ukochanego *Małego Księcia*. Nie wiem, czy dobrze pamiętam, popraw mnie, gdybym coś przekręcił: „Ludzie z Twojej planety hodują pięć tysięcy róż w jednym ogrodzie i nie znajdują w nich tego, czego szukają. A tymczasem to, czego szukają, może być ukryte w jednej róży”.

– Prawdziwe, bardzo prawdziwe.

Która kobieta nie lubi mądrych cytatów z literatury? Która kobieta nie lubi kwiatów? Zwłaszcza bez okazji. Niedawno zazdrościła Basi. U Michała spodobało jej się, że zamiast wykosztowywać się na bukiet w kwiaciarni, dał zarobić ubogiej staruszce. Było to bardzo romantyczne. I... społecznie właściwe. Spodobało jej się w nim połączenie duszy romantyka i charakteru osoby konkretnej, jaką zapewne musiał być zawodowo. Podobnie jak i ona.

W auli szkoły muzycznej Michał siedział wyprostowany, z przymkniętymi oczami, słuchał arii poruszony, głośno bił brawo. Marieta wypadła znakomicie, była panią sceny, swobodna, potrafiła grać, przypodobać się publice, w przeciwieństwie do koleżanek, które stały skrepowane przy akompaniatorce, bez ruchu. Zosia cieszyła się, że ma towarzysza na tego typu imprezy, a i Mariecie się spodobał, co musiała natychmiast zakomunikować, robiąc oko do matki.

Po koncercie Michał odwiózł obie do Złotniczek. Nie chciał zostać, coś mówił o wyjeździe wczesnym rankiem, więc ruszył w drogę powrotną do Zalasewa.

Był to bardzo miły, towarzyski wieczór, który żał było kończyć.

Usiadły, mimo nocy, w ogrodzie, zapaliły świeczki w latarniach i wdały się w paplaninę o niczym. O sukienkach, butach, torebkach. Jakie chciałyby kiedyś mieć. Było ciepło, bezwietrznie. Piły wino. Zadowolony z towarzystwa i niespodziewanej wolności piesek najpierw biegał po ogrodzie, potem położył się na boku pod stołem i zasnął. Uszy mu opadły i leżały płasko na ziemi. Wyglądał prześmiesznie.

– Od października wyjadę na studia do Berlina, wiesz, mam? Dostałam się!
– Marieta zaczęła ostrożnie.

Tydzień wcześniej się o tym dowiedziała. To był dla niej wyższy stopień w drabinie do kariery światowej. Potem świat, nie Polska, gdzie w operach zatrudnione od lat są te same osoby. Poza tym Marieta miała gen migranta, gnało ją dalej, nie bała się świata. Martwiła się jednak, że mama będzie sama, nie wiedziała, jak jej powiedzieć o wyjeździe. Wreszcie po lampce wina zdobyła się na odwagę.

– Siadasz ze mną pięknego wieczora w ogrodzie po to, by mi przekazać tak okropną nowinę? – Zosia była zdenerwowana. Odstawiła kieliszek. Niestety, przewrócił się. Wino się wylało.

Poderwała się i pobiegła do domu, nastrój prysł. Nie powinna była tak się zachować. To jej córka, musi chcieć dla niej jak najlepiej. Nie dla siebie. Dla niej. Wytarła łzy, potem wzięła nawilżoną wodą gąbkę i wróciła do ogrodu.

Marieta była podekscytowana. Niespecjalnie przejęła się stanem mamy. Podjęła decyzję i zamierzała ją doprowadzić do końca. Owszem, była świadoma, że sprawia Zosi przykrość. Wiedziała, że tak będzie. Wstała i podeszła do niej, kucnęła obok i przytuliła się.

– Twoja mała córka chce coś osiągnąć. A ty płaczesz i rozdzierasz mi serce.

– Smutno mi. Nie płaczę, no, powiedzmy, że jedna łezka mi poleciała – skłamała Zosia, głaszcząc Marietę po włosach. – Cieszę się z twojego sukcesu, niemniej nie wiem, jak damy sobie radę finansowo. – Zosia naląła sobie wino. Przybrała rzeczowy ton. – Mieszkanie, życie w strefie euro, to kosztuje. Odejdą koszty akademika w Poznaniu? Poza tym, kochanie, najważniejsze, jak mam żyć bez ciebie? Powiedz.

– Oj mam, Berlin jest niedaleko, dostanę stypendium, może zarobię jakimiś chałturami? Z miejsca w akademiku w Poznaniu zrezygnuję. Nie martw się.

Zosia, samotnie wychowując córkę, przelewała na nią całe swoje uczucia. Nie chciała, by była w życiu niesamodzielna i zakompleksiona. Na szczęście tego uniknęły, Marieta miała silny charakter i zawsze wiedziała, do czego zmierza. Zosia jednak podświadomie chciała powielić model rodziny, jaki znała kiedyś. Wolałaby, gdyby jej córka była przy niej. Tak, jak ona była ze swoimi rodzicami i babcią do końca.

– Weź to! – Zosia sięgnęła do kieszeni i podała córce kawałek kapy po swojej mamie, z czasów jej niemowlęctwa. Pamiątkę, jaką dostała od babci przed wyjazdem do Mińska.

Marieta wzięła do ręki szmatkę, przyglądała się jej, przybliżając do światła, jakie dawała latarenka na świeczkę. Potem z kawałkiem tkaniny w ręce sprzed wieku położyła się na ławce, opierając głowę na kolanach Zosi. Często tak robiła, gdy była mała. Leżała i patrzyła w niebo, a chmury były dla małej Mariety bezową pianką na granatowym talerzu.

Tym razem oglądała przeszło siedemdziesięcioletni kawałek wyhaftowanej bawełny.

– A co to za inicjały? JK? Czyje to?

Zosia popatrzyła na ukryte w różach wyhaftowane zieloną nicią litery. Nie zauważyła ich wcześniej, może dlatego, że zlewały się z łodygami kwiatów.

– Nie wiem. Może „Józefa kocham”, „Józef kochany”. Pewnie tak.

– Wiesz, mamó, dla mnie nieważna jest miłość. Dla mnie ważne jest śpiewanie. Życie sobie zaśpiewam. Na pewno.

Adela Renz nie chciała sprzedać psów. W prowadzeniu hodowli pomagali jej mieszkańcy Złotniczek. Basia i Zosia też zaglądały i czyściły psie kojce, kupowały suchą karmę, kąpały i szczotkowały zwierzęta. Niepełnosprawność Adeli w dużej części się cofnęła, ale jedna ręka wciąż pozostała lekko sparaliżowana. Zosia postanowiła zajrzeć do domu Adeli. Dawno już nie widziała Niny, podobno ostatnio nikt jej nie widział. Ludzie zachodzili w głowę, gdzie się podziała.

– Pani Zosiu kochana, nie wie pani, jak przygnębiająco jest, gdy nie ma już marzeń. – Adela spojrzała w dal oczami pełnymi łez. Po udarze nastrój spada, chory jest płaczliwy. Zosia wiedziała o tym doskonale, bo jej znajoma też przez niego przeszła.

– Nie może pani tak myśleć, będąc matką, córka potrzebuje pani pomocy! A gdzie jest pani Nina, nie widziałam jej od dawna? Pani też nie wychodziła.

Kobieta westchnęła, a potem powiedziała cicho:

– Miałam tego nie mówić, by uniknąć plotek. Ludzie, jak to ludzie, chcą wszystko wiedzieć. Nina już ze mną nie mieszka. Jest u Grażyny, mojej drugiej córki.

– Wyprowadziła się?

– Nie, to nie tak. Widzi pani, mam tylko dwie córki, a one są zupełnie różne. Nina by mi nigdy nie zrobiła przykrości. A Grażyna? Ona jest wyniosła, wyklada w Poznaniu na uniwersytecie. Wszystkie rozumy pojadła. Uważała, że już nie powinnam zajmować się wszystkim sama. Najlepiej gdybym sprzedała wszystko, co mam, zamieszkała z nią i odpoczęła. Na to nie mogłam się zgodzić. Jeśli cały czas żyłam w swoim rytmie, to bezczynność mogłaby mnie zabić, a zresztą... może to i lepiej by było dla mnie? Nigdy nie mogłyśmy się dogadać, Grażyna jest władcza i niełatwo pójść z nią na kompromis. Ja też nie jestem bez winy. No i ... stało się. Gdy byłam w szpitalu, wystąpiła do sądu

o opiekę nad Niną, i sąd przyznał jej to prawo. A ja zostałam tutaj, w ocenie sądu podobno jestem niepełnowartościowym człowiekiem, którym trzeba się opiekować. Ale nie sprzedam domu, za dużo poświęciłam mu serca. Grażyna oczywiście też nie zrezygnuje, pewnie znów coś wymyśli. Na przykład psy mi odbierze... – dodała rozzalona.

Zosi zrobiło się żal Adeli. Gdy wróciła do domu, zastała gościa. Wiedziała, że przyjedzie. Zapowiadał się. Piotr zrobił niespodziankę i przywiózł garnek z solianką i pudełko blinów z łososiem, a nawet i kwaśną śmietaną. Szybko zabrała się za nakrycie stołu. Ale wyżerka! Ustawiła garnki na gazie. Zadzwoiła po Koronowskich. Usiadła naprzeciwko Piotra. Był miły i przyjemnie im się rozmawiało. Poza tym ładnie wyglądał w czarnym jedwabnym T-shircie i pomarańczowym swetrze narzuconym na plecy. Lubiła go w jasnych dżinsach, no i lubiła, gdy miał dłuższe włosy. Zupa i bliny podgrzewały się na małym ogniu, a oni gadali o książkach. Piotr opowiadał, jakie ostatnio kupił, co czytał. Zosia tymczasem miała mniej czasu na lekturę, ale poprosiła go, by następnym razem przywiózł jej kilka pozycji. Piotr zbierał książki, miał ich naprawdę mnóstwo, w zasadzie całą ścianę w dużym pokoju. Kiedyś chciała mu kupić w prezencie czytnik e-booków, ale wolał papier. Mohito podczas rozmowy siedział na kolanach Piotra i lizał go po ręce.

Koronowscy na wieść o rosyjskich przysmakach, znanych im z opowieści Zosi, natychmiast przyjechali do Domu Złudzeń, akurat w chwili, kiedy wszystko było ciepłe, w półmiskach. Usiedli przy stole i zajadali, głośno je wychwalając. Zosia wyciągnęła z szafy butelkę wina, Piotr nalał do kieliszków. Było miło. Ryszard szybko znalazł wspólny język z Piotrem – wyszło, że oboje pasjonowali się historią. No i Piotr zainteresował Rysia pasją fotografowania wyładowań atmosferycznych. Pokazał mu w komórce kilka zdjęć piorunów.

– Niesamowite. Cóż za rozgałęzienia! Ile czasu trzeba poświęcić, by zdjęcie się udało? – Ryszard był zaintrygowany tematem.

– Trzeba klikać spust migawki raz za razem, ustawiać ostrość na wybranych obiektach, scenerii, krajobrazie albo... zawierzyć szczęściu i robić to manualnie, co zazwyczaj kończy się nieostrymi zdjęciami.

– No, zanim założylbym okulary, by nastawić manualnie parametry, burza by przeszła. – Zażartował Ryszard, zaśmiali się wszyscy.

Piotr rozmawiał z Ryszardem, ale zerkał na Zosię. Niewiele mówiła, ale czuła się swobodnie. Powiedziała mu kiedyś, że nie będzie mogła poradzić

sobie z pustką i osamotnieniem po wyjeździe Mariety na studia. Potrzebowała przyjaźni, miłości, każdy tego potrzebuje. Ale nic na siłę. Od początku wiedział, że to kobieta dla niego! Otwierała się powoli w miarę rozwoju ich znajomości. Wszystko zmieniło się parę miesięcy temu. Niestety, popełnił błąd.

Basi Piotr bardzo się podobał, to było widać. Nie tylko wizualnie, ale też jako człowiek. Słuchała, z jaką pasją mówił o pracy. Spodobało się jej jego kolejne zainteresowanie – wioślarstwo. Sama była wodniaczką, gdy studiowała. Piotr, będąc uczniem liceum, pływał na skiffie, potem na dwójce bez sternika, później miał przerwę, a wrócił do sportu, przeprowadzając się do Bornego Sulinowa. W mniemaniu Basi wioślarstwo było bardzo elitarnym, szlachetnym sportem. Może nie w Polsce, ale coroczne regaty na Tamizie *The Great River Race* wciąż były jedną z najbardziej prestiżowych sportowych imprez na świecie. Podobnie jak wyścigi ósemek uniwersytetów w Oxfordzie i Cambridge, rozgrywane od mostu Puenty do Chiswick na Tamizie.

Oczywiście zauważyła, jak bardzo Piotr wpatrzony był w Zosię.

Nie mógł zostać długo, pożegnał się z Koronowskimi, Zosię pocałował w policzek, wyszedł z domu, wsiadł do auta i ruszył w drogę powrotną na Pomorze.

– A wiesz... Piotr ciebie kocha..? – powiedziała do Zosi, schodząc na dół. Ryszard włączył już silnik auta i czekał na żonę.

– Czasem za nim tęsknię. W sumie nie wiem, czy za nim, czy za czasami w Drawsku. Najlepiej mi było, jak byliśmy przyjaciółmi, zwierzał mi się z problemów, byłam jego powierniczką. Nigdy mi nie wytknął wieku, przez co czułam się jego rówieśnicą. Mieliśmy układ służbowy, ale przy okazji e-maili zawsze dodawał coś od siebie prywatnie. Sentencje o życiu, opinie o książkach, tym sprawił, że te wiadomości były bardzo miłe, wysyłał mi piosenki... Bardzo lubi rocka i jazz. Ja w sumie też. Ale...

– Nie ma „ale”! Nie ma nic złego w przyjaźni kobiety z mężczyzną. Oj, Zosiu, musiałabyś się znaleźć w niezłych tarapatach, wtedy przewartościowałabyś swoje życie. Oczywiście tego tobie nie życzę.

– Nie chcę mu dawać nadziei, nic między nami nie będzie. Nie widzisz, że on jest bardzo młody?

– Kochana, miłość nie zagląda w metrykę. Ty też jesteś młoda, absolutnie nie wyglądasz przy nim na staruszkę.

– Być może w tej chwili nie widać różnicy wieku, ale za dziesięć lat będę

wyglądać jak jego matka. Mężczyźni starzeją się wolniej.

– No i co? Nawet jeśli miałyby to być chwilowe, będziesz miała piękne wspomnienia. Życie nie trzyma się reguł. Nie pozwól mu odejść, nie zrań go.

Wieczorem Zosia długo próbowała się łączyć z Marietą, ale dziewczyna nie odbierała telefonu. Chciała rozmową z córką zagłuszyć to, co powiedziała o Piotrze Basia. Niewątpliwie był dobrym człowiekiem, to prawda.

Marieta zadzwoniła dopiero około jedenastej w nocy.

– Byłam na piwie. Zaczęliśmy niewinnie, od Soho, które mamy niedaleko, a skończyliśmy, śpiewając *'O sole Mio* przy pomniku Mickiewicza. Akurat ludzie szli na koncert do filharmonii. Bili nam brawo, wyobrażasz to sobie? Za to jutro nadrobię ćwiczeniami.

– Na czym tak dokładnie polegają twoje ćwiczenia?

– Mam problem z wysokimi dźwiękami, nie mam luzu w gardle, przez co dźwięk nie jest tak nośny, jak bym sobie tego życzyła. Głos muszę mieć ustawiony na przeponie. A także na kilku wypracowanych sztuczkach z gardłem i podniebieniem, nie będę ci ich wymieniać, nieważne. Wtedy będzie mnie słychać i mój głos nabierze charakterystycznej operowej barwy.

– Ciekawe rzeczy mówisz.

Zosia usłyszała w głosie Mariety pasję. Tylko konsekwencja i prawdziwa pasja pomagały pokonać przeciwności. Nie chciała, by jej córka się rozczarowała życiem.

– Władza nad głosem to tak naprawdę władza nad mięśniami! Chcąc dobrze śpiewać, muszę mieć je dobrze wytrenowane, zarówno cienkie struny głosowe, jak i mięśnie brzucha czy pleców. Podczas śpiewu zmuszam je do pracy i rozluźniam inne. W miarę potrzeb. Po kilkugodzinnych ćwiczeniach jestem spocona i zdolna jedynie do walnięcia się na łóżko.

– To może powinnaś ćwiczyć na siłowni?

– Może? Ale na to nie mam już czasu. Chce mi się niekiedy towarzysko udzielić. Poznań jest naprawdę przepiękny, oświetlony. Ta część przy mojej budzie, przy filharmonii i przy Teatrze Wielkim naprawdę żyje. Trudno dostać bilet na koncert czy na operę. Musimy kiedyś razem pójść.

– Chętnie.

– Mamo, a ty myślisz o sprzedaży mieszkania w Drawsku? Tak pytam, bo może za te pieniądze udałoby się nabyć coś w Poznaniu? Co ty na to, mamuś? Miałabym się gdzie zatrzymać po przyjeździe z Berlina.

– Kochanie, myślę, ale nie będzie to łatwe. Nawet, jak mi się to uda, za

uzyskane pieniądze nie kupię równorzędnego mieszkania w Poznaniu.

1982

W kwietniu wybuchła wojna o Falklandy–Malwiny, konflikt zakończył się w czerwcu sukcesem Anglików, a w zasadzie Margaret Thatcher. Tata, gdy Zosia go zapytała, po co była ta wojna, zażartował, tak jej się wydawało, że chodziło o łowiska halibuta. Zosia nie uwierzyła, że zabija się ludzi z powodu ryb. Tata wciąż był nieobecny w domu, ciągle wyjeżdżał na poligony, na manewry, ćwiczenia. Od początku roku pisał doktorat, wykorzystując samotne wieczory poza domem. Zosia tęskniła, ale życie wśród ukochanych kobiet też było przyjemne.

Latem rodzice zapisali Zosię do klubu sportowego na kajakarstwo. Była już licealistką. Dobrze pływała, wokół Drawska było wiele wód, jezior, szlaków. Mogłaby jednym tchem wymieniwać ich nazwy: Okra, Lubie, Zarańskie, Pile.

Trener zdecydował, że będzie pływać na dwójce z Lidką, dziewczynką uczącą się w szkole podstawowej, którą rok wcześniej ukończyła Marieta. Nie znała jej ze szkoły. Nie mogła, Lidka w Drawsku mieszkała dopiero od paru miesięcy. Dziewczynka miała bardzo długie, jasne, falowane włosy, rozpuszczone. Obie blondynki, atrakcyjne, miały na wodzie duże powodzenie. Wyływały, a wokół nich wiosłowało zawsze kilku przystojnych kajakarzy. Lidka sprawiała wrażenie nieobecnej, mało co ją cieszyło. Spontaniczna Zosia miała problem, by wciągnąć ją do rozmowy. Paplała więc, licząc, że w końcu koleżanka powie coś więcej poza „aha” i „yhm”. Uznała, że jest nieśmiała.

Któregoś popołudnia, podczas treningu, Zosia śpiewała głośno przebój Lady Pank: „Myślisz może, że więcej coś znaczysz, bo masz rozum, dwie ręce i chęć. Twoje miejsce na ziemi tłumaczy zaliczona matura na pięć. Są tacy – to nie żart, dla których jesteś wart mniej niż zero, mniej niż zero”[\[3\]](#).

Gdy tylko trener oddalił się od pomostu, podплыnęły do zarośniętego trzciną brzegu, po drugiej stronie jeziora, odłożyły wiosła, położyły się na kajaku, zwróciły twarz ku słońcu i moczyły nogi w wodzie.

– A wiesz, Lidzia, że parę dni temu podniesiono banderę na Darze Młodzieży? Chciałabyś popłynąć tym żaglowcem? Pełne morze, rozumiesz? Zazdroszczę marynarzom – powiedziała Zosia, chcąc wciągnąć Lidkę, w końcu była mieszkanką Trójmiasta, do rozmowy. Tak też się stało. Lidka usiadła na łodzi.

– Wypłynął w rejs, to zaraz uciekłyśmy z domu i w ogóle z Gdańska – powiedziała to cicho, nie patrząc na Zosię, która w ogóle nie zrozumiała, o co dziewczynie chodzi. Darem Młodzieży? Ktoś wypłynął?

– O kim mówisz?

– O ojcu.

– Uciekłaś z domu?

– Z mamą.

Co znaczy uciec z domu? Od ojca. Ej tam. Pewnie zmyśla, małolata. Zosia знаła skłócone rodziny, nawet w ich bloku takie mieszkaly, wojskowi nie wylewali za kołnierz. Raz jeden kapitan się upił i zrobił rodzinie musztrę, a potem rzucił taboret w okno. Bo go nie słuchali. Na szczęście stołek zawiesił się na firanie i tak wisiał, jak wrzód na tyłku tego kapitana. Nikt go nie zdjął. Dowiedzieli się o incydencie w dowództwie i kapitanek został wysłany na poligon na całe pół roku. Wrócił skruszony i już nigdy więcej nie powiesił taboretu na firanie.

– Zawsze się można rozwieść.

– Nic nie wiesz... Mama wypłaciła z konta wszystkie dolary i uciekłyśmy.

– Nie będzie was szukał?

– Będzie, ale nie znajdzie.

– Jejku! To masz problem.

– Bił mnie, katował mamę, ale nie to było najgorsze.

– Nie było najgorsze to, że was bił?

Zosia nie wyobrażała sobie rodzinnej gehenny. Ojciec miałby ją tłuc? Co by wtedy zrobiła?

Lidka się rozplakała.

– Znienawidziłabyś mnie, gdybyś wiedziała, co jeszcze mi robił – dodała gdy obeschły jej łzy.

– Możemy zostać przyjaciółkami, jak chcesz. Przyjaciele są ze sobą na dobre i złe. – Zosia przytuliła Lidkę do siebie. – Nie musisz mi mówić, jak nie chcesz.

– Chcę być twoją przyjaciółką. – Lidka chwyciła za wiosło i rozejrzała się, czy ktoś nie usłyszał rozmowy. – Płynmy, mama będzie się denerwować.

Zosia chwyciła za wiosło, do przystani przyplłynęły szybko, w zgodnym rytmie, bez zatapiania wioseł. Żegnając się, Lidka poprosiła, by Zosia rozmowę zachowała w tajemnicy.

Następnego dnia Lidka nie przyszła na trening, Zosia po raz pierwszy

trenowała na jedyńce, nie szło jej najlepiej, nie czuła się pewnie. Wiosło jej się zatopiło w szuwarach i wpadła do wody w ubraniach. Kajak odwrócił się do góry dnem. Gdy w końcu udało jej się ponownie do niego wejść i gdy mokra wpływała do przystani, na pomoście stał zdenerwowany trener i koleżanki.

– Uff, jesteś, bo się bałem – powiedział trener, blady jak ściana.

– Nic mi się nie stało, tylko trochę się zmoczyłam.

– Lidka nie żyje! Odkręciła gaz!

– Jak to? – Zosia nie rozumiała od razu.

– Gaz. Odkręciła o piętnastej dziesiątą, gdyby jej mama była jak zawsze w domu o tej porze, żyłaby. Wczoraj z morza wrócił jej ojciec, przywiózł prezenty, krótko był i wyjechał. Podobno wrócił na statek. Taka bogata rodzina, ojciec marynarz, mama ładnie ubrana, ładna dziewczynka, dlaczego to zrobiła? Zraniła rodziców do końca ich życia. Tak ją kochali!

Zosia rozplakała się.

– Nieszczęśliwa była! Wtedy się robi takie rzeczy.

– Skąd wiesz?

Nic nie odpowiedziała, obiecała. Pogrzeb Lidki miał się odbyć za tydzień. Rozniosło się wśród młodzieży, że nie w Drawsku, a w Gdańsku. Podobno ojca Lidki zatrzymano i postawiono mu zarzut znęcania się nad rodziną i seksualnego wykorzystywania córki. Podobno to mama Lidki złożyła obciążające mężczyznę zeznania.

– Widzisz dziecko, za zamkniętymi drzwiami mieszka szczęście i tragedia – powiedziała mama Zosi. – Gdyby opowiedziały komuś swoją historię, można byłoby uniknąć śmierci. A tak? Z pomocą do ludzi wychodzi się po omacku i w konsekwencji wsparcie dostają ci, co o nie proszą.

Dyskusja na temat tego, komu udzielić pomocy i w jaki sposób, długo trwała w domu Zosi. Jak szukać ludzi, którzy potrzebują jej naprawę, to był problem. Babcia Zosi i mama miały podejście społecznikowskie. Ojciec nie, on uważał, że człowiek sam musi chcieć. Trzeba go wrzucić do głębokiej wody. Tadeusz Kuliński w wojsku słynął z surowości, był oschły i wymagający w stosunku do żołnierzy i podwładnych. Dopiero w domu łagodniał.

– Zosiu, zapamiętaj. To nie tak, że tylko ty jesteś dobroczyńcą, pomagając, zachodzi i relacja zwrotna. Słowo „dziękuję”, jakie być może usłyszysz, będzie dobrem dla ciebie – powiedziała babcia Ania.

Grudzień 2010

W Złotniczkach utarło się, że Zosia wiele może, wiele potrafi, i lubi bezinteresownie pomagać. Spełnianie próśb typu: „Zosiu zerknij, proszę, czy dobrze wypełniłem wniosek?”, „Poproszę, byś to przeczytała, to zaledwie kilka zdań” lub „Pojeźdź z nami kochana do sklepu, doradzić, które mamy wybrać kafelki” – to wszystko zabierało czas. Żeby sprawdzić wniosek, musiała posiąść stosowną wiedzę, żeby wybrać glazurę, musiała obejrzeć dom i się zastanowić. Potem miała problem, czy dobrze doradziła, czy dobrze sprawdziła. Każda tego typu prośba była „na jutro”, często dla kilku osób, podczas gdy jej zawodowe obowiązki leżały. Prośby o pomoc spełniała podczas wieczorów, weekendów, a nawet w nocy, nie potrafiła nikomu odmówić.

Będąc zajęta, nie miała czasu na wybór imieninowego prezentu dla Basi. Nic jej nie wpadało na myśl. Kupiła więc przez Internet bony upominkowe do Zary, z których Barbara się bardzo ucieszyła. Powiedziała, że to znakomity pomysł i na pewno sobie coś kupi. Wypiły imieninową kawę, porozmawiały o świętach. Po godzinie Zosia wróciła do domu, czekały na nią pliki do przetłumaczenia. Tego dnia nikt jej o nic nie prosił. Nawet Mohito nie szukał zaczepki. Ucieszyło ją to.

Zabrała się za tłumaczenia. Tym razem chodziło o opowiadanie do popularnej tygodniówki. Co najważniejsze, szybko i dobrze płacili.

Złotniczki stały się jej domem. Zapomniała o Drawsku.

Dzieci już od listopada ćwiczyły kolędy, w święta miały je zaśpiewać w kościele we Wronczynie. Lisa i Kajtek śpiewali na zmianę *Lulajże, Jezuniu*, ale Zosia i Krystyna tak postanowiły wyraźnie pod dyktando dziewczynki, która naprawdę miała twardego charakter. W grupie było więcej chłopców, a tylko dwie dziewczynki. Lisa i Ania. Lisa zawsze z przodu, Ania w tyle. Lisa ustawiała grupę po kątach, Ania dawała się ustawiać. Lisa utalentowana, Ania niekoniecznie. Na niektóre zajęcia dowożono dzieci z Krześlic, Wronczyna i Pomarzanowic. Wtedy było więcej dziewczynek, ale i tak Lisa wysuwała się na pierwszy plan.

W połowie grudnia Zosia otrzymała świetną informację. Przyznano im dotację, mogła planować długoterminowo. Po raz pierwszy pomyślała o przedsięwzięciu biznesowo. Chodziło jej po głowie powołanie szkoły dla

utalentowanych artystycznie dzieci.

Tymczasem Iga zatrudniła się w firmie organizującej wesela. Pożegnała się z kwiaciarnią w Beaumont. Byłoby jej tam dobrze, gdyby to przedsięwzięcie należało do niej. Nowe zajęcie było znacznie bardziej samodzielne, miała nadzorować przebieg całej weselnej uroczystości. W zakres jej pracy wchodziło wszystko, począwszy od planu ceremonii, poprzez uzgodnienia z rodziną nowożeńców, a także z podwykonawcami usług. Podlegały jej kwiaciarki i kierowcy pojazdów. Mogła czynić poprawki w menu, oczywiście uzgadniając je z rodziną. Lubiła szerokie spektrum, czuła się ważna, prawie jakby pracowała u siebie. Było oczywiście kilka słabych punktów owego zajęcia. Wciąż nie znała biegle języka, więc musiała to prędko nadrobić. Poprosiła, żeby w domu nie mówili po polsku. Po miesiącu znacznie więcej rozumiała i dużo lepiej mówiła.

No i była jeszcze druga przeszkoda. Firma miała siedzibę w Beaumont, ale wesela odbywały się przeważnie poza miastem, bywało, że nawet o dwieście kilometrów drogi od domu Igi. Mimo że biesiady trwały do drugiej, trzeciej nad ranem, zamknięcie imprezy odbywało się o wiele później. Mogła opuścić miejsce weselne dopiero wtedy, gdy lokal był gruntownie wysprzątnięty. Kiedyś w drogę do domu wyruszyła dopiero o piątej rano, a dojechała po ósmej, kilkakrotnie zatrzymując się na parkingach, by przetrzeć oczy.

Mimo że poza domem bywała tylko w weekendy, Kosma i Staś nie chcieli, by pracowała. Iga jednak nie potrafiła się wyzwolić spod dyktatu pieniędzy. Były jej ciągle potrzebne. Ola nie zdawała sobie sprawy, jak jej mama się poświęca, by ona mogła skończyć wymarzoną uczelnię i utrzymać się w Nowym Jorku. Kosma też brał więcej zleceń, też nie było go w domu do wieczora, ale Iga była nieprzejednana. Widywali się późnymi wieczorami, w tygodniu dzieląc się opieką nad Stasiem. Nieraz dochodziło w domu do sprzeczek.

– Nie jesteś z żelaza, nie masz końskiego zdrowia, odsapnij, jesteś wyczerpana, to widać. Pojedź do Polski, odwiedź Dom Złudzeń, naciesz się rodziną, odwiedź grób Ewy. Może dogadasz się z moim bratem i kupi od ciebie ziemię po dziadku? Pieniądzy wystarczyłoby nam na parę lat.

– Zapomnij. To nie ja. Tej ziemi nigdy nie sprzedam, niech sobie Jurek to

wybije z głowy.

– No to chociaż zaprzyjaźnisz się z Zosią, w końcu zakopiecie topór.

– Ja? Żartujesz, prawda? Niestety, to ona pierwsza powinna usunąć przyczyny niezgody. Wprawdzie już mi nie leży na sercu krzywda, jaką mi uczyniła, ale nie ja będę pierwsza wyciągać rękę. Mogłaby chociaż zadzwonić. Tak to jest, gdy komuś wszystko przychodzi lekko. Dostała za grosze dobrze utrzymany dom i myśli, że tak musiało być. Najbardziej mnie boli, że to mój ukochany dziadek wynalazł znajdę i przekazał jej wszystko, co mi obiecał. Nie chodzi o pieniądze, ale o uczciwość. *Pacta sunt servanta*.

– Że co?

– Umów należy dotrzymywać.

Iga nadal nie mogła sobie poradzić z zazdrością o uczucia nieżyjącego dziadka. Wciąż czuła się oszukana. Otrzymała po nim wyłącznie kłopotliwą część schedy. Dostęp do jego wojennych tajemnic, zardzewiałą broń z wojenną krwią, silny i nieprzejednany charakter oraz... chorobę. No, były jeszcze przedwojenne papiery wartościowe.

Mecenas Kurczewski, którego zaraz po wyjeździe poprosiła o zbadanie szans na ich wykup, przesłał jej wyciąg z orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, że „odwołanie się do instytucji przedawnienia roszczeń, zważywszy brak aktywności państwa po 1990 roku, mającej na celu unormowanie zagadnienia, należy uznać za klasyczne nadużycie”. Mało jej to mówiło, ale dawało jakąś nadzieję.

– Rozumie pani – powiedział w rozmowie telefonicznej mecenas – skoro trzecia Rzeczpospolita uznała się za kontynuatorkę drugiej, powinna być konsekwentna, a jak wiemy, wykup niektórych obligacji był możliwy nawet w czasach PRL.

W paczce, jaką znalazła przed wyjazdem w „banku ziemskim” poza papierami wartościowymi i listem od dziadka, było też sporo rzeczy po bracie dziadka, Józefie Leśniewskim. Czyli po dziadku Zosi Kulińskiej. Może wypadałoby jej oddać te papierzyska? Nie, raczej nie. Jeszcze nie teraz. Uznała, że poczeka na krok ze strony Zofii.

Iga była choleryczką, jednak życie nauczyło ją powściągliwości, nie łapać za słuchawkę i pohukiwać bez zastanowienia się. Choć... nieraz powstrzymywała się, by tego nie uczynić.

Relację z Zosią zamierzała przesunąć do przodu.

Styczeń 2011

Marieta, przenosząc się na studia do Berlina, od razu poczuła się na swoim miejscu. Jej miejscem do życia i pracy miał być świat. Zaprzyjaźniła się z portierem i paniami sprzątającymi Deutsche Oper Berlin, wchodziła do pustego budynku, stawiała na scenie, udawała, że śpiewa. To było to miejsce. W Berlinie podobało jej się wszystko. Nawiązała nowe koleżeńskie układy i przyjaźnie, a znajomość języka niemieckiego, angielskiego i francuskiego, do nauki których przymuszała ją od dzieciństwa mama, dawały jej swobodę. Będąc w Berlinie, dowiedziała się, jakie możliwości oferują szkoły muzyczne w świecie. Za parę miesięcy miała wrócić do Polski, czekały ją jeszcze dwuletnie studia magisterskie. I co potem? W poznańskiej operze mogła liczyć co najwyżej na miejsce w chórze, podobnie w innych miastach w Polsce, a wtedy groziłaby jej bieda i frustracja do końca życia. Mariette Diene – operowa diva. Tak ma być. Sukces. Sukces, po stokroć sukces, duża scena, a nie żadne ogony!

Zrobiła przegląd światowych uczelni, poczytała o rekrutacji, zajrzała na strony dotyczące opłat. Dużo, ale były też stypendia. Na większość z nich zbliżał się czas składania podań. Skompletowała dokumenty i złożyła podania na studia muzyczne w Nowym Jorku i w Bostonie. Dołączyła na płycie arie w swoim wykonaniu, tak jak kazali. Same opłaty za zgłoszenie wynosiły 125 dolarów. Opłaciła je, miała z czego, nauczona od dzieciństwa oszczędzania, zgromadziła na koncie kilkaset euro ze stypendium.

Po paru dniach otrzymała wiadomość z Manhattan School of Music z Nowego Jorku. Przeszła selekcję i zapraszano ją na przesłuchania, które miały się odbyć na przełomie lutego i marca.

Natychmiast tę fantastyczną wiadomość przekazała mamie.

Zosia była przerażona. Liczyła, że Marieta nie przejdzie pierwszego etapu, o jedno miejsce starały się setki kandydatów. Marieta, czarna dziewczyna z ubogiej Polski na pewno odpadnie na kolejnym etapie, nie ma cudów, tak myślała, niemniej musiała dysponować pieniędzmi na ewentualne koszty podróży dla córki, na pobyt, nocleg. Nie miała takich sum.

Basia, której Zosia opowiedziała o swoich rozterkach, o kłopotcie, ucieszyła się. Wreszcie pojawiła się możliwość, by pogodzić Igę z Zosią.

– Skontaktuj się z Igą – powiedziała krótko. – Ona ma rozwiązanie na każdą okoliczność.

– Basiu, jak ty sobie to wyobrażasz? Praktycznie się nie znamy. Nie mogę prosić o pomoc kogoś, kto ma do mnie żal. Zresztą, nie chodzi tylko o nocleg, są także inne koszty.

– Ale nocleg miałyby za darmo. Jeśli nie z Igą, to przynajmniej pogadaj z Olą. W Nowym Jorku studiuje prawo, jest równie skuteczna jak Iga, ale znacznie mniej emocjonalna. No i nie rozpacza z powodu utraty Domu Złudzeń.

– Pomyślę.

– Nie: „pomyślę”! To za mało! Musisz się postawić na głowie i pomóc Mariecie. To jest obowiązek każdej matki. Zawieś ambicję na kołku, po prostu zadzwoń do Igi lub Oli. Albo ja to zrobię. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie pogadałyście sobie tak od serca.

Zosia nigdy nie potrafiła poprosić o pomoc dla siebie ani dla Mariety.

– Nie, Basiu, nie dzwoń, błagam! Porozmawiam, ale nie w tej sytuacji. To by jeszcze bardziej zagmatwało nasze relacje. Sama te pieniądze jakoś ubieram. Nie wiem skąd, ale masz rację, dla własnego dziecka trzeba poświęcić wszystko.

Kilka dni później Basia Koronowska przyniosła do Zosi rozrysowane do czterech pokoleń wstecz drzewo genealogiczne Leśniewskich. Rozwinęła zwoje sklejonych kartek papieru i położyła na stole.

– Wiesz, ile mi to czasu zajęło? Genealogią zajmowałam się od momentu, jak Iga ze Stasiem wyjechali z Polski, do teraz, oczywiście nie codziennie.

Zosia oglądała drzewo zaciekawiona.

– Wygląda jak kasztan. Drzewo to ma twarde owoce – zażartowała Zosia, przyglądając się rysunkowi, pełna szacunku dla wykonanej pracy.

– Miałam podobne skojarzenie. To nawet ma wyjaśnienie, my wszystkie jesteśmy twarde. To dobrze.

– W jaki sposób zdobywasz informacje o rodzinie?

– Najwięcej czasu zajmuje mi korespondencja z urzędami. No, ale większość już mam. Brakuje mi danych twojej rodziny. Jak mi dasz, opracuję i nasz kasztanek będzie kompletny.

Zosia chciała się poczuć ważnym członkiem rodu Leśniewskich. Obiecała, że poprosi Piotra o przywiezienie dokumentów, że wskaże mu miejsce, gdzie

w jej mieszkaniu się znajdują. Obie bardzo się na tę myśl ucieszyły.

Jeśli chodzi o Marietę, Zosia dalej nie była przygotowana na jej wyjazd, ale chociaż dotarło do niej, że to przecież było do przewidzenia. W domu od dzieciństwa wmawiało się dziewczynie, że ma zdobywać świat. Lektje śpiewu u profesora w Poznaniu. Trzy obce języki, a kiedy córka nie chciała się uczyć, Zosia wtłaczała jej w głowę, że ich znajomość otworzy jej wszystkie wrota. No i otworzyła. A teraz ona miałaby zawieść córkę?

Basia Koronowska miała rację. Powinna od razu po przyjeździe przeprosić Igę. Przynajmniej to. Odwlekała tę rozmowę. W dziele naprawy relacji z Igą Bednarz Zośka nie chciała popełnić falstartu. Miała dobre intencje. Zaraz po przyjeździe do wsi złożyła wniosek do gminy o zwrot poniesionych nakładów na dom, ale za parę miesięcy odpisano jej, że z tego tytułu najemca, niejaka firma Podrol była przez dwa lata zwolniona z czynszów. I nic z tego nie wyszło. „Podrol” to była działalność byłego męża Igi, Leszka Podkańskiego. Czyli nie miała dla Igi nic, za wyjątkiem podziękowań. I przeprosin?

Zaczęła gromadzić środki na wyjazd Mariety na przesłuchania. Oszczędzała, niewiele jadła, nie opłacała rachunków za media, nigdzie nie jeździła, oszczędzała paliwo, nie telefonowała. Ponagliła zwlekających z zapłatą za tłumaczenia, w wyniku czego na koncie znalazły się prawie wszystkie zaległe pieniądze. Popołudniami zamykała się w Domu Złudzeń, pochłonięta zleceniami.

Miała urlop od dzieci, to dobrze, podczas ferii dziesiątka z nich wraz z Krystyną Stelmach i Izą Kuśmierk pojechały na obóz do Świnoujścia. Umożliwiły to pieniądze z dotacji, a także dołożyły się szkoły.

Dom Złudzeń – oby okazał się miejscem spełnionych marzeń, dla niej, dla córki, a także dla gromadki cudownych dzieci.

Tak, postanowiła, że zrobi wszystko, by tak się stało.

Luty 2011

Upłynął miesiąc. Zosi wciąż przedłużano umowę na doradztwo w fundacji w Drawsku. Pewnie Piotr, znając jej tarapaty finansowe, maczał w tym palce. Poza tym miała bardzo dobre notowania w urzędach w Drawsku. Nie jeździła na Pomorze, była dostępna pod telefonem. Czasem zadzwoniła do darczyńców, czasem kogoś namówiła na pomoc. Piotr dawał sobie radę, ale ona potrafiła przekonać nawet tych, co używali najbardziej wyrafinowanych uników. Ta

umowa nie była w porządku wobec Piotra, wobec innych zatrudnionych tam na cały etat pracowników. Zarabiała niewiele mniej od nich. No, ale potrzebowała teraz tych pieniędzy. Poprosiła Piotra by za kolejnym przyjazdem do Poznania przywiózł jej pudełko z dokumentami i papierami rodzinnymi, jakie zostały w mieszkaniu w Drawsku.

Któregoś popołudnia, a był to piątek, usłyszała pukanie do drzwi. Nie mogło to być dziecko, było zbyt późno. Zapewne też raczej nikt ze wsi, bo ów piątkowy wieczór otwierał zimowy, leniwy weekend. Oderwała się od pliku z tłumaczeniem instrukcji obsługi pralki. Nigdy wcześniej nie brała tego typu tekstów. Zdecydowanie bardziej wołała literackie albo prawne, ewentualnie medyczne, to w tej ostatniej branży wyrobiła sobie tak zwane nazwisko.

W byle jakich ubraniach domowych, bez makijażu, zbiegła na dół. Nawet się nie uczesała.

– To ty? Co tu robisz? Stało się coś?

Piotr przyciągnął Zosię, topiąc ją w swoich ramionach. Był wyższy, barczysty, włosów nie miał związanych, a zaczesane do tyłu, opadały mu na ramiona. Mógłby być modelem, Zosia nawet mu kiedyś tę myśl podsunęła. Tylko się uśmiechnął. No fakt, oboje modeling uważali za niepoważne zajęcie dla narcyzów.

– Kochana, nie wyobrażasz sobie, jak się stęskniłem – wyszeptał z ustami przylgniętymi do jej szyi.

Zosia wyplątała się z objęć.

– Piłeś czy zwariowałeś? – zapytała sucho.

– Zostań, nie odchodź. Po prostu martwię się o ciebie.

– Spokojnie. Wszystko mam pod kontrolą. Znaczący nie wszystko, ale dam radę i norma będzie normą. Nie zadzwoniłeś, że będziesz, kupiłabym jakieś ciasto albo pizzę.

– Miałem dziś pierwsze zajęcia na podyplomówce. Jeszcze parę miesięcy i poszukam pracy w Poznaniu.

– Czyli chcesz odejść z domu pomocy?

– Tak, chcę być bliżej ciebie. Znajdą kogoś na moje miejsce, mnóstwo wykształconych osób łązi bez pracy.

– Piotr, rozmawialiśmy. Nie wiąż ze mną przyszłości, zbyt wiele nas dzieli, nie widzisz tego? Życie przed tobą, dopiero co ukończyłeś studia, gdy tymczasem moje uczelniane papiery uzyskały kolor musztardy sarepskiej. Gdybyś o życiu wiedział tyle co ja, nie chciałbyś się z nikim wiązać.

– To wszystko bzdura. Po pierwsze, studia skończyłem paręnaście lat temu, rehabilitacja była moim drugim kierunkiem, a jedenaście lat różnicy między nami nie jest wykroczeniem. Doświadczeń mogę szybko nabyć, ale... z tobą!

– Lepiej nabywaj je beze mnie. – Zosia się zaśmiała.

– Obiecuję, że postaram się zrobić wszystko, byś była ze mną. Naprawdę wszystko. I jeszcze jedno – widziałaś konto? Pochwal mnie. Mamy dobrobyt. Naprawdę sypnęli groszem. Żyć, nie umierać. Właściwie przyjechałem, by i o tym ci osobiście powiedzieć. Wystarczy i na opał, i na jedzenie, i na wynagrodzenia. Jestem z siebie dumny.

Chciała coś powiedzieć, ale tylko spojrzała na Piotra. Zderzyli się spojrzeniami, zrobiło się jej głupio. Uznała, że powinna go pochwalić.

– Doceniam ciebie, tak ogólnie, przecież wiesz.

– W kategorii chłopczyków, prawda?

To nawet było zabawne. Zaczęła się śmiać, czym jeszcze bardziej uraziła Piotra.

Wyszedł z domu wzburzony, a ona przez okno patrzyła, jak wsiada do auta. Po chwili wyszedł z niego, w ręce trzymał karton, znów pojawił się w drzwiach jej domu.

– Przywiozłem to, o co mnie prosiłaś. – Postawił karton z dokumentami. I wyszedł.

Myślała o nim. Gdy mieszkała na Pomorzu, często się spotykali prywatnie, a to w knajpce u Rosjan albo nad jeziorem. Pływali łodzią po jeziorze. Leżeli na plaży. Miło im się gadało. Miała go za kumpla. Była przy nim spontaniczna. Musiała tak, bo by zwariowała, mama była w żałobie po ojcu. Zosię i Piotra sporo łączyło. Praca, zainteresowania, wygłupy w czasie wolnym. Nieraz czekali z aparatem na stojaku na burzę. Jedno z najlepszych zdjęć Piotra powstało, gdy siedzieli razem w samochodzie na wzgórzu, wokół szalała nawałnica. Auto było otwarte, Piotr strzelał zdjęcia, a Zosia podniecona wołała: „teraz, teraz”.

No cóż. Chwila i wszystko się zmieniło. Nie powinna tamtej tragicznej nocy jechać na złamanie karku do Bornego Sulinowa. Walić w drzwi jego mieszkania, jakby uciekała przed złem. Nie było to najmądrzejsze.

Zosia zawsze lubiła wszystko, co kubańskie. Lubiła Kubańczyków, bo byli

mentalnie podobni do Polaków. Przypominały jej się beztrudne lata spędzone w Mińsku. Marieta, wiedząc o tym, zaprosiła mamę do Berlina na koncert Buena Vista Social Club. Zosia była bardzo uradowana.

Na koncercie, który odbywał się w wielkiej arenie, tańczyły pod sceną, śpiewały, a nocą zmęczone, ale szczęśliwe, poszły do knajpki na wino i dobrą kolację. Ach, jak im było miło. Zosia wróciła do Polski, buzia jej się śmiała, Basia zauważyła, że jest wyluzowana. Powiedziała nawet, że jeszcze nigdy nie widziała jej tak szczęśliwej.

Po dwóch dniach od powrotu błogi nastrój Zosi prysł.

– Mamo, udało się. Udało się! Jestem taka szczęśliwa! Szukam noclegów i tanich biletów. Mamo, mogę cię poprosić o dołożenie się? – Marieta wrzeszczała do słuchawki. – Łał, łał, łał! Jestem megadobra! Świecie, bój się! Nadchodzę! Będę dla ciebie śpiewać, świecie mój!

Marieta otrzymała zaproszenie na przesłuchania do Nowego Jorku i do Bostonu, nagranie jej śpiewu w obu uczelniach się spodobało. Na początku marca miała się zaprezentować na żywo.

– Jak ty sobie to wyobrażasz? Skąd mam wyciągnąć tyle forsy? Marieto, to jest niedobry pomysł, musisz się wycofać. Nas na te szkoły nie stać. To strasznie daleko!

I odłożyła słuchawkę. Mówiła to wszystko wbrew sobie. Była na takiej emocjonalnej huśtawce, że za chwilę mogła eksplodować. Nie powinna tak sucho, bez podania powodów odradzać córce studiów w Ameryce. Ale Marieta też nie wykazała się taktem. „Możesz się dołożyć?” – chyba: całkowicie sfinansować!? Zabrzmiało obcesowo.

Pozostało naprawdę niewiele czasu, Zosia nie widziała szans, żeby zgromadzić kwotę potrzebną na wyjazd. Oczywiście co innego słowa, co innego czyny. Nie dopuszczała do siebie myśli, że córka z trywialnego powodu, jakim był brak pieniędzy, miałaby „nie wypróbować się artystycznie” w Stanach. Zosia wiedziała, czym jest rozczarowanie, nie powinna pozwolić, by złamało jej córkę. Ale... Marieta mogłaby spróbować gdzieś bliżej, w Paryżu na przykład. Dwa dni Zosia chodziła z myślą, co dalej począć.

Marieta nie zadzwoniła. Nawet się nie przejęła. Była pewna, że Zosia zgromadzi pieniądze. Sama jako dziecko bywała świadkiem, jak babcia Kryśka ratowała mamę z finansowych opresji. Gdyby nie dziadkowie, jej mama i ona czasem nie miałyby za co żyć. To dlatego była tak zdeterminowana. Musiała pojechać do Stanów i zdać te cholerne egzaminy, zbyt daleko już zaszła. Nie

mogła zrezygnować. Z powodu pieniędzy? To były tylko pieniądze. Na drodze do sukcesu nie mogła się zatrzymywać w pół kroku. Rozmowa z matką ją zaskoczyła, bo ona nigdy wcześniej nie była tak stanowcza. Dzięki temu Marieta zrozumiała kolejną rzecz, że bardziej musi polegać na sobie, nie użalać się, tylko działać.

Dziewczyny, z którymi studiowała w Berlinie, pochodziły z materialnie zasobnych rodzin, nawet Polki. Były córkami uznanych w kraju śpiewaków czy śpiewaczek. Rodzice niektórych z nich byli właścicielami znakomicie prosperujących biznesów.

Marieta nieraz myślała o mamie jak o osobie życiowo niezaradnej. Pomagała ludziom, a pomyśleć o sobie i córce już nie miała czasu. Czy wręcz nie chciała. Ze swoim wykształceniem i pracowitością, z biegłą znajomością czterech języków mogła startować w konkursach na bardzo dobrze płatne stanowiska. Tymczasem od młodości pielęgnowała obszcymurków i innych nieudaczników. Mogła się zatroszczyć o pieniądze, choćby od ojca Mariety. Nie jest żadną ujmą skarżyć ojca dziecka o alimenty. Marieta też wołała go nie znać, skoro i on tego nie chciał, ale spłodził ją, więc powinien ponosić obciążenia. Tak stanowiło prawo, nawet tak zacofanego kraju, jakim był Senegal. Gdyby tylko знаła adres, pod którym bezproblemowo żył jej kochany tatuś, natychmiast znalazłaby rozwiązanie materialnych kłopotów swoich i swojej mamy.

Wiedziała, że jest złośliwa, ale... była rozgoryczona.

Zosia nie mogła odzyskać humoru przez dwa dni, nawet dzieci to zauważyły. Kilkadziesiąt setek pożyczyła od Basi. Nadal brakowało. Piotr na pewno nie miał, Michał każdy grosz ładował w kieszeń detektywa. Wahała się, ale w głowie wciąż siedziało jej to, co powiedział Piotr. Że na koncie domu pomocy w Drawsku jest dobrobyt. Sypnęli groszem, dokładnie tak powiedział. Nadal miała uprawnienia do przeglądania konta i wysyłania przelewów. Zalogowała się do banku, ale od razu się wylogowała. I tak ze trzy razy. Rzeczywiście, było nieźle. Bardzo nieźle. Skapitulowała trzeciego dnia wieczorem. Weszła na konto, pewna tego, co robi. Nie czyniła tego dla siebie, a dla córki, by ona mogła dalej iść swoją drogą. Pięć tysięcy powinno wystarczyć. „Utwórz przelew” – *środk* na bieżące wydatki – w opisie.

I poszło. Jakże się źle poczuła, jakby była w obcej skórze, złodziejskiej. Całą noc nie spała.

Następnego dnia pieniądze pojawiły się w jej banku. Zalogowała się na swoim koncie i... utworzyła przelew ... Musiała te pieniądze zwrócić. Nie potrafiła być tak bezczelna. Zaczęła szukać pieniędzy u znajomych ze wsi. Do tej pory pomagała wszystkim, nie żądając za nic gratyfikacji. Teraz ona była w potrzebie. Chciała pożyczyć. Buczkowie mieli kredyty na karku i niesolidnych kontrahentów zwlekających z zapłatą za żwir. Iza Kuśmerek wszystkie pieniądze miała utopione w towarze. Jurka Bednarza nie było, pojechał na narty.

Usiadła o ciemku w pokoju i zaczęła płakać. Wiedziała, że żaden bank jej nie pożyczycy, bo nie miała zdolności kredytowej. Zresztą, nawet nie uczyniłby tego od ręki. Rozbeczała się na dobre. Łudziła się, że może ktoś jednak ją poratuje. Skoro postąpiła szlachetnie i zwróciła forszę na konto domu pomocy, mógłby stać się cud.

Zadzwoił telefon.

– Zosieńko, a mnie o pożyczkę nie poprosiłaś!

To była Adela Renz.

Następnego dnia wcześniej rano Zosia pojechała do Pobiedzisk i pięć tysięcy pożyczone od Adeli wpłaciła na konto. Od razu przelała na konto Mariety.

– Kochanie, dzisiaj, najpóźniej jutro będziesz miała u siebie to, co potrzebujesz. Kup bilety lotnicze, hotel, ale resztę zostaw.

– Dziękuję, mam. Przepraszam, że postawiłam cię przed faktem dokonanym, tak naprawdę rozumiem, w jakiej jesteś sytuacji. Nie jestem zimną materialistką, ale ja nie mogę się teraz wycofać. Zobaczysz, jeszcze obie będziemy żyć z mojego śpiewania. Mam, dlaczego nic nie mówisz?

– Och...

– Nie uważasz, że ojciec powinien nam pomóc?

– Marieto, ustalmy raz na zawsze... – Zosia podniosła głos. – To prehistoria. Nie mów o nim więcej, dobrze?!

– Wcale nie „dobrze”. Nie musisz ty z nim rozmawiać, ja to załatwię. Gdybyś mi tylko dała jego adres.

– Wybij to sobie z głowy! – krzyknęła Zosia.

To nie tak. Nie popsuje układu, który całkiem dobrze funkcjonował przez lata. Nie brała od ojca Mariety pieniędzy, dzięki czemu miała córkę na wyłączność.

Rozmowa jeszcze bardziej zdenerwowała Zosię. Nie będzie wyciągać z otchłani dziejów faceta, który gdzieś żyje i ma się pewnie dobrze. Oni zawsze dają sobie radę. To one zostają ze zranioną miłością w spadku, z dziećmi i prawie zawsze z finansowymi kłopotami.

To, że Zosia mieszkała na koncie, Piotr odkrył rano. Zadzzwonił.

– Co się stało?

– Nic, pomyliłam się, myślałam, że to moje konto.

Gdyby stał w tym momencie obok Zosi, zauważyłby, jak bardzo jest zmieszana i to, z jakim trudem łapie oddech. Niemniej, upokorzenie, jakiego doznała, błagając obcych ludzi o pożyczkę, sprawiło, że podjęła wreszcie decyzję co do mieszkania w Drawsku. Zaczęła szukać pośrednika nieruchomości. Już dawno temu powinna była sprzedać mieszkanie po rodzicach.

Piotr dobrze znał Zosię, pomyłki w jej przypadku nie wchodziły w grę. Czuł przez skórę, że chciała sobie pożyczyć, a potem z jakichś powodów się rozmyśliła. Miała na pewno wyrzuty sumienia. Przecież gdyby powiedziała, że potrzebuje forsy, mógłby jej pomóc. Kilka banków „wcisnęło” mu kredyt. Chodziło o Marietę, miał pewność. O jej studia.

Niestety, wypłatę i potem po kilku dniach wpłatę na konto zauważyła księgowka, przyszła do Piotra wyjaśnić, co ma z tym faktem zrobić. Znała Zosię, nie wiedziała, że ma jeszcze upoważnienie do konta. Będąc rano w banku, dowiedziała się, że dzień temu Piotr Braś wycofał je.

Zapytała, jak ma zaksięgować ruchy na koncie.

Marzec 2011

Marieta na lotnisku w Berlinie wsiadła do samolotu i po kilku godzinach zameldowała się mamie z lotniska w Nowym Jorku. Potem co wieczór przesyłała e-maile z relacjami. Kilka razy rozmawiały za pośrednictwem Skype’a. Zosia chłoneła wszystko, co mówiła Marieta, głodna była informacji. Wypytywała o szkołę, o miasta, o ludzi. O pierwsze wrażenie.

– Manhattan School of Music znajduje się przy Broadway i 122 street, nieopodal Columbia University. Szkoła jest fantastyczna. Jeśli zaś chodzi

o Boston, ta szkoła uznawana jest za równie dobrą, a mieści się w tym samym budynku, co znana na cały świat Berklee College of Music, gdzie kształcą się głównie instrumentalisci, natomiast śpiewacy uczą się w konserwatorium.

– Ja też cały czas w Internecie szukam informacji. Przeczytałam, że zdecydowanie najlepsza na świecie jest Juilliard School, podobno położona jest bezpośrednio przy Metropolitan Opera, przez co, studiując, masz żywy kontakt z największą sceną.

Obie były podekscytowane i wreszcie szczęśliwe.

Za parę dni Zosia odebrała wiadomość, że Marieta dostała się na obie uczelnie. Marieta jednak nie zdecydowała się na Boston Conservatory of Music, mimo że dawano jej tam piętnaście tysięcy *scholarship*. W Nowym Jorku była to mniejsza kwota. Czesne za szkoły było podobnej wysokości, ale możliwości większe po ukończeniu uczelni w Nowym Jorku, skąd bliżej było do Metropolitan Opera.

Gdy Marieta leciała do Stanów, Zosia znów była prawie pewna, że się jednak nie dostanie, była tam naprawdę duża światowa konkurencja. Niemniej widziała i słyszała, jak Marieta się cieszy, jak marzy o Stanach. Kiedy córka zadzwoniła z wiadomością, że jest na liście, prawie usłyszała trzepot jej skrzydeł. Owszem, dziewczyna wierzyła w siebie, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę (przekładając to na język sportowy), że oto staje w blokach startowych na mistrzostwach świata, od tej chwili mierzyć się będzie z największymi.

Zosia już dawno sprawdziła, jak przedstawiają się koszty pobytu córki w Nowym Jorku. Były olbrzymie. Na stronie uczelni podano wysokość czesnego – przeszło trzydzieści siedem tysięcy dolarów rocznie. Poza tym dojdą wydatki pośrednie, co zwiększało obciążenie ucznia nawet do ponad pięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów rocznie. Koszty mieszkania, wyżywienia, dodatkowych lekcji, opłat za udział w castingach, dojazdów. Było też ubezpieczenie medyczne wymagane dla studentów. Zakładając, że Marieta otrzyma *scholarship*, a pewnie tak się stanie, to i tak sporo.

Mimo to Zosia cieszyła się razem z córką. Pochwaliła się znajomym. Umieściła notkę na Facebooku. „Mariette Diene studentką Manhattan School of Music – matka dumna”. Dostała mnóstwo wiadomości z gratulacjami. I równie dużo życzeń powodzenia na scenach dla córki. Na osi czasu pojawiły się kartki z bukietami kwiatów, oczywiście z życzeniami.

– Gratuluję, córeczko. – Jeszcze raz powtórzyła, kiedy rozmawiały chwilę

przed powrotem Mariety do Europy.

– Mamo, a pieniądze?

– Wracaj do domu szczęśliwie. To jest najważniejsze.

Denerwowała się lotem córki, wcześniej nie miała takich lęków. Ale nic złego się nie wydarzyło. Odsapnęła.

Kiedy po paru dniach Marieta przyjechała z Berlina do Złotniczek, Zosia miała wrażenie, że córka wraca z długiej i dalekiej podróży. Nie widziały się kilka tygodni. Zajęcia z dziećmi, jakże miłe, i na szczęście absorbujące, były dla Zosi antidotum na tęsknotę za córką. Marieta wróciła bardzo zadowolona, ale bez grosza przy duszy. Przyjechała swoim autkiem i przywiozła dla Zosi kilka amerykańskich sukienek i perfumy.

– Były wyprzedaże. Jak szaleć, to szaleć – powiedziała. A raczej wytłumaczyła się.

Zosia rzuciła okiem na kiecki, pogłaskała je i nic nie powiedziała. Liczyła, że Marieta nie wyda wszystkich pieniędzy.

– Nowy Jork to moje miejsce na ziemi. Wszystko mi się tam podobało – paplała Marieta. – Boston to dziura.

Dziewczyna wyglądała inaczej. Oczy jej błyszcząły, buzia jej była znacznie bardziej szczupła niż parę tygodni wcześniej, generalnie cała była subtelniejsza. Włosów nie wyprostowała, więc drobne loczki okalały jej twarz, opadając kaskadą na policzki, czoło i na ramiona.

– To wielka wygrana, naprawdę, gratuluję i jestem z Ciebie bardzo dumna. To dla Ciebie nagroda za lata pracy i smutku.

– Mamo, jakie lata smutku? Dzięki Tobie mam fajne życie.

Marieta przytuliła się do mamy.

– Wiesz, dobrze, że mi powiedziałaś, później też poczytałam i popytałam. Miałaś rację. Juilliard School jest najważniejsza. Chciałabym tam pójść na *professional studies*. Dziękuję, że mi tę szkołę znalazłaś.

– I jak? – Nie mogła się doczekać Basia, która dowiedziawszy się o gościu, przyjechała się przywitać.

– Ciociu! No fajnie. Metropolitan Opera to moje docelowe miejsce, gdzie będę kiedyś śpiewać. – Marieta łagodniała na twarzy, gdy to mówiła. – Znajduje się w Lincoln Center na Manhattanie. To są trzy budynki, w środkowym jest MET, a po prawej filharmonia, zaś na lewo balet. Nie wiem, czy mama wspomniała. Oczywiście, że wybieram Nowy Jork, musowo! Wszystko dzięki mamie! – Marieta przytuliła się do Zosi.

Kiedy dziewczyna, nie dość jeszcze zaaklimatyzowana w europejskiej strefie czasowej, położyła się spać, Basia i Zosia długo rozmawiały o jej przyszłości.

– Dobrze, że finalizujesz sprzedaż mieszkania. Tak samo bym uczyniła na twoim miejscu. Iluż rodziców ma problem ze swoimi dziećmi, są pasywne, bywa, że muszą utrzymywać je do starości. Marieta idzie prostą drogą po sukces. Wie, czego chce i to dostanie.

– Tak, tylko, że ze sprzedażą mieszkania na razie nic nie wychodzi. Jutro miałam jechać do Drawska podpisać akt notarialny. Niestety, oferentom bank cofnął kredytową promesę. I znów czekam.

– Parę dni nie czyni problemu.

– Będziemy ponosić straszne koszty, mam tylko nadzieję, że później da sobie radę na operowych scenach. Nie wiem, czy dobrze robimy, skończyłaby ekonomię i na pewno też mogłaby szczęśliwie żyć.

– Tak? Z takim talentem kończyć ekonomię?

– To też prawda.

Ktoś zapukał do drzwi. Była to mama Kajtka – Justyna Buczek.

Zosia zapraszała ją kilka razy, ale mimo iż nie pracowała zawodowo, nie znalazła czasu. Usiadła poproszona na fotelu, Zosia podała jej herbatę, nie chciała kawy, nie skusiła się też na ciasteczko. Justyna mogła nie mieć jeszcze trzydziestu lat, była ładna, gustownie ubrana, ale nie była miła.

– Przyszłam w bardzo poważnej sprawie. Kajtek nic innego nie robi, jak tylko słucha piosenek i uczy się angielskiego. Z matematyki grozi mu trójka, z polskiego też nie jest lepszy. Miał pojechać z ojcem do żwirowni, a nie chciał. Musi się do pracy wprawiać od małego, Paweł żwirownię odziedziczył po ojcu, ale miał kilka lat, jak ojciec pierwszy raz pokazał mu, jak to funkcjonuje. Chciał tak samo z Kajtkiem. Tymczasem chłopiec powiedział, że nie pojedzie do żadnej żwirowni, nie chce jej nawet na oczy widzieć. Gdy dorośnie, pojedzie do Nowego Jorku i będzie śpiewał. Czy może mi to pani wytłumaczyć?

– No dobrze, porozmawiam z nim. Rzeczywiście za wcześnie dla niego na poważne życiowe plany.

– Pani Zosiu, niech mu pani powie do słuchu. Inaczej nie pozwolimy mu na zajęcia muzyczne. On ma przyszłość zabezpieczoną. Jest jedynakiem, więc nie ma innej możliwości, musi przejąć po nas interes.

Następnego dnia, Kajtek przyszedł na zajęcia dużo wcześniej niż inne dzieci. Zawsze tak robił. Lubił z Zosią pogadać. Zosia zaprosiła go do siebie na górę

i pokazała mu album ze zdjęciami szkolnymi Mariety. Zawsze wzorowa uczennica, zawsze przewodnicząca klasy.

– Spójrz, żeby zrobić karierę w jakiejś dziedzinie, nie trzeba na stos kłaść innych dziedzin. W Mariety szkole, teraz w tej, co się dostała, w Nowym Jorku, jest kilka osób, które studiują równolegle na mniej artystycznych kierunkach. W razie czego, bo zawody artystyczne nie są pewne. To znaczy zatrudnienie nie jest pewne.

Kajtek słuchał Zosi uważnie. Oparł buzię na rączkach i wnikliwie patrzył jej w oczy. Jakże lubiła tego chłopaka!

– Ale mówiła pani, że Marieta świetnie śpiewa. – Miał minę jakby złapał Zosię na kłamstwie.

Chwilę musiała się zastanowić. Nie chciała, by przestał marzyć, by przestał w siebie wierzyć.

– Talent jeszcze niczego nie gwarantuje. Musi zaśpiewać tak, by cały świat o niej usłyszał. Ale gdyby jednak nie usłyszał, też musi za coś żyć.

– To ja w takim razie będę miał zwirownię i będę śpiewał.

– Nie zawsze jest możliwe połączenie pasji do sztuki i do biznesu, ale pamiętaj, że w szkole podstawowej i potem w średniej musisz się uczyć wszystkich przedmiotów – powiedziała Zosia.

– A gdybym chciał występować w Nowym Jorku, to lepiej, żebyś chodził do szkoły w Ameryce czy w Polsce?

– Wiesz, myślę, że lepiej gdybyś chodził do amerykańskiej szkoły, ale ... pamiętaj, że po naszych szkołach też nic straconego.

– Dobrze, że jest pani mądra!

– To chodźmy na dół. – Zosia wzięła Kajtka za rękę.

Zeszli, przy drzwiach czekały na nich dzieci. Kajtek podniósł Zosi rękę do ust i pocałował ją w nadgarstek. Lisa prychnęła na ten widok. Zosia dałaby się pokroić, że chłopiec uczynił to, by dziewczynkę wkurzyć. Wojna o najlepsze miejsce w sercu Zosi wciąż trwała. Staś już wchodził z dziećmi do sali, ale szepnął do Zosi:

– Amerykańskie szkoły na pewno są lepsze. Zgadzam się.

Kwiecień 2011

Twardy, biznesowy charakter Igi, w ojczyźnie kontrowersyjny, w Beaumont znalazł uznanie. Jej pracowitość, oszczędność i zmysł do interesów nie mogły

w jej środowisku pozostać niezauważone. Kosma był też lubiany i poważany, choć jego budowlana firma nie generowała dużych przychodów, ale postrzegano go jako koleżeńskie, towarzyskie i mającego dużo do powiedzenia. Był duszą każdego towarzystwa.

Mimo że firma Kosmy miała okresy przestoju, jednak za jego pieniądze mogliby się całą rodziną utrzymać, oczywiście gdyby nie miał na karku kredytu za dom, który wziął na siebie po rozwodzie z pierwszą żoną.

Dom był mało funkcjonalny, zbyt duży, zbyt kosztowny. Iga nie lubiła go, nie czuła się w nim dobrze, nie był jej, miała wrażenie, że stąpa po śladach poprzedniej żony. Iga wciąż się zastanawiała, co zrobić, by ograniczyć koszty kredytu Kosmy. Postanowiła przystosować na cele mieszkalne pomieszczenia gospodarcze w ogrodzie. Mogliby tam zamieszkać, a potem wydzielić działkę i cały dom Kosmy wynająć. Byłoby na spłatę kredytu. Mieszkającego od wielu lat w kapitalistycznych Stanach Kosmę to ona mogłaby nauczyć, jak się robi pieniądze. Dominowała w ich związku, często z ust męża słyszała: „doradź mi”. I to czyniła.

Zdawała sobie sprawę, że mąż był zmęczony jej pomysłami. Wolał życie w spokoju, bez zabijania się o pieniądze, nawykł bardziej do korzystania z nich niż pomnażania. Jeszcze w Polsce, podnosząc się z bankructwa, Iga też marzyła, by usiąść przy kominku i odpocząć. W Beaumont to pragnienie szybko ją opuściło. Było tyle do zrobienia!

Oczywiście nie zapomniała o polskich interesach, hektary po dziadku wydzierżawione szwagrowi, Jurkowi Bednarzowi, przynosiły co miesiąc pewny pieniądz, choć niewielki. Nie zapomniała też o papierach wartościowych, jakie przypadły jej w schedzie. Jednak optymizm mecenasa Kurczewskiego w tej sprawie coraz bardziej zanikał. Iga jednak nie traciła nadziei, wciąż drążyła temat. Przeczytała, że Niemcy kwestię papierów sprzed wojny częściowo uregulowali, a nawet Rosja, która wykupiła podobno carskie długi.

Było popołudnie, siedzieli w patio. Kosma miał wolny czas, zrobiło się sympatycznie, wreszcie mogli побыć razem, bez pośpiechu. Z miłością patrzył na żonę. Nogi oparła na podnóżku. Podniosła nieco brzeg sukienki, słońce padało na jej szczupłe łydki. Często tak robiła, wystawiała się na słońce. Pogodziła się z chorobą. Zresztą, reumatoidalne zapalenie stawów to nie był wyrok. Wiele razy o tym rozmawiali. Cieszył się, że była spokojniejsza. Czytała coś na tablecie. Jakże ją kochał! Tyle lat stracili bez siebie! Wiedział

na sto procent, że to była kobieta jego życia. Martwiło go jednak, że nie całkiem odnalazła się u jego boku. Gdyby nie to, że dał jej pełną swobodę w zarządzaniu pieniędzmi, byłoby jeszcze gorzej. Cierpiała, widział to, powinna mieć przyjaciół, tymczasem towarzysko się całkiem wycofała, istotna była tylko praca. Czasem siadła na tarasie i zagrała na harfie, jednak zwykle były to smutne irlandzkie kawałki. Wtedy wszystkim się udzielał jej nastrój. Nawet Staś, który jako dziecko był błyskotliwy i dowcipny, stracił te cechy na rzecz powagi i zatroskania. Bardzo dobrze się uczył, to wszystko. Siedział nad książkami, jakby w nich chciał znaleźć receptę na szczęście.

Kosma nieraz z nim chciał pogadać, tak od serca, a jednocześnie po męsku. Ale kończyło się na zapewnieniach ze strony chłopca, że jest okej.

Generalnie lubili się.

– Igo, pogadajmy.

Podniosła wzrok znad tabletu. Trochę się spłoszyła. Już zawsze będzie się bała, że coś złego im się przytrafi. Że usłyszy złą nowinę.

– Coś jest nie tak?

– Nie, nie bój się. – Kosma wziął ją za rękę. – Zapraszamy nas do siebie Douglasowie. Paul chce, żebym był jego współnikiem, okazuje się, że ma sporo zleceń i nie nadąza. Mogłabyś zaprzyjaźnić się z Doris, ciągle o ciebie pyta.

– Nie teraz, jeszcze nie. Co mi da jakaś Doris? Ja mam swoje na głowie. Wiesz, ile mi czasu zajmuje myślenie o naszej przyszłości?!

– Ostatnio, jak u nas byli, widziałem, jak ona zapatrzona była w ciebie. Powiedziała potem mężowi, a on mi, że chciałaby być utalentowana tak jak ty. Postaraj się zapomnieć o tym, co było złe, o Ewie, życie ci minie i nie wyleczysz się z tęsknoty za nią.

– Tylko Ewa była moją prawdziwą przyjaciółką, jest nią nadal, i to mi wystarczy. Niech tak zostanie.

– Oj Igo, Igo, umarłych nic nie przywróci.

Ano nie przywróci, ale była jeszcze Róża. Iga często gadała z nią, głównie o życiu, za pośrednictwem Skype'a. Z tych rozmów czerpała siłę. Róża była mądra. Doświadczyła życia na krawędzi. Tu i teraz, było dla niej ważne. Tam? Kiedyś to nastąpi. Iga zdawała sobie z tego sprawę, w miarę postępu choroby coraz bardziej. Róża Bielska wygrała bitwę z rakiem i była szczęśliwa. Żyła sobie spokojnie, z niewielką rentą, pieniądze nie były dla niej już ważne. Żyła bez mężczyzny, bez kłopotu. Odrosły jej włosy, wyglądała ładniej niż przed

chorobą, Iga widziała ją na ekranie. Nadal była pod opieką lekarską, ale wciąż jednak miała nadzieję wrócić do pracy. Wściekała się, gdy lekarze przesuwali ten moment, mówiąc, że jeszcze miesiąc, dwa. Że jeszcze nie czas. Róża każdą rozmowę z Igą zaczynała od przeprosin. Romans, jaki miała wieki temu z byłym mężem Igi, wciąż mocno jej siedział w głowie. Stare dzieje, Iga jej w ogóle o to nie obwiniała. Tylko Leszka.

– Dajże spokój, dziewczyno. To przeszłość, zapomnij. Zostawił mnie z długami i uciekł. Od ciebie, ode mnie. To tchórz. Nie martw się. Zapomnij – przekonywała Różę.

Iga po odejściu Leszka musiała walczyć o byt swój i dzieci, i to ją zmieniło na lepsze. Zamiast próżnowania, zaczęła żyć z sensem. Doświadczenia, choć trudne, zbudowały ją na nowo. Zrozumiała, że dla niej najlepsze jest działanie i pomnażanie majątku. Tylko licząc pieniądze, nie myślała o stratach.

Dobrze jej było w Beaumont z Kosmą, ze Stasiem, na tyle dobrze, że zapominała o Ludwiku. Wyleczyła się z miłości, która pomogła jej przetrwać w Polsce najtrudniejszy okres. Ludwik Sommer też zamilkł, nie otrzymawszy odpowiedzi na e-maile z opowieściami o nurkowych eskapadach, w jakich brał udział.

I dobrze. Ten rozdział zamknęła. Chciała być uczciwa względem męża.

Oczywiście wszystkie wieści ze Złotniczek docierały do Igi. Basia i Rysiu byli dostępni na Skypie prawie na okrągło. Jurek Bednarz też coś dopowiedział. Nawet dotarło do niej i to, że Zosia Kulińska miała problemy z pieniędzmi. Podobno sporo pożyczyła od ludzi! Ha! Iga miała satysfakcję, bo Zofia Kulińska nie do końca uczciwie wygrała Dom Złudzeń. Minęły prawie dwa lata, jak Zosia zamieszkała w Złotniczkach, a do tej pory Igi nawet nie przeprosiła. Nie zadzwoniła, by stopić lody.

Basia Koronowska nieraz prosiła Igę, by poczekała, żeby nie generalizowała. Podobno Zosi było wstyd. Iga oczywiście doskonale rozumiała ambicje Zosi. Jak każda matka chciała, by jej utalentowana córka studiowała w najlepszej szkole, wśród międzynarodowej młodzieży z zasobnych domów, żeby stać ją było na prywatne lekcje u mistrzów, żeby poświęciła się pasji. Idze, musiała to przyznać, spodobało się to, co w Domu Złudzeń za sprawą Zosi powstało. Dom dla twórczych dzieci. Ho, ho. To była piękna sprawa, nawet było jej żal, że sama na to wcześniej nie wpadła. To nawet mógłby być dobry interes! Wszystko zależało, czyje dzieci by się

okazały twórcze!

Kosma nic nie wiedział, ale Iga, siedząc w patio, z tabletem na kolanach, przeszukiwała Internet na temat przedwojennych papierów wartościowych. Mecenas Kurczewski w tamtym czasie stał się piewcą wyłącznie złych nowin. Nie tylko w sprawie papierów.

Pod koniec kwietnia Iga otrzymała od niego nagłą wiadomość. W sądzie drugiej instancji w Poznaniu wyznaczono termin. Jeśli chciałaby zostać oczyszczona z zarzutu pobicia księgowej, musiałaby stawić się na rozprawie. Iga, choć niechętnie, obiecała, że przyleci. Nie była jeszcze gotowa na powrót do Poznania, do wsi, ale rozumiała powód. Nie pobiła dziewczuchy. Chraplak kłamała. W końcu kochanek kłamczuchy złożył oświadczenie, że sam, osobiście, zrobił jej siniaka na udzie... klepką od parkietu. Polskie łęki znów podnosiły się z popiołu i osaczały Igę, chociaż była po drugiej stronie oceanu. Tęskniła za Polską, choć miała stamtąd tak wiele złych wspomnień, ani nie zostawiła tam wielu bliskich osób. Koronowscy, Adela Renz, Róża... Najbliżsi i najbardziej kochani byli obok.

Podjęła decyzję. Pojedzie. Będąc w Polsce, odwiedzi w Kutnie Różę, po drodze wstąpi do Konina i rozmówi się z Leszkiem. Chciała mu pomóc. Miała takie możliwości. Mógłby zamieszkać w Stanach, gdzie na pewno znalazłby pracę. Może Staś byłby weselszy, przy okazji. Wprawdzie lubił i szanował ojczyma, ale bardzo często wspominał ojca. Całkiem niedawno zapytał, czy jego tata jeszcze żyje.

Jeśli chodzi o syna, Leszek był milczący jak... trup.

Staś był zaledwie siedmioletnim chłopczykiem, a bagaż, jaki nosił, przyniósłby niejednego dorosłego. Smutno jej było, bo czuła się winna.

– Pamiętasz, co mi powiedziałaś parę dni temu? – zapytała Kosmę, gdy podjęła decyzję, że będzie na rozprawie.

– Że masz polecieć do Polski, mieć przyjaciółki i... mnie kochać!

– Twoje słowa mają dziwną moc. Zdecydowałam, polecę, jak chciałeś, co mnie wcale nie uszczęśliwia. Powodem mojego tournée jest rozprawa w sądzie odwoławczym. Ale mi wesoło!

Jeszcze tego samego dnia zabukowała bilet na samolot, a w sobotę podczas imprezy weselnej załatwiła sobie zastępstwo na kolejne dwa weekendy. Nie czuła się tego dnia najlepiej. Podczas wesela nie mogła ani chodzić, ani siedzieć, wszystko ją bolało, ale wytrzymała do czwartej nad ranem, nie pokazując, w jak fatalnym jest stanie. Nad ranem, płacząc z bólu, na

autostradzie zgubiła drogę do domu. Nie miała nawigacji, zapomniała też wziąć z domu smartfona, zaczęła więc krążyć po drogach, zjazdach, pętłach, kręciła się w kółko, zrobiła przeszło sto dodatkowych kilometrów, szukając drogi do Beaumont. Bez sił, oszołomiona tabletkami przeciwbólowymi, zatrzymała się na poboczu, oparła głowę o kierownicę i zaczęła płakać na głos, jak dziecko, które zgubiło mamę. Z tego wszystkiego zdrzemnęła się, a gdy się przebudziła, zauważyła prawie przed sobą tablicę z wyświetlaczem. Była pewna, że to fatamorgana. Założyła okulary. I dojrzała na wyświetlaczu „Beaumont”. Włączyła silnik i podjechała bliżej. Beaumont – 35 kilometrów. Była prawie w domu, w domku kochanym!

Kosma, czekając aż wróci, zasnął z głową na stole kuchennym. Staś – z misiem w objęciach – na kanapie w pokoju dziennym. Rzuciła się w ubraniach obok niego. Chłopiec przebudził się, po czym, uspokojony, uśmiechnął się do mamy, położył rączkę na jej sercu.

Obudziła się po paru godzinach z głową na pluszowym misiu, przykryta kocem. Nie mogła rozprostować rąk, a gdy próbowała wstać, nogi jej odmawiały posłuszeństwa. Kolano spuchło jak bania. Wszystko ją rwało, bolało, miała dreszcze. Kosma bardzo się przejął, wymagała opieki, było jasne, że znów miała ostry stan zapalny stawów. Była pewna, że to z lęku przed tym, co mogła zastać w Polsce. Pojawił się stres, a tego miała unikać.

Kiedy po silnych środkach przeciwzapalnych ból ustąpił, zdecydowała, że nie poleci do Polski. Dokupi drugi bilet i do Polski poleci Ola ze Stasiem. Ola zawiezie Stasia do ojca do Konina, a potem sama pojedzie do Warszawy, do swojego ojca. Jadąc z Warszawy do Nadroźna, odbierze brata. Dzieciaki się zgodziły.

Iga zatelefonowała do Leszka, poinformowała go o wizycie synka, ale ten się nie ucieszył, odburknął, jak zawsze, nawet nie zrozumiała, co tam brzęczał pod nosem. Powtórzyła więc, że przyleci Staś i ma się w obecności dziecka zachowywać jak ojciec. „JAK OJCIEC!” – powtórzyła. Zapytała, co mu przywieźć, co potrzebuje.

Zależało jej, by Leszek żył na przyzwoitym poziomie, choć o to w ogóle nie dbał. Dla niej miało to olbrzymie znaczenie, nie chciała biedą ojca obarczać Stasia. Leszek ze swojego upodobania do podłego życia, bez oczekiwań i sukcesów, uczynił swoją życiową filozofię. Jeśli takie się ma podejście, to za cholere nie wyjdzie się z padołu nieszczęść i będzie się je kolekcjonowało jak relikwie albo... znaczki pocztowe. Sama zmieniła nastawienie do życia, i to

działało. Chciała sukcesu, więc robiła sporo, żeby go osiągnąć. I osiągnęła.

– Możesz powiedzieć, co potrzebujesz? Mów szybko, bo się źle czuję – powtórzyła.

– Gówno – burknął i trzasnął słuchawką.

Jednak po jakiejś godzinie przemyślał i zatelefonował do Stasia. Chwilę rozmawiali. Mimo że Staś był w pokoju obok, Iga usłyszała, że chłopiec użył słów: „załatwię dla ciebie, tato”, „przyjadę, nie mogłem wcześniej, chodzę do szkoły, proszę, nie gniewaj się”. Potem chłopiec przyszedł do sypialni, Iga wciąż nie wstawała z łóżka. Usiadł na łóżku, pogłaskał mamę po rękę i zapytał, gdzie kupiła wodę toaletową Paula Sebastiana *Design for Men*, bo tacie się spodobała, a poprzedni flakon już ma prawie pusty.

Zaśmiała się sarkastycznie. A to heca! Nie podobało jej się, w jaki sposób jej były traktował syna. Manipulował chłopcem, naciskał na wrażliwe struny. To było chore. W sumie cieszyła się, że mieszkają daleko, jak by wyglądały ich relacje, gdyby tłoczyli się w jednym mieszkaniu, gdyby stać ich było tylko na pielęgnowanie piekielka? Dobra, byli po rozwodzie, okej, Iga wyjechała do Kosmy, uciekła raczej, ale oboje powinni za własne dziecko być tak samo odpowiedzialni.

– Woda toaletowa? Nie ma co jeść, nie ma się czym myć, a perfum potrzebuje. Chyba że do picia. – Zreflektowała się jednak, widząc smutną minę Stasia. – Kupiłam tacie dwa swetry i kilka koszulek polo, kalesony, a nawet bieliznę. A woda? No dobrze, poproszę Kosmę, by kupił w markecie. Masz to załatwione.

Kwiecień 2011

Basia powiedziała, że poczeka za pieniędzmi od Zosi. Mimo naprawdę dobrych chęci Zosia nie zgromadziła całej kwoty, by pospłacać długi. Miała jakąś gotówkę z fundacji, na chwilę mogła ją pożyczyć. Spłynęło też trochę pieniędzy za tłumaczenia, ale w stosunku do tego, ile potrzebowała, było ich naprawdę niewiele. Adela, pożyczając jej pięć tysięcy, powiedziała, że poczeka. A potem zaczęła się śmiać jak z najlepszego dowcipu. W jej wieku nic nie było pewne.

Tymczasem Michał Zawieja wciąż Zosię pozytywnie zaskakiwał. Potrafił poprawić jej humor. Miała go za przyjaciela. Kiedy mieszkała w Drawsku, był Piotr, tutaj coraz bliższy stawał się jej Michał. Ze swoimi zainteresowaniami,

ciekawostkami na interesujące ją tematy, zajmował, także w jej myślach, coraz więcej czasu. Często dzwonił, już się przyzwyczaiła, że miał utajniony numer. Ona tylko raz wykonała do niego telefon, na początku znajomości, żeby go sprawdzić. Nie odebrał wtedy, ale następnego dnia już wcześniej rano zgłosił się i chciał się wytłumaczyć.

Wieczorem znów zaterkotał telefon. Akurat chciała się komuś wygadać. Czasem wieczorami czuła się samotna. Poza tym było jej ciężko, problem finansowy nie dawał jej spokoju. Rozmowa z Michałem ją odpęzła, choć nie zwierzała mu się ze swoich problemów.

– To ja. Co słyszeć, Zosiu?

– Co słyszeć? Nic. Wszyscy we wsi śpią. Pustynia. – Zosia zaśmiała się.

– Pustynię upiększa to, że gdzieś w sobie kryje studnię. To cytat z mojego ulubionego *Małego księcia*.

Zosia usłyszała w tle *O, mio babbino caro*.

– Zrób głośniej, uwielbiam to.

– Ja też.

Chwilę słuchali arii.

– Mamy tyle wspólnych tematów, że wystarczyłoby na kilka godzin rozmów.

Wiesz, jaka książka była moją ulubioną w dzieciństwie? *Mała księżniczka*.

– Zabawne. Spotkamy się jutro na obiedzie? Pojutrze wyjeżdżam do Brukseli.

– Fajnie masz. Chciałabym kiedyś zwiedzić Brukselę.

– Może cię tam zaproszę? Jak będziesz miła.

Oboje się zaśmiali.

– E, wiesz, żartowałam z tą Brukselą. Tak naprawdę wcale nie ciągnie mnie do świata. W Polsce jest super.

– To co? Jutro? Może być knajpka meksykańska?

– No, raczej?

Nadeszło popołudnie kolejnego dnia. Od rana Zosia miała tylko tłumaczenia, zajęć z dziećmi nie było żadnych. Cały dzień chodziła w dresie. Na spotkanie z Michałem ubrała się seksownie, w turkusową sukienkę do kolan, założyła też onyksowe dodatki. Po piętnastej wsiadła do auta i pojechała do Poznania, a w zasadzie pognęła na złamanie karku.

Spotkać się mieli w restauracji na Kramarskiej. Nigdy wcześniej nie była w tym rejonie. Michał już czekał. Obrzucił ją spojrzeniem, spodobała mu się w tej kiece, ale nic nie powiedział. Usiedli w rogu restauracji, Zosia rozglądała się po wnętrzu. Dobrze się czuła w meksykańskich klimatach. Przejrzała kartę i zamówiła *sopa de maíz*[4], na drugie *enchilada con queso*[5]. Michał tylko krem.

- Co z synem? Masz nowe wiadomości? – zapytała Zosia.
- Niestety, nie. Sprawa utknęła. Żeby go znaleźć, musiałbym pojechać do Wenezueli i trochę tam powęszyć, a to kosztuje.
- Też mam finansowy nóż na gardle.
- Nie mówiłaś. – Michał podniósł brew.
- No nie, ale to jest zrozumiałe, po tym, gdy Marieta dostała się na studia w Nowym Jorku, muszę ją finansować.
- A jej ojciec?
- Nie mówmy o tym. – Zosia machnęła ręką.
- No, ale dziewczyna ma chyba ojca?
- Ma.
- No tak, nie chcesz mi o tym opowiedzieć...

Michał bawił się kluczykami od auta. Stukał nimi w stół. Przez chwilę się wahała, czy powiedzieć coś więcej, czy nie. Szybko podjęła decyzję.

- Tak jakby. Zmieńmy temat. Co ostatnio czytałeś?
- Czytam właśnie biografię Wagnera.
- O, to ciekawe. Akurat nie lubię jego muzyki, jest zbyt twarda.
- Masz rację, jakby pisał ją w nerwach, albo z marszu. Też chyba miał nóż na gardle. Na razie z treści książki wynika, że był hazardzistą.

Zosia nie potrafiła już przywrócić nastroju, w jakim przyjechała. Usztyniła się, a Michał to wyczuł. Temat pieniędzy i ojca Mariety, aluzja, że to on powinien finansowo zabezpieczyć Marietę, zawsze w ten sposób na nią działały.

W torebce Zosi zadzwonił telefon, zanim go znalazła, upłynęła chwila. W obawie, że ktoś się rozłączy, przejechała palcem po ekranie, nie patrząc, kto dzwoni. Był to zresztą dobry moment na zmianę nastroju. Nie miała o czym z Michałem mówić. Temat jakby utknął.

- Dzwonię, żeby cię usłyszeć.

To był głos Piotra. Niestety, telefon miała ustawiony jako głośnomówiący. Ręką skinęła Michałowi, że przeprasza.

– Nie teraz, zadzwonię wieczorem – odpowiedziała Piotrowi.

Kelnerka postawiła przed nimi supę. Michał miał zmienioną gniewem twarz.

– Przepraszam, to kolega z poprzedniej firmy – wyjaśniła.

– Kolega, niech i tak będzie. Nienawidzę kłamstwa!

Zawieja wstał od stołu, rzucił na stolik zmięte pięćdziesiąt złotych i oddalił się bez słowa. Zosia rzuciła telefon na stolik i pobiegła za nim. Kilkakrotnie zawołała go po imieniu. Drzwi od restauracji zatrzasnęły się.

Ależ ją zaskoczył! Wróciła do stolika, zaczęła się rozglądać za kelnerką, chciała zapłacić rachunek i po prostu wyjść. Usłyszała głos Piotra.

– Zosiu, halo, halo!

Nie wyłączyła telefonu.

– Słyszałeś wszystko, tak? Musiałeś podsłuchiwać! To jasne.

– Kto to był?

– Michał, znajomy, ale to nie jest twoja sprawa.

Wyłączyła telefon całkowicie. Michał stanął w drzwiach restauracji, bardzo zawstydzony. Podszedł do stolika. Chwycił Zosię za rękę. Chciał uklęknąć, ale go powstrzymała.

– Wybaczysz mi? Właściwie nic nie mam na swoje usprawiedliwienie.

– To nie było w porządku, wiesz, jak się poczułam?

Coś się zmieniło. Do tej pory Michał był niewymagający i przyjacielski. Czowała się przy nim bezpiecznie właśnie z tego powodu. Był przewidywalny. No i trafiał w jej zapotrzebowania. Tym razem ją zaskoczył, od razu ożywił uczucia między nimi. Zofia nie wiedziała, co z nimi zrobić, ale paradoksalnie to, że się postawił, sprawiło, że coś między nimi zaiskrzyło. To już nie była obojętna relacja między znajomymi.

Obiad zjedli bardzo sobą zaskoczeni. Michał patrzył w oczy Zosi, inaczej niż przedtem. Ona uciekała wzrokiem. Rozmowa im nie szła, Zosia nie chciała, by Michał za nią zapłacił, miało być po połowie, pożegnali się przed restauracją. Przytrzymał rękę Zosi w swojej.

– Przepraszam, spotkamy się jeszcze?

Zamilkła, więc kontynuował:

– No powiedz coś.

– Tak. Możemy się spotkać.

Oboje poczuli ulgę, potem Zosia wsiadła do swojego auta, Michał również. Ona pierwsza wyjechała z wąskiej uliczki. On siedział za kierownicą i czekał, aż Zosia bezpiecznie wyjedzie. Dopiero po godzinie dojechała do Żłotniczek,

były na drodze korki, kilka razy musiała się zatrzymać, tak była tym spotkaniem podenerwowana. Panowała ciemność, ale czuć było wiosnę. Nie tylko w powietrzu.

W domu zrobiła sobie herbatę i zadzwoniła do Piotra. Odebrał od razu.

– Dzwoniłem, by ci powiedzieć, że mamy kontrolę.

– A właściwie dlaczego? Latami nie miewaliśmy żadnych kontroli.

– No, a teraz jest. Ale bardziej interesujące jest, czy ów Michał jest dla ciebie kimś ważnym?

– Czy ty wreszcie przestaniesz się wtrącać do mojego życia? – krzyknęła.

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem.

Skasowała połączenie. Oczywiście, poczuła się zraniona, tym razem przez samą siebie. Czowała, że spieszyła niezwykłą znajomością. Piotr chciał jej dobra, nigdy nie powinna w to zwątpić. Przyjaciół nie traktuje się z obcasą. Pogubiła się. Chciała wypłakać żal, złość, emocje całego dnia. Ale tylko padła na łóżko, obok niej wskoczył Mohito.

Po chwili już spali.

1983–1985

Gdy Kulińscy się przeprowadzili do Drawska Pomorskiego, początkowo mieszkali w domu naprzeciwko samotnego starszego pana, Antoniego Rostawickiego. Był to inteligentny, czytany wdowiec, z którym babcia Zosi miała wiele wspólnych wojennych wspomnień. Czasem spotkali się w kawiarni, bo oboje lubili słodczyce, a najbardziej deser Ambrozja. Antoni Rostawicki został wcielony w 1945 roku do czwartej dywizji piechoty i wraz z radzieckimi wojskami wyzwalał Drawsko Pomorskie. Tutaj po wojnie wrócił, potem sprowadził żonę.

Umarła, gdy ogłoszono stan wojenny, tak się przejęła. Do mieszkania seniora Rostawickiego przychodził czasem jego wnuk – Tomek. Miał on z dziadkiem bardzo dobre relacje, starszy pan nazywał chłopaka żartobliwie – jedynym dziedzicem. Rostawicki było szlacheckim nazwiskiem, a Antoni często opowiadał, jak dobre ziemie i jak wielkie nieruchomości pozostawił pod Lwowem. Nie miał nadziei na powrót do majątku ani na uzyskanie rekompensaty za swojego życia, ale liczył, że kiedyś przyjdzie czas, że będą płacić rekompensatę za mienie pozostawione na wschodzie. Wtedy jego wnuk to odziedziczy. Tomek przychodził dziadkowi pomagać, pogadać, a czasem

pograli w szachy. Kiedyś zapukał do domu Kulińskich, by się przedstawić. Zosia i Tomek mieli tyle samo lat, więc szybko się zaprzyjaźnili. Antoni i Ania mówili na nich: „nasza para młoda” i prawdę powiedziawszy, oboje widzieli ich w przyszłości jako małżeństwo, a Antoni, który miał duże mieszkanie, wyobrażał sobie ich mieszkających z nim razem. Oczywiście nie miał śmiałości dodać nic więcej, ale wszyscy doskonale wiedzieli, że i Annę Leśniewską też wyobrażał sobie jako mieszkającą z nimi razem. Kulińscy kpili trochę z Antoniego, mówiąc o nim „narzeczony”. Rzeczywiście, był częstym gościem w ich domu, do czasu, kiedy babcia Ania powiedziała mu wyraźnie, że w kwestii matrymonialnej nie ma na nią liczyć. Wtedy długo się nie zastanawiał, po paru dniach od kosza, jakiego dostał, zaprzyjaźnił się z samotną sąsiadką z drugiego piętra. Jej opowiadał o włościach pod Lwowem i o dawnych czasach. Po dwóch miesiącach wzięli ślub. Kiedy rodzice Zosi dostali większe mieszkanie na osiedlu dla wojskowych, Tomek nadal odwiedzał Zosię, ale jego dziadek, urażony, nie zajrzał do nich ani razu. Któregoś roku Zosia i Tomek wyjechali razem na wakacje – był to obóz wędrowny po Ziemi Lubuskiej. Technikum Rolnicze, do którego chodził Tomasz, zorganizowało go wspólnie z liceum Zosi. To Tomkowi Zosia opowiadała o pierwszych sukcesach, kiedy wygrywała kajakarskie zawody czy o szkolnych albo koleżeńskich porażkach. Był jej pierwszym najważniejszym przyjacielem. Kiedy uczyła się w trzeciej klasie liceum, zostali parą. Odkrywali smak pierwszych pocałunków, nieśmiałych uścisków w parku i wagę obietnic. Rodzice i babcia popierali jej wybór. Wydawał się taki oczywisty.

W czwartej klasie liceum do grupy Zosi dołączyła Magda Malicka. Była absolutnym przeciwieństwem Zosi. Wysoka, dobrze zbudowana, z gęstymi, ciemnymi włosami do ramion, nosiła kolorowe suknie do ziemi albo wyzywające mini i bardzo kolorowe rajstopy. Palila skręty przez długą, rzeźbioną lufkę z kości słoniowej, właściwie odpalała jednego od drugiego. Barwna, bezczelna, czuć było od niej tytoń i mocne, dobre perfumy. Niezwykle zielone oczy podkreślała ciemnoszarym cieniem, a duże usta miała pociągnięte błyszcznikiem. Rzucała się w oczy, nikogo nie pozostawiała obojętnym. Nauczycielka przedstawiła ją, a ona natychmiast bez żadnej nieśmiałości klapnęła w ławce obok Zosi, w ogóle nie pytając o pozwolenie. Rzuciła na blat swoje zeszyty i książki, i założyła nogę na nogę.

– Magda jestem. – Głos miała dźwięczny i donośny.

– Zosia.

W taki sposób zaczęła się znajomość dziewczyn, potem przyjaźń, od początku nieszablonowa, pozbawiona ram konwenansu, a także pruderii.

– Całowaliście się? Wkładał tobie instrument do cipki? – zapytała Magda Zosię po studniówce.

Zosia bawiła się z Tomkiem, a Magda przyszła z jego kolegą – Mirkiem.

Tomasz? Cudowny, greczny, nienarzucający swojej woli, to w nim było najcenniejsze. Po studniówce odprowadził Zosię do domu, pocałował ją na pożegnanie, potem poczekał, aż wejdzie do domu i wtedy dopiero poszedł. Wiedziała, że drogę do domu dziadka, a było to kilka kilometrów, odbędzie pieszo. Byli już dorośli, zachowywali się odpowiedzialnie. Nie to co Magda, która podchodziła do chłopaków luźno i zawsze źle trafiała. Zmieniała facetów nawet kilka razy w miesiącu, zajmowało jej niewiele czasu, by pójść z facetem na całość. Jej ojciec był generałem, ale nic nie wiedział o grzeszkach swojej jedynej córki.

– Wiesz... Mirek powiedział mojemu Tomkowi, że się w tobie zakochał – powiedziała Zosia do Magdy.

– Tak? Wiesz, z nim będzie krótka piłka, będzie moim chłopakiem albo nie będzie. Nie zależy mi. – Magda wzruszyła ramionami.

– Jak to? Całowaliście się, widziałam! Powiedziałaś, że cię pocałował, wiesz, gdzie... tam na dole, no wiesz... – odpowiedziała poruszona bezkompromisowością Magdy Zosia.

– A co jedno z drugim ma wspólnego? Miłość a fizyczna rozkosz to dwie różne sprawy. Usuwałaś kiedyś ciążę? – Magda nie była nawet zażenowana.

– Coś ty!

– Ja tak, dwa razy. Pod narkozą, wcale nie było strasznie. – Zachichotała.

„Jak to dobrze, że mam Tomka” – pomyślała Zofia. Jej chłopak miał opinię przystojniaka, wiele dziewczyn z Drawska chciałoby, by na nie choć spojrział. Zosia czuła się wyróżniona, zakochana, dni spędzali na snuciu planów co do przyszłości, pływaniu w jeziorze i... na miłosnych uniesieniach. Była wiosna, wszystko zaczynało swój bieg. Zosia w ramionach Tomka czuła pożądanie, to było naturalne, ale nigdy nie przekroczyli granicy, choć była blisko, nieraz trudno było im opanować emocje. Tomek nie nalegał, był taki roztropny. Kiedyś kupili parę srebrnych kolczyków i przez ziemniak przekłuli sobie uszy igłą maczaną w spirytusie. Zosia w lewym uchu, Tomek w prawym. Mimo że uszy mocno krwawiły, założyli po kolczyku, bo to miał być znak, że na zawsze

chęcią być razem.

Zakochana na zabój Zosia z powodu Tomka zmieniła plany. By być bliżej niego, złożyła dokumenty na uczelnię w Szczecinie, zrezygnowała ze starania się o studia w Poznaniu albo Gdańsku, jak chcieli rodzice, i jak wcześniej sama planowała. Miała być polonistką, a potem wrócić do Drawska i uczyć w miejscowym liceum.

– Czy na pewno zastanowiłaś się dobrze, córeczko? Czy Tomek jest naprawdę tym odpowiednim? – podpytywała Zosię mama.

– Mamo, weź. Tomek jest bardzo samodzielny, w mieszkaniu Rostawickich w Zarańsku nie jest bogato, ale się bardzo kochają i Tomek też to potrafi, uczuciowość wyniósł z domu. Jego tata kiedyś sprzedał obrączkę, aby Tomkowi kupić niemiecką kolejkę na baterię. Jestem pewna, że i Tomasz by tak postąpił, gdyby nas nie stać było na zabawki dla dziecka. To mnie w nim ujęło. Obrączka to tylko symbol.

– Obrączka zobowiązuje, to nie tylko symbol, to pamiątka wzruszających chwil i obietnica podobnych w przyszłości. Nie można jej sprzedać, by kupić zabawkę! Zosiu, sama zdecydujesz, co zrobisz, ale pamiętaj, życiem nie można się bawić, cokolwiek się uczyni, to w nas zostaje – powiedziała wtedy mama.

Zosia złożyła dokumenty na ... rusycystykę. Coś jej tak kazało. Ojciec posługiwał się tym językiem. Oczywiście się dostała. Hurra! Była dorosła. Czekają ją intrygujące studenckie życie, najlepsze lata młodości. Babcia i mama kompletowały odzież dla Zosi, babcia uszyła dla niej błękitną sukienkę z tkaniny bouclé, a mama dała przerobić swój stary samodzielowy kostium na zgrabną garsonkę z przeznaczeniem na egzaminy. W Szczecinie dokupiły kilka sukienek, bluzek i marynarek z Dany i obowiązkowo dwie pary dżinsów z Odry.

Zofia już od lata miała zamieszkać w Szczecinie sama, pierwszy raz bez rodziny. Wprawdzie Kulińscy zmieniali mieszkania i miejsca zamieszkania, jak większość rodzin wojskowych, ale wtedy Zosia się tylko dostosowała, nie czyniła tego ze swojego powodu. Teraz było inaczej, musiała zamieszkać bez ukochanej babci, bez taty i mamy. Ale... w Szczecinie miał zamieszkać Tomasz Rostawicki, który dostał się na Akademię Rolniczą, na wydział Rybołówstwa. Marzyły mu się wielkie światowe łowiska.

Postanowiła i koniec, jeśli chodzi o uczucia, była konsekwentna. Rodzice i babcia narzekali, że wybrała rusycystykę, kierunek w tamtym czasie był

społecznie źle postrzegany, ale Zosia lubiła rosyjską sztukę, muzykę i poezję. Powiedziała, że jeśli da radę, to od drugiego roku zacznie też studia na polonistyce.

Zosia pochodziła z dość majątnej rodziny, więc odrzucono jej wniosek o akademik. Rodzice wynajęli dla Zosi stancję w wieżowcu na ulicy Asnyka. Magda, gdy się dowiedziała, że Zosia sama zamieszkała w kawalerce, też przyjechała do Szczecina. Niespecjalnie jej poszła matura, a na przygotowanie się do egzaminów wstępnych na poznańską Akademię Ekonomiczną nie miała serca. Zosia ją namówiła, by złożyła w Szczecinie papiery na Akademię Rolniczą, na dwóch kierunkach były jeszcze miejsca.

Magda była świeżo po miłosnym zawodzie. Przyjechała do Szczecina, by z dala od domu usunąć ciężę, tak powiedziała. Zrobiła to w szczecińskiej przychodni. To Mirek nie okazał się dżentelmenem. Wyparł się dziecka, a gdy zażądała, by dołożył się do zabiegu, uderzył ją w twarz. Magda oczywiście postraszyła go ojcem, zagroziła, że wojsko ma jak w banku. Blefowała, bo tata Magdy nic o ciąży córki nie wiedział. Zosia i Tomek pomagali jej tak, jak potrafili, Tomek po zabiegu odebrał Magdę z przychodni. Kilka dni dochodziła do sił w łóżku Zosi, która musiała się przenieść na matę i spać na podłodze. Magdalena dostała się na Akademię Rolniczą, a dzięki pieniądzom ojca ulokowała się w umeblowanym dwupokojowym mieszkaniu na ulicy Malczewskiego. Niedaleko od domu Zosi.

Szczecin był ukwiecony, kwitły rabaty z kwiatami, parki uwodziły kolorem. Rosły platany, wszędzie było mnóstwo starodrzewu. Szczecin... to było prawdziwe miasto zieleni. Tomek w sierpniu pojechał do domu, miał popracować w tej samej firmie co jego ojciec, Magda wróciła do Drawska się spakować, a Zosia zatrudniła się na miesiąc w Centrali Rybnej w Szczecinie i popołudniami zwiedzała miasto. Zobaczyła Wały Chrobrego, neorenesansowy budynek Muzeum Narodowego, Zamek Książąt Pomorskich, gmach Urzędu Wojewódzkiego i katedrę św. Jakuba. Tarasy widokowe i fontanna były dla niej najpiękniejszym miejscem na świecie, no i całe nabrzeże.

Gdy Tomasz i Magda pod koniec sierpnia wrócili do Szczecina, w trójkę parę razy popłynęli stateczkiem na plażę mieleńską, gdzie dziewczyny opalały się bez staników. Dwa razy dobili wodolotem do Świnoujścia. Łał. Zosia czuła się mieszkanką wielkiego miasta. Miała przy sobie przyjaciółkę, Tomka. Była samodzielna i bardzo zakochana. Tomek Zosię nazywał kitkiem albo

kochanym stworzonkiem. Był opiekuńczy także dla Magdaleny, która po zabiegu wyraźnie złagodniała. Być może dlatego, że lekarze, wiedząc, że to nie było jej pierwsze usunięcie ciąży, nastraszyli dziewczynę, że nie będzie miała dzieci. Założyli jej spirale.

Pewnego dnia Tomek przyjechał na Asnyka z wiadomością, że są miejsca na studiach w Związku Radzieckim, w Mińsku. Zapalił się do tej myśli, wyjazd poza Polskę mógł być przepustką do świata. Zresztą, jego dziadek miał sentyment do Rosjan. Zosia też się zapaliła do tego pomysłu, nie wyobrażając sobie życia bez Tomka. Rusycystyka okazała się dobrym wyborem, gdyby była studentką polonistyki, nie mogłaby się starać. Nie konsultując niczego z rodziną, skompletowała dokumenty, wysłała. A po kilkunastu dniach otrzymała odpowiedź, że została przyjęta. Podobnie jak i Tomasz.

Babcia, mama i tata nie byli zadowoleni, stanowczo przedstawiali, co mają przeciw. Daleko, zimno, niebezpiecznie, zbyt socjalistycznie. Ale się uparła. Zresztą, w Rosji u władzy był Gorbaczow, działa się pieriestrojka, te rzeczy... no i Tomek byłby w pobliżu. Gdy będą razem, nic złego stać im się nie może.

– Tam weźmiemy ślub, dobrze? – Któregoś dnia oparła głowę na ramieniu swojego chłopaka. Byli parą już kilka lat. Tomek nic nie odpowiedział, pogłaskał ją tylko po włosach. Wykazał niewielki entuzjizm, Zosia wolałaby, żeby skakał z radości. Tymczasem wyglądał tak, jakby temat ślubu go nie obchodził. Zabołało ją to.

– A może nie chcesz być moim mężem? – Zosia zdjęła głowę z ramienia Tomasza i zajrzała mu w oczy. Wyraźnie się spłoszył i uciekł wzrokiem.

– Nie, coś ty! – wyjąkał.

Od końca września mieli zamieszkać w akademiku w Mińsku, jak dorośli. Na początku września Zosia pojechała do rodziców do Drawska, Tomek został w akademiku w Szczecinie. Miał dojechać do niej za parę dni, Zosia bardzo tęskniła, ale czas mijał jej na przygotowaniach do wyjazdu. Osłoda była świadomością, że za parę tygodni będą zawsze ze sobą.

Po paru dniach listonosz przyniósł list do Zosi. Tomasz napisał, że rezygnuje z wyjazdu, że bardzo ją przeprasza, ale właśnie wysłał do Mińska rezygnację. Zostaje na Rybołówstwie w Szczecinie. To wszystko. Nawet nie przyjechał, żeby jej zakomunikować tak ważną decyzję.

Zosia próbowała się z nim połączyć telefonicznie, okupowała pocztę, ale nie miała szczęścia zastać go w akademiku. Wreszcie po nastym telefonie recepcjonistka powiedziała, że przed chwilą wyszedł ze swoją dziewczyną, że

nie zdążyła już ich złapać, bo wsiedli do tramwaju. Ze swoją dziewczyną? Musiała się pomylić. Zadzwoiła do Magdaleny. Mieszkanie, które Magda wynajmowała, należało do marynarza, który zatroszczył się o telefon w domu. Ale jej też nie było. Wieczorem wreszcie odebrała, ale nie chciała rozmawiać o Tomku. Powiedziała, że od dawna go nie widziała.

– Pokłóciliście się? – zapytała zaskoczona Zosia.

– Nie, po prostu nie było okazji.

Zosia pomyślała, że Magda pewnie znów jest w kimś zakochana. Pod wieczór ponownie zadzwoniła do akademika. Recepcjonistka ucieszyła się, powiedziała, że tym razem ma szczęście.

Zosia usłyszała głos Magdy.

– To ja. Nie wiem, co mam tobie powiedzieć. Na pewno będziesz nami gardzić, ale musisz zrozumieć, że to jest miłość. Kocham Tomasza, odkąd go pierwszy raz zobaczyłam. Wszyscy poprzednicy byli dlatego, że nie było Tomka. A nie było, bo należał do ciebie. To on zdecydował, nie ja. Teraz możesz się na mnie wyżyć.

Oczywiście, zdrajcy nie starczyło odwagi, by powiedzieć to swojej dziewczynie osobiście – wysłał do niej... swoją obecną ukochaną! Tak, tak, jej narzeczony, z którym była kilka lat, odszedł do jej najlepszej przyjaciółki.

Ładna historia. Cóż za szczerłość!

– Życzę wam, aby wasza miłość okazała się niezniszczalna. Naciesz się, nie będę o niego walczyć. Trudno – powiedziała to wbrew sobie. Uniosła się ambicją, nie chcąc dać satysfakcji rywalce. Po powrocie do domu z poczty zamknęła się w pokoju, płacząc w poduszkę.

Babcia była przerażona, zajrzała do pokoju.

– Nie teraz, babciu! – podniosła głos.

– Powiedz mi tylko, czy to on?

– Tak – odpowiedziała Zosia i rozplakała się na głos.

Przepłakała kilka dni, w ogóle nie wychodząc z domu.

– Nie musisz nic mówić, kochanie, płacz, rozpacz odchodzi ze łzami, mija – dodawała jej otuchy babcia.

Potem przyszedł list, rozpoznała na kopercie pismo Tomka, przeczytała, owszem. Miała jeszcze nadzieję. Przepraszał, tłumaczył się, jak to próbował walczyć z uczuciem do Magdy. Nie przewidział, że zakocha się najprawdziwszą miłością i będzie to uczucie odwzajemnione. Nie odpisała, a list podpaliła. Ogień, który miał położyć kres uczuciu, palił jej serce. Słowa

„najprawdziwsza miłość” bardzo ją zaboląły. Potem przyszły od Tomka jeszcze dwie listowne wypociny, ale wrzuciła listy do pieca. Cóż nowego mógł napisać? Nie chciała być więcej raniona.

Rodzice, widząc, w jakim jest stanie, odradzali jej studia w ogóle. Chcieli, by została w domu i przez rok dobrze się zastanowiła, co chce w życiu robić. Rusycystyka w Szczecinie była przecież wyborem dla niego. Babcia nawet chciała pomówić z dziadkiem Tomasza, ale Zosia kategorycznie jej tego zabroniła. Podjęła decyzję, że wyjedzie do Mińska. I że robi to za parę dni. Sprawdziła, od kiedy może wprowadzić się do akademika – było to możliwe od „zaraz”.

W przeddzień wyjazdu babcia Ania przyszła do jej pokoju, trzymała w ręce kawałek białej szmatki z haftem, wyraźnie spranym. Był to fragment czegoś większego, sprzed lat, co było widać.

– To się tylko uchowało, reszta poprzez wielokrotne prania już w czasie wojny się przetarła. Była to kapa na łóžeczko, w upały przykrywałam tym twoją mamę. Nieraz, patrząc, jak śpi, moje łzy kapały na przykrycie. Najbardziej przykre było to, że nie widzi jej Józef. Gdy będziesz płakać po Tomaszu, możesz jej używać jak chusteczki. Ale lepiej niech będzie dla ciebie czymś naszym, czymś do wspominania, a nie do płakania. Rozpacz naprawdę szybciej mija, jeśli zrozumiesz, że nie mogłaś zapobiec temu, co się wydarzyło, a co cię przygnębia.

Zosia wzięła szmatkę, spakowała do walizki razem ze zdjęciami babci i rodziców. Oni zawsze byli jej najbliżsi, bez nich nic nie byłoby ważne. Oni jej nigdy nie zdradzili. Chciała wyjechać natychmiast, ale bilet na pociąg dostała z terminem dopiero na dwudziestego września.

Czas minął szybko. Wyjeżdżała, bo tak się ułożyło. Wierzyła, że coś na pewno na nią tam czeka. Funkcjonował palec boży, czasem udawało jej się dostrzec jego wskazania.

Podróż pociągiem była wyczerpująca, kilkadziesiąt godzin na siedząco, z dwoma walizkami, małą poduszką i kocem, w razie zimna. Jechała w dalekie strony w nowym wiśniowym płaszczu z Telimeny, obszytym czarnym futrem, na nogach miała czarne kozaczki z Chełmka, a pod spodem kraciastą wełnianą sukienkę trapez z Dany. Na głowie czapeczkę z resztek włóczki, wykonaną przez babcię, taki sam szal i rękawiczki. W Polsce było jesienią, nadal ciepło, ale na wschodzie należało się spodziewać przymrozków.

W akademiku nie było jeszcze wielu studentów. Zajęcia zaczynały się od

października. Zosia zwiedzała Mińsk. Przeczytała wcześniej, że miasto podzieliło podczas drugiej wojny światowej los Warszawy i zostało doszczętnie zniszczone. Zabytków było niewiele. Jedynie kwartał zwany Troickim Przedmieściem oraz Wierchni Horad. Reszta miasta zabudowana była monumentalnymi budowlami epoki socrealizmu. Główną arterią miasta stanowiła zaczynająca się w okolicach dworca kolejowego Aleja Niepodległości, ciągnąca się przez kilkanaście kilometrów, to w jej sąsiedztwie mieściła się większość najciekawszych obiektów miasta, zwłaszcza budynki administracji republiki. Kilkaset metrów dalej aleję przecinała rzeka Świsłocz, która tworzyła liczne zakola.

W Mińsku podobało jej się wszystko, a najbardziej międzynarodowe luzackie towarzystwo, które w ostatnich dniach września gromadnie zjechało do akademika. Mogła rozmawiać po niemiecku i po angielsku, ale najczęściej czyniła to po rosyjsku. Rana, zadana jej przez Tomasza i Magdalenę, wciąż krwawiła, ale rozpoczęły się zajęcia, zadzierzgiwały się przyjaźnie. Po kilku tygodniach potrafiła się śmiać.

– Tutaj jest świetnie! Już nie płaczę. – Wykonała telefon z okazji sześćdziesiątych siódmych urodzin babci Ani. W ich bloku dla oficerów Wojska Polskiego w Drawsku wreszcie zainstalowano linię telefoniczną.

– Bo to niewierny Tomasz był. – Zażartowała mama.

– Kochanie, a nie mówiłam? Już jestem szczęśliwa. U nas też idzie ku lepszemu – zniesiono kartki na cukier. Tęsknimy, nie możemy się doczekać świąt i twojego przyjazdu. – Cieszyła się babcia.

Maj 2011

Zosia, wracając kiedyś z Poznania, postanowiła odwiedzić Krystiana Mąderka. Było ciepło, jak na polskie warunki. Skręciła na drogę do Barcinka. Pretekstem do odwiedzin było dwieście złotych, jakimi chciała go nagrodzić. Otrzymała z gminy pieniądze, a Krystianowi się bardzo należały. Doszło do tego, że dzieciakom poświęcał w każdą sobotę po kilka godzin, a nie, jak się umawiali, w co drugą. Przywiózł swoje farby, wypożyczył sztalugi, najważniejsze, cieszył się z sukcesów dzieciaków, na co on bezpośrednio przecież pracował. Nigdy słowem nie wspomniał, że przydałyby się jakieś pieniądze, każdy ich potrzebował, Zosia to doskonale wiedziała. Był żonaty, miał dzieci.

Znała jego adres, bez problemów podjechała pod wskazany numer. Mały różowy domek, opleciony bzm i bluszczem. Jakże romantycznie to wyglądało! W ogrodzie kwitły rododendrony, o różnych kolorach. Widać było, że dom nie jest nowy, a przebudowany ze starej substancji. Przed wejściem w donicach, różnego koloru i kształtu, rosły różnokolorowe bratki. W wielkich jednopółciowych oknach nie było firan, a tylko rolety materiałowe. Gdy Zosia zadzwoniła do furtki, drzwi się otworzyły, na progu stanęła młoda piękna brunetka w zaawansowanej ciąży.

– Dzień dobry. Zastałam pana Krystiana?

– Tak, tak, jest za domem z dziećmi, proszę wejść.

Zosia, poprowadzona przez kobietę, nie zdążyła się przedstawić. Zza domu wybiegła dwójka chłopców, cztero-, pięcioletnich, z patyczkami w upačkanych farbami rękach. Na widok Zosi stanęli i elegancko dygnęli.

– Tata, tata! – Z wołaniem pobiegli za dom.

Krystian pojawił się natychmiast.

– Zosia? Jaka niespodzianka, Kasiu, to Zosia ze Złotniczek. To moja żona, Kasia. – Krystian i Kasia stali objęci, uśmiechnięci. – Chłopcy, proszę tutaj szybko się przedstawić.

Przebiegli, prawie się nie zatrzymując.

– Bartek, Wojtek. – Usłyszała.

Zosia usiadła na fotelu na werandzie, za domem. Na stole stał talerz z drożdżowym plackiem i kubki z kompotem. Krystian usiadł na ławce – huścawce, obok niego Kasia. Oparła się wygodnie, kładąc stopy na kolanach męża.

– Przepraszam, ale nasza Krysia ma przyjść na świat jeszcze w maju. Ciężko mi już teraz, ale do wytrzymania. – Kasia Mąderek miała miły, ciepły głos.

– Nie wiedziałam, że tworzycie tak fajną rodzinę. Krystian nigdy się nie chwalił. Zazdroszczę. Też kiedyś miałam taką dużą, razem mieszkaliśmy. Babcia, mama, tata, Marieta była mała, a teraz... no nic, mam dzieciaki w Złotniczkach. I w ogóle przyjaciół, którzy bardzo mi pomagają.

– Marieta to córka? A mąż? – zapytała Kasia. W jej pytaniu było wyłącznie przyjacielskie zainteresowanie. Zosia nie poczuła się tym razem zniecierpliwiona.

– Wiele by mówić – odpowiedziała.. – Widocznie nie potrafiłam stworzyć trwałego związku, tak najogólniej. A Marieta? Studiuje w Berlinie, też ma coraz mniej czasu dla mnie. Za chwilę przeniesie się do Nowego Jorku.

– Córka Zosi śpiewa, ma wielki talent – dodał Krystian.
– Uważam, że trzeba wierzyć w miłość, prawdopodobnie najtrudniejszą ze sztuk. – Kasia się uśmiechnęła i położyła swoją rękę na dłoni Krystiana. – Gdy się ma dużo dzieci, a chce się obdarować uczuciem wszystkich równo, nie ma czasu na zastanawianie się. Lubię być w domu, chłopcy rozrabiają, ale jest mi dobrze. Podobno bliskość powoduje wydzielanie się serotoniny. Gdy kochamy, młodniejemy. Pewnie to prawda, bo po co nam kremy, kiedy jesteśmy w ramionach ukochanego?

Sporo czasu Zosia posiedziała u Mąderków w Barlinku, nie chcieli jej wypuścić. Poszli na spacer po lesie, usiedli, by odpocząć nad zalewem. Ze skarpy widać było zalew w całej krasie. Milczeli, patrząc na spokojną wodę, nad którą zaczynała się kłaść przedwieczorna mgła, nawet chłopcy przestali biegać, umilkli.

„Jakaż to mądra i kochająca się rodzina” – myślała w drodze do domu Zosia. Pewnie mieli swoje kłopoty, jak wszyscy, ale nie gloryfikowali ich. Dobrze jej tam było. Wróciła do Złotniczek przed zmierzchem. Dom był pusty, więc odpoczywała. Piotr nie dzwonił ani nie pisał e-maili. Także Michał zamilkł, pewnie nadal był w Brukseli.

Weszła na swój strych, Mohito od razu wybiegł na ogród, biegał koło płotu. Gdy wrócił, zaczął się łąsić. Siadła, stopy położyła na podnóżku, pogłaskała pieska. Natychmiast wskoczył jej na kolana.

Tymczasem Ola ze Staszkiem ostatniego kwietnia wsiedli do samolotu do Paryża, a tam przesiedli się w samolot do Polski. Staś leciał drugi raz w życiu, a pierwszy bez mamy. Udawał, że lot nie jest dla niego „pierwszyną”. Ola była odpowiedzialna, jednak Iga potwornie się bała, czy dolecą, czy dadzą sobie radę. Nawet przed mężem nie starała się udawać, że jest inaczej. Była najeżona i od rana czepiała się o szczegóły. Kiedy krzyknęła, że nie wstawił kubka po kawie do zmywarki, Kosma nie wytrzymał.

– Zdecyduj się wreszcie, o co tobie chodzi?

– O drewniane pięć dolarów. – I zaczęła płakać.

Kos był dżentelmenem i z cierpliwością znosił humory żony. W zasadzie od zawsze mogła liczyć na jego dobre słowo. Więc, jak on mógł zadać jej takie pytanie? Była zmęczona chorobą, a jej dzieci same, bez jej opieki, fruwały

gdzieś w przestworzach!

Było coś jeszcze. Iga przyjmowała dużą dawkę methotrexatu, a mimo to stan zapalny nadal się utrzymywał. Stawy nadal były opuchnięte i sztywne. Zatrzymała się przed alternatywą, czy płacić ubezpieczenie zdrowotne (co wiązało się z dużym miesięcznym wydatkiem) i powrócić do leczenia biologicznego? Czy leczyć się jak do tej pory, tanim lekiem? Lekarz, sprowadzony do domu przez Kosmę, zaproponował pozostanie przy dotychczasowym, niedrogim sposobie leczenia, ale zalecił kolejne zwiększenie dawki. Iga znów bała się skutków ubocznych. Znów czytała opinie pacjentów i ... hejterów.

Dzieci bezpiecznie dotarły do Polski i ... podobno były tam szczęśliwe. Ola szalała z kolegami i koleżankami w Warszawie, a Leszek przekonywał w rozmowie telefonicznej Igę, że Staś ma się dobrze, bawi się bądź jest zajęty w inny sposób. Nie dał jej porozmawiać z synem, taki był, wciąż szukał sposobu, by jej dokuczyć. Poza tym z uwagi na siedzenie w domu bez pracy, tetryczał. Oczywiście, o prezentach nawet nie wspomniał.

Po paru dniach od wyjazdu Oli i Stasia do Igi nadeszły niepomyślne wieści. Kurczewski w sądzie apelacyjnym przegrał jej sprawę, doprowadził jedynie do tego, że wobec braku dowodów odstąpiono od wymierzenia kary więzienia dla Igi. Niestety, zasądzono od niej tysiąc złotych z zamianą na areszt w przypadku braku zapłaty. Uniewinnienia nie było. Jak to!? Przy jej niewinności? Iga odpisała Kurczewskiemu, że ma walczyć dalej. Tylko całkowite odstąpienie od zarzutu ją usatysfakcjonuje! Kurczewski znów – jak to on – poradził jej podejść do sprawy mniej emocjonalnie, a ekonomicznie. To było rozsądne podejście, Iga jednak postanowiła nie posłuchać mecenas.

Odwołanie się do wyższej instancji było jedyną drogą do jej uniewinnienia.

Przez kolejny tydzień czuła się bardzo źle. Większa dawka leku nie zadziałała od razu, miotła się w mękach, mimo leków przeciwbólowych, dlatego zdecydowała się, jak poradził lekarz, na równoległe włączenie dawki uderzeniowej sterydami. W trakcie zdrowotnych perypetii, minął czas na kolejną apelację. Kurczewski wprawdzie przysłał jej e-mailem ponaglenie, ale nawet go nie przeczytała, przez parę dni nie była w stanie trzeźwo myśleć. Gdy leki zadziałały, wróciła jej wola walki o sprawiedliwość. Posiłkując się zaświadczeniami amerykańskich lekarzy, próbowała przywrócić termin na złożenie apelacji.

Niestety, bezskutecznie.

Stało się. Właściwie z dnia na dzień. Mieszkanie w Drawsku zostało wreszcie sprzedane, ale nie obyło się bez perypetii. Zainteresowani nim byli sąsiedzi, ale żona straciła pracę i bank cofnął im promesę kredytową. Zosia musiała zadziałać szybciej. Porozmawiała ze znajomą taty z wojska o kłopotach ze sprzedażą. Kobieta powiedziała jej, że Wojsko Polskie szuka dużego lokalu dla generała. Plusem było to, że w bloku Zosi mieszkały rodziny wojskowych – czynnych lub w spoczynku. Udało się, lokal poszedł za dobre pieniądze, wypłacone w dwóch transzach.

Zosia pooddawała długi, a resztę podzieliła. Część pieniędzy przeznaczyła na zakup mieszkania w Poznaniu. Od agentki nieruchomości nadeszło kilka ofert, ale Zosia wybrała jedną z tańszych, blisko centrum. Kawalerka mieściła się w starej kamienicy przy ulicy Prądyńskiego. Klatka schodowa była zniszczona, a z lamperii obłaziła brązowa olejna farba. Idąc do góry za agentką. Zośka miała wrażenie, że za drzwiami z pierwszego i z drugiego piętra nie słychać oznak życia. To za sprawą bardzo grubych murów i solidnych przedwojennych drzwi. Wejścia do kawalerki na sprzedaż też strzegły wielkie brązowe drzwi, które podczas otwierania wydały kilka pisków. Mieszkanie było ciemnie i ponure, wysokie białe plastikowe okna – na szczęście nowe – wychodziły na podwórze. Pokój był niewielki, kosztem jego powierzchni wyodrębniono małe aneks kuchenny. Łazienka znajdowała się zaraz przy wejściu. Lokal miał wysokość przeszło trzech metrów, na ścianach straszyły bordowe szlaczki na zielonym tle. Mieszkanie sprzedawali spadkobiercy zmarłej babci.

Kupiła tę kawalerkę. Następnego dnia otrzymała klucze.

Piotr Braś szybko dowiedział się o sprzedaży przez Zosię mieszkania w Drawsku, tam nowiny tego typu roznosiły się błyskawicznie. Zadzwoił do Zosi. Pochwaliła się zakupem kawalerki w Poznaniu, ubolewała z powodu jej stanu. Powiedział, że i tak miał być na weekend w Poznaniu, więc się dobrze składa. Wpadnie. Tak też się stało. Umówili się na Prądyńskiego. Potem wziął sprawy w swoje ręce, zadecydował o wszystkim za Zosię, kupił farby, ulokował się w kawalerce i wysłał Zośkę do Złotniczek. Zapewnił, że nie ma się niczym martwić. Powiedziała, że w takim razie przyjedzie po klucze w niedzielę po południu.

Kiedy w niedzielę stanęła przed drzwiami mieszkanca, pomyślała, że pomyliła adres. O mało z ręki nie wypadła jej ciepła jeszcze pizza, jaką wiozła dla Piotra. Drzwi przybrały barwę matowej szarości. Okazało się, że są całkiem ładne.

Kawalerka przeszła remontową rewolucję. Piotr, bardzo z siebie dumny, siadł na szarej kanapie, manifestacyjnie opierając nogi na jasnoszarej ławie.

– Za kanapę będziesz mi musiała forszę zwrócić, ale niedużo, pięćset złotych. Jest używana, choć nie widać śladów. Resztę mebli wyszukałem na gratowisku.

Zosia bez słowa wyciągnęła pieniądze.

Czuć było zapach farb. W mieszkaniu sprzęty i meble utrzymane były w odcieniach szarości, podobnie jak ściany, połączone naprzemiennie z kremowymi, dały wrażenie sterylności. Pokój bardzo zyskał na wielkości. Ładnie się zrobiło i czysto. Zdążyli zrobić kilka zdjęć, które Zosia postanowiła umieścić w Internecie.

– A podziękowanie? – zapytał Piotr, nadstawiając policzek do pocałunku.

– Przestań, naprawdę pięknie tobie dziękuję. Nie jestem ostatnią żoną, za jaką mnie na pewno masz.

– Ostatnią, nie!

Pośmiali się chwilę.

– Powinam ci zapłacić za usługę. Ile? – zapytała Zosia.

– Nie robiłem tego dla pieniędzy. – Zaśmiał się bezczelnie, jak to czasem potrafił, a czego w jego wykonaniu nie lubiła, bo przypominał jej Tomasza. I to nie było dobre.

– A dla czego?

– Dla przyjemności. – Nadstawił policzek.

Pocałowała Piotra. A raczej cmoknęła.

Pożegnali się przed kamienicą. Przed Piotrem była długa droga do Drawska. Przed Zosią krótsza, do Złotniczek. Ruszyła pierwsza, ale zatrzymała się za chwilę. Uchyliła okno samochodu.

– Nie powiedziałaś mi, co z kontrolą.

– Nic, siedzą. Poryją, to pójdą – odpowiedział Piotr.

[1] Anna Achmatowa, *Masz odwagę* z tomu *Białe ptaki*.

[2] *Witajcie w naszej bajce* – autor: Krzysztof Gradowski.

[3] *Mniej niż zero* (fragment) – tekst: Andrzej Mogielnicki, muzyka: Jan Borysewicz.

[4] Krem z kukurydzy.

[5] Tortilla nadziewana brokułami i serem.

Rozdział 2

*Choć papierków po cukierkach
Ślad i tam i tu
Marzy mi się bombonierka
Istny cud
Żeby tak nasycić się
Ale wciąż w zapasie mieć
I rozgryzać tę zagadkę
Po ostatnią czekoladkę*

Barbara Stępnia-Wilk, *Bombonierka*

Maj 2011

Stało się. Chciało jej się tłuc głową o ścianę. W świetle prawa Iga Bednarz pobiła Grażynę Chraplak. Przywrócenie terminu do złożenia apelacji nie okazało się możliwe. Wyrok się uprawomocnił. Nie potrafiła się z tym pogodzić. Na szczęście z Polski docierały również inne, mniej dramatyczne wieści. Staś przebywał u swojego ojca, Ola u swojego, i nie narzekali. Wyglądało, że Leszek się ocknął i wreszcie chciał tego samego co i ona, czyli dobra ich wspólnego dziecka. Iga tęskniła, najchętniej trzymałaby Olę i Staszka zawsze blisko siebie. Nie byłoby to mądre, zdawała sobie znakomicie sprawię z tego, że dzieci wychowuje się dla świata, nie dla siebie.

Ola, gdy po tygodniu odbierała Stasia od ojca, też absolutnie nie spodziewała się dramatu. Rozmawiali nieraz telefonicznie, ale jej brat sprawiał wrażenie zadowolonego, na nic się nie skarżył, czasem nawet powiedział coś dowcipnego. Tymczasem w mieszkaniu Leszka Podkańskiego w Koninie zastała dziecko zapłakane, a raczej zapuchnięte od płaczu, a jego okropny ojciec, jak lump, nieogolony i zaniedbany, nawet na jej widok nie skinął głową. Podkański. Kiedyś to był elegancki mężczyzna! Dobrze ubrany, elokwentny i z biznesowym zacięciem, zresztą żadnym innym facetem jej mama

by się nie zainteresowała. Ola lubiła kiedyś ojczyma.

Teraz, gdy coraz więcej fatalnych obrazów (z nim w roli głównej) nakładało się na siebie, już nie wiedziała, co o nim myśleć. Pogubił się, bo nie podejrzewała go o premedytację, czy świadome staczanie się. Nie starał się, nie pracował. Kiosk, który kiedyś prowadził, podobno nie przynosił dochodów. Nie było zysku, bo o to nie zabiegał! Ola usłyszała przed wylotem do Polski, jak mama tłumaczyła się Kosmie, że facet jest na zasiłku, pieniądze mu nie wystarczają nawet na opłacenie mieszkania, a nie wypada, by jedzenie wygrzebywał ze śmietników. Był ojcem Stasia i choćby dlatego należało mu pomóc. Czyli go opłacała! Pewnie przyjmował to jako należne mu profity, nie siląc się na wdzięczność.

Było jej przykro, miał przecież świadomość, jak mama ciężko pracuje, mimo chorób, które ją osaczały. Iga pomagała jej, swojemu byłemu mężowi, o najbliższych w Polsce też nie zapominając. No i niektórzy ze Złotniczek też powinni byli pocałować ją w rękę. Na przykład Dyduchowic, którzy otrzymali od mamy Oli więcej niż od kogokolwiek. Znienawidzony kiedyś przez Igę ojciec zmarłej Ewy, pijus Dyduch, podobno, jak opowiadała Basia, siedział cały dzień nad paczką z amerykańskimi ubraniami i czekoladami. I nie pił przez dwa dni, taki był zszokowany, że ktoś przysłał mu czekoladki.

Ola gardziła lumpami, tchórzami i leniami, generalnie ludźmi małego formatu, podziwiała mamę. Nie poddała się w obliczu kłopotów, w jakie wpędzili się oboje – ona i Leszek. Iga była dla niej bohaterem, Leszek tchórzem. Niewielu rozumiało jej mamę, no cóż, była silna i zapatrzona w swój biznes, który niewątpliwie prowadziła z zacięciem. Miała smykałkę. Była pracowita i konsekwentna. Ludzie zaś kochają słabeuszy, bo przy nich czują się lepsi.

Jakże kochała swojego brata. Zapłakany Staś, rzucił się na powitanie Oli, uwiesił się na jej szyi. Trząśł się.

– Jak mogłeś doprowadzić do tego, by twój syn był nieszczęśliwy?! Jak mogłeś!?! – Ola nie wytrzymała.

Leszek wzruszył ramionami. Poszedł do kuchni.

– O nie! Natychmiast wyjeżdżamy. – Postanowiła Ola. – Masz wszystko spakowane? – zapytała brata.

Staś wskazał palcem dziecinną walizkę na kółkach, która stała przy drzwiach.

– Nie chcę wyjechać z Polski. – Spojrzał Oli w oczy.

- Nie chcesz wrócić do domu, do mamy?
- Chcę być z tatą. Z mamą też... – I się rozplakał.

Podkański, gdy usłyszał słowa syna, pojawił się w drzwiach.

– Zapamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Ja jestem twoim ojcem, nie Kosma. Kogo kochasz najbardziej? Zapamiętasz? – Kucnął przed dzieckiem, wbijając wzrok w jego twarz.

– Tak, tato – odpowiedział przejęty chłopiec.

– Wiesz co? Miałam się nie wtrącać – Ola podniosła głos. – Kiedyś byłeś dla mnie prawie ojcem, nic złego nie mogłam o tobie powiedzieć. Tak było, ale teraz wiem, że nie powierzyłabym twojej opiece nawet szczura! Weź się, człowieku, ogarnij!

Chwyciła brata za rękę, i wyszli. Pod blokiem zapakowali bagaże do taksówki, wsiedli, i pojechali na dworzec. Kiedy już opadły emocje, kiedy ulokowali się w pociągu, mogli wreszcie szczerze pogadać. Byli sami w przedziale. Staś opowiedział, jak to tata nie pozwolił mu na opowieści o Stanach, o mamie, o Koronowskich. Jak ciągle mu powtarzał, że jest niewdzięczny, bo wybrał Kosmę i dobrobyt, a prawdziwego ojca, z którego krwi powstał, zostawił samotnego, bez opieki.

Staś się otworzył, wyrzucił z siebie wszystko, co go bolało, ale był tak roztrzęsiony, że Ola pożałowała, że zawiozła go do Konina, że nie zabrała go ze sobą do Warszawy. Jej ojciec przynajmniej miał jakąś charyzmę. Przenigdy w jej obecności nie powiedział złego słowa o mamie.

– Jak szybko się dorasta? – zapytał Olę, kiedy się uspokoił.

– Różnie, każdy inaczej. Są ludzie po czterdziestce, którzy jeszcze nie dorośli. Są tacy, co nigdy nie dorastają. Są też tacy, jak ty, którzy dorastają przedwcześnie. A dlaczego pytasz?

– Chcę zarabiać pieniądze. Muszę dawać tacie alimenty.

– On ci to mówił? – Ola z trudem opanowała gniew.

– Tak, tata. A ty kiedy pierwszy raz zarobiłaś pieniądze?

Ola zastanowiła się przez chwilę. Uśmiechnęła się.

– Miałam prawie dziewięć lat. Napisałam teksty na laurki dla mam, kilka różnych, dla koleżanek ze szkoły. Każdy kosztował złotówkę, jak pewnie rozumiesz, marny był mój zarobek. Ale potrzebowałam tych złotówek, żeby zbierać na bilet do mamy.

– Chciałaś sama pojechać do naszej mamy? Ona była gdzieś indziej?

– Tak, ja mieszkałam z ojcem, mama z kimś innym – Ola zamilkła. Potem

dodała: – Bardzo chciałam do niej pojechać. To było moje najważniejsze życzenie. Pisałam kartki z tym życzeniem i wtykałam we wszystkie możliwe szpary. W murach, pod kamienie, pod deski. Ktoś jedną przyniósł ojcu. Mikołaj też zapewne miał dość moich listów, pewnie wyrzucał je do kosza, nigdy mojego życzenia nie spełnił. Tata kiedyś wziął mnie na rozmowę, posadził naprzeciwko siebie, i prawił mi kazanie. Mówił, że jestem za mała na podróż, że mama do mnie kiedyś przyjedzie. Ale ja wiedziałam, że to nieprawda. Widziałam, że po policzku mojego ojca spływała łza. Życie jest na szczęście nieprzewidywalne. Miał rację. Mama wróciła po mnie znacznie szybciej, niż ja uzbierałam na bilet. Ale już nigdy razem ze sobą nie byli. Też jestem osierocona. – Ola przytuliła Stasia i pocałowała go w nos.

– Mama mieszkała z moim tatą? – Stasiowi obeschły łzy. Był bardzo zaciekawiony.

– Nie, jeszcze z kimś innym. Tak jej się życie poplątało, wydaje mi się, że teraz odbywa pokutę za błędy młodości. Za długo.

– Tata powiedział, że mnie mamie odbierze.

– To nieprawda, nie ma takiej możliwości. Musi przede wszystkim mieć pieniądze, by ciebie utrzymać, a nie ma. Inaczej sąd mu nie przyzna nad nikim opieki. Nic się nie bój.

– To dobrze. Prawo jest mądre. Też będę prawnikiem.

– Już nie lekarzem?

– Lekarzem też. Chcę pomagać ludziom.

– Oj dzieciaku, dzieciaku. To żeśmy sobie pogadali. Tylko proszę cię, Staśku, niech ta rozmowa na zawsze zostanie między nami. Nie mówmy nic mamie, ona się zdenerwuje i jeszcze bardziej rozchoruje. Jak masz problem z ojcem, dzwoń do mnie. Obiecujesz?

– Obiecuję. – Staś przytulił się do siostry, uspokojony.

Kilka stacji przed Poznaniem zasnął. Ola wzięła go na ręce i przeniosła na inny peron do kolejnego pociągu, gdzie nadal spał snem bezpiecznego dziecka, z głową na kolanach Oli. Przed Pobiedziskami się obudził.

Gdy wysiedli, na peronie czekali Koronowscy. Popłakali się na ich widok. Gdy jechali autem do Nadroźna, dzieci Igi wypatrywały zmian. To była ich okolica, tutaj też był ich dom.

Gdy w domu Basi i Rysia się rozgościli, przebrali, wszyscy usiedli przy stole. Basia wniosła obiad – wołowe zrazy zawijane, z kluskami szagówkami w ciemnym sosie i z modrą kapustą.

Potem był deser – szarlotka z szarej renety i rurki z bitą śmietaną.
– A zrobisz kiedyś ziemniaki z gzikiem i z koperkiem? – zapytał Staś.
– Zrobię, chyba już są w sklepach młode ziemniaki.
– Masz jeszcze te wystrugane konie? – Staś zwrócił się w stronę Rysia, niewątpliwie humor po rurkach z bitą śmietaną mu się poprawił. W Nadroźnie biegał po domu, wszystko musiał pooglądać.

– Mam, a pewnie.
– Opowiadajcie – zarządziła Basia, gdy zjedli obiad i porozsiadali się w fotelach. Staś poustawiał na ławie drewniane konie, a potem wziął do ręki pilot od telewizora, przełączał programy, ale nikomu to nie przeszkadzało. Ola z walizki powykladała prezenty od Igi, która przez rok przygotowywała się na przyjazd do Polski. Składała rzeczy dla bliskich, biegała na wyprzedaje. W walizce były i perfumy, i ubrania, torebki, paski, krawaty, a nawet nowe ręczniki i płaszcze kąpielowe.

Ola gadała podniecona, jak nie ona, o życiu w Stanach, o małżeństwie Kosmy i mamy. Staś milczał. Opowiadała, jak Iga jest szczęśliwa, jak Kosma bardzo się troszczy o rodzinę. Ubolewała, że mama jednak mu nie zapomniała incydentu z pieniędzmi, przez co nadal ma do niego ograniczone zaufanie.

– A ty, Olu, jak na to w ogóle się zapatrujesz? – zapytała Basia.
– Realnie patrząc... Kosa bardzo lubię, ale prawdę powiedziawszy, też mu na sto procent nie wierzę. Wiesz, on spotyka się z Jane, a przecież zapewnił mamę, że odkąd Jane sfałszowała przelew, nie miał z nią kontaktu. Tymczasem na Facebooku Jane niedawno umieściła aktualne zdjęcia z ojcem. Oczywiście nie powiem tego mamie, to by ją złamało. Znów ma nawrót choroby, doszło kolano, powinna pójść na rehabilitację, odpocząć, ale pracuje, bo chce zarobić na moją praktykę adwokacką. Mnie to bardzo obciąża. Ale... mam nowy pomysł. Mój ojciec sprzedał domek nad Wisłą i przelał na moje konto pewną sumkę, oddam mamie wszystko, żeby tylko nie pracowała. Wystarczy, że się użera z najemcami. W Stanach nie można kogoś wyrzucić, gdy nie płaci czynszu, trzeba iść do sądu, a to kosztuje i trwa. Na szczęście dwa razy mogłam mamę na rozprawie zastąpić, kiedy byłam akurat w Beaumont.

Barbara słuchała Oli w milczeniu. Miała poważną minę.
– Wydaje mi się, że trudniej jest zaufać, kiedy ma się pieniądze – powiedziała gdy Ola zamilkła. – Kosma to dobry człowiek, może nieco naiwny, ale dobry. Jestem pewna, że boi się przyznać. Idzie do spotkań z córką. Trochę go rozumiem. Jeśli nam na kimś bardzo zależy, strach się przyznać do

rzeczy, które mogą partnera zrazić. Jaka jest Iga, wiemy. Najpierw powie, a dopiero potem przemyśli!

– Babciu – wtrącił się Staś – ja też coś przemyślałem i wiem, że już nigdy nie będę mieszkał w Polsce.

– Oj, nie mów słowa „nigdy”. W ogóle zauważyłam, że masz obcy akcent, miłości nasza. W domu rozmawiacie po polsku?

– Mama i Kosma tak, ja nie.

Tym wywołał konsternację.

– Staś, nie zmyślaj, rozmawiamy po polsku i po angielsku. Raczej po polsku – uszczegółowiła Ola. Wszyscy zaczęli czochrać Stasia włosy, już nie tak kręcone jak kilka lat wcześniej.

– Basiu, a pojedziemy do Złotniczek? – zapytała Ola, gdy Staś z Rysiem poszli po drewno do strugania kolejnych koni. – Co myślisz o tej fundacji dla dzieci, którą prowadzi Zosia? Mam dla nich dwa czeki od amerykańskich organizacji pomocowych, każdy po pięćset dolarów. Mama się o nie wystarała.

– Istnieje, pewnie, że istnieje, dobrze się ma. To się Zosia ucieszy, dzieci są naprawdę utalentowane i gdyby nie jej działalność, pewnie nigdy by nikt na to nie wpadł.

– Mam też dwa czeki dla domów dziecka, muszę się was poradzić, jakie placówki wybrać.

– Zośka tobie na pewno pomoże. Dzisiaj my musimy się wami nacieszyć. Zrobimy wieczorem spacer w stronę Jerzyna, a jutro zaliczymy Dom Złudzeń i generalnie Złotniczki. Nie będziecie płakać ze wzruszenia?

– Nie wiem. Może? Jakies wspomnienia się uruchomią... Chociaż nie jestem z tym domem tak bardzo związana jak mama. – Westchnęła Ola.

– Ja nie będę płakał – powiedział Staś, który wszedł do pokoju akurat na koniec rozmowy. – Nie będę, nienawidzę Domu Złudzeń! – Buzię miał wykrzywioną złością. Aż Basia i Ola przyjrzały mu się, czy nie udaje.

Nie, mówił serio.

Córkę i syna Igi Zosia zobaczyła po raz pierwszy. Przyjechali z Basią w odwiedziny. Nie sądziła, że są tak różni, tak do siebie niepodobni, i że Ola taka ładna. Delikatna, wiotka, jasnowłosa, ale jednocześnie pewna siebie,

obyta. Z okazji wizyty we wsi dziewczyna była ubrana elegancko, choć sportowo. Chłopak zaś sprawiał wrażenie przedwcześnie dojrzałego. Też był ładny, drobny, ale w jego wielkich oczach czaił się smutek. Niby był grzeczny, ale...

– To nasz dom – powiedział do Zosi zamiast powitania, czym wprawił ją w osłupienie.

W przeciwieństwie do siostry nie zainteresował się miejscem, gdzie twórczo realizowały się okoliczne dzieci. A było tam co oglądać. W pokojach na ścianach wisiały obrazki. Meble były pomalowane różnokolorowymi farbami, na niektórych też były malunki. Na środku sali stał fortepian, a na nim leżały teczki z nutami. Taboret przy fortepianie też był popačkany farbami.

– Tak biuro zniszczyć! – Westchnął z dezaprobatą, gdy jednak zajrzał do środka.

Dzieciak, a jaki zgryźliwy! Gdy Zośka chciała wziąć go za rękę, pogadać, w sumie go przekabacić na swoją stronę, chciała, by ją polubił, spojrzał wtedy na nią spod oka i powtórzył znacznie głośniejsze:

– To jest dom mojej mamy!

Zosia o mało się nie popłakała. Był dzieckiem, powtarzał tylko to, co mówili dorośli i co z ich rozmów zapamiętał. Cóż mogła zrobić? Po prostu tak się stało. Teraz ona była panią tego domu i na pewno starała się utrzymać go w najlepszym porządku, poświęcając się dzieciom i mieszkańcom wsi. Choć nie polubiła chłopca od pierwszego wejrzenia, chciała go przytulić, żeby przestał być tak przeraźliwie smutny. Przejechała ręką po jego włosach.

Pozwolił na to, a nawet gest Zosi go zaskoczył.

Ola z Koronowskimi wchodzili po schodach, prowadząc rozmowę, śmiali się.

– Powiem mamie, jak jest ładnie. To miejsce żyje. Przed jej wyjazdem do Beaumont w tym domu było ponuro, jak w grobie. Teraz jest życie, światło, młodość. Zaintrygowałaś mnie, Zosiu, też bym chciała służyć ludziom. Masz dla mnie jakiś pomysł? – zapytała Ola.

Staś czekał na odpowiedź Zosi, mierząc ją wzrokiem. Zosia się ożywiła.

– Wiesz, super, że o to pytasz! Ja zaczęłam od pomocy ludziom dorosłym, a mimo to nieradzącym sobie. Chodzi o bezdomność, ale nie polecam tobie, bo to zajęcie bardzo pracochłonne i jednocześnie mało opłacane, ciągnęła walka o pieniądze. Masz do czynienia z ludźmi dorosłymi, nie każdy to lubi. To jednak wciąga, ale musisz coś jeszcze robić, bo nie dasz rady finansowo. Cóż

mogę tobie poradzić? Możesz przekazać biednym wszystko, co jest tobie zbędne. Można się dzielić umiejętnościami i rozwijać zainteresowania ludzi, którzy nie mają dostępu do wiedzy, sztuki. To właśnie teraz mnie pochłania i muszę przyznać, dobrze się z tym czuję. Słyszałam, że jesteś usportowiona, więc możesz wziąć udział w charytatywnych marszach lub biegach. Na przykład w Maratonie Londyńskim. Przypuszczam, że w Warszawie są podobne inicjatywy. Jestem pewna, że w Nowym Jorku także...

– Dziękuję, na pewno coś wymyślę.

Staś spojrział na siostrę i się wreszcie uśmiechnął. Ola chwyciła się za głowę.

– Zapomniałam! – I zaczęła szukać w torebce, po chwili wyciągnęła czeki i przekazała je Zosi. – To dla dzieciaków, nie musisz ich kwitować. – Zazartowała Ola. – Dały je instytucje charytatywne z Beaumont. Każdy jest na pięćset dolarów, to niewiele, ale myślę, że tobie się każdy pieniądz przyda. To mama się wystarała.

Zosia się zaczerwieniła. Iga się wystarała dla jej dzieci o pieniądze. Powinna podziękować jej osobiście, ale znów nic mądrego nie przychodziło jej do głowy, więc szepnęła tylko:

– Bardzo jestem wdzięczna.

– Mam jeszcze dwa czeki po tysiąc dolarów dla domów dziecka, ale te muszę sama wytypować, a potem przygotować uroczystą oprawę.

– Nasze dzieciaki mogłyby zaśpiewać.

– Świetny pomysł. Zrobimy reportaż ze zdjęciami. Obiecali, że napiszą o tym w amerykańskiej gazetce w Beaumont.

Zosia zapaliła się do pomysłu. Niedawno poznała dziewczyny prowadzące fundację „Ranczo w Kołacie” – dzieci ze Złotniczek miały wziąć udział we wspólnej akcji sprzątania lasów. Poza tym mogły za darmo korzystać z nauki jazdy konnej na ranczu. Pomyślała, że jeden z czeków, jakie dostała od Oli, przekaże właśnie fundacji, dla dzieci z Kołaty.

Koronowscy z Olą i Stasiem wrócili do Nadrożna, Zosia zatelefonowała do dziewczyn z Kołaty, które bardzo się ucieszyły i od razu podjęły się załatwienia fotografów i zlecenia napisania notatek dla prasy.

Były bardzo sprawnymi organizatorkami.

Ola i Staś jeszcze kilka razy przed wyjazdem z Polski odwiedzili Złotniczki. Poszli też, bo tak chciała ich mama, do Dyduchów, wręczyli córce Ewy kopertę z dolarami. Posiedzieli u Adeli Renz. Ola popłakała się, gdy opowiadała Zosi, co Adela mówiła jej o tęsknocie za Niną, o samotności. O kresie wędrówki. Zosia zrozumiała, że musi odwiedzać starszą panią znacznie częściej.

Spotkania w domach dziecka były udane. Chór dziecięcy ze Złotniczek zaśpiewał, potem były występy dzieci z domu dziecka. Cukiernia z Pobiedzisk podarowała ciasta, sklep z zabawkami zadbał o baloniki, kapelusiki na głowę i piszczałki. Sklep spożywczy dostarczył soki w kartonikach. Była regionalna telewizja i nawet dziennikarka z poznańskiej gazety. Pofatygował się także burmistrz Pobiedzisk. Dla Stasia okazało się to lekcją życia, już nie był naburmuszony ani smutny, jak po przyjeździe. Porównał los osieroconych dzieci z domów dziecka do swojego. Gdy po uroczystościach wrócili do domu, zapytał Olę, czy ich mama też kiedyś mieszkała w domu dziecka. Gdy Ola zaprzeczyła, wyklócał się, że musiała tam mieszkać, skoro jej rodzice umarli.

- Miała dziadka i Basię – odpowiedziała Ola.
- To tamte dzieci nie mają nawet dziadków?
- Widocznie nie.

Kręcił głową.

Przyszwał czas odjazdu. Przyjechali do Domu Złudzeń pożegnać się z Zosią. Razem z nimi Koronowscy. Ola po raz ostatni przed wyjazdem rozejrzała się po ogrodzie. Kwitły kwiaty, bez, tulipany, rododendrony. Na sznurkach przed domem wisały słomkowe kapelusze dla dzieci, żeby podczas zajęć w ogrodzie słońce nie przegrzało ich główek. Zosia wystawiła na dwór pomalowane na różne kolory metalowe ogrodowe krzesła. Było ciepło, przyjemnie. Ola zrobiła kilkadziesiąt zdjęć.

– Zosiu, poproś Marietę, żeby się do mnie odezwała, jak już ulokuje się w Nowym Jorku. Nie zapomnij.

– Dziękuję – powiedziała Zosia i weszła do świetlicy, skąd przyniosła kolorowe słonie z masy papierowej pokolorowane przez dzieci.

– To dla was, kochani, na szczęście!

Gdy Ola i Staszek wychodzili, przez płot zaglądały dzieci. Nie miały odwagi wejść do ogrodu. Staś też spoglądał na nich.

– Cześć. – To Kajtek ośmielił się go zaczepić. Byli mniej więcej w równym

wieku.

– Cześć – odpowiedział Staszek.

– Wracasz do Ameryki?

– Tak – rzekł Staś. – Tam jest lepiej.

Potem się obrócił do Kajtka tyłem i zakpił z niego, mówiąc do Oli szeptem:

– W Ameryce nikt nam nie zagłąda przez płot.

– Bo nie mamy płotu, głuptasie. Zachowuj się.

Basia była rozczarowana. Paplanina Stasia nie była już tak rozkoszna jak kiedyś, w jego słowach czuć było sarkazm. Za dużo widział jako dziecko, za dużo słyszał. Gdzieś też zniknęła więź, jaką mieli kiedyś. Nawet rozmawiając przez Skype'a czuła większą bliskość niż teraz. Wprawdzie Ola wygadała się, że to ojciec popsuł mu humor, ale Basi było przykro. Wyciągnęła z kieszeni portfel, a z niego bon podarunkowy do Zary i przekazała go Oli.

– Zróbcie z niego użytek, ja już nie mam żadnych potrzeb, a wam może wystarczy także na drobiazg dla mamy. Lubiła apaszki.

Nie uszło to uwadze Zosi. To był prezent, który Barbara dostała od niej!

1986

Minął rok od rozpoczęcia przez Zośkę studiów na uniwersytecie w Mińsku. Decyzja, jaką podjęła, okazała się trafnym wyborem, było jej tam naprawdę dobrze. Nie zapomniała oczywiście, jakie szczęście dała jej rodzina, to zawsze było dla niej najważniejsze. Dzięki rodzinie czuła równowagę w życiu, to oni nauczyli ją, by obdarzać ludzi ciepłem. Będąc z babcią Anią, mamą i tatą, o ile nie wezwały go wojskowe obowiązki, czuła się najlepiej. Nigdy się z nimi nie nudziła. Nigdy jej nie zawiedli.

Zawiódł ją facet!

W Mińsku nawiązała kontakty ze studentami z kilkunastu krajów. Poznawała ich zwyczaje. Na przykład Niemki z NRD bez skrępowania zrzucały ubrania i wchodziły nagie pod ogólnodostępny prysznic. Początkowo Zosię to peszyło, ale szybko się przyzwyczaiła. Studenci z Senegalu, Kamerunu, Mali i Nigerii, których było tam wielu, dysponowali płytami z najnowszą światową muzyką, dzięki czemu знаła na bieżąco światowe przeboje. Tina Turner, Lionel Richie, Tears for Fears, oni wtedy byli na topie. Sama też w rewanżu uczyła kolegów śpiewać przebój zespołu Tilt: „Mówisz o miłości, czy ty nie widzisz, że są tacy, którzy chcą, żebyśmy nienawidzili się. I mówisz o wolności, przecież

musisz wiedzieć, że każdy z nas jest niewolnikiem, czy tego chcesz, czy nie. Mówię ci, że, mówię ci, że, mówię ci, że jedyne wyjście to obudzić się”[6]. Nawet całkiem dobrze im to wspólne śpiewanie wychodziło.

Kubańczycy zaś, kiedy się tylko dało, śpiewali i tańczyli salsę, której Zosia wcześniej w ogóle nie znała. Nie było tygodnia, żeby w którymś akademiku w *krasnym ugołoku* nie odbywała się impreza ku jakiejś czci, w wymyślaniu których udział brały wszystkie nacje. Prześcigano się w projekcji powodów do świętowania, bowiem wieczór ku czci czegoś zawsze wieńczyła potańcówka.

Polki zaprzyjaźnione były z Kubańczykami i Kubankami, jednak ich przyjaźń powstała w niezbyt fortunnych okolicznościach. Zbliżała się Wielkanoc, Ewa z Jasła przywiozła z domu wielką, surową, tradycyjnie peklowaną szynkę, którą trzeba było jeszcze ugotować. W kuchni na gazie stanął wielki ocynkowany gar, w środku umieszczono szynkę, na widok której wszystkim ciekła ślina. Dziewczyny rozeszły się do pokojów, tylko Ewa co jakiś czas zaglądała do kuchni, dźgała szynkę widelcem, czy już jest miękka.

Po godzinie wyszła z talerzem, by wrócić z ugotowaną szynką, ale za chwilę wpadła do pokoju bez szynki, a z płaczem. Wykrztusiła, że garnek jest pusty. Nie ma szynki! Takiej cudnej, mięsnej, wiezionej z Jasła do Mińska kilkadziesiąt godzin, by święta wielkanocne polską tradycją uświęcić. Dziewczyny rozbiegły się po pokojach innych Polek, które postanowiły zrobić w akademiku dochodzenie. Niewątpliwie ktoś ukradł ich szynkę! Nikt nic nie słyszał, nikt nic nie widział. Aż wreszcie ktoś wspomniał, że Jose biegł korytarzem, podobno wystraszony, trzymał się za brzuch, a za sobą na posadzce zostawiał mokre ślady.

Trzeba było natychmiast wejść do pokoju Jose. Wtargnęły bez pukania. Pokój był pusty, a szynki nie było nigdzie widać. Pokoje innych Kubańczyków. Też były puste. Dopiero w ostatnim, na samym końcu korytarza, od drzwi słychać było śmiechy i muzykę. Odbywała się impreza. Ewa wsadziła głowę do pokoju, nikt jej nie zauważył, tacy byli rozbawieni. Na środku stołu na wielkim talerzu leżała pokrojona w plastry polska szynka, w kieliszkach stał rum, a dookoła ich szynki siedzieli wszyscy Kubańczycy z akademika. Gadali, śmiali się, pakowali w usta mięsiwo, popijali rumem. Oczywiście, mieli bardzo zadowolone miny.

– To nasza szynka! – Wbiegły do pokoju z wrzaskiem.

– Tak, wasza, ale siadajcie, dla wszystkich wystarczy! – wołali Kubańczycy.

Kubanki ciągnęły je za ręce i sadzały przy stole.

– Jesteście złodziejami! – krzyczały.

– Zaraz tam złodziejami! A fe! Wy dajecie szynkę, my rum i tańce. Możemy też zaśpiewać. Siadajcie, będzie miło!

Po chwili ze szklankami pełnymi rumu siadły za stołem, częstowane były szynką. Kubańczycy pilnowali, by szklanki dziewczyn wciąż były pełne rumu, na każdą nogę z osobna, żeby się nie przewrócić. Nóg zresztą podobno miały kilka.

Tego wieczora królowała *Guantanamera*. „Jestem szczerym człowiekiem z kraju, gdzie rosną palmy, jestem szczerym człowiekiem z kraju, gdzie rosną palmy. I zanim umrę, chcę podzielić się wersami mojej duszy”, „Guantanamera, Guajira Guantanamera, Guantanamera, Guajira Guantanamera”^[7]. Refrenu nauczyły się natychmiast, wcieliły się w rolę pięknych dziewczyn z Guantanamo. Zosia w sambie przeleciała nad głową Jose, taka to była zabawa. No cóż. Po kilku szklankach rumu było to nadzwyczaj proste.

Kubańczycy byli z charakteru i fantazji podobni do Polaków, w lany poniedziałek razem z Polakami i Polkami biegali po Mińsku z wiadrami zimniej wody, krzyząc „śmigus-dyngus”.

Zosia w Mińsku nie miała czasu na smutek, czasem tylko przed snem wracało wspomnienie o Tomaszu. Był fałszywy, niewierny, potraktował ją w sposób okrutny, ale gdy byli razem, czuła się kobieca. Chciałaby zajrzeć mu w twarz. Chciałaby z niego wydusić, czego ona nie miała, a czym skusiła go Magdalena. Już nie czekałaby na jego inicjatywę, nie zadowoliłaby się pocałunkami i nieśmiałym dotykaniem. Mniej by bolało, gdyby wtedy potraktowała go instrumentalnie.

Czasem miała takie nieprzyzwoite myśli.

Na szczęście w jej życiu wiele się działo. Na początku lipca 1986 roku Zosia i Ewa z Jasła otrzymały od radzieckich władz pozwolenie na wyjazd do Moskwy. Akurat odbywały się tam Igrzyska Olimpijskie Dobrej Woli.

Gdy czekały na peronie na pociąg do Moskwy, Ewę ukąsiła osa, dziewczyna natychmiast spuchła i zaczęła się dusić. Zosia postawiła wszystkich ważnych na głowie, bo skojarzyła, że Ewa może być uczulona na jad. Pogotowie przyjechało natychmiast.

– Ma się szczęście, gdy w pobliżu jest mądra koleżanka. Minuta dłużej i byłoby po dziewczynie – powiedział lekarz, gdy Ewa, odczulona, oddychała

swobodnie. Wieczorem karetka odwiozła dziewczyny do akademika, ale Zosia do rana siedziała przy łóżku Ewy, nie zmrużyła oka.

Nie pojechały do Moskwy. Już nigdy nie chciały tam pojechać.

Maj 2011

Długo było Zosi przykro z powodu bonu upominkowego do Zary. Nawet o tym wspomniała na Facebooku. Zmieniła swój status. Napisała jedno słowo: zasmucona. I nie zmieniała go przez kilka dni.

Ale aura zrobiła swoje, było upalnie. Po smutku Zosi nie było śladu. Zeszła na dół i usiadła w ogrodzie. Pachniało kwiatami, między liśćmi bluszczu migały promienie, trochę ją raziły. Wróciła do domu po butelkę wina. Nalała sobie do kieliszka. Upiła łyk. Miała jeszcze kilka stron do przetłumaczenia, na stole w ogrodzie leżały kartki z tekstem, słownik polsko-niemiecki i słownik wyrazów bliskoznacznych. Ale odłożyła wszystko na bok, oparła się wygodnie. Było przyjemnie, wreszcie po kilku upalnych dniach było czym oddychać.

Myślała o Piotrze. Długo nie miała z nim kontaktu. Kiedyś tylko przysłał wiadomość, że kontrola była bezwynikowa, a osoby kontrolujące pokazały mu paszkwil, jaki na temat fundacji napisał jeden z podopiecznych. „To cham” – odpisała wtedy na SMS-a Piotra. Ucieszyła się, że nie chodziło o jej finansowe machinacje. W ostateczności nie zdefraudowała wtedy nieswoich pieniędzy. Nawet opowiedziała całą sytuację Michałowi. Powiedział wtedy: „Zawsze chciałaś, by twoja córka mogła realizować swoją pasję. Nie zdręczaj się. Sztuka wymaga poświęceń. Też bym tak postąpił”.

Zadzwonił telefon, skupiona na myślach, które odciągnęły ją od pracy. Odebrała go mechanicznie.

– Co się stało? – Usłyszała głos Piotra.

– Nie rozumiem...

– Zmieniłaś status na Facebooku...

– Ach, o to ci chodzi. Już mi minęło. Odkryłam dziwną rzecz. Nie potrafię zadbać o swoje interesy, po prostu krępuję się poprosić kogoś o pomoc dla siebie. Nie wstydzę się tylko, gdy mam zebrać dla kogoś innego. To chyba nie jest prawidłowa sytuacja. Poza tym, mieszkając w Drawsku, nie bałam się, a tutaj się boję. Tylko gdy jestem z dziećmi, nie mam lęków. Chyba nie potrafiłabym prowadzić w Złotniczkach samodzielnie domu dla dorosłych.

Coś we mnie pękło, albo ty mi dawałeś oparcie, z którego istnienia zdałam sobie sprawę dopiero teraz.

Słusznie, że się bała. Kolejnego dnia wieś ze strachu i przerażenia zakipiała. Takie sytuacje nigdy nie miały tam miejsca. Owszem, gdy we wsi mieszkała Iga, ciągle się działo coś makabrycznego. Pożary, komornicy, gołe modelki z agencji, która wynajęła jej dom, ale nigdy nie zniknęło dziecko! Kajtek Buczek nie był na próbie ani też aż do nocy nie pojawił się w domu.

– Jak to nie ma go tutaj?! – wrzeszczała na Zosię Buczkowa. – Powiedział, że jedzie z panią na wycieczkę. Wystraszyłam się, gdy zobaczyłam dzieciaki wchodzące do ośrodka. Myślałam, że to grupa na lekcję rysunku. Co ma mi pani do powiedzenia? – Jej mina była nieprzejednana. Zosia też była przerażona.

– A cóż ja mogę mieć do powiedzenia? Nie wiem, co mu przyszło do głowy. Może zaszło coś w szkole? Rozmawiała pani z rodzicami innych dzieci? Może coś w domu, proszę sobie przypomnieć? A może chodzi o okup!?

– Okup? Chyba pani zwariowała! Nie mamy żadnych pieniężnych nadwyżek! W domu jest wszystko w najlepszym porządku. On uciekł, jestem tego pewna. Gdyby pani nie zasiała w nim wyobrażenia o talencie, odziedziczyłby po nas zwirownię i by sobie żył spokojnie, jak pączek w maśle, aż do śmierci! To pani wina! – Buczkowa, krzycząc, wybiegła z Domu Złudzeń. – Ja udowodnię, że to pani wina!

– Najważniejsze to znaleźć chłopca, a nie szukać winnych. Za chwilę będzie noc! To jest ważne, żeby o zmroku nie był sam. Żeby się nie bał. Znaleźć... – powtórzyła ciszej, ale Justyna Buczek pobiegła do swojej rezydencji, gdzie natychmiast wsiadła do auta, za kierownicą którego siedział jej mąż.

Zosia stała przed furką, ojciec Kajtka musiał ją widzieć, ale się nie uklonił.

Iga po powrocie dzieci z Polski codziennie oglądała zdjęcia ze Złotniczek, jakie zgrała jej na komputer Ola. Rzeczywiście, Ola i Staś mówili prawdę, Zosia uczyniła z Domu Złudzeń miejsce, do którego chciało się wejść. Optymistyczne, radosne, nic, co by przypominało mrok z jej czasów. Przez

chwilę zapomniała, jakich w tym miejscu doświadczyła smutków. Słonia z papieru od Zosi postawiła na kredensie, pomyślała: „Niech stoi i przynosi szczęście”. Kosma się ucieszył, widząc Igę uśmiechniętą, zajrzał jej przez ramię do komputera, też mu się spodobał Dom Złudzeń w nowej odsłonie. Niemniej Staś wrócił do Beaumont przygnębiony, to było zauważalne. Iga i Kosma wzięli to na karb rozdwojenia, tęsknoty za Polską, a nawet i za ojcem.

– Jak było? – zapytała Iga, gdy odespał podróż.

– Normalnie. Oni tam robią festiwale. Wszystkie dzieciaki we wsi mają jakieś zdolności. Malują, wyklejają, śpiewają, jeden nawet zrobił koszyk dla mamy. Ja też chcę mieć talent!

– Masz, kochanie, talenty, mogłabym wymieniać długo, ale ty je sam po prostu musisz zauważyć. Potrafisz lepiej ode mnie mówić po angielsku, umiesz w tym języku bezproblemowo czytać książki, ale przy tym wszystkim nie zapomniawsz, skąd pochodzisz, i języka polskiego. Poza tym przypomnij sobie, zawsze byłeś artystą. Kiedyś fajnie grałeś na bębnie.

– To mogę tutaj też bębnić?

– Możesz, oczywiście, a dlaczego nie? To jest najnormalniejszy muzyczny instrument. Podobnie, zresztą, jak moja harfa. Grałam na niej w Polsce, gram i tutaj, bo to po prostu lubię.

– Mamo. Już nie chcę jechać do Polski. Chcę być zawsze tylko z tobą i z Kosem. Albo z Olą. Was tylko kocham. – Staś przytulił się do Igi.

– Dlaczego nie chcesz, stało się coś złego, kochanie?

– Nie, nic, ale już tam nie jest dobrze jak kiedyś.

– Dlaczego?

Staś nie odpowiedział, a Iga głowę dałaby sobie obciąć, że świadomie udał, że nie słyszy. Poczekała, aż Ola wróci z pracy do domu i zatelefonowała do niej.

– Powiedz, mój cudzie, czy podczas pobytu w Polsce nie zwróciło twojej uwagi w zachowaniu Stasia coś dziwnego?

– Ja wiem? No, przede wszystkim on strasznie kaleczy język polski, nawet chciałam z tobą na ten temat porozmawiać. Basia też zauważyła, że ma obcy akcent.

– To akurat nie jest dziwne, jest młody, łatwiej mu niż nam zmienić narodową tożsamość. Mam jednak wrażenie, że po przyjeździe on chce wyprzeć z siebie wszystko, co polskie. Myślę, że odzywa się trauma dziecięca stamtąd wyniesiona. Teraz oczywiście żyje bez stresów, nie musi chodzić na

palcach, Beaumont jawi mu się jak kraina szczęśliwości.

– Może po prostu tęskni? Może nie masz racji?

– No nic. Zobaczymy, gdy się zaaklimatyzuje.

Tak też się stało, Iga codziennie przyglądała się Stasiowi, ale nic szczególnego jej nie wpadło w oczy. Owszem, wciąż brakowało w nim spontaniczności, ale chodził do szkoły, a popołudniami się uczył, jak kiedyś. Przynosił dobre i bardzo dobre oceny. Jednak miała wrażenie, że po powrocie do Beaumont przybyło mu z dziesięć lat ciężkich doświadczeń. Pożałowała, że wysłała go do Polski.

Martwiła się, ale nie długo. Niebawem życie upomniało się, by zwrócić uwagę również na inne jego aspekty. Pewnego dnia w jej własnym domu zginęło jej z portfela dwa tysiące dolarów! Odtąd jej myśli zaczęły krążyć wokół tego faktu, przestała obserwować syna. Zginęły pieniądze i nie bardzo wiedziała, kiedy to mogło nastąpić. W domu zwykle przebywał tylko Kosma i Staś. No, ale pewnego dnia odwiedziła ich córka Kosmy, Lucy. Dziewczyna rzeczywiście została chwilę sama w salonie, a właśnie tam, w rogu, na konsoli Iga zawsze stawiała torebkę. A w niej portfel z pieniędzmi.

Wieś tej nocy w ogóle nie spała. Nawet gołębie Bronka Jaworskiego fruwały tylko nad gołębnikiem. Nie było to ich zwyczajne zachowanie. Rano mieszkańcy z podkrążonymi oczami spotkali się przed Domem Złudzeń i wymieniali uwagi na temat swoich nocnych przemyśleń i ... lęków. Chodziło przecież o dziecko! Padła propozycja, by we wsi zorganizować społeczne patrole, by zainwestować w monitoring. Chłopca niechybnie ktoś porwał. Ileż w tym gadaniu było emocji! Nawet policja zabrała się za sprawę energicznie, ale asekuracyjnie nie obiecywali szybkich rezultatów. I tak przez cały dzień. Wielka niewiadoma. Dzieci nie wypuszczano z domów, nawet Zosia przez skórę czuła niebezpieczeństwo. Zadzwoił telefon, a ona zatrzęsała się ze strachu. Kiedy w słuchawce odezwał się Michał, odetchnęła, ale i zbyła go ogólnikami.

Dwadzieścia cztery godziny opłakiwano zniknięcie chłopca.

Wreszcie pod wieczór kolejnego dnia przywieziono Kajtka do wsi policyjnym autem. Ubranego jak do podróży, nie miał przy sobie dokumentów i podobno nie chciał się przyznać, skąd pochodzi. Dopiero kilka godzin

spędzone na komisariacie i policyjny psycholog sprawili, że chłopak powiedział wszystko jak na spowiedzi. Na koniec dodał, że i tak znów ucieknie i popłynie do Nowego Jorku. Bo amerykańskie szkoły dają szansę na sukces.

– Ależ do Nowego Jorku się leci, nie płynie! Muszę z nim jeszcze raz porozmawiać – powiedziała Zosia do siebie samej. Czowała się winna. Od tego dnia przysięgła sobie, że przy dzieciach będzie uważać na słowa.

Po kilku godzinach, odkąd Kajtek wrócił do Złotniczek, do drzwi Domu Złudzeń zapukała Justyna Buczek. Była szczęśliwa. Powiedziała do Zosi coś, co było dla niej podziękowaniem za wszystko, co robiła dla tych dzieci:

– Mąż i ja nie będziemy już zmuszali synka, by się przyuczał do prowadzenia żwirowni, sam podejmie decyzję, zrobi, co zechce, gdy dorośnie. Niech teraz śpiewa, skoro to lubi!

– Gdy się wyśpi, niech zajrzy do mnie – powiedziała Zosia.

Następnego dnia otrzymała e-mailem zawiadomienie, że dziecięcy chór ze Złotniczek zakwalifikował się do pierwszego etapu festiwalu piosenki dziecięcej. Najpierw odbywały się eliminacje wojewódzkie, potem kwalifikacja do finału i przesłuchania centralne. Wreszcie, na podstawie nagrań, nastąpić miała kwalifikacja do ogólnopolskiego finału. I Bydgoszcz. Finał właśnie tam miał się odbyć.

Ta zaskakująca wiadomość sprawiła, że w niepamięć poszły emocje z poprzednich dni.

Wilda, ulica Prądyńskiego. Nie była to ani dzielnica bezpieczna, ani lokal nie był komfortowy. Zosia dała niską cenę. Siedemset złotych bez żadnych dodatkowych opłat. Natychmiast, po paru minutach od opublikowania ogłoszenia na darmowym internetowym portalu, zadzwoniła kobieta, która szukała mieszkania dla syna. Potem na ogłoszenie odpowiedzieli kolejni chętni.

W poniedziałek rano Zosia dobiła targu, odmówiła wszystkie umówione spotkania w sprawie wynajmu kawalerki. Miła, zdecydowana blondynka po pięćdziesiątce była pewna swego. Miała ze sobą pieniądze na kaucję i na czynsz za pierwszy miesiąc. Poza tym opowiedziała Zosi historię pasierba. Gdy miał siedemnaście lat, na raka macicy zmarła jego mama. Długo nie mógł

się po jej śmierci pozbierać. Chorował, nie uczył się, ale w końcu wziął się za siebie, bo zrozumiał, że musi zdobyć jakiś zawód. Gdy kobieta wyszła za jego ojca, Paweł właśnie został cukiernikiem. Zlikwidowali ich mieszkanie w Murowanej Goślinie, Pawła wzięli ze sobą do Poznania, gdzie były niewątpliwie większe szanse pracy, poza tym chodziło też o to, żeby był blisko, pod opieką. Paweł miał jeszcze siostrę Kasię, ona była zupełnie inna, lepiej sobie w życiu dawała radę, skończyła studia pedagogiczne i na tym nie chciała poprzestać. Miła i pracowita dziewczyna, bezproblemowa, generalnie, mieszkała z ojcem i macochą. Mieszkanko w Poznaniu na Osiedlu Przyjaźni było naprawdę niewielkie, dwupokojowe, dlatego dla Pawła musieli wynająć coś na mieście.

Paweł był obecny podczas tej rozmowy. Nic nie mówił, jedynie, gdy padało słowo „praca”, kiwał głową, że tak, szuka, jak najbardziej. Zosię ujęła ta kobieta, była osobą kulturalną i obytą, wzruszające było to, że troszczyła się o dzieci swojego męża. Paweł nie przypadł Zosi do gustu, był rudy, chudy, miał poogryzane paznokcie i czuć było od niego tytoń. Chciała pomóc kobiecie. I tyle. Gdy spisywała z nią umowę, wyszło, że Paweł ma trzydzieści dwa lata.

Nie dało się tego po nim poznać.

Czerwiec 2011

Marieta po zaliczeniu roku pozostała jeszcze w Berlinie. Chciała się „na luzie” pokręcić po mieście, odebrać Berlin wakacyjnie, wreszcie dokładniej zwiedzić to miasto. Podczas roku akademickiego nie było na to czasu. Udzielała się towarzysko. Bywała na koncertach na wolnym powietrzu i w operze. Została zaproszona do przyjaciółki, Czeszki Ivanki. Jej rodzice prowadzili sklep z ekskluzywną odzieżą czeskich projektantów na Malej Stranie w Pradze. Ivanka podczas studiów mieszkała w Berlinie na Dessauer Strasse. Pogadały o ploteczkach, o sobie, a potem Ivana zaproponowała spacer po okolicy.

– Chodź, Mari. Pokażę tobie, gdzie jest ambasada Senegal. To przy mojej ulicy. Możesz postarać się o obywatelstwo. – Zażartowała Ivana, wiedząc, że ojciec jej przyjaciółki był senegalskiego pochodzenia. Marieta się tylko uśmiechnęła, nic nie powiedziała. Szły ulicą pod rękę, było ładnie, kwitły kwiaty na rabatach. To była „dobra” dzielnica Berlina. Gdy znalazły się obok

budynku ambasady, Marieta zatrzymała się na chwilę, po czym pewnie ruszyła do drzwi, pociągając za sobą przyjaciółkę. Weszły do budynku i znalazły się w poczekalni. Zaraz wyszła sekretarka. Marieta przedstawiła się i wyłuszczyła powód wizyty.

– Chciałam zapytać, czy z uwagi na to, iż moim ojcem jest Senegalczyk, mogę się ubiegać o senegalski paszport?

– Proszę jeszcze raz powtórzyć swoje imię i nazwisko.

– Mariette Diene.

Urzędniczka spojrzała na dziewczynę, w uśmiechu błysnęła wielkimi białymi zębami, po czym zniknęła w gabinecie ambasadora. Drzwi były przymknięte, ale Marieta usłyszała rozmowę prowadzoną w obcym języku, jak się domyśliła, zapewne w języku *wolof*.

– Ale jaja, co nie? Myślałaś, że nie wejdziesz? Ale ciiii! – Marieta uszczypnęła Ivanę w udo. Zachichotały.

Za chwilę urzędniczka, która ich przywitała, wyszła z gabinetu razem z ładną uśmiechniętą kobietą, która mogła mieć ze czterdzieści lat. Przedstawiła się. Pani ambasador! Łał. Kobieta podała dłoń Mariecie, potem jej przyjaciółce i od razu dziewczyny przeprosiła, mówiąc, że musi na chwilę wrócić do gabinetu i zatelefonować. Tak się stało. Zniknęła za drzwiami gabinetu, a za paręnaście minut znów pojawiła się przed dziewczynami. Zaprosiła Marietę do ambasady na następny dzień, najlepiej po południu.

– Będę o czternastej – odpowiedziała dziewczyna, ale, prawdę powiedziawszy, wcale nie miała takiego zamiaru.

Jednak przyszła. Gdy pojawiła się w ambasadzie, już na nią czekali. Mariecie towarzyszyło dziwne uczucie, że w tej dyplomatycznej placówce panuje przerost formy nad treścią. Ale usiadła na wskazanym fotelu w gabinecie pani ambasador. Podano jej kawę, choć wcale nie chciało jej się pić. Otrzymała do ręki słuchawkę telefoniczną.

– Proszę mówić. – Uśmiechała się ambasador, jej sekretarka, także.

– Halo – powiedziała do słuchawki zdezorientowana dziewczyna.

– Halo, Mariette? Mówi Saliou Diene, twój ojciec, jak się zapewne domyślasz. Ten zły, niedobry ojciec, który nie szukał kontaktu z własną córką.

– Głos Saliou był mocny, władczy, wcale nie wydawał się strapiiony, że kontaktuje się z córką dopiero po tylu latach, przy świadkach, a nie w zaciszu domu, i z tego powodu, że do kontaktu doprowadziła ambasador jego kraju, nawiasem mówiąc – bliska krewna.

– Tak... – wykszusiła Marieta. Ten głos, słowa płynące ze słuchawki były odpowiedzią na wszystkie jej wątpliwości co do ojca. I oznaczały, że wszystkie żale co do niego, które nosiła w sobie przez lata, a ukrywała przed matką i rodziną, zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Będę niebawem w Paryżu. Możemy się tam spotkać? – zapytał.

– Za niecałe dwa miesiące będę miała w Paryżu miedzyładowanie. Dostałam się na wydział śpiewu operowego do Nowego Jorku – dodała dumna z siebie.

– Ród Diene to zwycięzcy, kochanie. Wcale mnie nie dziwi, że się dostałaś. Zapisuję w kalendarzu, dam tobie swój numer telefonu, oczywiście będę do twojej dyspozycji w dzień i noc. Do zobaczenia, tak?

– Tak... tato...

Basia Koronowska nie znosiła rozstań. Choć minęło trochę czasu, ona ciągle przypominała sobie Stasia i Olę, kochane dzieci. Staś w ostatnim dniu przyszedł do Basi i się mocno przytulił. Gdy się żegnali ze łzami w oczach, szepnął jej na ucho: „kocham ciebie”. Tego Basia znieść już nie mogła. Gdy Ryszard odwiózł ich na lotnisko do Poznania, długo płakała. Musiała zażyć lek nasercowy.

Potem, żeby poradzić sobie z tęsknotą i z żalem, zabrała się za rodzinne dokumenty. Zosia przekazała jej pudełko pełne szpargałów, do których podobno nigdy nie zajrzała. Barbara najpierw poukładała je według dat. We wszystkim, co robiła, była perfekcjonistką. Prowadząc do niedawna sklep z tkaninami, była zdana na siebie, można powiedzieć, że pełniła jednocześnie funkcję właścicielki, sprzedawczyni, księgowej i kasjerki. Musiała być dobrze zorganizowana. Tym nasiąkla.

W pudełku większość rzeczy była po babci Zosi. Głównie zdjęcia. Anna Cebernik z domu, do wojny mieszkała wraz z rodzicami w Weryni. Barbara od razu ulokowała tę miejscowość na mapie. Ze wsi było blisko do Kolbuszowej. Trzeba przyznać, ładna z niej była kobieta. Wyprostowana śliczna brunetka, oryginalnej urody, w wełnianych eleganckich sukienkach, z torebką z wężowej skóry pod pachą, z perełkami na szyi. Na pozostałych zdjęciach wyglądała równie sztywnie. Rodzice Anny Cebernik byli nauczycielami w szkole w Kolbuszowej, stamtąd też pochodzili ich rodzice.

Jednak Basię najbardziej pochłonęła lektura listów od Józefa

Leśniewskiego, w prostej linii jej stryja. Oglądała zdjęcia jego z innymi żołnierzami w Londynie, w Estergom, w Lyonie, zdjęcia w cywilu i w mundurze. Sporo tego było. Wyznania miłosne, wspomnienia z ich ostatnich dni przed ucieczką do Rumuni. Wynikało, że Anna przechowywała go w piwnicy, w tajemnicy przed sąsiadami i początkowo nawet przed rodzicami. Ślub wzięli nocą, cichy, byli tylko jej rodzice i ksiądz.

Basia wzięła do ręki kolejny list.

Do domu wrócił Ryszard.

– Też czujesz się podobnie źle, jak ja? – zapytała.

– Żal, żal. Kiedy byli z nami, mi dwadzieścia lat ubyło, czułem się spełniony. Człowiek to zwierzę rodzinne, czy to się komuś podoba, czy nie. Mogliśmy jednak wziąć dziecko do adopcji, dzisiaj nie bylibyśmy sami.

– Mogliśmy, mogliśmy, po co takie gadanie? Teraz mamy Zosię i musi nam to wystarczyć. Bałam się, że będzie żołą, a tutaj widzisz, jaka z niej fajna babka.

– Mnie chodzi o Stasia najbardziej. Smutny się zrobił w tej Ameryce. Co tam masz? – Zajrzał żonie przez ramię.

– Wzięłam się za dokumenty od Zosi, pracując, zapominam o smutkach.

Barbara trzymała list Józefa do Anny datowany na koniec 1941 roku, czytała wzruszające słowa:

„Bardzo za Tobą tęsknię. Nie pocałowałem Cię nawet na pożegnanie. Niebawem wojna się skończy, alianci na pewno dadzą Niemcom odpór, pomogą nam, a ja wrócę po zwycięstwie i nadrobimy czasy rozłąki. Tymczasem kieruję do Ciebie, moja kochana żono, wielkie podziękowania za pomoc, za wielkie serce, jakie nam okazałaś w tak skomplikowanej sytuacji. Twój na zawsze Józef”.

„W jakiej sytuacji? Wojna nie była skomplikowaną sytuacją, wojna była dramatem” – myślała Basia, przeglądając kolejne listy. Ryszard wyszedł z pokoju, Basia usłyszała, że położył się u siebie i włączył telewizor.

Wyciągnęła kolejną kopertę, a z niej wysypały się stare zdjęcia innej pięknej, tym razem jasnowłosej kobiety, z dedykacją na drugiej stronie: „Z tęsknotą – Janka”. I kolejne zdjęcia tej samej kobiety, przed niewielkim domem i znów następne, w stroju kąpielowym, nad jeziorem. Pod jednocześnie strojem kąpielowym zarysowywał się mały brzusek. Na odwrocie: „To my, z miłością”. Pismo wyraźne, z zawijasami nad „ł” i „p”. Atramentem. Podpis wyraźny. Janka Kuszpil.

I dalej. Pożółkła kartka, złożona na pół. Basia założyła okulary, pismo na

druku było drobne, pieczętka niewyraźna. Akt urodzenia Krystyny Kuszpil. Styczeń 1940 roku, kościół w miejscowości Łabiszynek koło Gniezna, matka Janina Kuszpil, rubryka dotycząca ojca – pusta.

– Ryszard, możesz tutaj przyjść?

– Po co? Muszę? Oglądam ciekawy program.

– Przyjdź szybko, proszę. Czegoś nie rozumiem.

Kolejnym dokumentem był akt adopcji z sądu w Sandomierzu, z 1945 roku. Dziecko przyjmuje nazwisko matki. Krystyna Leśniewska.

– Ryszard, do jasnej ciasnej, no wołam ciebie!

– O co chodzi? – Wszedł przestraszony tonem głosu żony.

– Zobacz!

Ryszard przeglądał dokumenty.

– Ale o co chodzi?

– Jak to! Nie widzisz? Jeśli dobrze rozumiem, Zosia wcale nie jest naszą krewną. Jej matka była adoptowana! Z domu była Kuszpil. Po co ja się za to zabrałam? Co ja mam teraz z tą wiedzą zrobić? – Ubolewała Barbara.

– Łabiszynek jest niedaleko od nas, gorzelnia tam kiedyś była. No rzeczywiście. Baśka, ty zawsze coś problematycznego wynajdziesz! Tylko Boże broń jej cokolwiek na ten temat mówić. To trzeba sprawdzić.

– Sama wiem, nie musisz mnie strofować!

– Musimy pojechać do Łabiszynka!

Ryszard siadł obok żony, nie wrócił przed telewizor. Siedzieli, nic do siebie nie mówiąc. Potem postanowili, że napiszą do archiwów, poproszą o dokumenty.

Chcieli poznać losy matki Zosi – jak wynikało z dokumentów – córki Janiny Kuszpil.

Minęło półtora miesiąca od powrotu z Polski. Ola odniosła sukces. Otrzymała etat w jednej z najlepszych nowojorskich kancelarii. Przed wyjazdem do Polski złożyła aplikacje na kilka stanowisk w różnych prawnych firmach, a kilka dni po powrocie do Nowego Jorku była już po rozmowach. I zaczęła pracować.

– La, la, la, la. Będę zarabiać prawdziwe pieniądze, już czuję ich zapach. Na początek czterdzieści tysięcy dolarów rocznie. Zwycięstwo, mam! Ogłaszam,

że już nie musisz się o mnie martwić!

– Świetnie, ale możesz mi przy okazji powiedzieć, co to za pieniądze znalazły się na moim koncie?

– Tata mi dał, sprzedał jakąś chatynkę na działkach. Nie chcę, byś pracowała.

– Oj, dziecko, kochane dziecko, masz takie dobre serce. Wiesz, zrezygnowałam z wesel, ale myślę, żeby otworzyć kwiaciarnię. Co ty na to? Wydzielimy pomieszczenie przy domu, nie musimy mieć czterech schowków, dwóch garaży i pomieszczeń dla kaczek. Gdy mieszkałam w Domu Złudzeń, auto trzymałam na dworze i było dobrze.

– Czy ty nie możesz przestać myśleć o biznesach? Wyluzuj, mamó.

– To nie ja o nich myślę, to one mnie osaczają.

Zaczęły się śmiać.

– Wiesz... – Iga ściszyła głos – stało się coś niepokojącego. W naszym domu niby są sami swoi, ale pieniądze się nie znalazły. Pewnie ukradła je Lucy, ale za rękę jej nie złapałam. Co to za dziewczyny, kto je wychowywał, bo na pewno nie Kos!?! Mnie nie chodzi o kwotę, ale o to, że pozbywam się kolejnych złudzeń. Mam coraz mniej wiary w ludzi.

Znów musiała Olę przekonywać, że na pewno miała te pieniądze w portfelu, że nie położyła ich w inne miejsce, na przykład do lodówki, co jej się ostatnio rzeczywiście zdarzyło, ale z płytą z filmem. Że nie schowała ich przed nikim i nie zapomniała gdzie. Wciąż przetrząsała dom i nawet ogród, bo przypomniawszy sobie, że wypłaciła z bankomatu, ale było tak gorąco, że gdy przyjechała rowerem, nie weszła do razu do domu, posiedziała chwilę w ogrodzie.

Dziewczyna była pewna, że zguba się szybko znajdzie. Mama była chora, wciąż na lekach, musiała gdzieś spontanicznie pieniądze wsadzić, o czym zapomniała. Ola w żadnym calu nie była rozrzepana, nigdy nie traciła głowy. Mimo że z firmy wracała po dziewiętnastej, nie zrezygnowała z uprawiania sportu, wciąż była czynną triathlonistką. W tygodniu kilka godzin poświęcała na treningi, zwykle rano, przed jazdą do kancelarii. Już nie brała udziału w imprezach typu IronMan, na jakie miałyby ochotę, ale każda kosztowała spore pieniądze, poza tym zajmowała mnóstwo czasu. Odkąd zamieszkała w Nowym Jorku, odkąd dostała etat w kancelarii, wystartowała tylko w jednej połówce i dwóch ćwiartkach IronMana, gdzie oczywiście poprawiła swoje wyniki sprzed roku. Wciąż starała się namówić mamę na sport, gdyby

zechciała się więcej ruszać, byłaby bardziej sprawna. To dzięki naciskom Oli Iga zaczęła jeździć na rowerze i pływać. Wreszcie przezwyciężyła strach przed wodą z dzieciństwa. To było już dużo. Idze najbardziej jednak spodobała się jazda na rowerze, nieobciążająca kolan. Myślała o lepszym rowerze dla siebie, ale w sumie za niespodziewane pieniądze, pochodzące od Emila, kupiła dla Oli profesjonalny, szosowy rower. Przy okazji niespodzianki Iga nie zapomniała o życzeniach.

– Obyś przywiozła sobie nim męża. – Zaczęła się śmiać wniebogłosy. Trafiła.

Ola w kancelarii poznała wiele ciekawych osób, w tym młodego prawnika, tuż po stażu, z pochodzenia Włocha. Nazywał się Matteo Guttuso. Był przystojny, wysoki, mądry i podobno zakochany w Oli od pierwszego wejrzenia, o czym nie zapomniał jej powiedzieć. Wiele ich łączyło, zwłaszcza zawodowo. Także sport, Matteo biegał maratony. Kiedy się dowiedział, że Ola uprawia triathlon, zapalił się do tego sportu. Zaczęli się umawiać na poranne i weekendowe treningi. Tak się zaczęło.

Matteo w lipcu wyjechał na urlop do rodziny. Greve in Chianti, tak nazywało się miasteczko, w którym od pradziadków mieszkała rodzina Guttuso. Prosił, żeby zapamiętała, bo to najbardziej cudowne miejsce na świecie. Ola przejrzała zdjęcia miejscowości w Internecie, no fakt, było to bardzo tokańskie miasteczko. Rzędy cyprysów, aleje prowadzące do kamiennych rezydencji, nad którymi zwieszały się cyklameny, zielone wzgórza i doliny, pola winorośli i gaje oliwne. Wrażenie ciszy, spokoju. Prawie słyszała bzyczenie pszczół i much, czuła zapach tymianku, rozmarynu, bazylii, szałwii...

Gdy Matteo dotarł na miejsce, natychmiast zadzwonił.

– Oli, kochana. Musisz przyjechać. Wsiadaj w samolot! Pokazałem rodzinie twoje zdjęcie i wszyscy cię od razu pokochali. Chcą cię widzieć w Greve. Zdążę tobie pokazać Toskanię, ciebie rodzinie, a potem razem wrócimy do Nowego Jorku. No, Oli, nie szukaj powodów, by do nas nie przyjechać!

– Ależ, ja jestem dopiero na stażu! Urlop nie wchodzi w grę. Matteo, największy wariacie spośród wszystkich prawników na Manhattanie, nie kuś, błagam cię!

Ola była oszołomiona tempem, jaki Matteo nadał ich znajomości.

Chór dziecięcy ze Złotniczek pod koniec lipca świętował sukces – przeszli do następnego etapu. Ich śpiewem, a także prowadzącą chór – Krystyną Stelmach zainteresowały się nawet poznańskie media.

Krystyna Stelmach dała popis. Do tej pory ubierała się jak pani prowadząca pensję dla grzecznych dziewczynek, tym razem przyjechała z włosami puszczonej wolno, na głowie zamotała szary turban z mieniącą się fioletami przypinką. W czarno-fioletowej sukni o długości do ziemi dyrygowała z werwą, jakiej nie okazała nigdy wcześniej, a przynajmniej Zosia jej tak energicznej nie widziała. Dzieci też dały popis, z mety wywołując sobą spore zainteresowanie. Byli ze wsi, do tej pory nieznani publiczności, można powiedzieć – byli niczym czarny koń.

Ale żaden sukces nie powinien ich uspić, przed nimi było naprawdę wiele ćwiczeń.

Ola nie potrafiła odmówić Matteo. Zawiodły ją wszystkie próby wyłgania się, chłopak sam, w jej imieniu, zadzwonił do ich wspólnego szefa i Ola, mimo że w kancelarii była najmłodszą stażem pracownicą, otrzymała tydzień urlopu.

– Zgodziłem się. Jedź do Matteo, on bardzo za tobą tęskni. Każdy mężczyzna to zrozumie.

– Ależ ja sama już nie wiem. Mam sporo pracy. Ten urlop mi nie pasuje.

– Wrócisz i nie wyjdiesz z kancelarii przed weekendem. Umówimy się? W twoim biurze postawimy wersalkę.

Iga nie posiadała się z radości. Oli był potrzebny mężczyzna, który postanowi za nią. Taka była. W życiu zawodowym konsekwentna, uczuciowe doznania odkładała na... Na kiedy?

– Będę się zajmować waszym dzieckiem, dacie sobie radę z moją pomocą. Wiążąc się z Matteo, nie zniszczysz sobie kariery ciężą i macierzyństwem. Włosi są bardzo rodzinni – szczebiotała Iga do telefonu, zadowolona z takiego obrotu spraw. Następnego dnia Olę czekał lot do Florencji.

– Jejku, jeszcze ty!

Przez kilka dni Ola i Matteo objeżdżali razem Toskanię. Byli w Sienie, we Florencji, w Pizie i Luce. Region Chianti zachwyił Olę pejzażem, historią,

spokojem i znakomitym jedzeniem. W restauracji na rynku w Greve in Chianti zjadła najlepszą w swoim życiu pizzę. Zjechali cały winny szlak, gdzie przyjmowani byli jak przyjaciele, a w kilku winnicach przerwano dla nich sjęstę. Matteo był znany w tym regionie od dziecka, ale Ola nie odczuła w żadnym stopniu, by przyjaźni nie okazywano i jej. Były pytania, skąd pochodzi, dlaczego wyemigrowała do USA, pytania o mamę, o ojca, o brata. Pojechali też do Castelliny, Montepulciano, gdzie skosztowali wspaniałego wina Nobile de Montepulciano, potem byli w Montalcino. Otrzymali zaproszenie na święto winne, które w drugi weekend września odbywało się co roku właśnie w Greve in Chianti.

Objechali winnice, natomiast to u rodziców Matteo, państwa Guttuso, Ola wypiła najlepsze wino, pochodzące z ich winnicy, aż siedemnastoletnie. Zwiedziła też rodzinną fabryczkę oliwy. Po raz pierwszy w życiu widziała wielkie nierdzewne tłocznie i kamienne walce, zgniatające oliwki. Otrzymała w prezencie kilka skrzynek wina Guttusino i parę kartonów oliwy. Rodzina Matteo bardzo Olę polubiła, z wzajemnością, zresztą.

Wieczorami, przy butelce wspaniałego wina i desce prosciutto oraz serów, rodzice Matteo wspominali Warszawę, w której byli kilkanaście razy, za czasów Wałęsy. Jego mama była wtedy dziennikarką, ale zrezygnowała z tego zawodu na rzecz pomocy mężowi przy prowadzeniu winnicy i plantacji oliwek, które odziedziczył po dziadkach. Tata też nie był zwyczajnym włoskim farmerem. Zaśpiewał *'O sole mio* na powitanie Oli, ale jak! Dwa lata studiował śpiew, dopiero potem musiał się poświęcić dla rodziny. Jak to rodzic, chciał, by Matteo kontynuował jego pasję, ale syn wolał prawo. Cała rodzina Guttuso była muzykalna.

Ola i Matteo wrócili z Toskanii do Nowego Jorku bardzo zaprzyjaźnieni, z planami na wspólną przyszłość, a Iga nie mogła sobie odmówić telefonu do córki, zaraz po jej przejściu przez bramkę na lotnisku. Dłużej pogadały dopiero wtedy, gdy Ola dojechała do domu i odpoczęła po podróży.

– Mamo, oni mają naprawdę wielką firmę, a jak tam było ładnie! Musimy kiedyś razem polecieć do Toskanii! Przyjęli mnie jak gwiazdę filmową! Cóż to za rodzina! Wielopokoleniowa, wszyscy żyją, nie pomarli jak w naszej. Matteo ma wszystkie babcie, wszystkich dziadków, a nawet jedną prababcię. Jego ojciec ma dwóch braci i trzy siostry, wszyscy żyją w dużych rodzinach, mieszkają w pobliżu. Mama Matteo jest śliczna, wcale nie widać, że ma pięćdziesiąt lat, podobna jest do Moniki Bellucci, są zresztą z tego samego

rocznika.

– Z którego?

– Z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego. Ród Guttuso to bardzo bogaci, ale przy tym niezwykle pracowici Włosi, ciepłi, widać, że to jest nieudawane, bardzo tam gwarno, aż nie chciało mi się wyjeżdżać. Zapraszają nas wszystkich na święta, oferują gościnę. Pojechałabyś? Tam jest tak pięknie, że aż się zakochałam!

– Zakochałaś się w regionie, ale co z Matteo? Kiedy go poznam? Może przylecicie do Beaumont w przyszłą niedzielę? – Iga nie odpowiedziała na pytanie Oli. Sama zabałaganiała swoje życie, ale nie chciała, by Ola szła jej śladami. Widziała dla niej ścieżkę tradycji – zaręczyny, ślub, wesele, dzieci.

– Mamo, powoli! Z Matteo znamy się zaledwie parę tygodni! Nie wiem, co z nami dalej będzie.

– To się od razu wie!

– Nie? Mamo! Ja nic nie wiem od razu!

Sporo z tego, co Iga wymarzyła dla córki, dziewczyna już osiągnęła. Ola uzupełniła w Stanach wykształcenie, otrzymała bardzo dobrą pracę, gwarantującą zamożną przyszłość, na pewno będzie miała z niej pieniądze, będzie awansować, bo zasłynęła jako błyskotliwa, pracowita i konsekwentna. No, mogłaby jeszcze być żoną i matką. Wprawdzie nie zakładała zięcia Włocha, ale właściwie dlaczego nie?

Do Igi docierały wieści dotyczące Zosi i jej córki. Basia Koronowska nie mogła się ich nachwalić. Często w ich rozmowie padało słowo „zjednoczenie”. Rodzina Leśniewskich liczyła niewiele osób, jeśli doszłoby do zapoznania z państwem Guttuso, trzeba byłoby jakoś wypaść. Leśniewscy przecież nie wzięli się spod ogona kota, inni spotykają się całymi rodami, organizują zjazdy, a u nich animozje. Poza tym Ola polubiła i doceniła Zosię. Podobno była pomocna, ciepła i zainteresowana drugim człowiekiem, generalnie pozytywna. To były argumenty Basi. Iga otrzymała od Zosi w prezencie papierowego słonia, powstał pretekst, by zadzwonić i podziękować. Niestety, coś jej mówiło, że ten słon trafił na jej kredens przez niedopatrzenie. Pewnie dała go dzieciakom... a oni?

Iga wciąż nie znalazła dwóch tysięcy dolarów, poszły sobie na zieloną trawkę, ale sprawa ją dalej męczyła. Jeśli by zasugerowała mężowi, by pogadał ze swoją córką, czy przez przypadek nie wzięła tych dwóch tysiaków dolców, na pewno obraziłby się do końca ich życia. Sprawy finansowe między

nimi nie były do końca poukładane. Iga nadal dawała pieniądze Leszkowi, co nie było w porządku wobec Kosa. To Leszek powinien finansowo wspierać ją i Stasia. Tymczasem to Kos, gdy była taka potrzeba, pomagał jej w finansowaniu Stasia i Oli.

W jego portfelu pozostawało naprawdę niewiele środków, które mógłby przeznaczyć dla córek.

Wrzesień 2011

Nad lotniskiem Orly podchodził do lądowania samolot z Berlina. Marieta miała zapięte pasy, wyglądała przez okno, ale nie podziwiała gwiazdzistej zabudowy Paryża. Myślała, jaki on będzie. Czy w ogóle rozpozna swojego ojca?

Znała go tylko ze zdjęcia z lat dziewięćdziesiątych. Był wtedy młody i przystojny, miał duże oczy, białe zęby i ładne ubranie. Bała się, czy nie padną już na wstępie słowa, które przekreślą ich relacje na zawsze. Chciała, by przeprosił za lata milczenia, sama zresztą powinna uczynić to samo. Nic nie zwalniało dorosłej córki, by szukała kontaktu ze swoim ojcem. Nie uczyniła tego. Przecież mógł nie żyć. Mama mogła niszczyć jego listy. Marieta dałaby się pokroić, że była jej po prostu wygodniej nie dzielić córki z nikim więcej. To była na pewno znacznie bardziej komfortowa sytuacja. Nie posyłała córki na wakacje z ojcem, nie zapoznała z senegalskimi dziadkami, nie dzieliła jej z nimi. Jeśli chodzi o mężczyzn, Zosia była uparta, Marieta widziała jak jej mama traktuje Piotra. Kiedy Marieta zakomunikowała jej, że chce podążać drogą operowej kariery, też ów fakt z trudem zaakceptowała.

W Paryżu dziewczyna miała trzy godziny czasu. Z ojcem umówiła się przy wyjściu z lotniska. On już musiał być na lotnisku. Samolot z Senegalu wylądował kilka minut wcześniej niż jej Lufthansa. Serce chciało jej wyskoczyć gardłem. Gdyby nie położyła sobie ręki na piersi, pewnie by to uczyniło. Dawno się tak nie denerwowała. Stała w przejściu ze zdjęciem ojca w ręce. Ktoś ją potrącił, ktoś pouczył, że blokuje przejście. Przesunęła się. Przypatrywała się wszystkim czarnym mężczyznom. Już była pewna, że to on, że go widzi, że widzi swojego ojca, ale kolejny mężczyzna jej nawet nie zauważył i poszedł dalej. Znów ktoś chwycił ją za ramię. Usunęła się na bok. Też pomyłka.

– Mariette? – Usłyszała swoje imię wypowiedziane z francuskim akcentem.

Odwróciła się.

Przed nią stał wysoki, bardzo przystojny, czarny mężczyzna, z lekką siwizną na skroniach.

– Witam cię, córko – powiedział do niej po francusku.

– To ty? – Była zaskoczona. Wyobrażała sobie ojca, którego pokonał czas, tymczasem spotkała zupełnie kogoś innego. Przystojnego, wesołego, dobrze ubranego. Poczwała żal do siebie, do mamy, do niego. Na pewno miał kobiet bez liku i mnóstwo dzieci, które zabrały uczucie, jakim miał obdarzać ją, Mariettę, czyli jakąś tam małą Polkę – pomyślała z sarkazmem. Natychmiast stworzyła dystans, o który siebie nie podejrzewała. Skinęła mu głową i podała rękę.

– Chodź, pogadamy. Co się tak spinasz? – zapytał krótko, widząc, jak gaśnie na jej twarzy radość, jaka się pojawiła na jego widok.

Nie zadała pytania, dlaczego nie szukał z nią kontaktu. Widocznie nie czuł takiej potrzeby. Coś takiego między nimi zaistniało, co kazało spasować jej z emocjami. Usztywniła się, choć na początku wiele sobie po tym spotkaniu obiecywała. Gdy ojciec na koniec przeszło godzinnej rozmowy o swojej nowej rodzinie i na temat wad mamy Mariety wystawiał dla niej czek, nawet nie drgnęła jej powieka. Kwota na czeku była olbrzymia. Czterdzieści tysięcy dolarów. No i dobrze. Był jej to winien.

– To nie wszystko. Co miesiąc otrzymasz ode mnie dwa tysiące dolarów, ale warunek: odwiedzisz mnie w Senegalii i poznasz swoją afrykańską rodzinę. Zgoda?

– Czyli kogo?

– Babcię, dziadka, macochę, swoich braci, moje siostry, jak to u was na nie się mówi?

– Ciocie.

– No właśnie. Poznasz także swoje ciocie i ich dzieci.

– Dobrze, zgadzam się. Dwa tysiące dolarów na miesiąc. Ale ja też mam warunek – nie będziesz źle mówił o mojej mamie – odpowiedziała krótko.

– Skoro uważasz to za ważne... Zgoda.

Uważała to za bardzo ważne. Dwa tysiące dolarów na miesiąc, sporo. Należały się te pieniądze zarówno jej, jak i mamie. Tak naprawdę najbardziej na jego pieniądzech jej zależało. Prócz nich nie spodziewała się ze strony ojca niczego więcej, no, poza bardziej lub mniej szczerą rozmową. Kiedyś idealizowała go sobie, teraz nie potrafiła zapalać do niego uczuciem. Jednak

ucieszyła się, że jej nie zapomniał, że chciał się spotkać, ta wiedza na razie jej wystarczała. Pieniądze, jakie jej przekazał, wiele rozwiązywały. Była mu wdzięczna, więc postarała się na koniec być miła. Pocałowała ojca w policzek.

Już wychodzili, Saliou Diene był wzruszony. Odprowadził Marietę do hali odpraw. Był człowiekiem obytym, w końcu należał do senegalskiego establishmentu. To akurat było dla Mariety czymś ważnym. Podziwiała ludzi sukcesu. Na koniec Saliou pogłaskał córkę po policzku i wręczył jej książkę, której był autorem, *Mysli o wolności*.

– Tato, czy to znaczy, że ty też jesteś artystą? – Marieta prawie klasnęła w dłonie.

Uśmiechnął się.

– Wiesz... to rzecz raczej naukowa. Ale swoje o życiu i sztuce wiem. Jest takie afrykańskie powiedzenie, które tobie się na pewno przyda. „Ptak na gałęzi inaczej śpiewa aniżeli zamknięty w klatce”. Nie cytowała tobie go mama?

– Nie, ale jest ładne i mądre. Podoba mi się, muszę je zapamiętać. Właśnie lecę do Nowego Jorku... by sięść na gałęzi.

– Powodzenia, córko. Wolność to przede wszystkim stan ducha.

Zosia przeczytała wnioski pokontrolne. Piotr przesłał je e-mailem. W międzyczasie doszła jeszcze kontrola sanitarna i, jak miecz Damoklesa, nad domem pomocy wisiała kara za brak higienicznych warunków w toaletach. Urządzenia sanitarne i płytki już dawno miały być wymienione. Zosia nie dała rady, a Piotr też nie nadążał ze wszystkim. Zosia postanowiła następnego dnia pojechać do Drawska, by ratować sytuację, przewodnicząca kontroli sanitarnej była jej dobrą koleżanką.

Dobrze, że zrezygnowała z pracy w domu pomocy w Drawsku. Praca z dziećmi była nagrodą po wielu latach pomagania bezdomnym. W Złotniczkach czuła się, jakby miała wielodzietną rodzinę. Dzieci były urocze. Kłopoty miała tylko z Lisą. Co jakiś czas dostarczała jej powodów do zastanawiania się.

Przyszła kiedyś rano smutna, stanęła przy biurku Zosi, oparła się rączkami o blat, i powiedziała, patrząc jej w oczy:

– A mój tata przyszedł wczoraj do domu pijany i rzygał...
– Na pewno był chory.
– Nie! – Dziewczynka tupnęła nogą. – Mama krzyczała, że śmierdzi wódką, a tata powiedział: „A co wodą mineralną mam pachnieć? Piłem, to i śmierdzieć”. Strasznie krzyczał na mamę, a ja się bałam. Dopiero, jak zasnął na wycieraczce, uspokoiliam się.

Zosia знаła ojca Lisy, był sympatyczny i miły, w przeciwieństwie do jej mamy. Niemniej, jeśli Lisa mówiła prawdę, to jej dzieciństwo nie było szczęśliwe. Zosia dziękowała Bogu, że jej nie było takie. I Mariety. Na takich rozmyślaniach mijala jej podróż do Drawska. Na poznański dworzec podjechała samochodem, bo wyruszyła wcześniej rano, ale dalszą podróż miała odbyć pociągiem. Nie miała siły, by siadać za kierownicą i jechać ponad dwieście kilometrów. Ostatnio nie dosypiała ani nie dojadła. Poza tym musiała wrócić do domu tego samego dnia, w komputerze na nią czekało dość dużo terminowych zleceń.

Jadąc pociągiem, przeglądała pocztę w smartfonie. Od Mariety nic nie doszło. Była niepokieszona. Jednak jazda pociągiem w otwartym wagonie była znacznie bardziej komfortowa niż w przedziałach zamkniętych. Bała się pustych pociągów. Ten też nie był zatłoczony, ot, w całym wagonie siedziało zaledwie kilka osób. Kupując miejscówkę w wagonie otwartym, można było spokojnie pójść do toalety, zostawiając bagaż. Wzięła torebkę i przeszła w stronę toalety. Była zajęta. Musiała chwilę poczekać, ale niedługo, ktoś szybko wyszedł. Weszła. Kiedy myła ręce, zauważyła leżącą na umywalce dużą białą kopertę, bardzo pękata. Niewątpliwie, ktoś o niej zapomniiał.

Zajrzała do środka. Jasny gwint! Ileż forsy! Banknoty o nominale dwieście i sto złotych, upchane ciasno, ledwie się w tej kopercie mieściły. Nie powinna była dotykać pieniędzy, koperta nie była jej własnością! Strach ścisnął jej gardło. Zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co zrobić. Może ta forsa to dar od Boga, by wreszcie na zawsze rozwiązała swoje finansowe problemy? Spojrzała do góry. Nie, to niemożliwe, pieniędzy było zbyt dużo! Może to kasa mafii albo okup dla jakichś zbirów? Niewątpliwie znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Linie papilarne! Strach nie jest sprzymierzeńcą. Zosia zaczęła chaotycznie chusteczką wycierać banknoty, które przed chwilą trzymała w rękach. Spakowała je do koperty. Obmyła rozgrzaną z emocji buzię wodą, ale jej myśli nadał były gorączkowe. Tym razem była na sto procent pewna, że do toalety za chwilę załomocą policjanci

w kominiarkach na twarzach. Skują ją. Albo lepiej! Będą to gangsterzy z bronią w łapach wycelowaną w jej głowę. Jedno i drugie źle rokowało.

Zaraz, zaraz! Przecież przed nią w toalecie był facet, który na pewno wciąż jedzie w tym samym wagonie. Może potrzebuje pieniędzy na operację dla kogoś ciężko chorego? Może sprzedał dom i chce kupić mniejszy? Albo musi się przeprowadzić do innej miejscowości, gdzie właśnie otrzymał etat? Tak, to pewnie forsa na dom! Nie, aż tyle jej tam nie było.

Jeszcze raz chwyciła kopertę przez chusteczkę, starając się ułożyć ją tak, jak ją zastała. Było okej. Idealnie zlewała się z bielą umywalki. Pewna tego, co chce uczynić, wyszła z toalety. Rozejrzała się po wagonie.

Młody człowiek w bluzie z kapturem siedział kilka miejsc od toalety i patrzył przez okno. To chyba on był w tej toalecie. Pociąg zatrzymywał się właśnie w Choszcznie, na peronie stało kilka osób. Do wagonu nikt nie wszedł. Nikt też nie wysiadł. Zosia podeszła do mężczyzny.

– Bardzo pana przepraszam, ale mam pytanie. Czy nie zostawił pan czegoś w toalecie?

Mężczyzna spojrzał na Zosię, natychmiast włożył ręce do kieszeni bluzy. Zbladł. Wstał gwałtownie i pobiegł do toalety. Po chwili wrócił, odszukał wzrokiem Zosię.

– Bardzo dziękuję! Nie zdaje sobie pani sprawy, że uratowała mi życie. Całą drogę uważałem, żeby mnie nikt nie okradł, trzymałem ręce w kieszeni na kopercie, wszystko było okej. A potem w tej cholерnej toalecie umyłem ręce i... gapa ze mnie! Jeszcze raz bardzo dziękuję.

– No wie pan! Chyba należy się znaleźne! – powiedziała i... stało się. Nie wiedziała, skąd wzięło się jej to żądanie. Pewnie uznała, że za lekkomyślność trzeba zapłacić. Tylko w ten sposób mogła sobie wytłumaczyć.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i podał Zosi dwieście złotych.

Skrzywiła się. W kopercie na pewno było więcej niż pięćdziesiąt tysięcy złotych!

– Czy dobrze mi się wydaje, że znaleźne wynosi zwyczajowo dziesięć procent, proszę pana? – Nadal nie wiedziała, dlaczego idzie tą drogą.

Mężczyzna zawahał się, ale po chwili znów sięgnął do koperty.

– Dwa tysiące, będzie dobrze?

– Tak, dziękuję.

Wzięła pieniądze, włożyła do portfela, z nerwów chciało jej się narobić w majty. To były brakujące dwa tysiące, jakimi mogła opłacić zaległe

rachunki! Przez drogę z Choszczna do Stargardu Szczecińskiego czuła na sobie palący wzrok faceta, jednak udawała, że tego nie widzi. Pieniądze ciążyły jej, jakby były z kamienia. Na szczęście zbliżał się Stargard Szczeciński, gdzie miała kilka minut na przesiadkę do kolejnego pociągu. Pociąg do Drawska już stał nam peronie, Zosia wysiadła, a uczyniła to z wielką ulgą. Mężczyzna pojechał dalej, a ona uspokojona usadowiła się w pociągu do Drawska.

W mieście jej dzieciństwa udało się załatwić wszystko, co miała w planach, nie była długo, kilka godzin. Z koleżanką z kontroli sanitarnej dogadała się, że w ciągu trzech miesięcy wymienią ubikacje. W urzędzie umówiła się na całkowite przekazanie stanowiska. Piotr, gdy o tym usłyszał, był wściekły, ale podwiózł Zosię na dworzec. Nie było jeszcze dwudziestej pierwszej, gdy dotarła do Złotniczek.

Przed furtką do Domu Złudzeń stał radiowóz. Na jej widok wysiadło z niego trzech mężczyzn, jeden był w mundurze. Mignęli jej przed oczyma policyjnymi legitymacjami.

– Pani Zofia Kulińska?

– Tak, a o co chodzi? – zapytała bliska omdlenia.

– Proszę zabrać potrzebne rzeczy i wsiąść z nami do auta. Musimy pojechać na komendę do Poznania, tam złoży pani zeznanie.

1987

Była taka młoda, a już nie ufała facetom. W Mińsku poważnie zajęła się nauką, tylko w weekendy udzielała się towarzysko. Miała powodzenie, była koleżeńska, ładna, zgrabna i dowcipna, lubiła śpiewać. Dobrze tańczyła. Taniec, owszem, miał miejsce, nawet często, ale nic więcej z żadnym kolegą jej nie połączyło, jeśli cokolwiek to po studiach, nie wcześniej. Podrywał ją Niemiec Rolf, był bardzo w niej zakochany, ale Zosia nie potrafiła wykrzesać z siebie głębszych uczuć. Rolf kusił ją Rugią, w Bergen mieszkali rodzice Rolf'a z jego młodszą siostrą, ale Zośki to wcale nie nęciło. Zapraszał na plażę w Binz i w Sassnitz, ale to też było mało ważne. Kusił własną łodzią, najnowszym modelem trabanta, obiecywał dobrobyt. Rolf w Mińsku kończył rolnictwo, a jego ojciec był szefem firmy rolnej na Rugii. Też nie zrobiło to wrażenia na Zosi. Wołała przyjaźń. Kiedy przywiózł z rodzinnego domu pierścioneł, rodzinną pamiątkę, kiedy jej zatknął go na palec, musiała mu wreszcie dać czytelny kosza.

– Rolf, zostańmy przyjaciółmi. Pierścionek zostaw dla dziewczyny, która ciebie pokocha. Ja nią nie jestem.

Rolf wykrzyczał jej wtedy, że złamała mu serce, że jest głupią Polką i się obraził. Następnego dnia koledzy przynieśli go do akademika z knajpy kompletnie pijanego. Dwa dni trzeźwiało. Zosia i on nigdy więcej się nie spotkali, choć wciąż mieszkali w tym samym akademiku. Rolf unikał Zosi dwa lata, z iście pruską precyzją.

W lutym za zaoszczędzone pieniądze ze stypendium w kilka dziewczyn pojechały na koncert Metalliki do katowickiego Spodka. Potem miały w planie zaliczyć występ Modern Talking, ale nie było już biletów. Latem wraz z rodziną Zosia oglądała w telewizji występ Johnny'ego Casha w Operze Leśnej w Sopocie. Dzięki Zosi i jej stypendium w domu były aż dwa radzieckie kolorowe telewizory!

O Tomaszu nikt w rodzinie nie wspominał, chcieli, by zapomniała. Zosia też o niego nie pytała.

Po powrocie z wakacji, w październiku, a wtedy była już na trzecim roku, do Mińska przyjechało na studia doktoranckie kilkoro Senegalczyków. Wśród nich najbardziej przystojny, a jednocześnie miły i dowcipny Saliou Diene. Niewątpliwie ów student miał umysł ścisły, pisał doktorat z matematyki. Choć jego zajęcia odbywały się w innym budynku, oraz mieszkał w innym akademiku, ale na każdej towarzyskiej imprezie zawsze był blisko Zosi. Może nie od początku, ale im częściej natykali się na siebie, czuła do tego już dojrzałego mężczyzny chemiczne wręcz przyciąganie. Gdy tańczyli, a było to już w karnawale, znikła w jego umięśnionych ramionach, głową sięgając zaledwie mu do piersi. Zawsze pachniał najdroższymi wodami, a niezapięta pod szyję, dobrze uprasowana zagraniczna koszula odsłaniała ciemne ciało o niezwykle pięknej barwie i aksamitnej fakturze.

Saliou przywiózł do Mińska kilkanaście płyt z senegalską i malijską muzyką. Za jego sprawą w akademikach podczas potańcówek stał się modny przebój Malijczyka Mory Kanté – Yé ké yé ké:

„Bi sounkouroun lou la donkégná, ah, ah, Bi sounkouroun lou la donkégná, ah, ah, I madji I ma yélé, I kanan n'bila nara ro, N'bo n'bolo bila Kanfalani yana sara le la. Yékéké nimo yé ké yé ké. Yékéké nimo yé ké yé ké”[\[8\]](#).

I jeszcze raz refren! Głośniej! Dużo głośniej! Gardła bolały od śpiewania. „Yékéké nimo yé ké yé ké. Yékéké nimo yé ké yé ké”.

Gdy Zosia w tańcu policzkiem dotykała nagiej piersi Saliou, czuła

podniecenie. Chciała czułości, potrzebowała pieśczoł. Nie miała takich emocjonalnych sensacji wcześniej, przy żadnym chłopaku, no cóż, do tej pory trafiali jej się wyłącznie rówieśnicy, partnerzy. Saliou był mężczyzną dominującym. Gdy wirowali w tańcu, było dziko, namiętnie, czuła na swoim brzuchu nabrzmiałego podnieceniem Saliou i wcale jej to nie krępowało. Kręciło jej się w głowie, ale z tym mężczyzną była absolutnie bezpieczna. Był jej czarnym królem. Widywała go czasem w przelocie, z książką pod pachą, siedzącego na ławce w parku albo na korytarzu akademika. Zawsze otoczony był kolegami i koleżankami. Z Zosią także lubił rozmawiać. Fascynował się słowem pisany przez Senegalczyka Léopolda Sédara Senghora, współtwórcę idei négritude[9]. Senghor pisał też wiersze oraz eseje.

Ulubionym powiedzonkiem Saliou było: „Ptak na gałęzi inaczej śpiewa aniżeli ptak zamknięty w klatce”[10]. Często powtarzał to przysłowie. Największą pasją Saliou była jednak matematyka. Mówił o niej z takim zapalem... patrząc na Zosi uda.

Sporo ją kosztowało, by nie pójść na całość.

Nazywał ją tak śmiesznie – Zosza, co czasem brzmiało jak „zorza”. Śmiała się z tego. Gdy mu wyjaśniła, co oznacza w języku polskim to słowo, odtąd tylko tak na nią mówił.

Była więc Zorzą. Ładnie.

Intencje Saliou były nieodgadnione. Zbliżał się, ale i oddalał. Kiedyś przyniósł dla niej kwiaty, ale zapowiedział, że ma się nie przyzwyczajać, bowiem popełnił incydent, że obdarowywanie kobiet kwiatami nie jest w ogóle w jego zwyczaju. Powąchała kwiaty, różne były, nie do końca dobrane, ale ładnie pachniały. Wyjął z bukietu różyczkę, złamał łodygę i włożył sobie do kieszonki na swetrze. Ta kieszonka była na jego sercu. Zosia zadrżała.

Symbolika jego gestu mocno do niej przemówiła.

Pewnie szybko dałaby ujście emocjom, ale odezwał się Tomek. Napisał przepiękny list, jak kocha Zosię, że Magda była pomyłką, dziecko też chyba nie jest jego, ale to jest do zbadania, zresztą dodał, że niebawem zleci wykonanie stosownych badań genetycznych. Prosił, by Zosia mu wybaczyła i razem z nim pojechała na wakacje. Tak, jak kiedyś planowali. Wtedy spełni się to, czego oboje chcieli. Na wakacjach miał jej wszystko wyjaśnić.

No cóż, uwierzyła i (choć ze sobą walczyła) zgodziła się na wyjazd. Korespondencja między nimi odżyła, a na telefony wydawali majątek.

W czerwcu kontakt się urwał, listy od Tomka przestały przychodzić, telefonu w pokoju nadal nie miał. Zosia miotała się, jak przed laty. Nie było jak się porozumieć. Bała się, że wydarzyło się coś strasznego. Wypadek, choroba... te rzeczy. Tomasz zadzwonił dwa tygodnie przed umówionym wyjazdem. Tłumaczył się, ale tak ogólnie. Że jednak się pomylił. Powiedział, że Magda jest mu bliska, że sam już nie wie. Podobno zrozumiał, że gdyby jej nie było obok niego, też byłby bardzo nieszczęśliwy. Po prostu nie mógł już bez Magdaleny żyć. Wtedy oboje śpiewali w chórze Politechniki Szczecińskiej, co było przepustką do świata. Przesłał jej swoje zdjęcie z Magdą w muszli w Parku Kasprowicza. Napisał, że na dniach polecą z chórem na zaproszenie Polonii do Kanady.

Zosia przepłakała tydzień, w ogóle nie wychodziła z akademika. Zaliczała tylko niektóre zajęcia, ale nie zaglądała do miejsc, gdzie działały się imprezy. Saliou szybko się dowiedział, że Zosia jest nieszczęśliwie zakochana w chłopaku z Polski. Chciał się z nim pojedynkować. Zosia wytłumaczyła mu, że ona przyjmuje rzeczywistość taką, jaka jest, a Saliou czynił to zbyt dosłownie. Upłynął miesiąc, Saliou był widywany z Niemką Ritą. Zosię zakłuło serce, gdy go zobaczyła w objęciach z roslą korpulentną blondynką. Wyszło wtedy, że i ona (podobnie jak Tomasz) byłaby zdolna do obdarowania uczuciami dwóch mężczyzn na raz.

Pewnego dnia Saliou zapukał do drzwi pokoju Zosi. Gdy je otworzyła, wszedł do jej pokoju i bez słowa przytulił ją mocno do siebie. Usłyszała słowa mówione po polsku:

– Niech się wynoszi ta menszczyzna.

Zaskoczył Zosię. Potem dodał już po rosyjsku:

– Zorza, pojedź ze mną na Krym.

Nie chciała. Musiał ją przekonywać. Mamił tym, co będą zwiedzać, gdzie będą mieszkać i w ogóle. Krym był ciekawy, przy tym było piękne lato. Zosia się zastanowiła. Mieszkać cztery semestry w Związku Radzieckim, a nie być w ogóle na Krymie? Zgodziła się. Razem z nimi pojechało kilkanaście osób, znanych im z akademika

Na Krymie było upalnie, Morze Czarne rzeczywiście było czarne, a rejon bardzo interesujący, multikulturowy. No i nie było z nimi Niemki Rity, uchodzącej za dziewczynę Saliou. Zosi nie interesowało, dlaczego nie przyjechała. Zwiedzili wtedy wszystkie ważne miejsca na półwyspie. Jałtę, Ałusztę, Ałupkę, Sewastopol, Eupatorię. W Jałcie zajrzeli do Muzeum

Antoniego Czechowa, mieszczącego się w dawnym domu pisarza, zajrzeli do ormiańskiej cerkwi Surb Ripisme i do Soboru Aleksandra Newskiego. Odwiedzili Gurzuf – niegdyś miejscowość literatów i artystów: Mickiewicza, Puszkina, Musorgskiego, czy Szałapina. Oczywiście, byli także w Liwadii. Rezydencja została wybudowana przez Potockich, potem sprzedana Romanowom, to za ich czasów pałac nabrał przepychu, potem przebudowana, powiększona, a wiadomo było, że do jej budowy użyto przede wszystkim białego wapnia i marmuru. Podczas konferencji jałtańskiej w pałacu spał Roosevelt. Jaskółcze gniazdo, prawie symbol Krymu, też robiło wrażenie.

Zwiedzili oczywiście Bakczysaraj.

„Tu cień pada z menaru i wierzchu cyprysa,
Dalej czernią się kołem olbrzymy granitu,
Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa
Pod namiotem ciemności; niekiedy z ich szczytu
Budzi się błyskawica i pędem farysa
Przelatuje milczące pustynie błękitu”[\[11\]](#).

Tak, były tam też milczące pustynie błękitu, ale generalnie było wesoło. Łazili grupą po okolicy, leżeli na plaży, aż nie zrobiło się zimno i ciemno. Wieczorem, zajadając się czeburiekami, łazili reprezentacyjną nadmorską promenadą, gdzie ruch spacerowiczów nigdy nie ustawał. Wracając do domu, siedząc pod pomnikiem, pili szampana prosto z butelki, patrząc Leninowi w oczy. W akademiku kontynuowali zabawę. Jakże beztraskie były to chwile. Polki w tańcu poruszały się seksownie, śpiewając *Płynię w nas gorąca krew* Bajmu. Na szczęście nikt poza nimi nie znał słów.

Pewnego wieczoru, kiedy znów się wygłupiały, kiedy znów śpiewały pieśń o gorącej krwi, Saliou wstał i zaśpiewał a capella *I was born to love you* – przebój Freddiego Mercury’ego. Śpiewał tylko dla Zosi. Cudnie to robił. Patrzył na nią czarnymi oczami. Tylko na nią.

Było romantycznie.

Ptak siedział na gałęzi. Nie był na uwięzi. Wiedziała to. Na Krymie nie zaszło między nimi nic więcej ponad to, co zaiskrzyło już wcześniej. Nie było seksu, po prostu w obawie, że sytuacja może się wymknąć spod kontroli, oboje unikali sytuacji sam na sam. U Zosi wciąż gdzieś w tyle głowy pojawiały się toksyczne myśli o Tomaszu.

Saliou zaś doskonale wiedział, że tak właśnie jest. I czekał.

Mimo to od wakacji wśród znajomych uchodzili za parę.

Nadal wrzesień 2011

Oczywiście, Zofia Kulińska, siedząc w policyjnym aucie jadącym do Poznania, bardzo chciała dowiedzieć się, o co jest oskarżona. Po głowie chodziły jej różne straszne scenariusze. Pytała o sprawę. Ale nic się nie dowiedziała. Tajniacy zbywali ją półsłówkami. Że dowie się na miejscu, że oni nic nie wiedzą. Że im przykro. Ble, ble, ble. Mają ją dowieźć na komendę. Rozmawiali między sobą o tym, gdzie i po jakiego zbira mają jeszcze tego dnia się udać. Zupełnie ją ignorowali.

Zosia była bliska omdlenia, ale zdobyła się na odwagę i poprosiła o papierosa, choć w swoim życiu paliła tylko raz, kiedy nie miała jeszcze dwudziestu lat. Poczęstowała ją Magda, pilnując, by Zośka, krztusząc się i parszając, wypaliła papierosa do końca.

Zatrzymali się na poboczu za Kobylnicą i pozwolili, by wyszła na zewnątrz auta. Wzięła w rękę papierosa i mocno się zaciągnęła, od razu zrobiło jej się przed oczami czarno. Ale zaciągnęła się i drugi raz. Potem było już lepiej, o dziwo poczuła się spokojniejsza.

Na komisariacie w Poznaniu na Wildzie zaprowadzono ją do pokoju, który na pierwszy rzut oka był ohydny. Pusty, źle umeblowany, cuchnący tytoniem i testosteronem. Została w nim sama. Patrzyła w okno, ciemno było, kompletnie czarno, przez chwilę nawet pomyślała o ucieczce. Noc by ją otuliła, zamknęła w czarny kokon. Nie, to byłby jej najgłupszy w życiu pomysł! Poszukała rozumu i siedziała grzecznie na krześle przy biurku z dłońmi na kolanach. Powinna była zawiadomić Basię, wzięła w rękę telefon komórkowy i zadzwoniła. Miała wrażenie, że jest obserwowana.

- Basiu, jestem aresztowana! – O mało się nie rozplakała.
- Ty!? Za co? Ukradłaś gumkę do włosów?
- Nie wiem, to znaczy... wiem...
- Proszę pani, proszę natychmiast odłożyć telefon. – Usłyszała za sobą męski głos. Telefon wypadł jej z ręki i spadł na ziemię.
- Zosiu, Zosiu. – Z podłogi policyjnej kanciapy słychać było głos Basi.
- No, proszę pani! Mówiłem, proszę natychmiast wyłączyć telefon! Nazywam się Krzysztof Woźniak, jestem podkomisarzem w wydziale kryminalnym.

Policjant miał smutny i zrezygnowany wyraz twarzy, to przede wszystkim. Zosia podniosła telefon z ziemi i posłusznie go wyłączyła.

– O co chodzi? Co ja takiego zrobiłam? – Prawie płakała. Mężczyzna, policjant, w błękitnym pulowerze, nawet przystojny, spojrzał na nią swoimi przeźroczytymi źrenicami i wcale nie pocieszył.

– Czy zna pani Pawła Wajsa?

– Nie, nic mi to nazwisko nie mówi. Chodzi o mężczyznę w pociągu? Mam rację?

Woźniak spojrzał na Zośkę i odpowiedział jej na pytanie pytaniem.

– Czy jest pani właścicielką kawalerki na ulicy Prądyńskiego w Poznaniu?

– Tak, jestem. – Coś do Zosi zaczęło docierać. Paweł, rudy, chudy, brzydki lokator. To jemu wynajęła kawalerkę.

– Kto tam mieszka?

– Wynajęła je kobieta dla swojego pasierba. On rzeczywiście chyba nazywa się Wajs. Na imię mu na pewno Paweł. Ale o co chodzi?

– W pani mieszkaniu zgwałcił niepełnosprawną dziewczynę. Czy orientuje się pani, gdzie on może w tej chwili być?

– Nie, absolutnie. Widuję go najwyżej dwa razy w miesiącu, prawie go nie znam. Mówi pan, że zgwałcił kogoś w moim mieszkaniu!? To straszne! Czy ta dziewczyna żyje?

– Żyje. Przechodzi badania w szpitalu, to standard w takich wypadkach. No dobrze. Teraz pojedziemy na Prądyńskiego i poczekamy na Wajsa. Chcę, by pani zidentyfikowała zbira, zanim wejdzie do mieszkania. Na razie go tam jeszcze nie ma.

– Długo to potrwa? Jestem bardzo zmęczona, wracałam z Drawska, kiedy mnie zaarrestowaliście. Nie mogliście do mnie zatelefonować? Zachowujecie się tak, jakby tę dziewczynę zamordował.

– Gdyby ją zamordował, przez dwa dni od prokuratora by pani nie wyszła.

– Ale ja nocą nie będę miała, czym dostać się do domu!

– Proszę się nie martwić. Policja nie zostawia ładnych obywaterek nocą na ulicy. – Zażartował. – Czynności jeszcze trochę potrważą, ale potem odwieziemy panią pod same drzwi.

Pojechali. Siedziała przeszło godzinę w towarzystwie policjantów w nieoznakowanym aucie przed blokiem na ulicy Prądyńskiego, z nudów o mało nie zasnęła. Nikt tą uliczką nie chodził. Nic się nie działo.

Wreszcie się pojawił, szedł ulicą powoli, w ręce trzymał pudełko z pizzą.

– To on!

Policjanci wyskoczyli z auta i skuli Wajsa kajdankami. Wcale się nie opierał. Dostrzegł Zosię w policyjnym aucie, a jego spojrzenie mogło ją zabić.

Kiedy przed północą znalazła się w domu, wysłała do Basi SMS-a: „Jestem”.

Od razu zadzwoniła, ale Zosia już nie miała siły, by jej zrelacjonować wydarzenia dnia.

– Jutro pogadamy. Dobra?

– No coś ty! Chcesz bym nie zmrużyła oka? Powiedz chociaż, o co szło!

– Lokator zgwałcił w moim mieszkaniu niepełnosprawną. Podobno!

– Daj spokój!

Zosia otworzyła laptop, dalej plik z tłumaczeniami, miała sporo do roboty. Potem sprawdziła pocztę.

Piotr pisał o pieniądzach, a raczej ich braku. Miał pretensje, że nie została dłużej i nie pogadali. Znow musiał włożyć swoje, by zrobić opłaty za media ośrodka. Skąd to znała? I za jej kadencji bywały takie momenty. Potem jednak znajdowali się ludzie dobrego serca i znow pieniądze pojawiały się na koncie. Znacznie łatwiej było jej pozyskać pieniądze dla obcych niż dla siebie. Nie miała smykałki do ich zarabiania. Walcząc o interesy innych ludzi, bywała apodyktyczna i konkretna, miała pomysły, dobry marketing. Gdy chodziło o siebie samą, opadały jej skrzydła. Wstydziła się poprosić o cokolwiek.

Po kilku godzinach pracy wstała i poszła do łazienki. Wzięła prysznic, założyła pidżamę, wróciła do pokoju i włączyła telewizor, tylko obrazki migotały, bez głosu. Nalała sobie do szklanki wodę, ale nie zdążyła jej wypić. Zasnęła.

Iga przysłała dla Dyduchowej nowe łóżko elektryczne, a dla Dyducha fotel i mnóstwo ubrań. No i przecież wcześniej te czeki dla fundacji Zosi. Nie należało o tym zapominać. Nie uszło to uwadze ludzi.

Adela Renz, która po kolejnym pobycie w szpitalu i po rekonwalescencji w sanatorium znow czynnie uczestniczyła w życiu wsi, będąc w sklepie Bednarzy powiedziała głośno i dobitnie, aby usłyszały ją kobiety, które przyszły zrobić zakupy albo tylko pogadać:

– Ileż złych słów na temat Igi w tej wsi padło! Ona taka jest, błędzi, jak my

wszyscy, ale nie czyni z siebie lepszej, choć by mogła. Gdy się tak ludziom bliżej przyjrzeć, wnikliwiej i bez taryfy ulgowej, okazuje się, że każdy ma wady. Iga swoich nigdy nie kryła, przecież nie narzuca nikomu swojego sposobu życia, nie uważa siebie za doskonałość, a wręcz przeciwnie, stara się zmienić na lepsze.

Basia cieszyła się, że Iga nie zapomniała o rodzicach swojej przyjaciółki. Też nie mogła się z tym pogodzić, że Igę niewielu ze wsi rozumie i jest zdolnych zapomnieć to, co złe było w jej wykonaniu. Ludziom najbardziej przeszkadzało szastanie pieniędzmi, kiedy jeszcze w firmie jej męża one były. A przecież potem się zmieniła, oszczędzała, ciężko pracowała, by nie utonąć w długach.

– Posługujemy się kalkami – powiedziała wtedy Zosia. – Jeśli ktoś nakłada się w swojej charakterystyce na nas, to jest okej, zrozumiemy go. Jeśli postępuje inaczej niż my, wtedy jest problem. Ale jednak, czy to się komuś podoba czy nie, zapamiętujemy ludzi nieszablonowych, innych niż my, to oni są najciekawszy. Przecież każdy zapyta: „Co u Igi?”. Niewielu zaś interesuje Dyduchowa.

– No tak, Zosiu, masz rację. Słyszymy śpiewy chóralne, bo one są głośne. Ale to indywidualność i oryginalność śpiewa solówki!

Październik 2011

Gdy pewnego październikowego ranka Zosia wyszła z domu, na wycieraczkę przed jej drzwiami leżały dwie pomarańczowe gerbery. Przestraszyła się. Ktoś chodził po jej domu nocą. No, jasny gwint! Jeszcze i to. Już kłopoty z lokatorem rozstroiły jej nerwowy system. Z aresztu wypuszczono go po dwóch dniach, miał odpowiadać z wolnej stopy. Zosia umówiła się z jego macochą, że do połowy października opuści lokal. Znów w Internecie umieściła ogłoszenie o wynajmie. Byli chętni, ale tym razem się nie spieszyła. Zażyczyła sobie większej kaucji, przez to kilku chętnych zrezygnowało. To był biznesowy krok do przodu w jej wykonaniu. Przedtem nawet oddałyby mieszkanie za darmo, gdyby ktoś ją o to poprosił.

Jeśli chodziło o kwiaty, podejrzewała Kajtka, może chciał się w ten sposób zrekompensować po ucieczce? Podejrzewała też Lisę, ale dziewczynki kobietom nie przynoszą kwiatów, chyba że na urodziny. Był to pomysł rodem z kryminałów Agaty Christie. Kiedy okazało się, że żadne z dzieci nie

przyznało się do kwiatów, zaczęła jeszcze bardziej panikować. Do tej pory nie bała się być w domu sama. Po południu już nie była tak zdenerwowana, zapomniała, dzieci na próbach dopisały w stu procentach. Nie czuła się samotnie. Z dołu dochodziły dziecięce głosy, przekomarzania się, i śpiew. Lubiła to.

Tego dnia musiała dopiąć na ostatni guzik wycieczkę dzieciaków do Poznania. Urząd Wojewódzki ufundował nagrody dla chórów, które przeszły eliminacje.

Za dwa dni wyjechali rano sprzed Domu Złudzeń wynajętym busem. Na Starym Rynku spotkali się z przewodnikiem, potem obwieziono ich w kilka miejsc. Gdy zatrzymali się na Grobli, dzieci wysiadły z busa i słuchały, co ma do powiedzenia przewodnik. Lisa odłączyła się od grupy, podbiegła do figury Zygi Latarnika i zaczęła go boksować po brzuchu. Chciała też bić go po twarzy, ale nie dosięgła. Krzyczała: „Chcesz jeszcze, chcesz jeszcze? Jeśli nie będziesz mnie słuchał, dostaniesz po łbie”.

Strasznie to wyglądało. Wszyscy stali i patrzyli, co dziewczynka wyprawia. Chłopcy stukali się po głowie. Kiedy Lisa zdała sobie sprawę, że jest wyśmiewana, zaczęła spazmatycznie płakać. Kiedy ruszyli w drogę powrotną, dziewczynka zasnęła z głową na kolanach Krystyny.

Pozostałe dzieci rozrabiały w busie w najlepsze. Zwiniętymi papierkami rzucały w buzię Lisy. A ona spała nadal.

Basia Koronowska zdecydowała, że nie będzie przed Zosią kryć rewelacji, które znalazła w dokumentach. Powiadomiła o tym męża.

– Powiem jej, nie będę niczego udawać. Jest problem, trzeba go rozwiązać. Zobaczymy, czy wiedziała, czy była nieświadoma. To wyjdzie.

– Przecież nie dałaby tobie dokumentów, gdyby coś wiedziała. To byłoby nielogiczne.

– Oni tam w tym Drawsku podobno o wszystkim rozmawiali co wieczór, zwierali się sobie. Tak powiedziała...

Kiedy Ryszard pojechał do firmy, Basia wsiadła do auta i pojechała do Złotniczek.

Nie zadzwoniła do Zosi, że jedzie. Po prostu wsiadła i za dwie minuty postawiła auto przed bramą Domu Złudzeń. Drzwi były otwarte. Sama zawsze

po kilka razy sprawdzała, czy wszystko ma pozamykane. Dom to dom, miał być azylem. U nich w Nadroźnie był ciągły ruch, Ryszard wchodził jednymi drzwiami, wychodził drugimi, zapominając o zamknięciu tych pierwszych. A i o trzecie i czwarte też zahaczył. Basia ciągle za nim chodziła i zamykała. Mieszkali przy drodze, każdy mógł się zatrzymać i niezauważony wejść do domu. Zosia mieszkała w środku wsi, to ograniczało przypadkowość. Niemniej licho zwykle nie spało.

Zosię zastała na dole, sprzątała salę dla dzieci. Na ścianie wisiały dziecięce rysunki, na stole stały kubki, każdy inny, pomalowany, z imieniem i nazwiskiem. W kubkach moczyły się pędzle. W sali stały cztery drewniane sztalugi, zasłonięte płótnem. Zosia nie musiała sprzątać, któryś z rodziców mógł to zrobić, ale wolała sama, zamiast poprosić o pomoc. Poza tym ruch nad wyraz dobrze jej robił, bo włos miała rozwiany, a policzki zaróżowione. Kiedyś żaliła się, że zbyt długo siedzi przed komputerem. Nawet chciała biegać, ale to nie był jej sport. Był zbyt monotony. Wystarczył jej rower, ale i tak niezbyt często.

Uśmiechnęła się szeroko na widok Basi, która od razu po wejściu klapnęła na krzesło przy drzwiach. Była strapiona, co nie umknęło uwadze Zosi.

– Coś się stało? Zaparzyć tobie kawy? – zapytała, przysuwając sobie krzesło obok krzesła, na którym siedziała Koronowska. – No mów, wszystko przyjmę, byle nie za dużo. – Zażartowała.

Barbara w odpowiedzi pokiwała przecząco głową.

– Powiedz mi, czy na pewno nie przeglądałaś dokumentów po babci i rodzicach? Nigdy nie rozmawialiście na wojenne tematy?

– Nie no, rozmawialiśmy, oczywiście. Coś znalazłaś? Dziwnie wyglądasz.

– Tak. Są tam dwa zaskakujące dokumenty. Pierwszy to akt urodzenia twojej mamy, w rubryce dotyczącej ojca nie ma żadnego wpisu, a w rubryce „matka” widnieje nazwisko – Janina Kuszpil. Drugi to akt adopcji Krystyny Kuszpil przez Annę Leśniewską. Zobacz sama.

Zosia się zdenerwowała, wstała z krzesła i przy oknie zaczęła przeglądać dokumenty.

– No rzeczywiście. Czekał, to jakby to wyglądało? Moja babcia po ślubie z dziadkiem, bo przecież nazywała się Leśniewska, zaadoptowała moją mamę? Czyli moja mama nie była córką Józefa? Nie była córką babci? Czyli ja też nie jestem ani jego, ani jej wnuczką? Jasny gwint! To co ja tutaj robię?

– Tak daleko nie myśl.

- Co ja tutaj robię?! Kim ja jestem w takim razie? – Zosia usiadła na krześle. Oparła głowę na rękach.
- Co robisz? To, co chcesz. – Basia wzruszyła ramionami.
- Co na to Iga?
- Nic. Nie wie i się nie dowie. To nie jej sprawa.
- Dlaczego jej nie powiesz?
- Bo mam dosyć nerwów. Adopcja to powtórne narodziny, czy się to komuś podoba, czy nie.
- Nie wiem, co mam powiedzieć. Chyba... – Zosia się rozplakała. – Chyba muszę znaleźć moją prawdziwą babcię.
- Nie będzie ci łatwo. Urzędy, do których pisałam, odpowiedziały, że nie posiadają stosownej dokumentacji.

Marieta przyleciała do Nowego Jorku pełna nadziei na dobre życie. Jeszcze z Berlina przez Internet wynajęła niewielką kawalerkę, znajdującą się dość blisko uczelni, coś z sześć kilometrów. Gdy rozłożyła kanapę do snu, nie było już przejścia do szafy. Ale to było nieważne. Chcąc zaoszczędzić na dojazdach, wychodziła z domu o siódmej rano, by po godzinie pieszo dotrzeć do uczelni.

Na początku pobytu w Nowym Jorku zinwentaryzowała pieniądze, jakimi dysponowała. Sporo tego było, ale mogła popełnić błąd i wszystko wydać na rzeczy zbędne, a potem głodować. Ojciec ładnie się zachował. Pomógł jej w najlepszy sposób i w najważniejszym z momentów jej życia. Powinna wziąć dodatkowe lekcje u prawdziwej gwiazdy Metropolitan Opera – Włoszki Ronietty Granzianno. Była w grupie divy. Wzięła też lekcje gry aktorskiej i ruchu scenicznego u Petera Silva. Już po tygodniu widać było, że rozwija się bardziej niż dotychczas. W śpiewie operowym kluczowa była technika, opera jest miejscem o określonych warunkach akustycznych, trzeba zatem „przekrzyczeć” orkiestrę.

– Musisz mieć bardziej otwarte gardło, a dźwięk kształtować przy pomocy ust, języka. Koniecznie pozbadź się napięcia przy przejściu ze spółgłoski na samogłoskę. – Takie rady Marieta uzyskała od Ronietty już na jednym z pierwszych zajęć.

Ćwiczyła dużo i według wskazań divy. Była zdeterminowana i uparta. Po

miesiącu poczuła się tak bezczelna, że aplikowała o miejsce w chórze Metropolitan Opery... i je otrzymała. Za symboliczne pieniądze i w jednym tytule. Gdy podczas przesłuchania zaśpiewała Gianni Schicchi *O mio babbino caro*, spod powiek Mariety płynęły łzy. Przypominała sobie swoje początki, swoje marzenia, swoje lęki, porażki. Była na tym rynku tylko polską emigrantką, do tego czarną, bez dużych pieniędzy. Przypomniała sobie spotkanie z ojcem... Śpiewała z emocją, prawdziwie.

Pierwszą osobą, którą o tym poinformowała, była Ronietta Granzianno. Oschła, zasadnicza, a jednak dziewczyna odbierała ją jak swoją artystyczną matkę.

– Dostałam się do chóru! Dziękuję, Mrs. Granzianno. Bardzo dziękuję.

Diva spojrzała na Marietę, ale widać było, że wiadomość nie wywarła na niej wrażenia.

– Pełniasz falstart. Pośpiewasz tam i koniec. Na scenie musisz dawać z siebie znacznie więcej, niż wydaje ci się, że masz do dyspozycji. Zawsze będziesz miała uczucie niedosytu. Pamiętaj – słuch, głos masz od Boga, zwłaszcza jego barwę, ale technikę już nie. Sukces, kariera, cała ta reszta związana ze splendorem, o czym marzy każda śpiewaczka, zależą tylko od ciebie. Jeśli popełnisz błąd w połowie drogi, jeśli utkniesz w chórze, załamiesz się i drugiego etapu już nie odbędziesz.

„Jak to? Jestem dopiero miesiąc w Nowym Jorku, a dostałam się do chóru największej opery. Wiele śpiewaczek chciałoby być na moim miejscu” – pomyślała Marieta po wyjściu od divy. Była rozgoryczona.

Usiadła na schodach i się rozpląkała. Dawała z siebie wszystko. Musiała sobie sama radzić. Ronietta była niesprawiedliwa. Wtedy, podczas przesłuchania do chóru, była przekonana, że utwór wykonała najpiękniej w swoim życiu.

Obok niej na schodach usiadł chłopak, którego widywała w szkole. Podczas prób akompaniował niektórym koleżankom. Był przystojny, wesoły i znał wszystkich w szkole. Nazywali go pieszczotliwie Titi. W rzeczywistości pochodził z Serbii i nazywał się Wuk Titovic.

– Co się dzieje? – Podał Mariecie chusteczkę.

– Byłam pewna, że coś osiągnęłam, ale nie, okazuje się że nadal jestem nikim. Stoję sobie na jakiejś drodze, której być może w ogóle nie przejdę. Tymczasem ja muszę dojść do mety, bo bez śpiewu nie będę żyć! Niech moja mama wreszcie z czegoś się ucieszy!

– Nie robisz tego dla siebie?
– Dla siebie też. Dostałam się do chóru Metropolitan, a tymczasem pani Ronietta nawet mi nie pogratulowała, tylko wycedziła tym swoim zimnym głosem, że popełniłam falstart. Chyba czas, bym zmieniła profesora.

Titi popatrzył na Marietę.

– Skąd pochodzisz? – zapytał.
– Z Polski, wiesz w ogóle, gdzie to jest?
– Wiem. Jeśli mogę ci coś doradzić. Nie zmieniaj profesora, bo Ronietta jest bardzo skuteczną nauczycielką i wiele może. Masz spore szczęście, że do niej trafiłaś. Chcesz, żebym się dowiedział, co Mrs. Granzianno myśli o tobie naprawdę?

– Tak.

– To spotkajmy się jutro o tej samej porze. Co ty na to?

– Okej, będę.

Kolejnego dnia Marieta ubrała się w swoją najlepszą sukienkę, założyła buty na wysokim obcasie, wyprostowała włosy, na powiekach namalowała eyelinerem kreski, a usta pociągnęła pomadką w brzoskwiniowym kolorze. Tak przygotowana usiadła na ławce przy schodach, na których poprzedniego popołudnia wylewała największe w swoim życiu łzy.

– Piękna. – Usłyszała za swoimi plecami. Poczwała na szyi usta i w nozdrzach zapach tytoniu zmieszany z mocnymi perfumami. Chwyciła dłoń Titi i położyła sobie na sercu.

– Kochanie, wszystko wiem – zaczął bezpośrednio. – Otóż, diva bardzo cię chwali. Ma tylko jedną uwagę. Jesteś Słowianką, niby silną psychicznie, na pewno bardzo utalentowaną, ale emocjonalną i z mnóstwem kompleksów. Jeśli będziesz twarda i skoncentrowana na celu, sceny świata staną dla ciebie otworem. Nie od razu, nie od razu.

– Zaopiekuj się mną. – Marieta odwróciła się w stronę Titi.

Dała się przytulić, pocałować. Już nie była sama, wiedziała, że odtąd Titi zadba o nią.

Zamieszkali w pokoiku Mariety. Titi przeniósł do niej swoje rzeczy. Niewiele tego było. Titi zarabiał na graniu, nawet dość spore pieniądze, ale natychmiast je wydawał i znów był bez grosza. Marieta miała w tygodniu kilka wieczorów zajętych śpiewem w chórze. Podpisała kontrakt na kilka miesięcy, ale Titi uspokoił ją, że tak postępują z każdym nowym. Gdy była z Titi, poczuła się w wielkim mieście znacznie lepiej, spokojniej. Ojciec nie dawał znaku

życia, odkąd rozstali się w Paryżu, ale pieniądze przysyłał regularnie. Natomiast mama chyba zawsze miała włączony Skype.

– Uważaj córeczko, na siebie, błagam. Nowy Jork to nie Drawsko Pomorskie. Nie wychodź z domu o ciemku, uważaj w metrze, na drogach, wszędzie. No i słuchaj uważnie Ronietty Granzianno.

I tak dalej, i tak dalej. Rozmowy z mamą były o niczym. Marieta musiała być skoncentrowana na celu, nie mogła rozmieniać się na drobne, mama nie wiedziała o Titim ani nie wiedziała, że jej córka postanowiła śpiewać na wielkich scenach, za wszelką cenę.

Sztuka nie znosiła konkurencji, wymagała poświęceń. Coraz większych.

1988–1989

Gdy wrócili z Krymu, Zosia pojechała do rodziców do Drawska Pomorskiego, a Saliou do swoich rodziców, do Dakaru. Ród Saliou należał do miejscowych bogaczy – byli właścicielami olbrzymiej plantacji bawełny. Zosia była zauroczona Saliou, ale to, że wyjechał, nawet się z nią nie pożegnał, i to, że nie pokazał jej nawet zdjęć rodziny, a także fakt, z jak różnych pochodzą kultur, wszystko to razem sprawiło, że sama zaczęła sobie go odradzać. On też zresztą nie dawał znaku życia. W relacjach z facetami po Tomku chciała być ostrożna. Ale tęskniła.

Saliou spotkała dopiero po dwóch miesiącach na imprezie u Etiopiek. Ucieszyła się. Była już na czwartym roku studiów, został jeszcze tylko rok do ich skończenia. Saliou też w tym samym czasie miał obronić doktorat. W jego ciemnych oczach odnalazła tęsknotę i pożądanie. Podeszła do niego blisko, poszukała jego dłoni, wziął ją w ramiona, a ona z brodą na jego piersi wdychała zapach ciała mężczyzny, podobny do zapachu drzewa sandałowego. I było jej bardzo dobrze.

Szybko zniknęli z imprezy.

W swoim pokoju podniósł ją do góry, a ona chwyciła go za szyję, błędząc rękoma po ciele kochanka, które było najpiękniejszym męskim ciałem na świecie.

– Chcesz się ze mną kochać? Nie przeszkadza tobie, że jestem czarny?

– Chyba cię kocham, Saliou. Tęskniłam.

Wziął ją nagą na kanapie. Był doświadczony, potrafił kochać kobietę, długo, cierpliwie, nie wyprzedzając jej ani o sekundę. Był dżentelmenem. To był jej

pierwszy w życiu pełny stosunek, ale nie poczuła ani bólu, ani dyskomfortu. Nie sądziła, że akt oddania się mężczyźnie może dostarczać takiej przyjemności. Przy nim nie wstydziła się nagości, ani swojej, ani kochanka. Była nim zafascynowana, jego ciałem, umięśnieniem, kolorem skóry, wszystkim tym, co jej zaofiarował. Poznała, co to gwałtowność w seksie, ale też zaznała delikatności. Pozwalała na wszystko. Poddała się absolutnie jego ramionom, emocjom, jakie zawsze dawało jej dotykanie jego ciała, jego pocałunkom, głębokim, penetrującym jej wnętrze, podniecającym. Nie potrafiła opanować drżenia ciała, w jakie wprawiał ją absolutnie świadomie i z premedytacją.

Kolejnego dnia przyszedł do jej pokoju w akademiku i przyniósł dla niej prezent. Wachlarz. Piękny, kolorowy. Jak jego ojczyzna.

Był to czas, kiedy oboje byli bardzo zajęci. Saliou kończył pisać rozprawę doktorską, Zosia zaś zaczynała praktyki w radzieckiej szkole i pisała konspekt pracy magisterskiej. Mimo że był dopiero koniec października, w Mińsku było mroźno, prawie minus dwadzieścia stopni, a ona musiała do szkoły chodzić w spódniczce, bo takie były wymogi. Saliou ją pocieszał, poił imbirową herbatką, gdy wracała zziębnięta ze szkoły. Powiedział wtedy, że gdy zamieszkają w Senegalu, na pewno nie zmarznie. Przestraszył ją. Senegal? Afryka? Nie była przygotowana na aż taką życiową rewolucję.

Mieszkali w różnych akademikach, a wieczory wynagradzały wszystko. Nie była w stanie rozumować ani mówić. Spotykali się w pokojach, jego albo jej, nic nie było ważne, tylko intymność, która zawsze kończyła się podobnie. Jego pocałunki, zachłanne, zniewalające, uświadomiły jej, jak była głupia, tak długo oplakując Tomka. Wreszcie była szczęśliwa. To było jak uzależnienie, mogła kochać się do rana, całować jego ciało, jego dużego Bambo, który zawsze, gdy byli nadzy, był we wzwodzie. Wychodziła naprzeciw jego silnym pchnięciom, a po kilku orgazmach zasypiała w czarnych ramionach, delikatnych, opiekuńczych.

Zawsze towarzyszyła im muzyka. Będąc u Saliou, słuchała Dire Straits, U2, Deep Purple, Roda Stewarda, Eltona Johna, Queen czy Vangelisa, którego wprost uwielbiała. I to jeszcze nie wszystko. W Polsce Zosia miała tylko krążki Wysockiego, Okudźawy, Wałów Jagiellońskich i Lady Pank. No, jeszcze były Songi Teatru Stu. To wszystko, a i tak płyty zostały zakupione spod lady.

– Dobrze mi jest jedynie wtedy, gdy jesteś blisko. Tak się porobiło – szeptała Zosia. Leżeli i słuchali kawałków Vangelisa.

Mijały dni, piękne dni, było tak dobrze. Oboje, choć emocjonalni, byli niezwykle odpowiedzialni, jeśli chodzi o naukę. Zaliczali wszystko bez żadnych problemów. Pewnego dnia Zosia zasłabła na przystanku tramwajowym, ale szybko przyszła do siebie. Zbagatelizowała to, ale kiedy dołączyły się nudności, udali się do lekarza. Stało się, Zosia była w ciąży.

Saliou, gdy się dowiedział, że będzie ojcem, postanowił:

– Będziesz spała u mnie. Zrobię dzisiaj coś dobrego na kolację.

I zrobił. Ugotował jajka i podał je z groszkiem w chrzanie.

Ślub odbył się w Drawsku Pomorskim w grudniu 1988 roku, a w czerwcu kolejnego roku na świat w szpitalu w Drawsku przyszła Mariette Diene. Imię nadał córce Saliou, bo takie samo nosiła jego ulubiona siostra. Marieta ważyła trzy kilogramy i osiemdziesiąt dziewięć gramów. Miała mocno skręcone włosy i ciemne ciało.

W mniej więcej tym samym czasie w Polsce odbyły się obrady okrągłego stołu w Magdalence, a w sierpniu premierem został Mazowiecki. Babcia i mama Zosi przepłakały całe posiedzenie sejmu, a gdy Mazowiecki zemdłał podczas exposé, płakały na głos. „Starość” – pomyślała Zosia. To było zderzenie z młodością, jędrnością i zapachem niemowlęcego ciała. Babcia była już bardzo stara, miała zniszczone ręce, wysuszoną i pomarszczoną skórę na szyi. Zosia wtedy pierwszy raz pomyślała, że nie podoba jej się starość. Chciałaby jeszcze wrócić od Mińska i przywieźć dla babci wielki złoty pierścionek z rubinem, którego nigdy nie dostała od dziadka.

No i na początku października rzeczywiście pojechała do Mińska, by obronić pracę magisterską. I spotkać się z Saliou. Kochali się, ale już nie tak gwałtownie jak kiedyś. Niewątpliwie ich drogi się zagmatwały. Saliou chciał, by razem wyjechali do Dakaru, gdzie żyłoby im się na pewno wygodnie i dostatnio. Tak mówił. Zosia zaś nie wyobrażała sobie życia poza Polską, bez rodziny w pobliżu. Emigracja do Senegalu kojarzyła jej się z tysiącem kłopotów, jakie na pewno by się pojawiły. Dzieliło ich tyleż punktów niezbieżnych: religia, kultura, zwyczaje. I to też jeszcze nie wszystko. Saliou się obraził i powiedział, że w takim razie muszą spróbować żyć bez siebie.

Kto pierwszy zatęskni, ten podejmie decyzję.

Zosia wróciła z Mińska do Polski z wielkim pierścionkiem z rubinem dla babci i z tęsknotą, która miała jej towarzyszyć jeszcze bardzo długo. Miała przy sobie Marietę, drobinę o czekoladowym ciastku, i to ona była wtedy najważniejsza.

Maleńka córeczka wypełniła pustkę, jaką czuła po Saliou.

Listopad 2011

Zosia spędziła Wszystkich Świętych na grobach w Drawsku, postanowiła pojechać tam pociągiem. Tak było najprościej, chciała do domu wrócić tego samego dnia. Piotr oczywiście zapraszał ją i do ośrodka, i do siebie, jak to on. Nie chciała czynić mu nadziei, no cóż, miała uraz do wszystkich męskich klaunów, którzy zawsze coś od niej chcieli. No, w jego przypadku być może przesadzała, ale wolała dmuchać na zimne.

Odnajdywała się z Michałem. Na nic nie naciskał, a jeśli mu się to zdarzyło, natychmiast przepraszał. No i mieli tyleż wspólnego. Też tęskniła za córką. On za synem. Miała ją z obcokrajowcem, podobnie jak Michał syna. Godzinami mogli rozmawiać o sztuce. Dzięki niemu poznała parę faktów dotyczących Szostakowicza. Lubiła jego muzykę, zwłaszcza *Second Waltz*. Dzięki Michałowi dowiedziała się o kompozytorze znacznie więcej. Jak podczas wojny z pasją tworzył *VII symfonię*. Że dyrygentem słynnego wykonania symfonii podczas oblężenia Leningradu był Karl Iljicz Eljasberg. Wyszło to, co już wcześniej oboje ustalili, że prawdziwa pasja i miłość potrafią znieść każdą przeszkodę. Dzięki rozmowom z Michałem Zośka mniej tęskniła za Marietą. Powiedziała kiedyś do Michała:

– Kiedy się zdecydowała na Nowy Jork, myślałam: „Co ty, dziewczyno z maleńkiego miasta w Polsce, o której istnieniu jeszcze niedawno nikt poza Europą nie słyszał, chcesz w tym świecie dokonać?”. Może byłam głupią matką, ale chciałam, by studiowała jeszcze coś, jakiś ekonomiczny kierunek. Albo architekturę. Też ma do tego talent. Chciałam, by miała alternatywę. Mariecie, choćby z uwagi na to, że jest czarna, nie jest łatwo. Nie wiem, czy w ogóle są role dla czarnych śpiewaczek.

– W operze liczy się głos, nie kolor skóry czy tusza. Nie zadręczaj się. Z innej beczki. Nie wiem, czy wiesz. Była gwiazda Yves Saint Laurenta nazywała się Rebecca Ayoko i była czarna jak smoła. Gdy przyjechała z Abidżanu do Paryża, nie potrafiła ani czytać, ani pisać. To kolejny dowód na to, co mieliśmy już ustalone. Chcesz odnieść sukces, odniesiesz, jeśli będziesz pracowity i użyjesz właściwych instrumentów.

– Lubię cię, wiesz? – powiedziała Zosia. Wierzchem dłoni przejechała po policzku Michała.

– Może zostanie? – Przytrzymał jej dłoń w swojej. Patrzył na Zosię swoimi ciemnymi źrenicami.

– Nie, nie! – Zmieszała się.

– Nie chciałem cię urazić. Słowo. – Wyglądał na zdenerwowanego.

– Nie uraziłeś. Wolę przyjaźń – powiedziała po prostu, najszczerzej, jak potrafiła.

Michał zrozumiał, co miała na myśli, ale nie dał po sobie poznać, czy jej słowa go zraziły, czy ucieszyły. Pożegnał się i pojechał do siebie.

Zosia kładła się spać, ale zadzwoniła Basia. Dzień wcześniej zrobiły porządek na grobach we Wronczynie, ale nie rozmawiały długo.

– Jestem po rozmowie z Igą. Poprosiłam ją, by pomogła Mariece się zaaklimatyzować w Nowym Jorku.

– Przecież Iga mieszka w Beaumont! Poza tym nie prosiłam ciebie o pomoc, Basiu.

– Nie była uszczęśliwiona, ale... Żeby pomóc, nie trzeba mieszkać w tym samym pokoju. Niepotrzebnie się tak wściekasz.

Basia była rozdrażniona, zresztą, nie bez przyczyny. Pojechali wreszcie do Łabiszynka. Okazało się, że żyli tam jeszcze ludzie, co pamiętali przedwojenne czasy. Dowiedzieli się, że mieszkało tam małżeństwo o nazwisku Kuszpil, Stefan i Antonina, mieli tylko jedną córkę, Jankę. Jako rodzina byli właścicielami przeszło stuhektarowego majątku. Podobno do Janiny przed wojną przyjeżdżał w konkury chłopak o imieniu Józek, ale jej rodzicom się nie spodobał. Nie był szlachcicem. Potem stało się to, co wszędzie. Wojna. Zostali wysiedleni i już nigdy nie wrócili do majątku, podobno zginęli w obozie koncentracyjnym. Ich nieruchomości po wojnie zostały znacjonalizowane, a rodowy dworek Kuszpilów stał się siedzibą PGR-u.

Iga rzeczywiście nie była uszczęśliwiona, minęło tyle czasu, a Zosia nie uczyniła żadnego kroku, by ich stosunki znormalizować. Uważała, że jeśli do tej pory tego nie zrobiła, to i pewnie już nic się nie wydarzy. Iga zapomniała o Domu Złudzeń, nie rościła sobie do niego pretensji, nie mogła nie brać pod uwagę, jakiemu celowi dom służył obecnie. Nie była ani głupią egzaltowaną panienką, ani też finansowym krwiopijcą. Prawdę powiedziawszy, to od Zosi

zaczęła się uczyć pomagania ludziom. Dzięki opowieściom Basi o niej zrozumiała, że też nie może żyć tylko dla siebie. Zarabiając pieniądze, trzeba myśleć o innych. Trzeba się dzielić.

Postanowiła zapoznać Olę z córką Zosi, o co poprosiła Basia. Ola mieszkała w dużym dwupokojowym mieszkaniu na Manhattanie. W jednym pokoju mogłaby zamieszkać Marieta.

Staś był pierwszy rok w szkole i uczył się bardzo dobrze, był pilny, pracowity, nie dawał powodów do niepokoju. Iga zawoziła go autem do szkoły, lubiła to, bo po drodze gadali na różne tematy. Tym razem na temat prezentów noworocznych, życzeń dla rodziny i tak dalej. Zasugerowała Stasiowi, żeby z okazji świąt Bożego Narodzenia napisał do swojego ojca kartkę.

– Racja – powiedział.

Po powrocie ze szkoły zamknął się w pokoju i wycinał, kleił, pisał. Iga zajrzała do niego parę razy, ale nie chciał pokazać jej kartki.

Włączyła komputer w swoim pokoju i w wyszukiwarkę wpisała nazwisko Józef Leśniewski, już dawno miała tym się zająć. Chciała znaleźć, gdzie pochowane jest jego ciało. Były już takie możliwości, w Internecie można było znaleźć człowieka nawet po śmierci. Nikt ze strony rodziny Zosi o to się nie zatroszczył.

Nie znalazła go na żadnej z list żołnierzy poległych w bitwach w Afryce. Grobu brata jej dziadka nie było ani na cmentarzu w Aleksandrii, ani w El-Alamein, Fayd, El-Kebir czy także w Chartumie i Kairze.

Znalazła jakiegoś Józefa Leśniewskiego na liście w angielskiej ubezpieczeniowej firmie! Zaczęła się zapoznawać z informacjami. Firma o tradycjach od międzywojnia, jej siedziba w Warszawie przed wojną zajmowała szesnastopiętrowy budynek, wtedy najwyższy w Polsce i drugi co do wysokości w Europie. Przed wojną sprzedawała Polakom polisy na życie. Niewiele było wymienionych osób o polsko brzmiących nazwiskach, a przy większości była adnotacja, że roszczenie zostało zaspokojone. Większość stanowiły osoby o żydowskich nazwiskach, wielu z nich nie zostało spłaconych. To było dla niej zrozumiałe. Dotarła do listy, gdzie znajdowało się nazwisko Józefa Leśniewskiego. Wszystkie dane się zgadzały, to był on. Ale nie to wprawiło ją w osłupienie. Później było wymienione również nazwisko Floriana Leśniewskiego. Oba roszczenia nie zostały zaspokojone. Czyżby była spadkobierczynią!?

Nie знаła wartości polis, nie było tego na stronie, ale już sam fakt, że firma wciąż spłacała swoje przedwojenne zobowiązania, dawał nadzieję. To trochę jakby wygrać w totka! „Roszczenie” – słowo budzące w niej złe wspomnienia z kraju, tym razem było miłe, uprawniające do... marzeń? Zaczęła gorączkowo czytać informacje na temat procedury zgłaszania się spadkobierców. Podniecona, wydrukowała kwestionariusz. Jeszcze tego samego dnia wypełniła dokument i wysłała.

Na szczęście Staś był wciąż zajęty kartką dla ojca, a i Kosma miał wrócić do domu później. Gdyby widział ją z wypiekami na twarzy, musiałyby wyznać, co ją tak rozentuzjasmowało, co odkryła. Na pewno by ją wyśmiał. Zresztą, po części miałby rację, bo normalni ludzie nie siedzą w Internecie i nie wpisują w wyszukiwarkę nazwisk swoich przodków!

Kolejnego dnia rano, podczas jazdy do szkoły, Staś dał mamie list i poprosił, żeby wpisała na kopercie adres ojca i wysłała. Zostawił go na siedzeniu. Iga w drodze powrotnej miała spełnić prośbę synka. Gdy zatrzymała się przed pocztą i wzięła w rękę list, okazało się, że nie był lekki, a koperta z tego powodu nie była dobrze sklejona. Igę zaintrygowała grubość. Cóż mógł mały chłopiec napisać do ojca, z którym nie łączyły go jakieś szczególne więzi, na kilkunastu kartkach? Zajrzała pod światło, ale nic nie dostrzegła. Wrzucić do skrzynki czy nie wrzucić? Wsadziła klucz do stacyjki i odjechała. W domu podważyła kopertę, co łatwo jej poszło. Serce miała w gardle, w każdej chwili mógł wejść Kos, mógł wejść także ktoś ze znajomych. Choćby pracownicy Kosmy.

Z koperty wyciągnęła list złożony na pół. Wielkie litery. Gdy chciała go przeczytać, ze środka wysypały się pieniądze! Zdrętwiała. Dwa tysiące dolarów! Przeczytała pierwsze zdanie listu. „Kochany tato, przesyłam pierwsze dwa tysiące dolarów i życzę, byś nie spędzał świąt Bożego Narodzenia w biedzie”.

Długo łapała oddech. Jej ukochany Staś – prawie maminsynek – okradł matkę, by zadowolić ojca. Przecież to on, bardziej niż ktokolwiek inny, musiał zdawać sobie sprawę, jak jej było ciężko osiągnąć obecny materialny status. Był świadkiem, gdy walczyła o to, żeby nie zostali w samych skarpetkach. Był także autorem słynnego pytania, jakże dojrzałego, zważywszy, że wtedy miał dopiero pięć lat: „Mamo, kiedy wreszcie wyjdiesz z dna?”. Wyszła, więc zaczęło mu przeszkadzać dno ojca?

Wiele widział, owszem, ale czy to miało pójść na marne?

Powinna coś natychmiast uczynić. Tylko co? Pozostało jej jedno, wsadzić do koperty list syna, zakleić ją i wysłać do Podkańskiego. Oczywiście z listem od niej w środku, wyrzucającym mu szantażowanie dziecka. Nie chciała spłoszyć chłopca, bo już nigdy by jej nic nie powierzył. Zastanawiała się, gdy wrócił z Polski, co go gnębi. Teraz już wiedziała.

Jeszcze tego samego dnia postanowiła polecieć do Nowego Jorku, dobrze się składało, mogła się wyłgać pretekstem pomocy Mariecie. Kosma, zadowolony, że żonie znów chce się działać, a nie myśleć o bólu, obiecał, że zaopiekuje się Stasiem.

– Weźmiesz mnie na budowę? – zaszcebiotał Staś.

– Jasne. Od rana – odpowiedział Kosma i mrugnął do chłopca.

– A szkoła?

– Szkoła, szkoła! Będziesz się tyle uczył to krótkowidzem zostaniesz. – Zaśmiał się Kos.

Iga pakowała się. Miała niewiele czasu do odlotu, a jeszcze przed nią była droga na lotnisko w Houston. Udało jej się chyba tylko dlatego, że na autostradzie nie było korków. Po pięciu godzinach od wyjazdu z domu zameldowała się w Nowym Jorku, gdzie na lotnisku czekała Ola.

Iga pierwszy raz zobaczyła Olę ubraną w zapięty po samą szyję garnitur. Na chwilę wyskoczyła z pracy, tak powiedziała. Szykowna granatowa garsonka z białymi przeszyciami sprawiła, że Ola nabrała powagi urzędu, a jednocześnie podkreślała urodę dziewczyny, najlepiej prezentującą się właśnie w chłodnych barwach.

– Wyobraź sobie, znalazły się pieniądze! – Iga nie mogła czekać z sensacją. Zacerpnęła tchu.

– Uspokój się, mamó! Już się nie denerwuj. Gdzie wsadziłaś?

Iga spojrzała na córkę spod zmarszczonych brwi.

– Jestem ciekawa, jak to przyjmiesz – zaczęła ostrożnie. – Kilka godzin to w sobie noszę, aż mnie od środka rozsadza. Musiałam przyjechać do ciebie, bo bym wybuchła! – zakończyła, prawie krzyżąc.

Ola przyglądała się mamie. Widywała ją na skraju emocjonalnego wybuchu. Tym razem jednak musiało to być coś znacznie bardziej rozrywającego trzewia.

– No mów! Cholera, kluczysz! Mów! – Wychodziły z lotniska. Ola oglądała się do tyłu na matkę, aż w ramię uderzyły ją drzwi obrotowe. Krzyknęła z bólu.

– No uważaj! Ponaglasz mnie, a sama nie patrzysz do przodu! Ja mam za ciebie to robić? – Iga krzyknęła, a Ola rozcierała ramię.

– Nie, ty tylko mów. Chyba nie po to przyleciałaś do Nowego Jorku, by dawać mi wykład na temat obrotowych drzwi! Boże, ile to się człowiek nagada!

– Dzisiaj rano Staś poprosił mnie, żebym wysłała mu list do Leszka. Sama mu zaproponowałam, że z okazji świąt mógłby do ojca coś napisać. Myślałam o kartce, tymczasem on dał mi list. Gdy był w szkole, podważyłam kopertę i zajrzałam do środka, nie będę kłamać, że tak nie było.

– Czasem lepiej jest nie znać prawdy. Co pisał?

– Nie o treść idzie. Między kartkami było dwa tysiące dolarów!

– Te dwa tysiące dolarów?

– A jakie inne?

– No nie wiem. Może miał jakieś, skądś?

– Nie miał.

Wsiadły do auta

– Się narobiło, to trudna sytuacja. W takim razie muszę tobie opowiedzieć coś, co powinnaś wiedzieć dawno temu. – Ola, prowadząc auto, na chwilę nawet nie oderwała wzroku od jezdni. – Latem odebrałam Stasia z Konina zapłakanego, przejętego, rozbitego na cząsteczki. Szlochając, w pociągu usnął mi na kolanach. Leszek przez cały czas jego pobytu wkładał mu do głowy, że się nie opiekuje ojcem. Małe dziecko ma się o niego troszczyć! Wyobrażasz to sobie? Nie mówiłam, bo byłaś chora, nie chciałam cię denerwować. Poza tym wydawało mi się, że przemówiłam dzieciakowi do rozumu.

– Chyba sama też się do tego przyczyniłam, dużo widział. Nie nadaję się na matkę. Gdy się nie jest wzorcem do naśladowania, najlepiej usunąć się w cień, jak to zrobiłam, kiedy ty byłaś mała. Tobie przynajmniej nie zaszkodziłam. – Iga zaczęła płakać.

– Mamo, to nie jest twoja wina! Też mu pomieszałam w głowie, opowiadając, kiedy zarobiłam pierwsze pieniądze. Powiedziałam, że chciałam zebrać na bilet do ciebie i wyszło, że musiałam Stasiowi opowiedzieć całą moją historię. Wydawało mi się, że robię dobrze.

Jej córeczka zbierała na bilet do mamy! Nigdy wcześniej jej o tym nie mówiła. Iga jeszcze bardziej się rozpląkała. Ola pocałowała mamę w policzek.

– No dobrze, trzeba patrzeć do przodu. – Iga osuszyła łzy.

Ustaliły, jak postąpić ze Stasiem, a także jak pomóc Mariece. Potem rozmawiały o Matteo, który znów był w Greve in Chianti i co godzinę dzwonił do Oli, wymyślając różne powody, dla których dzwoni. Oczywiście namawiał Olę na przyjazd do Włoch, ale Ola kategorycznie odmówiła. Dobrze jej było z Matteo, ale rzeczy działy się za szybko i za mocno wciągał ją w związek. Powiedział kiedyś, że zapłonął jak suche drewno. „Raczej papier tak szybko się pali” – docięła mu Ola. Była zadurzona, ale jako przyzwyczajona do wolności, musiała walczyć o czas dla siebie i dla rodziny. Matteo zaś najchętniej nie wypuściłby jej spod swoich skrzydeł.

Iga i Ola mogły więc pogadać. Zbliżały się święta, była okazja, by pogawędzić o prezentach, o wieczerzy wigilijnej. Potem pojechały na zakupy. Najpierw obeszły outlet przy Ground Zero, sklepy na Manhattanie, potem udały się do Woodbury, gdzie w kolejnym outlecie spędziły kilka godzin. Wróciły stamtąd do domu z kilkoma torbami, zadowolone, ale i zmęczone.

To miały być kolejne rodzinne święta w Beaumont. Boże Narodzenie w Stanach obchodzono miesiąc wcześniej, wtedy przyozdabiano domy świecidełkami i kolorowymi ozdobami, za to już w Nowy Rok sprzątano wszystko i było „po świętach”. Wracało się do pracy. Inne niż w Polsce były też potrawy, na stole królowała pieczona szynka lub indyk z farszem, także zapiekanki i sałatki warzywne. O karpniu w Teksasie nikt nie słyszał! Iga jednego roku sprowadziła go aż z Houston, dopiero w koreańskim markecie mieli tę rybę.

Grzyby i mak co roku przysyłała jej Basia.

Po miesiącu wspólnego mieszkania z Marietą Titi zaczął wracać do ich pokoiku coraz później. Marieta szalała, była zazdrosna. Nic jej nie szło. Powinna ćwiczyć, tymczasem zrezygnowała z kilku lekcji, mimo iż zapłaciła za nie krocie. Siedziała w domu i czekała na powrót Titi. On należał tylko do niej, to dla niej miał poświęcać swój czas.

– Gdzie byłeś? – pytała wściekła, gdy pojawiał się w domu.

– Na scenie. Jestem artystą! – Wzruszał ramionami.

Stało się. Pewnego wieczora, gdy zasnął, zaczęła mu przeglądać kieszenie, telefon, czytała jego wiadomości. To stało się rutyną. Kiedyś znalazła w jego kieszeni plastikowy woreczek z białym proszkiem.

- Co to? – Obudziła go.
- A jak myślisz? – Przewrócił się na drugi bok.
- Jakies świństwo! Obudź się i powiedz mi natychmiast, co to?
- Amfa. Myślisz, że bez niej byłbym tym, kim jestem?
- Myślę, że byłbyś znacznie dalej. Chyba nie powiesz mi, że chcesz przez całe życie akompaniować studentom! Nie chcę u swego boku niespełnionego grajka i narkomana!
- Też będziesz ćpać. Stres, presja, koktajl z emocji cię oszołomi, będziesz musiała coś wziąć. Zobaczysz. Ale, okej, już znikam. Miło było.

Titi wstał z ich wspólnej kanapy, po rozłożeniu której nie można było dać kroku, szybko się spakował i wyprowadził. Wyszedł z jej maleńkiego pokoiku w ciemną noc Nowego Jorku. W niewielkiej szmacianej torbie miał swój cały życiowy dobytek. Niewiele potrzebował, kilka ubrań, bieliznę. Nic nie pomogło, wzywanie do powrotu, zakłęcia, by nie brał prochów, wreszcie... przeprosiny. Wyprowadził się i kolejnego dnia nawet nie odebrał telefonu. Marieta próbowała się z nim połączyć kilkanaście razy.

Przez kolejne dni Mariece nie szło śpiewanie. Ktoś jej powiedział, że Titi zamieszkał w apartamencie na Manhattanie ze Szwedem Albertem, który był trębaczem. Mrs. Ronietta знаła Titi, wiedziała o nim to, co i wszyscy.

– Dziewczyno, teraz jesteś zraniona, cierpisz, ale możesz to przekuć w sukces. Nieszczęśliwa miłość na scenie będzie twoim sprzymierzeńcem. Śpiewaj tak, jakby twoje słowa były skierowane do kochanka, który był twoim sercem, a który odszedł. Włóż w sztukę swój dramat!

Posłuchała nauczycielki. Gdy pomyślała, w jaki sposób potraktował ją Titi, w jej śpiewie pojawiały się uczucia charakterystyczne dla tragedii, jaką odgrywała na scenie.

Dramat zaczął jej służyć.

Wieczorami zamykała się w swoim pokoju, gdzie na parapecie zgromadziła setki gazetek reklamowych z marketu, w którym robiła drobne zakupy. Kiedyś przeczytała, że gdy zbierze ich kilkaset, dostanie za to pieniądze.

Nocami miała myśli i sny o potędze. Wyobrażała sobie, że stać ją na mieszkanie niedaleko Ground Zero, w Battery Park na przykład. Albo w TriBeCa. Nie było lepszych dzielnic. Marzyła, że śpiewa, że jest zapraszana na wielkie światowe sceny. Śniły jej się najbardziej spektakularne partie solowe.

Mimo finansowego wsparcia ze strony ojca i matki, a także dzięki uzyskanym

drobnym pieniądzem za śpiew w chórze i tak nie było Mariety stać na utrzymanie się, opłacenie studiów i zmianę klitki na większe lokum, oczywiście znajdujące się w bezpośredniej bliskości Manhattanu.

1991–1997

Na początku 1991 roku Zosia poznała córkę kobiety prowadzącej fundację pomocową w Drawsku Pomorskim. Jej mama akurat szukała kogoś na swoje miejsce, bowiem razem z córką wyjeżdżały na stałe do rodziny do Niemiec. Zosia, zachęcona przez rodzinę, dla której zarządzanie fundacją tego typu było działalnością społecznie niezwykle użyteczną, zgodziła się kobietę zastąpić. Przebyła kilkanaście szkoleń, mimo to wciąż była pełna obaw, czy da sobie radę, ale poprzedniczka zaoferowała kilkumiesięczną pomoc, oczywiście nie codziennie. Zosia zrezygnowała z etatu w szkole.

Po miesiącu prowadzenia fundacji dowiedziała się od ojca o przetargach na mienie wojskowe, w imieniu firmy stanęła do walki i w ten sposób ośrodek dla bezdomnych wzbogacił się o kolejny budynek, a społecznie wykluczeni ludzie znów mieli miejsce pracy. Budynek wyremontowano w trzy miesiące. Zosia zaś wśród ludzi bez domów, wśród byłych i obecnych alkoholików, wśród kobiet bitych i poniewieranych, często bez wykształcenia, znalazła swoje miejsce. Pracowała z pasją. Mogła powiedzieć, że wiele z tych osób zawdzięczało jej swoje drugie życie.

Latem tamtego roku wydarzyło się coś, co na długo pozostało w pamięci rodziny Kulińskich. Przede wszystkim Zosia nie mogła dojść do siebie. Pewnego dnia do drzwi ich mieszkania zapukał pewien bardzo leciwy mężczyzna.

– Nazywam się Florian Leśniewski – zaczął od progu.

To Zosia mężczyźnie otworzyła drzwi. Była sobota, miała wolny dzień. Zaprosiła go do pokoju, usiadł naprzeciwko niej. Potem dołączyła babcia Zosi i mama.

Florian Leśniewski przyjechał do Drawska maluchem z Wielkopolski, sam, odważnie, choć – jak się wygadał – liczył sobie prawie dziewięćdziesiąt lat.

– Żeby spłacić dług, nieważne są kilometry.

Potem komplementował Zosię, a szczególnie gdy dowiedział się, że zajmuje się pięknymi sprawami. Przyznał się, że całe życie gardził biedotą i pijaczynami, dopiero na mecie życia przewartościował swój światopogląd.

Dlatego przywiózł pieniądze, z którymi kiedyś na pewno by się nie rozstał. Sporo tego było, między innymi dwa tysiące funtów, jakie otrzymał w spadku po bracie. Opowieściom nie było końca, tak zastał ich wieczór. Obudziła się, śpiąca do tej pory w łóżeczku, Marieta, Zosia opowiedziała staruszkowi swoją historię. Pomógł Zosi przy przewijaniu dziewczynki, przyglądał się Mariecie, ale bardzo czule.

– Czarny Łąd jednego nam zabrał, ale zrekompensował się innym cudem. Tak już jest – powiedział.

Polubili Floriana Leśniewskiego. Był bratem Józefa, był wielkopolaninem, a dla babci ludzie stamtąd byli godni podziwu. Gospodarni, oszczędni, prawdomówni, a w domach mieli porządek i zawsze czyste okna i firanki.

W tamtych czasach Zosia często rozmawiała z Saliou przez telefon. Mówił jej wyłącznie piękne słowa, zapewniał o miłości, wciąż nalegał, by przyjechały do Dakaru. Zosi przypominały się wszystkie ich wspólne chwile. Brakowało jej mężczyzny, brakowało jej Saliou, jego ciała, miłości fizycznej, która dawała jej tyle satysfakcji, ale na przeprowadzkę do Afryki się ciągle nie zdecydowała. Marietą zajmowała się babcia Zosi, ona chodziła do pracy, a w międzyczasie szlifowała inne języki, o których trochę zapomniała. Gdy Marieta miała cztery lata, posłano ją do przedszkola. Na powitanie nowego 1993 roku Saliou przyjechał do Polski, przywiózł dla Zosi trzy sznury naszyjników z muszli. Zosia wynajęła dla nich pokój w ośrodku wypoczynkowym w Trzęsaczu. Marieta została z dziadkami.

Nad morzem było mroźnie, wietrznie. W łóżku gorąco. Kochali się, jakby świat się miał skończyć. Zosia, zażywając środki antykoncepcyjne, mogła pozwolić sobie na wiele. Saliou był szczęśliwy. Ona rękoma przyciskała brzuch, by uspokoić drżenie i... pragnienie spełnienia się tu i teraz. Wystarczyło, by byli chwilę sam na sam, bez trosk. Było jak kiedyś, chemia, chemia... Saliou obiecywał Zosi złote góry w Dakarze. Wtedy już był dziekanem na uczelni. Ona znów odmówiła.

– Jak sobie wyobrażasz nasze życie? Ty znasz Europę, a ja o Afryce nawet w szkole niewiele się uczyłam. Nie znam twojej rodziny, nie dostąpiłam zaszczytu poznania ich choćby ze zdjęcia.

Wtedy wyciągnął kilka fotografii. Starszy pan Diene, ojciec Saliou, wyglądał na biznesmena. Stał przed białym niskim domem z wieżyczkami, a obok niego kilkoro dzieci w różnym wieku. Potem Saliou pokazał Zosi dużą kolorową fotografię kobiety.

– To matka – powiedział.

Była kolorowo ubrana, a barwy jej ubrań współgrały z czekoladową, jędrną cerą kobiety. Jednym kawałkiem kolorowego płótna we wzorki miała owiniętą głowę, drugi był zakręcony wokół bioder i nóg kobiety jako spódnica, a trzeci jeszcze innego wzoru i koloru pełnił funkcję bluzki. Teściowa Zosi była pulchna, uśmiechnięta i sprawiała dobre wrażenie.

Saliou gładził fotografię.

– Dlaczego nie jest w hidżabie? – zapytała Zosia.

– W Senegalu większość kobiet nie chodzi w hidżabach, a ich stroje nie są szare i kolorystycznie monotonne. Dużą wagę przywiązuje się do biżuterii. Senegal jest kolorowy, pola, lasy, zwierzęta, wszystko to jest bardzo malownicze. Przyjedziesz, zobaczysz.

Zosia przewertowała raz jeszcze zdjęcia. I oddała je Saliou. Dawno temu podjęła decyzję. Chciała, by zamieszkali razem, ale w Polsce.

– Nie, jednak nie wyobrażam sobie, prawdę mówiąc.

– Wykorzystałaś mnie dla seksu! Nie myślałaś o mnie poważnie. – Podniósł głos.

Coś w tym było. Musiała przyznać mu w duchu rację. Wciąż go jednak kochała, ale nie na tyle, by rzucić wszystko, co знаła i wyjechać w nieznane.

W nieciekawym nastroju pojawili się na sylwestrowym balu. Zresztą zaczęła się pechowo. Od mrozu pękły rury w ośrodku i nie dość, że było piekielnie zimno, to i piece były wygaszone, a o ciepłym posiłku można było tylko pomarzyć. Saliou kręcił nosem, jak to on, Zosia go rozumiała, bo przecież ostatnie lata spędził w ciepłe.

Po kilku godzinach naprawiono rury, ale było tuż przed północą, kiedy kucharki biegały z pełnymi półmiskami, chcąc wynagrodzić czas głodowania. Ciepły bigos, bulion z pasztecikiem, kiełbasy na ciepło, nareszcie. Jednak wcześniej z zimna i z braku ciepłego jedzenia towarzystwo raczyło się wódką, na sali było głośno i prząśnie. Saliou pierwszy raz był na tego typu imprezie w Polsce, nawet mu się podobało. Też wypił kilka kolejek, ale bez przesady. Jakoś się trzymał. Powiedział, że jest ciekawie. Zosia wstydziła się zapitych facetów, których przybywało. Robiło się niesmacznie. Nawet piosenkarka, która miała gości zabawić śpiewem, nie sprostała zadaniu. Gdy po raz kolejny wychodziła na scenę, ktoś nie wytrzymał i krzyknął: „Tylko proszę cię, nie śpiewaj!”.

Zosia i Saliou siedzieli przy stole i rozmawiali, Saliou palił, kiedy zatoczyła

się pijana kobieta, tyłkiem wpadając na jego papierosa. Sukienka zaczęła się tlić. Saliou ręką próbował zgasić ogień na sztucznej tkaninie, z jakiej była uszyta sukienka. Nie zniósł tego jej podchmielony partner, który chwycił Saliou za klapy.

– Zabierz łapy, czarnuchu!

– Zostaw Heniek, zostaw, to przypadek, nie bij! – wrzeszczała kobieta, której sukienkę wcześniej próbował gasić Saliou.

Owa sytuacja przechyliła szalę. Saliou wstał i wyszedł, a za nim Zosia. Koniec 1992 roku i początek 1993 roku świętowali w pokoju. Toast wzniesli winem musującym, potem wypili herbatę i poszli spać. Seksu nie było. Ta noc okazała się dla nich być *breakpointem*. Saliou postawił wtedy Zosi ultimatum – wyjadą całą rodziną z Polski do Senegal, a jeśli nie, muszą coś ze swoim związkiem zrobić. On potrzebuje mieć rodzinę na miejscu.

Zosia była konsekwentna, Saliou wsiadł do samolotu do Dakaru drugiego stycznia. Wszystko stało się jasne. Po wyjeździe męża Zosia musiała się szybko pozbierać. Zrozumiała, że ich małżeństwo zakończyło żywot, że moralnie przestała być żoną Saliou Diene.

Trzeciego stycznia odbył się pierwszy koncert orkiestry świątecznej pomocy. Jak się chce, to można? „Można” – pomyślała Zosia, wlepiając oczy w telewizor. Bardzo jej się podobał ten śmieszny facet w kolorowych okularach na nosie. Owsiak. Od tamtego roku zrobiła wszystko, by czynnie uczestniczyć w przygotowaniach do Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy grającej w Drawsku.

Z Saliou spotkała się w czerwcu 1993 roku w Mińsku, on bronił tam rozprawy doktorskiej. Pojechała do Mińska tylko z tej okazji. Poszło mu znakomicie. Już nie byli tacy sami. Zaszli wtedy na nabożeństwo do cerkwi. To był Sobór Ducha Świętego. Gdyby Zofia miała po latach wyjaśnić, dlaczego właśnie tam skierowali swoje kroki, musiałyby przyznać, że było to niewytłumaczalne. Może dlatego, że nigdy wcześniej w żadnej świątyni razem nie byli? Raczej Zosia była inicjatorką, Saliou był muzulmańskiego wyznania, ale nie miał nic przeciwko.

Oprawa prawosławnego nabożeństwa zrobiła na nich wielkie wrażenie. Przed wejściem Zośka widziała osoby czyniące na swoim ciele znak krzyża, a potem pochylające się przed ołtarzem w głębokim ukłonie. W trakcie mszy obserwowała zamaszyste żegnanie się uczestników, po czym znów następował głęboki ukłon. Skojarzenie miała jedno – z uległością, jeśli nie służalczą,

która obowiązywała za czasów caratu. Przywoływało to też skojarzenia z Żydami, z ich kiwaniem się. W cerkwi kobiety siedziały po jednej stronie, zaś mężczyźni po drugiej. Uczestnicy mszy nie śpiewali, czynił to chór. Kupowanie świec przy wejściu do kościoła, zamiast polskiej tacy, znacznie bardziej przemawiało do niej.

Po paru dniach przyszedł czas rozstania – Zosia i Saliou pożegnali się na dworcu kolejowym w Mińsku, Zosia wsiadła do pociągu jadącego do Warszawy, a Saliou udał się stamtąd na lotnisko, skąd miał lot do Paryża.

Przez kolejne parę miesięcy pisali do siebie listy, rozmawiali przez telefon, ale coraz rzadziej. Latem Zosia zapomniała o Saliou, już nawet nie tęskniła, zresztą ku radości rodziny. W Polsce dobrze się jej żyło, bezproblemowo, mieszkali w piątkę w jednym mieszkaniu, w zgodzie i miłości. Marieta o ojca wcale nie pytała, czasem tylko z przedszkola wracała z wątpliwościami. Miała dziecięce dylematy. Skąd się wzięła, dlaczego wygląda inaczej niż inne dzieci? Takie tam. Zosia zbywała ją, podała jej niepedagogiczną bajeczkę, że przyleciał bocian i zostawił dziecko na trawie obok domu. I że wszyscy ludzie się czymś między sobą różnią.

Kiedyś Marieta wróciła z przedszkola zapłakana.

– To nieprawda, że mnie przyniósł bocian.

– No, powiedzmy, że półprawda – odpowiedziała Zosia.

– Jacek powiedział, że rodzice śpią w jednym łóżku, dlatego się rodzą dzieci.

– Oczywiście, trochę racji ten Jacek miał. Kiedy rodzice postanowią mieć dzieci, wtedy tata kupuje w aptece tabletkę i daje ją mamie, ona ją zjada i wtedy w jej brzuszku zaczyna rosnać dzidzius. Gdy jest już wystarczająco duży, to z brzuszka mamy sobie wychodzi, dalej już wiesz.

– A tobie kto dał tabletkę?

– Twój tata.

– A gdzie on jest?

Wtedy Zosia postawiła przed dziewczynką globus.

– Spójrz. To jest miniświat, jakby miniaturka tego, na którym żyjemy. Na naszej ziemi mieszkają miliony ludzi, każdy człowiek jest inny, nie ma dwóch identycznych. Mówiąc w uproszczeniu, uwzględniając kolor skóry dzielimy się na trzy rasy. Biała, i ja się do niej zaliczam, czarna, taki jest twój tata, i żółta. Twój tata nazywa się tak samo jak ty – Diene, a na imię mu Saliou. Ty masz cerę jaśniejszą niż on, a ciemniejszą niż ja, taką pomieszaną. Tak jakby do

kubka z mlekiem wsypać kakao. – Marieta się uśmiechnęła. – Twój tata mieszka w Senegal, to jest tysiące kilometrów od nas, na innym kontynencie. A poznaliśmy się w jeszcze innym kraju.

– Aha – powiedziała Marieta, wyraźnie uspokojona.

Zosia podniosła się z fotela, podeszła do regału i zdjęła z półki wachlarz, który zawsze tam stał. Potem z albumu wyjęła swoje ulubione zdjęcie Saliou – w Jałcie, na promenadzie. Wystrojony w jasne krótkie spodnie i jasnoróżową koszulę miał wygląd światowca. Jak na tamte czasy.

– To wachlarz od taty. – Podała go dziewczynce. Marieta zaczęła się nim bawić. Składać, rozkładać, wachlować sobie buzię.

– Mogę postawić w swoim pokoju?

– Możesz, a popatrz na to. – Zosia podała jej zdjęcie ojca.

Marieta wzięła zdjęcie w rękę.

– No, mocno czarny! – powiedziała po chwili. Potem pobiegła do swojego pokoju i zdjęcie ojca położyła obok łóżka. Po kilkunastu dniach oddała je mamie, żeby się nie zniszczyło.

Mimo że Zosia i Saliou nie mieszkali ze sobą od lat, mimo że nie odwiedzał córki, a wręcz nawet o dziecko nigdy nie zapytał, o trosce i finansowej partycytacji w kosztach jej utrzymania nie wspominając, Zofia nie złożyła wniosku o rozwód.

Grudzień 2011

Marieta i Ola długo mierzyły się wzrokiem. Nie spodobały się sobie od pierwszego wejrzenia, choć i jedna, i druga starały się być miłe. Może zbyt miłe... Jakże były różne. Ola jasna, Marieta ciemna, Ola wysoka, Marieta jeszcze wyższa i odrobinę mocniej zbudowana. Ola miała uścisk dłoni mocny, konkretny, Marieta lekko dotknęła dłonią bardzo długich palców Oli. Dogadały się przez telefon, resztę z Marietą załatwiła Iga, poprzez Basię Koronowską. Dziwna to była sytuacja i za to też podświadomie Ola obwiniła Marietę. Takie okrężne drogi nie były w jej stylu. I na pewno nie były w stylu Igi. Z jakichś powodów spełniła jednak prośbę Basi. Ola nie miała wyboru, mama nalegała, ustaliła więc dla Mariety koszty najmu. Jak się później okazało, na tym samym poziomie, jakie były za jej poprzedni małeńki pokoik w odrapanej kamienicy i w podłej dzielnicy. Mieszkanie Oli było bezpiecznie i położone blisko szkoły Mariety.

Ola od początku mieszkała sama w Nowym Jorku, było jej trudno się przyzwyczaić, że będzie dzielić łazienkę z zupełnie jej nieznaną dziewczyną. Będą się mijać na korytarzu, generalnie o siebie obijać. Czy w ogóle będą miały sobie coś do powiedzenia?

Marieta, wprowadzając się do mieszkania Oli, musiała zaakceptować tryb życia córki Igi. Sporo na jej opinii o Oli zaważyły opowieści o Idze. Ola wydała się Mariecie zasadnicza, uporządkowana, ciągle siedząca nad jakimiś papierami. Wstawiała o ciemku, zakładała sportowy strój, po godzinie wracała i brała prysznic, pakowała do pudełka posiłek do pracy, który przygotowywała poprzedniego dnia, najczęściej były to same warzywa. Czasem wściekała się, że Marieta jest jeszcze w łóżku. Nie akceptowała odmiennego od swojego trybu życia dziewczyny. Tymczasem Marieta wracała do domu po przedstawieniu w operze, zazwyczaj około północy, wtedy Ola już spała albo zasypiała.

Dziewczyny, podobnie jak ich matki, miały inne życiowe doświadczenia. Ola wychowana była przez ojca, Marieta przez matkę. Ola większość swojego życia mieszkała w Warszawie, Marieta w niewielkim Drawsku Pomorskim. Ola była pragmatyczką, a Marieta artystką. Ola była wysportowana, Marieta (poza pływaniem) nie. Miały niewiele czasu na rozmowę o sobie. W sumie Marieta (jeśli nie śpiewała) zostawała wieczorami w domu, Ola zaś spotykała się z Matteo, którego nawet Mariecie nie przedstawiła. Odkąd zamieszkały razem, chłopak Oli nigdy nie był w ich mieszkaniu, a wcześniej bywał, to pewne, Marieta widziała, że w szafie w pokoju Oli leżała jego pidżama.

Marieta nie opowiadała swojej mamie, jak jej się żyło w Nowym Jorku. Zosia Kulińska nic nie wiedziała ani o Titim, o przykrościach ze strony Ronietty Granzianno, ani o trudach, jakie jej córka zносиła każdego dnia. Nie była także świadoma, jakie relacje panują między dziewczynami. Marieta czuła się wolna i świadoma swojego życia. Mama niewątpliwie była nadopiekuńcza, co dziewczynę ograniczało. Tęskniła jednak za nią, za krajem, za przeszłością i za spokojnym życiem bez trosk.

Postanowiła przełamać z Olą lody.

– Olu, masz chwilkę?

– Mam, a co?

– Chciałam ciebie o coś zapytać.

– No, pytaj. – Ola spojrzała na Marietę ciepłej.

– Dlaczego zgodziłaś się, bym zamieszkała z tobą? Przeszkadza mi, że

w ogóle ze sobą nie rozmawiamy. Mnie się wydaje, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić, ale najpierw musimy o sobie wiedzieć więcej. Tak uważam...

– Wiesz. Nie będę opowiadać bajek. Mieszkasz tutaj, bo o to mnie poprosiła mama. Prawdę powiedziawszy, co moja mama powie, jest dla mnie święte. – Ola zaśmiała się. To, że się zaśmiała, jak również to, co powiedziała, sprawiło Mariecie przykrość. Ola mogłaby skłamać. Marieta ceniła osoby prawdomówne, ale bez przesady.

– Mama, twoja mama! – powiedziała nieco zbyt głośno. – Jak ty możesz stać murem za swoją matką? Ona cię małą zostawiła z ojcem!

– Nie uważasz, że to nie twoja sprawa? Zresztą, uściślijmy. Jak ty możesz korzystać z pieniędzy swojego ojca? Gdybyś nie wpadła na pomysł z senegalskim paszportem, nie poznałabyś go być może nigdy. – Odgryzła się Ola.

Była wyprowadzona z równowagi. Wyszła do swojego pokoju.

Marieta słyszała, jak z kimś rozmawia po angielsku. Pewnie ze swoim facetem. Mariecie ciążył ten konflikt. Nie była u siebie, wiedziała, że powinna się bardziej starać, być miła, uważać na słowa. Wstała z krzesła i poszła pod drzwi pokoju Oli. Już nie było słycać rozmowy. Zapukała. Zapukała jeszcze raz. Odpowiedziała jej cisza. Ostrożnie uchyliła drzwi.

Ola leżała na łóżku, poduszkę trzymała na głowie. Marieta podeszła i usiadła obok niej.

– Przepraszam, Olu, nie chciałam. Mnie chodzi o to, byśmy były bliżej, naprawdę czuję się w Nowym Jorku bardzo samotna. Nie chcę o tym mówić mamie, bo chyba by umarła. Wiesz, pytanie o mojego ojca tkwiło we mnie od dawna, ale też nie chciałam sprawiać matce przykrości. Pojawił się w okresie, kiedy bardzo potrzebowałam pieniędzy, on mi je zaoferował. Przyjęłam je. Nie mogłam pozwolić, by moja mama się dla mnie finansowo zarzyniła. Nie mogę teraz zejść z drogi. Muszę odnieść sukces.

Ola podniosła się, usiadła. Miała zaczerwienione oczy.

– Płakałaś przeze mnie? – Mariecie zrobiło się przykro. Ola przysunęła się bliżej, tak że ich ramiona się stykały.

– Nie, to nie tak – powiedziała łagodnie. – Ogólnie mam słabszy okres, jestem zmęczona, w firmie jest dużo pracy, kilka projektów naraz. Nie mam czasu dla Matteo. Tyle, co się widzimy w pracy, ale to za mało. No i przypomniałaś mi, jak kiedyś tęskniłam za mamą. Tak, tęskniłam, umierałam z bólu, że nie ma jej przy mnie. To minęło i teraz Kocham mamę nad życie,

wiem, że i ona mnie. Może i zbłądziła, ale nigdy tego nie kryła przed nami. To bardzo dobrze, bo żyłam w prawdzie.

– A moja mama jest miła, dobra, pomaga ludziom, nie mogę dokładać jej trosk. Jest jasnym aniołem w żółtej sukience, z koszykiem z kwiatami i w słomkowym kapeluszu na głowie. Zawsze mi mówiła, gdy był upał: „Zakładaj kapelusz na głowę”. A ja powtarzałam: „Jestem czarna, słońce mi niegroźne”. Ale teraz się mijamy. Żeby coś osiągnąć, muszę być egoistką, wbrew temu, co wyniosłam z domu. Wbrew temu jak mnie wychowano.

Ta rozmowa wiele wyjaśniła. Odtąd stosunki między nimi stały się cieplejsze, nawet wspólnie spiskowały, by zbliżyć ze sobą matki. Iga była ciągle pełna rezerwy, Zosia podobno mówiła, że by chciała.

Marieta przed świętami miała zaśpiewać charytatywnie kolędy w amerykańskiej organizacji wspierającej jej uczelnię. To zawdzięczała swojej Roniecie. Diva starała się, ale wciąż daleka była od tego, by dziewczynę pochwalić. Marieta pojechała i zaśpiewała kilka kolęd przed publicznością zgromadzoną na aukcji na rzecz wspierania bezdomnych. Jej śpiew bardzo się spodobał, a najbardziej szefowej organizacji, Mary Steward, która zatrzymała dziewczynę na pogawędkę. Chciała dowiedzieć się więcej o Mariecie. Dziewczyna opowiedziała, że urodziła się w Drawsku w Polsce, że jej mama jest Polką, ojciec Senegalczykiem, poznali się w Mińsku, gdzie studiowali. Opowiedziała o spotkaniu z ojcem w Paryżu, o tym, że to było ich pierwsze spotkanie. Powiedziała, że jej mama prowadzi w Polsce fundację na rzecz utalentowanych wiejskich dzieci. Chodzi o to, by dzieci mogły się tam artystycznie rozwijać. Powiedziała też, jak trudno jej mamie jest w Polsce pozyskać pieniądze na dobroczynność.

Mary Steward siedziała w milczeniu, a gdy Marieta skończyła, chwyciła ją za rękę i powiedziała, że bardzo jej dziękuje za spontaniczność, to tak rzadka cecha, tak bardzo tłumiona. Już Marieta miała się pożegnać, ale Mary wyszła z pokoju, prosząc dziewczynę, by poczekała. Wróciła z czekiem na dwa tysiące dolarów dla fundacji mamy.

Święta Bożego Narodzenia Ola spędziła w Beaumont ze swoją mamą, bratem i ojczymem, a Marieta sama w pustym mieszkaniu w Nowym Jorku.

Wyjazd do Polski kosztowałby majątek. Nie mogła sobie na niego pozwolić.

Zosi nie udało się porozmawiać z rodzicami Lisy o incydencie na Grobli. Zresztą, dziewczynka bardzo prosiła, żeby tego nie robić. Zosia była pewna na sto procent, że dziewczynka gdzieś napatrzyła się na przemoc. Albo w Internecie, albo wciągnęła się w niewłaściwe gry komputerowe. Jej rodzice byli ludźmi na poziomie, wykształconymi, z ogładą, ojciec – muzykiem, a mama prowadziła firmę krawiecką, z dużym sukcesem. Często wyjeżdżała na giełdy i targi mody, zostawiając dziewczynkę pod opieką ojca. Iza Kuśmierk miała też swój sklep, który prowadziła na spółkę z przyjaciółką, która miała w tym samym lokalu stoisko z kosmetykami.

Luty 2012

Pod koniec stycznia umarł Dyduch. Zosia zaangażowała się w organizację pogrzebu, załatwiła, że zostanie pochowany na koszt państwa, a Dyduchowa, dzięki Zosi, otrzymała zasiłek dla niepełnosprawnych. Sama tymczasem klepała biedę, nie starczało jej czasu na prace zarobkowe. Chciała pomagać, jednak pogubiła priorytety. Nadal nie odmawiała by bezpłatnych przysług, gdyby nie przypadek. W urzędzie w Poznaniu, czekając na korytarzu na swoją kolej, usłyszała rozmowę dwóch kobiet.

– Ma pani piękny dom. Elegancki, nowoczesny, a jednocześnie nie jest chłodną szarą bryłą, jaką uwielbiają współcześni architekci.

– Tak pani myśli? Jestem niestety innego zdania. To nie mój styl. Córka sąsiadów jest projektantką wnętrz, więc po znajomości za darmo zajęła się wszystkim. Nie powinnam się była zgodzić. Wolałabym komuś zapłacić i mieć tak, jak mi się podoba – narzekała kobieta.

Wolałaby zapłacić!

Łyżkę dziegciu dodała też Basia. Najpewniej miała zły dzień, bo nigdy wcześniej nie była tak złośliwa względem Zosi.

– Dyduch miał wnuki, to one powinny się zająć pogrzebem starego. Iga przenigdy nie pozwoliłaby sobie na to, by coś komuś wykonać za darmo. Dlatego ma pieniądze, powinniśmy się od niej uczyć. Oni wszyscy szybko zapomną, że im pomagałaś, ale gdy nie będziesz miała kasy, kiedy zaczną się w twoim domu sypać rynny i dach, natychmiast wytkną tobie niegospodarność.

Zosia zdała sobie sprawę, że jest druga strona medalu. Pomagając za darmo, stawia w niekomfortowej sytuacji tych, których stać na zapłatę za usługę. Jeśli coś dla kogoś zrobiła, czy doradziła źle, albo niezgodnie z oczekiwaniami,

prawdopodobnie mieli uwagi, ale obawiali się o nich jej powiedzieć. Gdyby zapłacili za pracę, mieliby prawo do zmian i reklamacji.

Gdy dwa dni później zadzwonił Jurek Bednarz, postanowiła być stanowcza. Wzięła głęboki oddech i nie czekając, z czym Bednarz do niej dzwoni, powiedziała:

– Jurku, niestety przez najbliższy miesiąc nie mam czasu. Jestem zarzucona tłumaczeniami, tym razem nie mogę tobie pomóc. Sorry.

– Oszalałaś, Zośka? Rozmówcy ci się pomylili? Chciałem cię zaprosić na swoje urodziny – powiedział Jurek, śmiejąc się głośno.

Odtąd miała odwagę, potrafiła powiedzieć „nie”. I nie straciła przez to niczyjej sympatii.

Jeśli chodzi o konkurs chórów, nadszedł czas finału. Do ostatniego etapu w Bydgoszczy zostało zakwalifikowanych kilkadziesiąt zespołów z całej Polski. Złotnicki chórek czekała jeszcze kolejna selekcja, której miało dokonać jury, na podstawie nagrań. Dzieci ze Złotniczek były niewątpliwie najmłodszym zespołem, a już w Warszawie zdobyły wyróżnienie.

Na tym nie skończyły się atrakcje sezonu. Zosia i Krystyna wciąż starały się uaktywnić dzieci. Zorganizowały wycieczki po Wielkopolsce, miały też w planach stworzyć dziecięcy festiwal piosenki w Domu Złudzeń. Wycieczki po regionie nie były kosztowne, miały jeszcze do dyspozycji amerykańskie pieniądze. Jedno z poznańskich biur turystycznych podstawiło bus. We wsi na wycieczkę szlakiem dwunastu drewnianych kościołów wokół Puszczy Zielonka chętnych było ośmioro dzieci. Kiedy doszła do skutku, uczestniczką była też Zosia. Wcześniej nie wiedziała o istnieniu tych zabytków. Z kościołami wiązały się ważne postaci, wydarzenia i legendy. Na przykład w kościele w Kicinie Jan Kochanowski tworzył podobno przekład *Psałterzy Dawidowych*. Kościół w Rejowcu ufundował wnuk Mikołaja Reja, Andrzej. Natomiast do Wierzenicy przyjeżdżał Zygmunt Krasiński, odwiedzając swego przyjaciela, filozofa i społecznika, Augusta Cieszkowskiego.

Dzieci, wracając z wycieczki, były bardzo ożywione za sprawą obecności szefowej fundacji. Zadawały jej dziwne pytania.

– Pani Zosiu, pani Zosiu! Czy pan Michał Zawieja będzie pani mężem? Czy pan Piotr? Kim jest teraz dla pani tata Mariety?

Dzieci co chwilę wybuchały śmiechem, wręcz się wydzierały, tak ich rozbawiło wyliczanie mężczyzn odgrywających jakąś rolę w życiu Zosi.

– A który z nich wam się najbardziej podoba? – Zażartowała Zosia.

Dzieci przestały się śmiać, a za chwilę zaczęły krzyczeć, jeden przez drugiego:

– Mnie się bardziej podoba Piotr! Ja wolę Michała, a nie Piotra, bo Michał ma ciemne, poważne oczy, a Piotr niebieskie i weselsze! Nie, pani Zosiu, nie Michał, bo on nie zawsze patrzy w oczy i ma mniej mocny uścisk ręki! Piotr! Piotr! Pani Zosiu, niech pani mnie posłucha: Michał, bo bardziej się stara o polubienie!

Lisa jak zawsze szła pod prąd.

– Tata Mariety – powiedziała. Po jej słowach dzieci umilkły.

– Otóż, kochane moje szkraby, zdradzę wam swoją wielką tajemnicę. Żaden z nich nie będzie moim mężem! – odpowiedziała Zosia, ucinając dyskusję tym stwierdzeniem.

Lisa niewątpliwie była oryginalna, ostatnimi czasy też stała się bardziej pokorna. Godziła się na pełnienie w chórze drugorzędnej roli. Zaczęła przynosić z domu do pokazania nowe obrazki. Krystian Mąderek zawsze jej mówił: „Maluj, dziewczyno to, co ci w duszy gra! Jeśli są to kwiatki, maluj je. Jeśli wolisz ludzi – pokaż ich nam. Jeśli chcesz, by las schronił cię i twój talent – maluj drzewa. Nie kalkuj z fotografii, nie z innego obrazka. Z duszy, ona jest najważniejsza”.

– Z mojego życia?

– Tak, może być to także obrazek z twojego życia.

Kiedyś przyniosła obraz dziewczynki siedzącej nad przepaścią. W tyle stała kobieta, a jeszcze dalej mężczyzna. Nad głową mężczyzny było niebo błękitne, nad kobietą i dziewczynką, szare.

– Kto to jest? – zapytał Krystian. Obrazek był dojrzały, przemyślany.

– Myślałam, że się panu spodoba.

– Podoba się, ale... no odpowiedz, kto to.

Lisa podała kartkę z obrazkiem. Nie odpowiedziała. Uciekła.

Po południu do Domu Złudzeń przyszła Iza Kuśmierek, chciała pogadać o córce, zdradziła się, że Lisa źle sypia. Zawsze miała wielkie ambicje, chciała być we wszystkim pierwsza, musiała wygrywać. To cecha, którą odziedziczyła po ojcu. Przy czym jemu nie wyszło to na dobre, bo obecnie był tylko członkiem orkiestry i nic swojego nie może wnieść. Boli go, że musi

respektować panujące tam reguły. Dlatego tak mało wymaga od życia... Wystarcza mu pełna miska i instrument!

To ostatnie zdanie Iza wypowiedziała podniosłym tonem.

Marzec 2012

Basia wciąż się bała o Igę i jej rodzinę. Wyszukiwała wiadomości ze Stanów. Gdy pewnego dnia usłyszała z telewizji, że przed budynkiem sądu w Beaumont doszło do strzelaniny, natychmiast musiała się z Igą połączyć. Ona nie odbierała, a Basia była na sto procent pewna, że z jakiegoś powodu znaleźli się w tym sądzie i w samym centrum strzelaniny. Jedna osoba zginęła, trzy inne były ciężko ranne. Strzelał jakiś maniak. Za dobrze mieli w tych Stanach! We łbach im się mieszało. Basia, pobladła ze strachu, słuchała słów komendanta policji z Beaumont.

Tymczasem Iga wyłączyła telefon, bo rozmawiała ze Stasiem i nie chciała, by cokolwiek im przeszkodziło. Nie dzwoniła do rodziny już kilka tygodni, bo najważniejszy był problem ze Stasiem. Chciała mu się w końcu przyznać, że zajrzała do tego cholernego listu, że wysłała go do Polski bez pieniędzy w środku, a odnalezione dwa tysiące dolarów po prostu sobie odebrała. Spodziewała się, że Leszek zadzwoni do syna, że będzie po nim „jeździł”. Wysłała list zwykłą pocztą, nie priorytetem, więc może nawet go jeszcze nie otrzymał.

– Staś, musimy pogadać.
– O czym? Nie mów mi, mamusiu, że znów jesteśmy na dnie!
– Nie, przeciwnie. Musimy pogadać o wartościach. Pamiętasz, jak nam było ciężko w Złotniczkach? A jednak to nas wtedy połączyło. Byłam pewna, że po takich doświadczeniach zawsze już będziemy siebie rozumieć. Stasińku, kocham cię bardzo... – Iga objęła chłopca i pocałowała w czoło. – Ale czuję się bardzo zraniona. Nie powinieneś brać z mojego portfela tych pieniędzy. Ojcu możesz pomagać, to oczywiste, ja to robię cały czas, ale to od niego zależy, jak spędzi życie. To on musi chcieć wyjść z biedy, to on musi chcieć znaleźć pracę. Mężczyzna jest powołany do opieki nad kobietą z wielu powodów. Jest od niej silniejszy fizycznie, nie rodzi dzieci, ma inny sposób rozumowania, bardziej syntetyczny, jest osobą, bardziej niż kobieta, daleko widzącą. Powinien też być odpowiedzialny za swoje dzieci.

Staś zaczął cicho łkać.

– Musiałem mu pomóc. Obiecałem.
– Chciałeś tego ze szlachetnych pobudek, to zmniejsza twoją winę, ale naprawdę nie powinieneś rozporządzać pieniędzmi, które do ciebie nie należały. Jesteś małym chłopcem, twoim obowiązkiem jest nauka i szacunek do starszych. Na razie to rodzice są zobowiązani troszczyć się o ciebie, nie odwrotnie. Gdy będziesz dorosły i będziesz widział, że nie damy sobie rady z powodu starości, choroby, wtedy możesz nam pomóc materialnie. Twój tata jest dorosły, jest zdrowy, nieładnie, że sprawia tobie ból.

Po godzinie od rozmowy Iga włączyła telefon, Staś tymczasem z nadmiaru emocji zasnął. Wybierająca od godziny numer Igi Basia odsapnęła, kiedy wreszcie uzyskała połączenie.

– Chryste, jak dobrze, że cię słyszę. Im jestem starsza, tym bardziej czarne mam myśli.

– A co się dzieje?

– Nic nie wiesz? Bałam się, że to wam coś się stało. Akurat wam. Że byliście w tym sądzie i on strzelał, pozabijał, ten zbir. Ktoś był ranny. To straszne. Czy u was każdy nosi broń? Mówię o strzelaniu w sądzie w Beaumont.

– Nic nie wiem. Nie każdy u nas nosi broń, ale rzeczywiście, wielu. My też mamy, tak nawiasem mówiąc.

Basia jeszcze się bardziej wystraszyła.

– Chryste! Staś weźmie, palnie kogoś w łeb i będzie gotowa tragedia. – Basi ton był histeryczny. – Zróbcie coś, nie pozwólcie, żeby to dostało się w niepowołane ręce! No, teraz to już będę sobie wyobrażać najgorsze. Musieliście wyjechać tak daleko? Mogliśmy żyć obok siebie, bezpiecznie, bez broni.

– Basiu, wyluzuj. Są też plusy migracji. Staś znakomicie włada angielskim, ja zresztą też, ale gorzej od niego. Chłopak jest najlepszy w nauce w klasie, wyobraź sobie, że daje lekcje amerykańskim dzieciakom. I z czego? Z zasad gramatyki ich języka! Tęsknię za Polską, myślę, że zawsze tak będzie, jestem rozdwojona, ale wierz mi, tutaj nie boję się o jutro, o finanse, bo o zdrowiu nie będę się wypowiadać... Najważniejsze, że zrobiło się zielono.

– A co ci jest? Wiesz, że zawsze możesz przyjechać do Polski się podleczyć za darmo, Rysiu wciąż płaci za ciebie składkę KRUS-owi.

– Kolano nie daje mi spokoju, nie mogę chodzić, ale jeździć rowerem, owszem, pływać też. Lekarze mówią, że będzie dobrze.

– Jeśli tak mówią, pewnie mają rację. Przy okazji, masz te papiery, co wykopałaś u Buczków?

– Coś mam, gdzieś leżą, w zasadzie tylko obligacje wyciągnęłam i obejrzałam, mam też dwie gazety i list od dziadka. Z tego, co pamiętam, są jeszcze zdjęcia i listy od brata dziadka.

Nie powiedziała Basi o stronie angielskiego ubezpieczeniowego towarzystwa. Zgłosiła się jako spadkobierczyni, ale nie otrzymała jeszcze odpowiedzi. Bardzo była ciekawa, jakich pieniędzy może się spodziewać, ale nie czyniła sobie zbytnej nadziei. Już nie karmiła się złudzeniami. Wyglądało, że jej dziadek jednak chciał się zrehabilitować! Z grobu! Jeśli okazałoby się, że coś jej „skapnie” z angielskiego stołu, nie będzie miała do niego już żalu. I tak poprzedni jej też już w zasadzie minął. Kolejne pieniądze dobijały się do drzwi. Była na nie gotowa!

Czy tylko w jej oczy wpadały takie „okazje”? W rodzinie, pewnie tak. To nie Basia wrzuciła w Google nazwisko swojego ojca. Ani Zosia swojego dziadka. Dlaczego? Iga się chwilę zastanowiła. No jasne! Zosia nie musiała. Po prostu miała wszystko podane na tacy!

Iga zapomniała, że po drugiej stronie telefonu nadal jest Basia.

– Od Józefa, powiadasz! – Usłyszała Iga. – No właśnie o to mi chodzi. Gdy będziesz leciała do Polski, zabierz je ze sobą, proszę. Albo przyślij, tak będzie lepiej, przyślij, będzie szybciej. Bo wiesz, skończę tworzyć drzewo genealogiczne. W moim wieku...

Basia w obawie przed kolejnymi rodzinnymi niesnaskami nie powiedziała Idze, co odkryła z dokumentów na temat rodziny Zosi.

– Dobra, przyślę albo przywiozę. Się zobaczy. Wyobraź sobie, byliśmy wczoraj na rodeo. Takiego zgiełku, zamieszania, krzyków, tańców i alkoholowej rozpusty dawno nie widziałam. Niby wiedziałam, że dla Teksasńczyka rodeo to jak corrida dla Hiszpana. Czego tam nie było? Cudne, kolorowe stroje jeźdźców i koni oraz tarzanie się w piachu i morusanie własną krwią. Ależ przeżycie! Była też walka o miano najwspanialszego indyka, w której wzięły udział najpiękniejsze ptaki. Potem oglądałam zawody w jeździe pomiędzy beczkami. Miały też miejsce świetne koncerty, potańcówki, wyścigi i parady.

Po rozmowie z Basią Iga zadzwoniła do Róży. Kobieta wygrała walkę z rakiem, co dopingowało Igę do troski o zdrowie, do niezałamywania się. Skorupiak się wycofał, a wyniki pokazały, że Róża jest czystiotka.

Powiedziała, że otrzymała nowe życie, które chce przeżyć inaczej, z myślą o sobie. Już się nie przemęczała, a za niewielkie pieniądze z renty i z połówki etatu układała sobie czas tak, by było atrakcyjne. Pieniądzy wystarczyło jej na wszystko, do szczęścia nie potrzebowała wiele. Zawsze znalazły się środki, by mogła dwa razy w miesiącu wyjechać na parę dni w góry i samotnie położyć, wspiąć się na szczyty. Realizowała niespełnione marzenia z młodości.

Tym razem Róża była załamana. Na raka jelita grubego umarł jej dobry znajomy, Zbyszek. Poznała go w szpitalu, był ze wszystkich pacjentów onkologii najsilniejszy. Dla wielu chorych stanowił wsparcie, no i ... miał dopiero czterdzieści pięć lat. Niedawno opijali jego wyzdrowienie. Zbyszek pojechał w góry, które kochał podobnie jak i Róża. Wspiął się na Kasprowy, skąd zadzwonił do Róży, że pije na jej cześć wielkie piwo i z góry patrzy na Zakopane. Był szczęśliwy! Ona też miała z nim pojechać, ale tym razem lekarz jej zabronił. Powiedział, że za wysoko, że i na to przyjdzie czas. Zbyszek wrócił, a następnego dnia stracił przytomność.

– Okazało się, że miał przerzuty do mózgu, bardzo szybko postępujące – powiedziała Róża. – Żona i syn umieścili go w hospicjum, bo nie mieli czasu na opiekę. Podobno, takie na początku jego choroby, poczynili ustalenia. Był zdrowy. I przegrał. – Pierwszy raz, odkąd Róża zachorowała, wyczuć można było w jej głosie zwątpienie.

– Owszem, ale to nie on przegrał, to współczesna medycyna jest do bani. Tyle w temacie. – Iga też była rozgoryczona.

Róża tyle sił poświęciła, by walczyć z chorobą. Kilka lat ciężkich zabiegów. Mogła nie naświetlać się, nie przyjmować chemii. Mogła sprzedać dom, wynająć jakąś klitkę, a za te pieniądze pojechać po świecie, jeść, pić, palić, cieszyć się chwilą. Życ!

„Człowiek nie może sam sobie dawać radę w chorobie, to współczesna medycyna ma mu pomóc!” – Iga wciąż miała w pamięci słowa, jakie usłyszała od lekarza, z którym kiedyś rozmawiała w sprawie Róży, jeszcze w Polsce. „Robi się szum wokół nowotworów, że wcześniej wykryte dają dobre rokowanie – mówił. – Dobre rokowanie dają guzy niezłośliwe. Więc po co ludziom wciskać nieprawdę, że ktoś wygrywa walkę z rakiem, a drugi przegrywa? Może lepiej powiedzieć okrutną prawdę? Niech się chorzy nie umartwiają przed śmiercią, a wykorzystają czas na uciechy”.

Maj 2012

Marieta zaśpiewała w przedstawieniu dyplomowym partię Zerliny z *Don Giovanniego* Mozarta, otrzymała tę rolę, choć w konkursie startowało kilka studentek, amerykańek. Potem uczestniczyła w konkursie na partię Abigalle z *Nabucco* Giuseppe Verdiego.

Stała na scenie i zapomniała, że na widowni siedzą obce jej osoby, że będzie oceniana. Myślała tylko o tym, że chce być najlepsza, że chce być wielka. Wyśpiewała swój dramat, swoje niepowodzenia miłosne, swoje tęsknoty za Polską, za Drawskiem i wolną od trosk młodością, za Złotniczkami i zapachem wsi.

Otrzymała owacje.

Po konkursie podszedł do niej szpakowaty, dystyngowany mężczyzna, na oko po siedemdziesiątce. Z daleka było od niego „dobrym pochodzeniem”. Mankiety białej jak śnieg koszuli spięte miał złotymi spinkami z herbem. Podał Mariecie ramię, gdy schodziła ze sceny. Stremowana dziewczyna poczuła delikatny splot kaszmiru, z jakiego była uszyta marynarka mężczyzny. Na szyi miał przewieszony jedwabny szal o kolorze écru.

– Panno Diene, jakże wzruszająco pani śpiewa! Jestem pewien, że w przyszłości nie będzie pani schodzić z najlepszych scen świata. Covent Garden, La Scala, Mediolan, Rzym, Opera w Paryżu, to będą pani domy. Wspominała mi o pani Ronietta Granzianno. Przyszedłem i nie żałuję. Miała rację!

Cóż to był za miód na skołatanie serca Mariety!

– Przepraszam, kim pan jest? Nie znamy się. – Marieta z jednej strony była próżna, bardzo ją ucieszyło to, co powiedział mężczyzna. Ale nauczyła się też, że w tym fachu komplementy czasem bywają bez pokrycia. Zaskoczyło ją to, co mężczyzna powiedział o divie Granzianno. Wiele zawdzięczała Ronietcie, nauczyła ją śpiewać, umiejętnie używać przepony, dzięki czemu podczas śpiewu nie otwierała już tak mocno ust. Owszem, diva miała do niej oschłe podejście, absolutnie jej nie matkowała, co było niemiłe, ale dało efekt. Marieta koncentrowała się na celu, a nie na swoich rozchwianych uczuciach. Nauczyła się rezerwy: „No okej, jestem dobra, ale to nie wszystko. Przede mną najważniejsza bitwa, muszę wygrać z tłumem równie dobrych i ambitnych adeptek sztuki operowej”.

Sporo umiała. Niewątpliwie na scenie potrafiła pokazać, co czuje kobieta taka jak ona.

– Massenini. Nazywam się Stefano Massenini.

Mężczyzna z etui wyciągnął wizytówkę i wręczył ją Mariecie.

Dygnęła i odeszła z wizytówką pana Stefano Massenini w ręce. Gdy jej nikt nie widział obejrzała wizytówkę z każdej strony. Nic więcej, poza nazwiskiem i imieniem, a także numerem telefonu, na kartoniku nie było.

W domu wystukała nazwisko mężczyzny w necie. Stefano Massenini, do niedawna dyrektor opery w Modenie! Obecnie komentator najświetniejszych światowych wykonań.

Marieta chuchnęła w wizytówkę na szczęście.

Z Olą wiodły uporządkowane życie, co było złe między nimi na początku, poszło w niepamięć. Zgrały się, można powiedzieć, że nawet zaprzyjaźniły. Ola, planując zamianę mieszkania na większe, brała pod uwagę, że i Marieta w nim zamieszka. Mieszkaliby w trójkę. Ola, Matteo i Marieta. Nieraz gadały o chłopakach. Obie tak naprawdę nie miały na nich czasu, obie skupione na pracy, jednak bardzo potrzebowały miłości i mężczyzn. Ola nie była pewna, czy kocha Matteo. Nie tak wyobrażała sobie miłość. Musiało iskrzyć, tymczasem między nimi było letnio. Ot, fajny kolega, sympatyczny, bardzo spontaniczny i uczynny. Ale to wszystko. Marieta rozumiała, co Ola miała na myśli. Sama niedawno odkryła to samo. Tylko wielka miłość warta była całkowitego poświęcenia. Podobnie jak w sztuce – wielkie uniesienia albo odjazd.

Spiskowały, w jaki sposób zbliżyć do siebie ich mamy. Iga już dwa razy miała kupiony bilet do Polski, ale zawsze pojawiał się jakiś powód, i w sumie nie pojechała.

Wpadły na genialny plan. Musiał wypalić.

[6] *Mówię ci, że* – słowa: Tomasz Lipiński, wyk.: Tilt.

[7] *Guantanamo* – autor tekstu: José Martí.

[8] *Yé ké yé ké* – Mory Kanté.

[9] Celem ruchu była afirmacja historii i cywilizacji czarnego człowieka wobec dewaluującej te wartości cywilizacji zachodniej (Wikipedia).

[10] Przysłowie afrykańskie.

[11] *Bakczysaraj w nocy* (fragment) – *Sonety Krymskie*, Adam Mickiewicz.

Rozdział 3

*Widzę ją, kiedy oczy zamykam,
Słyszę ją, kiedy cisza trwa,
Bo to jest taka moja muzyka,
Co im ciszej, tym ładniej mi gra.*

Słowa: K. Płudowski i S. Świerzyński, wyk.: Bayer Full

Czerwiec 2012

– Mamo, stało się. Jest mi bardzo przykro. Musisz to przeżyć, wszyscy musimy, ale ludzie odchodzą, a ci najlepsi i najbardziej kochani – najszybciej.

– Ola zadzwoniła do Igi z samego rana.

– Co się stało!? No mów, zanim odejdę z tego świata, ze strachu!

– Adela Renz nie żyje, zmarła dziś nagle, we śnie. Niech cię pocieszy to, że odeszła z uśmiechem na ustach.

– Dlaczego nikt ze Złotniczek do mnie nie zadzwonił? – krzyknęła Iga. Była jeszcze w półśnie. Poprzedniego dnia długo w trójkę siedzieli w patio i świętowali kontrakt Kosmy. Cieszyli się także słońcem, latem, kolorami, Iga nasadziła wiele kwiatów, specjalnie pomieszała gatunki i kolory, by stamtąd czerpać inspirację, kiedy wreszcie powoła swoją kwiaciarnię.

Była też druga okazja, bank wreszcie zgodził się na konsolidację kredytów Kosy, dzięki czemu co miesiąc mieli zaoszczędzić po pięćset dolarów. Iga do nocy grała na harfie, niczego złego nie przeczuwając, Staś stukał na bębenku. Chłopiec nie był już tak smutny, a Iga podsłuchiwała, że przez telefon zapytał swojego ojca, czy ma pracę. Potem przez kilka minut dopingował Podkańskiego do działania, używając podobnych argumentów, jak czynił to w stosunku do niej, kiedy mieszkali w Polsce. Dno, i te rzeczy.

Na wieść o śmierci Adeli, Iga się rozpląkała. Coś się bezpowrotnie skończyło. Podobnie jak w przypadku dziadka, była pewna nieśmiertelności Adeli. Wiele jej zawdzięczała, to dzięki niej poznała historię rodziny, także tę

mniej chwalebna. Adela była dla niej jak rodzona babcia, której nigdy nie poznała.

Nie mogła nie być na pogrzebie. Powiedziała Oli, by zatroszczyła się o bilety, było niewiele czasu. Na pogrzeb we Wronczynie czekało się zaledwie parę dni. Okazało się, że Ola już je zarezerwowała. Kochane dziecko. Kosma musiał zostać w Beaumont, ale Staś się ucieszył, powiedział, że chętnie poleci do Polski. Iga nie miała czasu, by pomyśleć o wieńcu, zresztą, Ola powiedziała, że wszystko jest dopięte. Następnego dnia Iga i Staś polecili do Nowego Jorku, gdzie wraz z Olą i Marietą mieli wsiąść do samolotu do Warszawy.

Iga, ubrana w ciemne spodnie, bluzkę z czarnego lnu i czarny szal ze srebrnymi aplikacjami w razie zimna, w samolocie wyróżniała się strojem na tle pasażerów, ale także dziewczyn, które ubrane w kolorowe fatałaszkę nie wyglądały na żałobnice. Marieta w jaskrawożółtej sukni, z czerwonymi dodatkami, bardzo było jej w niej do twarzy, tak na marginesie, zaś ... Ola miała na sobie biało-niebieskie spodnie, a na stopach pomarańczowe sandały, do tego wszystkiego pomarańczową torbę. Dziewczyny były w dobrych nastrojach. Iga polubiła Marietę, dziewczyna okazała się rezolutna, wesoła, błyskotliwa i ładna.

– Mam nadzieję, że wzięłyście do przebrania coś ciemniejszego? – zapytała Iga, dając wyraz swojej konsternacji z powodu ubiorów dziewczyn.

– Mamy ze sobą, jasne – odpowiedziały prawie jednocześnie.

Staś, widząc siostrę i Marietę w dużo lepszych niż jego mama humorach, koniecznie chciał się przesiąść. Iga mu tłumaczyła, że miejsca są numerowane, że nie można swojego miejsca opuszczać, ale nie dał się przekonać. Gdy samolot osiągnął odpowiednią wysokość, rozpiął pas, przeszedł do miejsca, które zajmowała siostra, i zaczął przekonywać siedzącego tam młodego mężczyznę, by się z nim zamienił miejscami.

– Sorry, ale nie jesteś za młody, by siedzieć bez mamy?

Dziewczyny zaśmiały się.

– Ależ nie jest, naprawdę nie jest.

Facetowi to się nie spodobało, wołał towarzystwo młodych pięknych dziewczyn z kraju jego matki. Iga też była piękna, ale już nie taka młoda. W końcu jednak zabrał swoje rzeczy i się przesiadł. Iga początkowo niezadowolona z zamiany, później stała się miłsza, bo młodzieniec okazał się gadatliwy. I sporo wiedział. Pracował w firmie pośredniczącej w handlu

nieruchomościami i opowiadał, gdzie był, jakie mieszkania i domy widział. Gadał i gadał, a Iga, która przenigdy nie zapominała, że należy myśleć o zarabianiu pieniędzy, nadstawiała ucha i wypytywała o szczegóły. Dowiedziała się, że na Florydzie będą w sprzedaży domy po bardzo okazyjnej cenie. Zainteresowała się.

Mężczyzna radził się pospieszyć, zakładał bowiem, że ceny tych mieszkań na pewno pójdą w górę. Iga nie omieszkała poprosić towarzysza podróży o nazwę firmy deweloperskiej i zanotowała ją w notesie. Potem zasnęła i po kilku godzinach obudziła się przerażona. Śniło jej się, że zgubił się Staś. Zerwała się z miejsca, ale syn spał obok Oli, przykryty kocem. Dziewczyny też spały. Iga już nie mogła zmrużyć oczu, była zestresowana, smutna, chciała pogadać, ale jej sąsiad chrapał, więc założyła na uszy słuchawki i włączyła sobie film.

W Warszawie był wieczór, kiedy na Okęciu przesiedli się do ostatniego tego dnia samolotu. To w tym małym samolociku do Poznania wyszło wszystko na jaw, dziewczyny nie mogły, i nie chciały, już dłużej kłamać. Przyznały się do wszystkiego. Powiedziały też, że chodziło im o to, by odwiedzić Polskę, by poznała się z Zosią, by poczuła zapach polskiej ziemi.

– Jak to!?! Zdajecie sobie sprawę, ile ta przejażdżka nas kosztowała?

– Ale potrzebna była, mamuś, potrzebna, mimo kosztów.

Iga poczuła się wystawiona jak dziecko. Nawet nie potrafiła się cieszyć, że Adela Renz żyje. Tej nocy spali w hotelu, za późno było na dalszą podróż. Marieta i Ola miały przyjechać na wieś za parę dni, ale Iga następnego dnia już o piątej rano obudziła Stasia. Po dwóch godzinach jechali taksówką do Nadroźna.

Trwał najpiękniejszy okres na wsi, wszystko kwitło, pachniało, trawa była zielona, łąki po sianokosach. Iga kazała zatrzymać auto, wysiadła, zdjęła klapki i zaczęła biegać boso po łące, na trawie była jeszcze rosa. Rozplakała się. Była w Polsce, zobaczy swoje pole i swój dom, Brodek, Przepadlisko, do niedawna najważniejsze miejsca na jej ziemi. Ola miała rację, tęskniła. Złotniczki kojarzyły się jej z zapachem koszonej trawy, szumem liści, zapachem jeziora i bukietu ze zbóż. Wprawdzie nie czuła już bezwarunkowego związku z Polską, ale idealizowała swoje miejsca, jednocześnie zdając sobie sprawę, że znów na pewno się rozczaruje. Będzie porównywać i znajdzie w Polsce coś gorszego niż w Beaumont. Po czym wróci do Stanów z niedosytem.

Basia omal nie zemdląła, kiedy Iga ze Stasiem stanęli w progach jej domu. Była jeszcze w koszuli nocnej.

– Kochani, wyobraźcie sobie, że mi się dzisiaj przyśniłiście. Staś powiedział, że załatwi, że przyjedziesz do Polski. Szkoda, że nie ma w domu Ryszarda, ale zaraz go zawiadomię, dzięki czemu, gdy wróci z Warszawy, nie dostanie na wasz widok zawału.

Gdy Barbara dowiedziała się, z jakich powodów jej siostrzenica znalazła się w Polsce, zaczęła się śmiać. Zażartowała, że musi na intencję dziewczyn zamówić mszę, tak piękną niespodziankę jej sprawiły, a Adeli pewnie długi żywot jest pisany. Zaraz też zaczęła o niej opowieść. Kobieta miała się raczej dobrze. Kluczowe tutaj było słowo „raczej”. Już nauczyła się czerpać radość z samotności, zamknęła się w domu, choć nie unikała ludzi celowo, ale się nieco zdystansowała. Wciąż ją pytali o Ninę, o zdrowie, nieustająco ciekawi niezwykłych ludzkich losów. Adela wstydziła się, że przegrała, że zdrowie spłatało jej figła. Gdy kiedyś myślała, jaki będzie jej koniec, nie zakładała choroby. Widziała siebie po dziewięćdziesiątce, zdrową, sprawną i szczęśliwą. A pewnego dnia zamknęłaby oczy. I koniec.

Dwa razy w tygodniu przyjeżdżała po nią starsza córka i zabierała do Poznania. Tam, w jej mieszkaniu, widywała się po parę godzin z Niną, która nie była już taka jak na wsi, gdzie i zaśpiewała, poszła po zakupy, pogadała z ludźmi. W Poznaniu uważała na to, co mówi, milczała, była apatyczna, ale zadbana, chodziła na rehabilitację, przyuczana była do samodzielnej egzystencji. Więzy zrywały się, Nina powoli wyprowadzała się z myśli Adeli, choć w jej sercu nadal pozostała.

– Kochana, w takim razie muszę pozmieniać plany. Jutro odwiedzę Dyduchów, mam dla nich pieniądze. Stary nadal chleje?

– To nic nie wiesz? Dyduch umarł dwa miesiące temu! Co ważne, na trzeźwo. Właściwie to on od śmierci Ewy nie pił. Niektórzy mówią, że zapominał o chlaniu, bo miał zaawansowaną demencję. Czego on dzieciom Ewy nie czynił? Uciekał z domu, nie wracał na noc, ciągle go szukali po okolicy. Po jego śmierci odetchnęli, choć śmierć nie jest po to, by po nieboszczyku „odetchnąć”.

– Ja akurat wiem o tym od dawna.

– Kochani, jak się dobrze składa, że jesteście dzisiaj. Zbierajmy się, bo o dziesiątej w Domu Złudzeń jest wielka feta. Ma wystąpić tutejszy dziecięcy chór!

Dzieci przeszły do finału festiwalu w Bydgoszczy. Nagranie ich piosenek spodobało się jurorom. Chłopcy i dziewczynki były w euforii, podobnie jak i mieszkańcy wsi, którzy do tej pory patrzyli na poczynania Zosi sceptycznie. Ksiądz we Wronczynie zapowiedział z ambony, że to, co zbierze na tacy w niedzielę poprzedzającą wyjazd dzieci na finał, przeznaczy na ich rzecz. By dzieci podczas festiwalu nie biedowały, by jakoś wyglądały – tak powiedział. Tak też się stało, zebrano sporą kwotę, która miała wystarczyć na ubrania i dobry autobus. Konkurs odbył się dzień przed przyjazdem Igi. Wprawdzie dzieci nie zdobyły tam nagród od jurorów, jedynie wyróżnienie od publiczności, ale byli młodym zespołem, dopiero od niedawna śpiewającym. Niemniej, przywykli już do wygrywania, łudzili się, że staną na podium. Zbyt szybko doświadczyli sukcesu, nie byli na to przygotowani. Przegrali z chórami o długoletnim doświadczeniu scenicznym. Wszyscy pocieszali dzieci, ale na niewiele się to zdało.

Wypadało, by i mieszkańcy wsi posłuchali u siebie ich śpiewu.

W sali Domu Złudzeń trwały przygotowania.

Ola wiedziała o wydarzeniu wcześniej. Uwzględniła to, że dzieci zaśpiewają w Domu Złudzeń, wiedziała od Mariety, a ona od mamy. Ola pamiętała doskonale, jak mama opowiadała, że w trójkę, z Kosmą i Ewą, kiedy byli nastolatkami, organizowali dla dzieci ze wsi festiwale piosenki. Dokładnie w tym miejscu.

W sali na parterze byli już wszyscy, rodzice i krewni, nauczyciele, goście spoza wsi. Weszła Iga, podpierając się na kuli, dumna, wysoka, z podniesioną głową, w amerykańskich ciuchach, na sali rozległy się szepty. Siadła na ławce z boku, oczy wszystkich zwrócone były tylko na nią. Skinęła głową Bednarzom, potem podniosła się z ławki i ukloniła Adeli Renz, która na widok Igi pocierała oczy ze wzruszenia, a potem wstała i przyszła, by usiąść obok Igi. Starym zwyczajem chwyciła ją za rękę i ścisnęła. Adela zmieniła się. Miała inny wyraz twarzy, w której zaszła widoczna dysproporcja, a i jej sylwetka była pochylona bardziej niż kiedyś.

Dzieci w drugim pomieszczeniu przygotowywały się do śpiewu. Słysząc było ich głosy, szepty, co rusz któreś z nich zaglądało przez drzwi do sali. Potem dał się słyszeć tupot nóg... i na salę wbiegł Staś, który do tej pory

zwiedził ogród. A było co, bo stały tam stoły przykryte białymi papierowymi obrusami, powycinanymi we wzroki. Na każdym stole stał wazon z masy papierowej, pomalowany na jaskrawe kolory. W wazonach osadzone były wystrugane drewniane tulipany, żółte, zielone i wrzosowe.

Staś siadł na pustym miejscu w pierwszym rzędzie. Zosia, która przysłała na salę, zabrała go stamtąd i posadziła obok Basi, mówiąc, że tamto miejsce jest dla Lisy.

Iga spotkała Zosię po raz pierwszy, odkąd wyjechała z Polski. Wyładniała. Stała się bardziej pewna siebie. Dzisiaj już nie mogłaby jej przestraszyć czymkolwiek. Sporo dobrego robiła w tej wsi, ogólnie była lubiana, to było widać. Podobno wszyscy w okolicy już dawno zapomnieli, że Dom Złudzeń należał kiedyś do Podrolu. Tyleż się w nim obecnie działo! Iga poczuła ukłucie zazdrości, już nie myślała tak jak kiedyś, że Dom Złudzeń jest jej. Opuściła i życie to jej wynagrodziło pieniędzmi i miłością, które przysły do niej z innej strony, niż się spodziewała. Jak to zwykle bywa.

Zosia ze ściśniętym sercem podeszła do Igi. Stały naprzeciwko siebie, nic nie mówiąc, oczy wszystkich były skierowane tylko na nie, a nie na dzieci, które weszły do sali i ustawiły się w szeregach. One też patrzyły na Zosię i Ige.

– Dzień dobry – powiedziała Iga, przerywając kłopotliwe milczenie.

– Dziękuję – odpowiedziała Zosia.

– Za co? – zapytała Iga i siłą woli powstrzymała się, by nie wzruszyć ramionami.

– Za ten dom – powiedziała Zosia, potem się odwróciła i podeszła do dzieci.

Dała znak, by zacząć. Krystyna Stelmach, ubrana w artystyczny strój, stanęła naprzeciwko dzieci i uczyniła ruch ręką.

Zaczęli jak zawsze: *Witajcie w naszej bajce*. Potem był lżejszy repertuar. *Dziadek Lulka farmę miał z Kajtkiem jako solistą*. Kiedy pozostałe dzieci włączały się w refrenie, śpiewając „ija, ija, oo”, na sali zrobiło się wesoło. Potem *Koła autobusu kręcą się, kręcą się* i udawali rękoma ruch kół. Na końcu wiązanki na czoło znów wybił się Kajtek, śpiewając *Jestem muzykantem konszabelantem*. W ręce trzymał bębenek i stukał w niego do rytmu. Jak prawdziwy śpiewak posyłał ze sceny buziaki. Na koniec dzieci zaśpiewały jak zawsze *Upływa szybko życie, jak potok płynie czas*.

Iga słuchała piosenek w wykonaniu dzieci, wracały wspomnienia. Ewa,

Kosma i ona wykonywali piosenki dorosłych, przeboje z festiwali w Sopocie i Opolu. Teraz dzieci śpiewały piosenki dziecięce, ale w nowych aranżacjach. Porywali śpiewem do tańca, do zabawy. Bardzo dobre mieli brzmienie, widać, że się ze sobą doskonale bawili. No i Kajtek był niezwykle utalentowany.

Kiedy koncert się skończył i dzieci oraz widzowie rozeszli się do domów, a Staś z Koronowskimi pojechał nad jezioro, Iga i Zosia odprowadziły Adelę do domu, siadły w jej ogrodzie i słuchały... ciszy. Było południe. Na co dzień podłączone do informacyjnego ścieku, atakowane obrazem, wiadomościami, tragediami, doceniały ciszę.

– Mówcie, co z wami, co was łączy, mówcie do siebie. Obie potrzebujecie tego samego. Chcecie dobra. To was łączy, zbliża – Adela mówiła szybko, z afektem.

– To może ja zacznę – powiedziała Iga. Patrzyła na Zosię. – Moje życie zatrzymało się na krawędzi, dzisiaj, tutaj to odkryłam. Muszę szybko podjąć jakieś decyzje, bo jak długo mam kupować amerykańskie domy, gromadzić amerykańskie pieniądze? Wydaje mi się, że daję z siebie to, co mam najlepsze, ale nikt tego nie docenia.

– Zależy tobie na tym, by być docenianą? – Zosia była zdziwiona. Nigdy by na to nie wpadła, że Iga prowadzi biznesy, po to, by ktoś ją pochwalił. Jakież musiało być jej dzieciństwo, że wciąż szukała akceptacji.

– Jak każdemu. Ludzie... dziwią mnie nieustannie. Wszyscy naraz mówią, ale nikt nikogo nie słucha. Robimy coś, ale marny tego efekt. Odplływamy i stajemy się nieobecni. Wszystko nam powszednie. Potrzebujemy ciszy, by wchłonąć to wszystko i przetrwać.

– Tutejsza ziemia, pola wokół, wsie to kraina skarbów – powiedziała Adela. – Są tutaj i czekają na odkrycie. Trzeba je pokazywać dzieciom, niech oni, gdy dorosną, czynią to samo.

– To prawda. – Zosia pokiwała głową. – Niedaleko jest szlak drewnianych kościółków, w Pobiedziskach odkryłam uliczki ze stareńkimi kamienicami, gdzie na parapetach siadają gołębice, a na ulicach w Poznaniu stoją stare latarnie, które oświetlają drogę. Z okien na górze domu widzę wschód i zachód słońca... Też widziałaś?

– Niekoniecznie. Przez ostatnie lata tutaj musiałam żyć w mroku, tylko gołębice mnie kokietowały.

Gdy wróciły do Domu Złudzeń, siadły w patio w ogrodzie. Letni wiatr

kołysał kapeluszami i rysunkami dzieci, które suszyły się na sznurach. Z gołębnika sąsiada dochodziło gruchanie gołębi, a one dwie siedziały w ciszy, z kieliszkami wina własnej roboty w ręce, którego pełen dzban dostały od Adeli. Było im dobrze.

Dom Złudzeń. Iga doskonale zapamiętała, co jej dziadek mówił o mieszkankach tego domu. Obserwowała je zza płotu, gdy była małą dziewczynką. Były różne, nie miały dużych mieszkań, raczej po jednym pokoju, nie były majątne, według wiejskiego osądu, bo nie miały ziemi. Ale żyły w niezwykłej symbiozie. Nigdy się ze sobą nie kłóciły, a dom emanował spokojem. „Są jak róże, tylko bez kolców” – tak powiedział o nich dziadek Igi.

Iga i Zosia. Dwie piękne, silne i pracowite kobiety. Spokrewnione, a jednak do tej pory brakowało między nimi więzów emocji. Będą musiały sobie jeszcze wiele spraw wyjaśnić. Iga była zdumiona, jak ta drobna, jasnowłosa kobieta, sprawiająca na pierwszy rzut oka słabej, z martwego domu z jej czasów uczyniła miejsce jasne, przyjazne, zapraszające do środka. Nie widać było, by ją to zajęcie męczyło, wprost przeciwnie, przepelniała ją pasja. Z domu zniknęły brązy, beże i ciemne fiolety, adekwatne do nastroju Igi z tamtych czasów. W Beaumont też odmieniła wszystko, zaczęła się ubierać w jasne sukienki, już nie chodziła w kowbojskich kapeluszach, no, chyba że jeżdżąc konno albo podczas święta Teksasu – wtedy tak...

W Polsce wszystko miało zapach. Ciasto domowego wyrobu, zsiadłe mleko, podsmażane ziemniaki, gorący chleb z piekarni. Ale też wróciły wspomnienia dni ponurych, straty. Wiedziała, że swój powrót do Polski musi zacząć od Domu Złudzeń, co się stało. Ale nie tylko.

Po naprędce przyrządzonym przez Zosię obiedzie, wsiadła do auta i pojechała na cmentarz. Najpierw podeszła do grobowca dziadka i babci, potem na wspólny grób rodziców. Były kilka metrów od siebie. Dziadkowi Igi na pewno nie byłoby w smak leżeć we wspólnym grobie z jej ojcem komuchem. Dlatego grobowce stały osobno, ale obok. Marmurowe tafle i skromne krzyże były dobrze utrzymane. Nie zabrakło też świeżych kwiatów. Basia o to zadbała.

Potem usiadła na ławce przy grobie Ewy. „Pieniądze nie grają roli” – tak napisała do córki Ewy, proponując sfinansowanie kamieniarza. Grobowiec był okazały, w jasnym popielu, z rzeźbą płaczącego anioła obok krzyża. Był równie piękny i szlachetny jak Ewa. Było dokładnie tak, jak Iga chciała, uszanowano wolę sponsorki. Wyciągnęła z torebki paczkę listów pisanych na

różowym papierze i małą łopatkę. Rozejrzała się po cmentarzu. Nikogo nie było, jedynie na drugim jego końcu drobna staruszka myła pod bieżącą wodą bukiet z żółtych sztucznych kwiatów i bardzo była pochłonięta tą czynnością. Iga obok grobu wykopała dziurę, wsadziła plik listów i zakopała. Pisała je o sobie, ale dla niej.

Po dwóch godzinach wróciła do domu spokojna, wciąż było ciepło popołudnie, usiadła w ogrodzie, wystawiła nogi na słońce. Od Oli dostała wiadomość, że poznały fajnych chłopaków w Poznaniu. Połączyła się z córką natychmiast.

– Jak to? O Marietę mi nie chodzi, ale ty? Co z Matteo? Natychmiast przyjeżdżajcie na wieś! – krzyknęła.

– Matteo to Matteo, chłopaki to chłopaki. – Zażartowała Ola. Po chwili Iga usłyszała chichot dziewczyn. Udało się im ją przestraszyć, dlatego się śmiały.

Zosia, słysząc rozmowę Igi, wyszła z domu z blachą ciasta z agrestem. Pogadały o dziewczynach. Zosia nie mogła się Mariety doczekać, powiedziała, że jeśli ona nie pojawi się w Złotniczkach, to następnego dnia sama pojedzie do Poznania. Obie cieszyły się z przyjaźni dziewczyn.

– Pyszne ciasto, biszkoptowe, ale nie zakalcowate, choć sporo w nim owoców. Kwaskowe, ale i słodkie. Akurat na lato. Koniec jedzenia. – Iga odstawiła talerzyk. – Chodź, gdzieś ciebie zawiozę. Mam nadzieję, że zdążymy przed nocą. – Spojrzała na zegarek. – A nie! Jest dopiero dziewiętnasta, więc nie ma obaw.

– Daleko? Mam się ubierać? – zapytała Zosia.

– Blisko.

Las, łąka, piaskownica po strumyku, mały murek po mostku. Brodek, miejsce dziecięcych spotkań Igi. Zaparkowały auto w leśnym dukcie. Zosia usiadła na murku i rozglądała się po okolicy. Iga położyła się na wznak na trawie. Patrzyła w niebo, gdzie leniwie spacerowały małe zgrabne cumulusy. Głęboko oddychała. Rozkoszowała się zapachem, tęskniła za nim w Beaumont. Tam trawa też miała piękny zapach, ale nie taki jak w Złotniczkach.

– Czujesz? Pachnie suszoną trawą? Ważne jest, gdy się mieszka na wsi, by czuć zapachy natury. W Polsce nawet ziemia pachnie.

Zosia zaczęła na wzór Igi głęboko oddychać. Wdech przez nos, wydech przez usta. I znów to samo, i jeszcze raz. Potem przestała.

– Wiesz co? Ja bardziej słyszę świat, niż czuję. Ptaki, szum drzew, bzyczenie owadów. To melodia. Zapach czuję, ale mnie nie powala. Ale może dlatego,

że mam katar?

– Jak to, masz katar!?! – Iga usiadła i przyglądała się Zosi. – Nie widzę.

– Bo jeszcze nie mam, ale...

– Zresztą, nie będę tobie niczego narzucać. Czuj albo słysz, jak chcesz. – Znow położyła się na trawie. Po chwili obok niej opadła Zosia.

Iga leżała z zamkniętymi oczami. Przypomniła jej się Ludwik Sommer. Po kilku miesiącach od przeprowadzki do Beaumont poprosiła go, by przestał pisać do niej e-maile. Nie chciała robić przykrości Kosmie. Pokochała swojego mężczyznę, swojego Kosmatego, mimo że i on okazał się słabszy, niż się spodziewała. Powinien więcej zarabiać, być bardziej samodzielny. Ale był bardzo opiekuńczy.

Ludwik odpisał, że okej, on też nie powinien ranić Niny. Iga czasem wchodziła na profil żony Ludwika na Naszej Klasie i przeglądała zdjęcia, jakie tam umieszczała. Nawet ostatnio. Było to parę dni przed wyjazdem z Beaumont. Siedziała z tabletem na kolanach w patio, Nina Sommer zamieściła fajne zdjęcie z Ludwikiem na Sri Lance, była na wózku, ale wcale się tego nie wstydziła, z ich twarzy biła radość. Po prostu się ze sobą dobrze bawili. Iga, widząc to nałapała sobie wino i wypła je duszkiem, okazało się, że coś jeszcze w niej się tliło. Jakiś płomyczek. Z nią nigdy nie był taki radosny. Po winie zaszumiło jej w głowie, już dawno nic nie piła, leki to wykluczały. Chciała przejrzeć kolejne zdjęcia w galerii Niny, kliknęła w ikonkę. Niestety, zamiast wejść w galerię, zaprosiła Ninę Sommer do znajomych! I nijak nie można było tego cofnąć.

Iga zastanawiała się gorączkowo, jak z tego wybrnąć, ale natychmiast przyszła do niej odpowiedź: „Chętnie, ale czy my się znamy?”. Iga, znow nie namyślając się, odpowiedziała: „Przepraszam, nie znamy się. Pomyłka. Kiedyś znałam Pani męża”. Niestety, zorientowała się jakie *faux pas* uczyniła. Mogła w ogóle nie odpowiadać. Znow było za późno na mądrą reakcję. „Jakże się cieszę, powiem Ludwikowi, że zostaliśmy znajomymi”. Iga natychmiast odpowiedziała: „Nie, proszę nie robić sobie kłopotu, sama mu się przypomnę, pracowaliśmy kiedyś razem, szmat czasu temu”.

„To może wybierze się pani do nas? Może na niedzielę, albo na przyszły weekend? Kalisz jest uroczy, proszę pamiętać, że ma już przeszło siedemset pięćdziesiąt lat. A może przejdźmy na prostszą formę. Jestem Nina”.

„Iga”.

No halo! Mimo że uważano ją za błyskotliwą, jednak nie potrafiła

wytłumaczyć powodu, dla którego, będąc starą znajomą Ludwika, przegląda profil jego żony. Oznaczać to mogło tylko jedno, że z jakichś powodów śledziła Ninę Sommer na jakimś dennym, już niemodnym portalu. Wściekła na siebie samą, wylogowała się z profilu. Była na sto procent pewna, że Nina była osobą znacznie od niej inteligentniejszą. To od niej będzie zależało, czy Ludwik dowie się o podglądactwie Igi, czy nie.

– Zasnęłaś? – Poczua delikatne muskanie po policzku. Zerwała się na równe nogi. To Zosia, która w samym staniku leżała na trawie, śmiała się z żartu i reakcji Igi w niebogłosy.

– Gdy ty spałaś, ja cały czas myślałam o tym, co mi powiedziałaś. I wiesz... poczułam zapach tej okolicy.

Wróciły do domu, weszły do ogrodu, nalały sobie wino. Iga przyjęła zaproszenie Zosi, by spędziła noc na poddaszu. Uczyły się siebie. Obie doświadczone, nie od razu rzuciły się na siebie z miłością. Zresztą, na tym etapie byłaby jeszcze udawana.

No, cóż. To był piękny, choć dla jednej i drugiej całkiem inny dzień!

Nie dane im było zasnąć. Około dwudziestej pierwszej ktoś zaczął walić w drzwi. Poderwały się z foteli.

– Nie ma jej w domu, jest u was?! – Mama Lisy była zapłakana i bardzo zdenerwowana.

– Boże! U nas jej nie ma, nie widziałam jej dzisiaj w ogóle!

– Jak to!?! Nie było jej? Gdzie w takim razie jest moja córeczka!?

1998–2000

Minęło kilka lat, a w życiu Zosi nic się nie zmieniło. Saliou nie dawał znaku życia, ona też go nie szukała, zakładając, że już nie jest jedyną panią Diene. Na pewno związał się z młodą, mniej kłopotliwą i, co najważniejsze, idącą krok za nim Senegalką, która właśnie niańczyła gromadkę jego dzieci. Saliou od najmłodszych lat wychowywał się w bardzo dużej rodzinie. Starszy pan Diene miał trzy żony i z każdą kilkoro dzieci. Saliou był z nich najstarszy, a jego mama była pierwszą panią Diene. W Senegalii mężczyzna miał prawo poślubić nawet i cztery żony, poligamia była tam prawnie i obyczajowo dozwolona.

Zosia nie związała się z żadnym mężczyzną. Uciekła w pracę. Brała udział w powołaniu kolejnych domów pomocy w Szczecinku i w Bornym Sulinowie.

Szkoliła personel nowo powstałych placówek. W tej drugiej miejscowości kilka lat wcześniej jej rodzice kupili nieco mieszkań w blokach po Rosjanach. Tata Zosi jako wojskowy wiedział dużo wcześniej, kiedy będzie wyprzedaż porosyjskiego mienia. Kupując mieszkania, myślał o zarobku ze sprzedaży, oczywiście po gruntownym remoncie lokali. Tak też się stało, interesy się powiodły. Pod koniec 1998 roku zbył mieszkania w cenie okazyjnej dla kupujących, ale i dla siebie. Nabywcami były górnicze pary emeryckie z Górnego Śląska. Te transakcje, a raczej gotówka, jaką zamierzali przekazać Zosi rodzice, były bezpośrednim powodem, by wreszcie ich córka zakończyła małżeństwo.

Zosia złożyła pozew i rozwód otrzymała po pół roku. Na pierwszej rozprawie. Saliou się nie stawił. Wróciła do swojego panińskiego nazwiska. Znow była Zofią Kulińską. Małżeństwo umarło śmiercią naturalną, ale mimo to Zosia nie czuła się zraniona tak bardzo jak po dramatycznym rozstaniu z Tomaszem. Oba związki z mężczyznami jej po prostu nie wyszły.

Marieta miała dziesięć lat, wyrastała na ładną pannę, mądrą życiowo. Ze swoją mamą mogła rozmawiać o wszystkim, nie było między nimi żadnego tabu. Nieraz nie obyło się bez rad: „Pamiętaj, kochanie, trzeba być miłym, ujmującym i nie denerwować się błahostkami. Jesteś kobietą, więc już z tego powodu masz problem, a jeśli do tego doszło to, że jesteś czarna, to już w ogóle masz przegwizdane. Masz być miła, ale jednocześnie się nie dać”. Przy okazji opowiadała jej o ojcu. Kochali się, ale różnice w mentalności, kulturowe, religijne sprawiły, że zrezygnowali, nie mieli dość stanowczości, by układać sobie życie. Dlatego doszło do rozwodu. Tak, ale... Ojciec nie szukał z nią kontaktu, choć była jego córką, a z własnymi dziećmi nie bierze się rozwodów! Ale nie zapytała mamy, dlaczego.

Dziewczynka łatwo się uczyła życiowych reguł, nie dawała się, wyrastała na osobkę silną emocjonalnie i za nic mającą kolor swojej skóry. W szkole podstawowej była przewodniczącą klasy i Zosia nie przypominała sobie, by kiedykolwiek przyszła do domu ze skargą na koleżanki czy kolegów. Już będąc dzieckiem, pięknie śpiewała, nauczycielka muzyki orzekła, że ma znakomity słuch, ciekawy głos i aktorski dryg. Wspólnie z Zosią wymyśliły, by kształcić dziewczynę muzycznie i wysłać ją na lekcje śpiewu.

W listopadzie 1999 roku zmarła babcia Ania. Wstała z łóżka, przyszła do kuchni, siadła przy stole, chwyciła dzbanek z kawą i... osunęła się na ramię Zosi.

– Pamiętaj o sobie i o Mariecie, nie dajcie się krzywdzić – wyszeptała i zamknęła oczy.

Pogotowie przyjechało, kiedy już nie żyła. Potem był pogrzeb, kondolencje, dla Zosi skończyła się bezpowrotnie era dzieciństwa. Stratę odczuła szczególnie boleśnie, babcia była jej powiernicą, jej przyjaciółką. Mama miała dla niej mniej czasu, często razem z ojcem wyjeżdżali, ojciec już wtedy był dysponentem wysokiej wojskowej emerytury, stać ich było na to, by kilka razy w roku wypocząć za granicą.

Kilka dni po pogrzebie do domu Kulińskich ktoś zapukał do drzwi. Było popołudnie, Zosia była sama w domu. Szykowała się, by pojechać po Marietę, która kończyła lekcję śpiewu. Otworzyła drzwi.

„Mój Boże. Ten głos, ten uśmiech, Tomasz Rostawicki!” – poznała go bez trudu. Serce zatrzepotało w jej piersi. Bardziej przystojny niż kiedyś, znacznie bardziej elegancki, wciąż mógł łamać kobiece serca. Teraz nawet bardziej niż kiedyś. Popatrzył na Zosię dłużej. Jej serce chciało wyskoczyć.

Wytłumaczył się z najścia. Otóż z żalem dowiedział się o śmierci pani Ani Leśniewskiej, którą znał i bardzo szanował. Uznał, że wbrew temu, co Zosia może sobie o nim pomyśleć, jemu po prostu wypada złożyć kondolencje.

– Bardzo dziękuję. Miło z twojej strony.

– Nie zaprosisz mnie do środka?

– Wybacz, ale się śpieszę. – Zirytowana ugryzła się w język. Ściągnęła płaszcz z wieszaka.

Tomasz przesunął się w jej stronę, to, że chciała się go pozbyć, nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Dał krok do przodu, Zosia cofnęła się do tyłu, Tomasz przestąpił próg mieszkania.

– Czy ty czasem mnie wspominasz? – Chwycił ją za rękę.

– Raczej nie – rzekła z satysfakcją.

– Bo wiesz, jestem tutaj, by tobie coś zaproponować. Teraz mnie stać, byśmy byli razem.

– Co ty mówisz? Nie żartuj ze mnie, dobrze?

– Dlaczego? Nie wiem, czy wiesz, ale po studiach kilka lat pływałem, zaoszczędziłem pieniądze, włożyłem w biznes. Ze znajomym założyliśmy spółkę, no i poszczęściło się nam w interesach. Mam sporo środków na koncie, a to zawsze daje możliwość poukładania życia wedle własnego scenariusza.

– Byliśmy już parą, wystarczy.

– Często się zastanawiam, dlaczego tak naprawdę nasze drogi się rozeszły. Mnie zgubiła namiętność, przypadek, ciebie – gniew i duma. Możemy coś ze swoim życiem zrobić, ale równie dobrze możemy nic nie zmieniać. Wtedy będziemy na łożu śmierci żałować, że się minęliśmy. W każdej chwili mogę się rozwieść, powiedz tylko jedno słowo. Czas leci, oboje mamy już po trzydzieści trzy lata, zauważyłaś?

– Tyle lat miał Chrystus, gdy go ukrzyżowali, tyle guzików liczą sutanny księży. I co z tego? Już bardziej mam ochotę stracić kilka kolejnych lat, będąc rozwódką, niż wchodzić w coś, co jest z góry skazane na niepowodzenie.

W żadnym stopniu nie była gotowa na zawieruchę, jej życie miało się toczyć spokojnym rytmem, bez facetów. Wreszcie nauczyła się czerpać szczęście z samotności, z przyjaźni z kobietami, podobnie samotnymi jak ona. Z pracy.

– Mylisz się. Jesteś moja i zawsze tak będzie.

Wyciągnął z kieszeni srebrny zaśnieżony kolczyk z bursztynem.

Na Zosię wyznanie Tomasza spadło jak grom. Cała ta sytuacja ją przerosła. Była zmieszana i jednocześnie wyprowadzona z równowagi. Był bezczelny, ale patrzył na nią z nieskrywanym pożądaniem. Potrząsnął jej życiem po raz kolejny.

– Tomasz, pomówmy spokojnie. Odpowiedz mi, ale szczerze, dlaczego mi to robisz? Dlaczego kolejny raz mnie osaczasz?

– Osaczasz!?! – Zaśmiał się głośno. – Jesteś delikatna, słaba, chcę cię chronić. Nie zabronisz mi miłości. Nigdy o mnie nie walczyłaś, bo do tego potrzebne jest to, by nie unosić się dumą, co dla ciebie okazało się niemożliwe. Nie odpowiedziałaś na żaden z moich listów.

To prawda. Nie walczyła ani o niego, ani o Saliou. Pozwoliła umrzeć związkom. Jeden padł śmiercią gwałtowną, do bólu, drugi umierał humanitarnie, powoli, w znacznie mniejszych mękach. Tomasz miał rację.

Zawahała się, a on to wykorzystał. Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Pachniał Old Spicem. Poczula jego usta w zagłębieniu dekoltu. Potem powędrowały na jej szyję. Czula jego ruchliwy język i było to bardzo podniecające. Przywarła do niego ciałem, chwyciła za głowę, poszukała ust i mocno wpiła się w niego, z gwałtownością, o którą nigdy by siebie nie podejrzewała.

Potem odsunęła się i uderzyła go w twarz.

Tomasz, zdyszany pożądaniem, patrzył na nią zdumiony. Jakże była inna. Wracił do drobnej delikatnej blondynki sprzed lat, a spotkał piękną, dojrzałą

kobietę, nadal emanującą ciepłem, choć pamiętającą rany, jakie jej wtedy zadał. Wytarł dłonią łyzy płynące po jej policzku, pogładził po włosach i wziął w ramiona. Nie broniła się, wprost przeciwnie, ustami delikatnie dotknęła jego ust, rozchyliła językiem, chciała go posmakować i porównać ze smakiem przeszłości. Nic więcej nie obiecując.

– Dobrze, ale do trzech razy sztuka. To moja wyliczanka.

Było tak... jakby się nie rozstawali? Zosia poczuła się wygraną w pojedynku, w którym wcześniej nie widziała szans na zwycięstwo. Nie zapytała o Magdalенę. Tak naprawdę Tomasz zawsze należał do niej, to Magda go jej ukradła. Nie było to w porządku. Tak się nie robi. To tyle w temacie.

Sylwester kończący dwudziesty wiek spędzili w najlepszym hotelu w Międzyzdrojach. Pili prawdziwy szampan, truskawki maczali w ciepłej czekoladzie, śledząc w telewizji, jak świat żegna stary rok. Nie wychodzili z apartamentu, skąd przez wielkie okno, na całą ścianę, leżąc w łóżku mieli widok na zamarznięty, szary Bałtyk, molo i resztki śniegu na plaży. Zaś wieczorem niebo rozświetliły fajerwerki, mnóstwo różnokolorowych świateł, które swój żywot kończyły w morzu. Tamtej sylwestrowej nocy mówiło się o tym, że komputery przestaną działać, co zwiastować miało koniec świata. Nic takiego nie nastąpiło, dalej jeździły pociągi, latały samoloty, był prąd.

I oni też byli razem. Żadna milenijna pluskwa nie dała im rady.

Czerwiec 2012

Lisy wciąż nie było! Minęło pół godziny, odkąd zdenerwowana Iza Kuśmierk przyjechała do Domu Żłudzeń. Dokąd mogła udać się taka małeńka dziewczynka? Było ciemno. Rozmawiały o tym, że po konkursie i ona będzie śpiewać solowe kawałki. Powinna się ucieszyć. Co się stało? Oby nic strasznego. W okolicy nie działo się nic złego, przynajmniej o tym nie słyszała. Incydent z kwiatami pod drzwiami Zosi mieszkania miał miejsce tylko raz, właściwie o nim zapomniała. Choć początkowo bardzo ją przestraszył.

– Co jest z tymi dziećmi? Chcą mieć wszystko natychmiast, muszą już, teraz. Rywalizują ze sobą od małego, a potem z błahego powodu się załamują. My tacy nie byliśmy! – powiedziała z sarkazmem Zosia.

Iga pokiwała głową na potwierdzenie.

– Bo żyliśmy w czasach, kiedy stąd do Poznania jechało się godzinę, do Warszawy całą noc – odrzekła. – A teraz lecisz samolotem i w Warszawie

jesteś po godzinie, a w Poznaniu za dwadzieścia minut. Wszystko ma być szybko. Sukces, ślub, rozwód.

– Jaki ślub? Ona nie ma jeszcze dziesięciu lat! Jest wycofana, coś jej jest, coś w domu, tak sędzę. Od czegoś chce uciec. Bo nie sędzę, by chodziło o śpiewanie. Matko, ja znów mam wyrzuty sumienia. To może być moja wina.

– Uciec, powiadasz? Przestań gadać o winie, chodź ze mną, chyba wiem, gdzie może być teraz dziecko, które ucieka. Wsiadajmy do auta.

– Coś ty, jesteśmy pijane!

– I co? Ja pojedę, najwyżej mnie zamkną. Weź latarki.

Wsiadły do auta. Iga o mało nie walnęła nim w słupek przy bramie. Zosia oburącz trzymała się za rączkę nad oknem. Po paru minutach znalazły się w lesie przy drodze do Wronczyna. Iga zaparkowała auto na poboczu, wysiadły, wzięły latarki i weszły w ciemną otchłań. Nic nie było widać. Zaczęły wołać głośno: „Lisa, Lisa!”. Wchodzili w coraz bardziej ciemną norę lasu.

Już miały wracać z niczym, ale postanowiły zajrzeć w krzaki bliżej drogi. Po chwili słup światła z latarki oświetlił drobną skuloną postać małej dziewczynki w sukience w kwiatki.

Była przerażona. Trzęsła się i nawet będąc już w ramionach Zosi, nie mogła tego opanować.

2000–2005

Zosia i Tomasz nie zamieszkali razem. Tak było naturalniej i bezpieczniej (dla Zosi oczywiście), bo Tomasz nie miał tych rozterek i nalegał na wspólne życie. Zapowiedział, że kupi dla nich duże mieszkanie w Szczecinku, gdzie prowadził interesy. Zosia wyperswadowała mu to natychmiast. Spotykali się w Czaplinku, miejscowości leżącej między Szczecinkiem a Drawskiem Pomorskim, w wynajętym mieszkaniu, jak klasyczni kochankowie. Oboje byli znani w rejonie, musieli się ze swoją bliskością kryć. To znaczy, zależało na tym Zosi, tylko tak wyobrażała sobie ich intymność, z perspektywy czasu uważała, że również nie powinna była legalizować związku z Saliou. Wystarczyło, gdyby uznał dziecko. I też tylko po to, by dziewczyna nie miała poczucia, że jest owocem nieważnej miłosnej przygody matki.

Tomasz złożył papiery rozwodowe i korzystając z biznesowych koneksji i sowego wynagrodzenia dla adwokata, rozwiódł się w ciągu kilku miesięcy.

Przyjechał uradowany do mieszkania, wymachując orzeczeniem sądu. Powiedział, że się z Magdaleną dogadał, więc rozwód był tylko kwestią pieniędzy. Ile i kiedy.

– Dlaczego nie możemy być małżeństwem? – zapytał Zosię.

– Bo nie.

W relacji z Tomaszem pozwalała sobie na dużo więcej niż przed laty, bywało, że odezwała się niegrzecznie, zachowała się obcesowo. Było tak, jakby te kilkanaście lat temu bezpowrotnie straciła dla niego szacunek. Nawet jego rozwód z Magdaleną, którą gardziła przez lata, to także, paradoksalnie, nie podniosło w jej oczach wartości Tomasza. A on? Wciąż kpił z jej życiowej niezaradności, co Zosię bardzo bolało i sprawiało, że miała go za materialistycznego bufona. A nawet za parweniusza.

– Przesiąkłaś swoimi obszczymurkami. Nieładnie. – Zwykł mówić złośliwie, gdy Zosia wyraziła się nietaktownie.

Mimo że gardził pensjonariuszami domu pomocy, w którym Zosia miała zajęcie, to jednak jego firma przekazywała na cele tego domu spore datki. Dzięki temu nie musieli oszczędzać opału, jedzenia, a nawet znalazła się kwota na książki i telewizory. Wciąż próbował jej przemówić do rozumu, że nie powinna się tak poświęcać, uważał, że to nie jest praca dla delikatnej kobiety. Prosił, by zajęła się na poważnie tłumaczeniami, polecał ją znajomym, sam dawał jej zlecenia. By poczuła się jeszcze bezpieczniej, chciał przyznać jej prywatną pensję.

– Niedoczekanie! – powiedziała.

Dla Zosi byłoby to niejednoznaczne moralnie, poza tym nie chciała rezygnować z pracy.

Byli ze sobą, kochali się długo i namiętnie, a okresy kłótni wynagradzały czasy radości i beztroski. Tomek był dowcipny, szalony, zawsze coś ciekawego miał w zanadrzu. Poza tym miała satysfakcję, że do niej wrócił. No cóż, znów się w nim zakochała, wbrew logice, wbrew sobie. Widywali się kilka razy w tygodniu, najczęściej po południu. W wynajętym mieszkaniu nigdy nie spędzili ze sobą nocy, dzięki czemu Marieta nie miała w głowie mętliku, a nawet nie zdawała sobie sprawy, że mama dała się ponieść uczuciu.

Związek z Tomaszem był przyjemny. Wprawdzie szastał forszą, co Zosię drażniło, wydawał zbyt dużo na przyjemności, ale nawet gdyby nie był majątny, i tak byłoby dobrze. Wciąż między nimi iskrzyło, tęskniła za spotkaniami w czaplineckiej garsonierze. Oczywiście interesowały ją losy

Magdaleny, byłej żony Tomka i swojej byłej przyjaciółki. Kiedyś odważyła się i zasypała go pytaniami. Co słyszeć u Magdy? Jak radzą sobie ich dzieci? Czy nie zapomniał zapłacić alimentów?

Jakże się zdenerwował! Wrzeszczał, że nie ma się wtrącać w jego sprawy, że jego synowie krzywdy nie mają, a o tym, że nie skąpi pieniędzy, mogła się najlepiej przekonać sama. Po czym wybiegł z mieszkania. Po chwili wrócił i bardzo za swoje zachowanie przeproszał. Huśtawki nastrojów Tomasza powtarzały się jeszcze kilkakrotnie, już nie za sprawą pytań o Magdę, których Zofia więcej nie zadawała. Czasem przyjeżdżał w bardzo złym humorze. Nieraz wystarczyło, że przeczytał SMS-a. Nie zadawała pytań, przyglądała się. Każde słowo ostrzej przez niego wypowiedziane bolało. Spokoju Zosi nie dawało także i to, co z kawałków rozmów wydedukowała. Magdalena wyjechała z synami do Rzeszowa, a nie w Bieszczady, poza tym uczyniła to znacznie wcześniej, niż sugerował Tomasz. Wyglądało, że nie mówił prawdy.

Między spotkaniami z Tomaszem Zosia wiodła normalne życie. Razem z córką i rodzicami wciąż mieszkała w czteropokojowym lokalu w Drawsku Pomorskim. W pokoju Zosi na regale – z przyzwyczajenia – stał wachlarz od Saliou. Mariety pokój po remoncie nabrał nowoczesności, urządzony został ascetycznie, a dziewczyna pozbyła się wszystkich bibelotów. Często gościła w nim młodzież. Dziewczyna była bardzo towarzyska. Zosia zajmowała mniejszy pokój, do życia jej wystarczały niewielkie powierzchnie.

Rodzice wyczekiwali kandydata na zięcia, choć tego nie mówili wprost, ale ona i tak wiedziała, że trapi ich jej samotność. Starzeli się, trzymali się razem, jak za dawnych lat, wpatrzeni w siebie, to było uroczę. Czasem przekomarzali się, kto prędzej umrze. Po śmierci babci widzieli siebie jako następnych w kolejce. Ojciec stawiał kropkę nad „i” zawsze tak samo:

– Oprzyjmy się, Krysiu, na suchych liczbach. Przeciętne życia dla mężczyzn w Polsce to trochę ponad siedemdziesiąt dwa lata, a dla kobiet niecałe dziesięć lat więcej. Nic dodać.

Marieta miała szesnaście lat i wciąż brała lekcje śpiewu, ale była uzdolniona nie tylko muzycznie, również ładnie malowała, była najlepsza w szkole z matematyki i fizyki, czym imponowała chłopakom. Dziadkowie i Zosia spodziewali się, że pójdzie na dobre studia, najlepiej na kierunek ścisły, a muzyka będzie jej hobby. Wspominali Saliou, który podobno wyposażył swoją córkę w dobre geny. Zwłaszcza te odpowiedzialne za pracę mózgu...

– Mamo, ty w ogóle znałaś moich dziadków z Senegalu? – zapytała Marieta podczas jednej z rozmów o jej przeszłości.

Zosia nic nie odpowiedziała, a Marieta drążyła dalej:

– Pytam, bo może by mnie z koleżankami zaprosili na wakacje?

– Dlaczego mieliby cię zaprosić? Nie znałam ich, niestety. Widziałam na zdjęciu, ale nawet nie pamiętam, jak wyglądali. Kolorowi byli.

– Że kolorowi, to wiem, sama taka jestem.

– Kolorowo ubrani, to miałam na myśli.

– Kiedyś spotkam się z ojcem. Na pewno. Gdy stanie naprzeciwko mnie, spojrzę mu w oczy i zapytam... Nie, nie zapytam. Sam mi to wyjaśni.

– Co?

– Dlaczego o mnie zapomniał.

Zosia zawsze była przekonana, że Marieta zaakceptowała to, że gdzieś żyje sobie jakiś jej ojciec, i tyle. Właściwie wiedziała to, odkąd córka zwróciła jej zdjęcie Saliou. Zosia po latach nadal miała związane z nim miłe wspomnienia, nieraz przed snem wspominała fajne, zabawowe klimaty z Mińska. No i szalone, namiętne chwile. Nie pielęgnowali swojego uczucia, więc nic dziwnego, że uszło niczym niepodlewany kwiat.

To była jedyna tak znacząca wypowiedź Mariety o ojcu. Więcej już do tego tematu nie wracała.

Tymczasem Tomek zaczął częściej wyjeżdżać ze Szczecinka, mówiąc, że ma do załatwienia sprawy w fabrykach. Obiecywał, że spotkają się następnego dnia, a nie wracał. Jeździł zdecydowanie za szybko, nie lubiła, jak prowadził, gdy jeździli razem. Raz nawet dostała hysterii. Przekraczał prędkość, łamał przepisy, o mało nie wpadli pod ciężarówkę.

– Jeśli chcesz się zabić, najpierw zapytaj, czy ja chcę w tym czynie tobie towarzyszyć. Nie chcę. Marieta nie może zostać sierotą, wystarczy, że ojca ją pozbawiłam! – Zaczęła szlochać. Tomasz zwolnił i do celu dojechali już z przepisową prędkością. Nic do siebie nie mówiąc.

– Ty mi ciągle nie ufasz – powiedział, gdy wysiadała.

No, niestety. Miłość, owszem, ale zaufanie było wciąż poza nią.

Kiedy wyjeżdżał na południe Polski i następnego dnia nie przysłał SMS-a, że wrócił do Szczecinka, wpadała w panikę. Bała się też dlatego, że zawsze miał przy sobie sporo gotówki. Kiedy kolejnego razu nie wrócił ani nie odbierał telefonu, postawiła kilka komisariatów na baczność. Sprawdzali, czy na drodze z Katowic do Szczecinka nie doszło do wypadku.

Kiedy w końcu się odezwał, czyniła mu wymówki. Oczywiście bagatelizował jej lęki, tłumaczył się przedłużającymi się spotkaniami biznesowymi.

Żartował, że jest zazdrosna.

Lipiec 2012

Iga postanowiła zostać w Polsce dwa wakacyjne miesiące. Ola i Marieta wpadły do Złotniczek na krótko, ale potem zaraz wróciły do Nowego Jorku. Matteo podczas pobytu Oli w Polsce dzwonił do niej kilkanaście razy dziennie. Zosia zaś martwiła się, że Marieta nie ma chłopaka, ale dziewczyna bagatelizowała obawy matki. Powiedziała raz, że nie ma chłopaka na stałe. Czyli miała dorywczych!? To się w głowie Zosi absolutnie nie mieściło, straciła humor na kilka dni, wyobrażając sobie najgorsze.

Kosma, będąc bez Igi, radził sobie całkiem dobrze, zajął się przystosowaniem do zamieszkania pomieszczeń nad garażem. Często dzwonił, by skonsultować wystrój. Iga kilka razy odwiedziła mieszkającą w Złotniczkach rodzinę Kosmy, kilka razy wszyscy razem za pośrednictwem Skype'a pogadali z Kosmą, a i Stasiowi się u nich całkiem spodobało, bo były tam dzieci w jego wieku. Poza tym dom teściów i szwagra Igi był najbardziej wystawny w okolicy, a Staś lubił majątność i nowoczesność.

Iga zaprzyjaźniła się z Lisą. Widziała w niej swoje odbicie – z lat dzieciństwa. Często razem z dziewczynką i Stasiem grali w gry planszowe. Nie od razu tak było, nie od razu Lisa zaufała i się otworzyła. Stało się to dopiero wtedy, kiedy Iga opowiedziała dziewczynce swoją historię.

– Nie miałam jeszcze dziesięciu lat, wracałam ze szkoły do domu, w którym umierała moja mama, a moim obowiązkiem było ugotować dla taty i dziadka obiad oraz przygotować go dla mamy, bo ona jadła coś innego. Wyobraź sobie, byłam wtedy tylko o rok starsza od ciebie. Jeszcze dzisiaj słyszę jęki mojej mamy, jak walczy, jak nie chce umrzeć. Dzień i noc. Bałam się tam wracać. Nieraz po szkole zostałam w lesie i zasnąłam. Wśród drzew chowałam się przed tym, co zastanę w domu.

Lisa długo przypatrywała się twarzy Igi, widziała, jak walczy ze łzami. Paluszką otarła łzę, która pojawiła się na policzku dorosłej kobiety.

– Proszę pani – powiedziała szeptem z buzią przy uchu Igi. – Ja wczoraj też nie chciałam wrócić do domu.

Iga przytuliła dziewczynkę.

– A dlaczego? Masz fajnych rodziców. Kochają ciebie. Zdrowi są, to najważniejsze.

– Moja mama nie kocha taty. Chce go zabić.

Siedziały blisko siebie, dwie podobne, ambitne, obie coś od życia chciały, rozumiejące siebie, choć dzieliło je prawie czterdzieści lat.

– Po prostu, usiądź z nimi, tak jak teraz ze mną i poproś, by się kochali.

– Ja jestem mała, mnie nie posłuchają.

– Jeśli ty o to poprosisz, to na pewno posłuchają.

Iga spojrzała dziewczynce w oczy, sama nie wierzyła w to, co jej poradziła. Nie wszyscy dorośli wsłuchiwali się w to, co mówiły ich dzieci. Ale chyba lepiej mieć nadzieję...

Iga otworzyła się też na Zosię. Ich rozmowy były coraz bardziej szczere. Ileż razem wina wypity! Oczywiście opróżniły butlę od Adeli, bardzo im smakowało, ale bały się poprosić o kolejną w obawie, by nie zostały posądzone o pijaństwo. Zamówiły więc przez Internet skrzynkę hiszpańskiego wina Nabal, które kiedyś bardzo Idze zasmakowało. Zosia zaproponowała kalifornijskie, ale Iga wolała europejskie.

– Będąc w Europie, nie piję amerykańskiego wina!

Pewnego letniego wieczora przysunęły sobie ławkę obok krzaków hyczki. Iga tak chciała. Znów mówiła coś o ziemi. Że jest najważniejsza. No cóż, to wyniosła z domu. Dla Zosi zaś najważniejsi byli ludzie.

– Igo, dlaczego patrzysz w dół? Ziemia, krzaki, kwiaty? Spójrz do góry. Na górze jest niebo, a na dole piekło. Grzebiąc w ziemi, dotykasz piekła. Ja wolę patrzeć do góry.

– No i co tam widzisz?

– To, co podsuwa mi wyobraźnia. Co chcę, mogę sobie stworzyć wszystko.

– E tam. Nie wszystko jesteś w stanie sobie wyobrazić. Jest cała olbrzymia sfera rzeczy realnych. Ziemia, po której stąpasz. Pieniądze, których codziennie używasz. Mogę ciebie o coś zapytać? – dodała, nie czekając na zgodę Zosi. – Nie wymieniłaś pieniędzy... Więc dlaczego mój dziadek tobie wszystkie przekazał? Dlaczego je przyjął? Podaj mi jeden powód. Chcę zrozumieć. – Iga wypita już trochę, ale na nią alkohol działał wyciszająco, stawała się przyjazna, potrafiła wtedy bardziej zrozumieć drugiego człowieka, jego intencje.

Zosia kręciła się niespokojnie na ławce.

– Część była dla fundacji. A resztę? Może dlatego, że jestem miła. Nie wiem. Może dlatego, że potrzebowałam pieniędzy nie dla siebie?

– Ależ on nie był altruistą! Zachowania stadne i generalnie wspólnota absolutnie nie były przez niego preferowane. Własność prywatna, kult jednostki, to na niego działało.

– Może dlatego, że mam czarną córkę?

– Dla mnie wciąż jest ważne to, co on mi mówił, nie mogę się od tego wyzwolić. Mało tego, przekonałam się, że moje wiejskie korzenie są dla mnie rdzeniem, fundamentem. Dzięki nim mocno stoję na nogach. Nie zawsze tak było, zapewne wiesz, trochę jestem pokopana przez życie. Ludzie we wsi mnie nie lubią. Chyba przyzwyczałam się do tego, nie dbam o to tak naprawdę.

– Może pójdziemy już spać? Późno się zrobiło.

– Już? Nie pogadamy jeszcze?

– Innym razem, muszę posiedzieć nad tekstem.

Nie rozmawiały przez kolejne dni. Zawsze było coś do zrobienia, Iga ze Stasiem jeździli po okolicy. Zwiedzali. Byli w katedrze w Gnieźnie, w skansenie w Dziekanowicach, w Muzeum Pszczelarstwa w Swarzędzu, w Muzeum Wikliny w Nowym Tomysłu. Pojechali też do Biskupina i Kruszwicy.

Staś oczywiście nie uwierzył w legendę o myszach, co to zjadły Popieła.

Wrócili z Kruszwicy, ale Iga jeszcze zapragnęła pojechać do Zosi. Okazało się, że obie w tym samym momencie podjechały przed Dom Złudzeń. Wysiadały z aut, gadając o wrażeniach dnia, kiedy zajechał samochód z ciemnymi szybami i wysiadła z niego para. Kobieta i mężczyzna. Wyciągnęli policyjne oznaki i pokazali je kobietom.

– Matko święta! Znów ktoś w moim mieszkaniu popełnił przestępstwo!?! – krzyknęła Zosia.

W sumie tak nie myślała, ale policjanci czekający pod domem nie gwarantowali szałowej nocy. W jej mieszkaniu na Prądyńskiego mieszkał sprawiający bardzo dobre wrażenie młody pracownik banku. Nie miała z nim żadnych problemów, czynsz płacił na czas, a w kawalerce zawsze było czysto i pachnąco.

– Pani się nazywa Iga Bednarz?

– Nie, to ja. – Iga wysunęła się do przodu.

– Zatem to pani pojedzie z nami. – Kobieta chwyciła Igę pod rękę i zaprowadziła ją, bladą i wystraszoną, do samochodu.

– O co chodzi? – spytała zdezorientowana.
– Wyrok za pobicie.
– Ależ ja nie mam wyroku więzienia!
– No właśnie – poparła ją Zosia.
– Wiezienia nie, to prawda. Miała pani zapłacić tysiąc złotych, minął termin, czyli mamy areszt – powiedział policjant. Po czym doradził Zosi: – Jutro rano można pieniądze wpłacić w kasie.

Mężczyzna podał Zosi kartkę z numerem konta i z miejscem, skąd będzie mogła kolejnego dnia rano po zapłaceniu odebrać Igę.

Następnego dnia Zosia czekała na Igę w aucie przed budynkiem aresztu w Poznaniu już od siódmej. Po dziesiątej Iga wreszcie wyszła. Była zde gustowana, ale i pokorna.

– No, nareszcie. Jak przeżyłaś to wszystko?
– To było najohydniejsza noc mojego życia. Nie prosz, bym tobie o niej opowiedziała.

Minął tydzień. Na Igę spadła kolejna straszna wiadomość. Pewnego ranka, jak co dzień, ściągnęła na swojego smartfona pocztę. Róża zmarła! Jak to?! Od diagnozy minęło kilka lat, to podobno cud przy raku płuc, kiedyś czytała, ale nie wzięła tego na poważnie. Wiadomość ta poraziła Igę. Jej piersią szarpnęła szloch. Nie godziła się, by ciągle ktoś jej bliski odchodził.

Planowała do Róży pojechać. Podczas ostatnich rozmów na Skypie Róża była pełna optymizmu. Ładnie i zdrowo wyglądała. Miała być w górach, Iga nie pojechała do Kutna, bo czekała na informację, że już wróciła. Tak się umówiły.

Długo nie mogła dojść do siebie. Kiedy się wypłakała i była spokojniejsza, zadzwoniła do Leszka Podkańskiego. Po bankructwie uciekł i schował się pod spódnicą Róży, a gdy i jej skończyły się pieniądze, zostawił ją chorą i udawał, że nigdy jej nie było, a Kutna nie ma na mapie Polski. Iga chciała wymusić, by w obliczu śmierci zachował się godnie. Powiadomiła go o pogrzebie.

Jak zwykle przyjął pozycję pokrzywdzonego, obrażonego.

– Ludzie odchodzą, nic na to nie poradzę.
– Róża nie żyje, rozumiesz?! Nasza Róża! Masz być ze mną na pogrzebie!
Westchnął i obiecał, że przyjedzie.

Było ciepło, ale zapowiadali ciągłe opady. Spotkali się w pociągu, Leszek dotrzymał słowa i wsiadł na stacji w Koninie. W minorowych nastrojach, nic do siebie nie mówiąc, jechali do Kutna, patrząc przez okna. Każde z nich wyglądało przez inne. Leszek bardzo się zmienił, Ola miała rację. Wyglądał jak żul, niewyprany, niewyprasowany, nieogolony, sprawiał wrażenie, jakby posunął się w czasie o lata świetlne.

– Jak umarła? – zapytał przed Kutnem i spojrzał Idze w oczy. Było coś innego w jego spojrzeniu, mniej buty, jaką знаła. Więcej strachu. Więcej pokory.

– Całe lata dzielnie walczyła, wszystko wskazywało, że wygrała. Końca nie znam. Nie spodziewałam się, że tak szybko nastąpi.

Iga przypomniała sobie, co mówił jeszcze inny lekarz, do którego udała się po postawieniu Róży diagnozy. Chemia i naświetlanie to zaledwie przedłużanie życia. Wtedy nie wzięła tego na poważnie, tym bardziej, że Róża po zabiegach miała się dobrze. W tyle głowy Igi jednak znów kołatała myśl, że wszystkie jej przyjaciółki odeszły. Umarły. Może, gdyby nie przyjechała do Polski, Róża by żyła?

Wysiedli w Kutnie i taksówką udali się na cmentarz.

Kutno, kaplica, otwarta trumna, nad nią córka. Głośno zawodząc, trzymała mamę za rękę. Iga zakryła oczy rękoma. Jeszcze parę tygodni temu widziała Różę żywą, tymczasem w tamtej chwili leżała w drewnianym pudle, w różowej skórzanej marynareczce, w białej bluzce z żabotem, ciemnych spodniach z kantem, w peruce na głowie. Była wyniszczona chorobą, szczupła, ale uśmiechnięta. Przystojny skrzypek, na oko przed pięćdziesiątką, grał dla niej przeboje z lat dziewięćdziesiątych.

Jakże były one „niecmentarne”, taka była Róża, nieszablonowa, mądra w swojej drodze ku końcowi. Iga też chciała taka być. Trzymając Leszka pod rękę, płakała jak małe dziecko, nie mogła przestać. Właściwie wciąż była dzieckiem, choć już dawno temu zrozumiała istotę nieistnienia, daną przecież każdemu. Przeżyła szok i strach jednocześnie. Wtedy postanowiła: nie trzeba marnować życia, trzeba żyć.

Stojąc przy boku Leszka, wiedziała, że winę za zmarnowanie małżeństwa ponoszą oboje. Mogli nim dalej być. Nie chciała niczego niszczyć. Mieli synka, a to związało ich na lata. Wyszli z kaplicy, wciąż słychać było dźwięk skrzypiec. Iga znalazła w torebce chusteczkę. Ostatnią. A przecież było przed nią jeszcze tyle płaczu...

– Przepraszam, może ma pani chusteczki? – zapytała stojącą przed kaplicą kobietę z bukietem białych róż w ręce. Podała Idze nienaruszoną paczkę.

– Chodziłam z Różą do liceum – powiedziała kobieta. – Nastąpił nagły nawrót choroby, rak zaatakował mózg, wtedy szybko poszło. Ostatnie tygodnie zwoływała nas, jakby coś czuła, spotykaliśmy się na działkach kogoś z naszej szkolnej ferajny, pooglądać, kto ma najładniejsze kwiatki, ale i by pośpiewać. Przy okazji tworzyła scenariusz swojego pogrzebu. To kolega z naszej klasy jej gra do snu. Niewielu wytrzymuje presję śmierci. Pani dobrze ją znała?

– Wydawało mi się, że tak, ale widziałyśmy się parę lat temu, nie mieszkam w Polsce.

– Pani Iga?

– Tak.

– Pani też jest mądrą kobietą, wiem od Róży. Gdyby coś się ze mną stało, zawiadomcie Igę, mówiła. Dostaliśmy listę wszystkich jej znajomych. Przedwczoraj miał pójść do pani e-mail.

– Tak, wiem. Dlatego jestem.

– Wszystkiego dopilnowała i jak już miała to pozapinane, odeszła.

W kaplicy zrobił się szum, większe szlochy i płacze. Zbliżał się czas zamknięcia trumny. Czekali na swój czas grabarze. Iga z Leszkiem wrócili tam, do trumny ustawiła się kolejka żałobników. Podchodzili i dotykali ręki Róży. Iga nie знаła tego zwyczaju, dla niej było to jedynie pożegnanie z martwym ciałem. Wiedziała, że dusza Róży na zawsze z nią zostanie, nie miała zamiaru się z nią rozstać.

Zobaczyła, jak Leszek staje nad trumną. Palcami przesunął po policzku zmarłej. Zaskoczył ją. Zobaczyła go w innym świetle. Wzruszyła się po raz kolejny.

Wracając po pogrzebie do wyjścia z cmentarza, słyszeli, jak skrzypek gra *Gdzie są chłopcy z tamtych lat*. Iga wzięła Leszka pod rękę i w ten sposób szli razem w milczeniu. Miała z nim porozmawiać o Stasiu, ale zrezygnowała. Coś zrozumieli oboje: szkoda marnować czas na głupie życie.

W drodze do domu przeczytała e-maila. Odezwał się Ludwik.

„Witam koleżankę z «pracy». Przeglądasz profil mojej żony, więc zakładam, że jeszcze mnie pamiętasz. To miłe, naturalnie. Może, gdy będziesz w Polsce, znalazłabyś czas na miłe sam na sam? Całuję – Ludwik”.

Niewiele brakowało, by odpisała, że właśnie jest w swoim kraju. Że... ma czas... Niewiele brakowało. Ale jej ręka, bo nie serce, odpisała lakonicznie:

„Pozdrów żonę, jest bardzo miła. Ściskam. Iga”.

Postanowiła wrócić do Beaumont wcześniej. W obawie przed sobą samą.

Zosia, korzystając z tego, że Iga wyjechała ze Złotniczek, spotkała się z Michałem. Przyjechał samochodem z wypożyczalni, wytłumaczył się, że swój dał do naprawy. Pojechali na kawę i ciastko do Pobiedzisk. Gdy mężczyzna odwoził ją do Złotniczek, z okna auta zobaczyła Andrzeja Bliskiego, kiedy szedł poboczem w stronę Złotniczek. Nie dawał jej spokoju, nie potrafiła sobie z nim poradzić. Zagroziła mu, kiedy telefonował poprzednim razem, że jeśli nie da jej spokoju, zawiadomi policję. Zaśmiał się i powiedział, że i tak nic nie wskóra, bo on jest osobą publiczną, znaną poznaniakom, szanowaną. I nikt nigdy na niego nie powiedział złego słowa.

– Chciałam panu pomóc, ale nie tak, jak pan sobie wymyślił.

– Mógłbym prowadzić wykłady dla pani dzieci, jak pisać wiersze.

– Erotyki? Gdy będzie pan pisać wiersze dla dzieci, pogadamy.

– Bierze mnie pani za infantylnego czy co?

Była zdenerwowana także z innego powodu, bo obie z Basią postanowiły powiedzieć Idze całą prawdę o Józefie Leśniewskim. Zosia nie mogła znaleźć sobie miejsca, wsiadła więc do auta i pojechała nad jezioro do Kuśmierków. Lisa wyjechała rano na wakacje, w domu zastała tylko Izę. Były po imieniu, Iza czasem doradziła Zosi w kwestii modowej, przyniosła sukienkę po cenie producenta, dla Mariety także. Nie była krawcową z zawodu, skończyła bardzo trudne studia na inżynierii środowiska, ale ani minuty nie pracowała w zawodzie. Po jej kierunku firmy szukały do pracy mężczyzn, zresztą, zaraz po studiach poznała Krzyśka i zaszła w ciążę. Gdyby nie spodziewała się dziecka, nie wyszłaby za niego. Był chłopakiem dobrym do zabawy, ale nie do tego, by stworzyć poważny związek. Iza wzięła na siebie zarabianie pieniędzy, przejęła od rodziców firmę krawiecką i w bardzo krótkim czasie musiała przejść indywidualny kurs przedsiębiorczości. Rodzice wyłożyli pieniądze na dom w Złotniczkach. Nie wtrącali się, córka i zięć w ich ocenie byli zgodną parą. Zawsze uśmiechnięci, nigdy nie podnieśli w ich obecności na siebie głosu. Krzysztof mówił do ich córki tak ładnie... „Myszko”. Zajmował się córeczką, a ponieważ popołudniami grał w orkiestrze, miał od rana czas dla dziecka. Potem wyjeżdżał do Poznania. Czasem dalej.

– Lisa jest bardzo ambitna, mam wrażenie, że czasem aż za bardzo. Boję się, że życie nie będzie w stanie sprostać jej marzeniom. We wszystkim chce, a nawet musi być najlepsza – powiedziała Zosia.

– Dobrze, że taka właśnie jest.

– No tak, ale ona nie wytrzymuje narzuconego sobie obrazu życia. Mam wrażenie, że martwi się czymś, że skądś przejmuje agresję. Kiedyś powiedziała, że jej tata przyszedł do domu pijany. Podczas wycieczki po Poznaniu zorganizowanej dla dzieciaków, okładała pięściami metalową rzeźbę Zygi. Krzyczała do niego, żeby się wreszcie poprawił.

– Coś sugerujesz? – Iza patrzyła na Zosię z dużą dozą dystansu.

– I owszem. Że jest jakiś problem w waszym domu. Wtedy, tylko dzięki Idze, się odnalazła, one mają ze sobą wiele wspólnego, Iga też miała problematyczne dzieciństwo.

– Nie uważasz, że to nie twój interes? Nie myśl, że siądę teraz przed tobą i będę się zwierzać ze swojego życia.

– Nie sądzę, jednak szkoda mi dziecka.

Nic nie ustaliła, ale mimo to była pewna, że jej słowa do Izy dotarły należycie. Nie znosiła pouczania ludzi, wchodzenia w ich życie, ale tego właśnie dokonała podczas rozmowy z matką Lisy.

Po powrocie do domu Zosia czekała na telefon od Igi. Miała zadzwonić, wracając z pogrzebu. Zośka była zdenerwowana, na niczym nie mogła się skupić, z trudem przetłumaczyła z hiszpańskiego tekst biznesowy dla importera płytek i sanitariatów. Gdy go wysłała do kontrahenta, położyła się na kanapie przy oknie, mimo że miała do zrobienia jeszcze kolejne teksty. Parapet połyskiwał po deszczu. Prawie zasnęła. Obudził ją warkot auta.

Przyjechały obie. Basia i Iga.

Iga klapnęła na fotelu i zaczęła opowiadać o pożegnaniu Leszka z Różą. Zauważyła jednak, że opowieść ta zarówno Basię, jak i Zosię mało obchodzi.

– Coś się stało? Wyglądacie upiornie.

Uśmiechnęły się do siebie z tego „upiornie”, ale jakoś tak półgębkami.

– Igo, Basia i ja mamy z tobą do pomówienia o przeszłości naszej rodziny. – Zosia wciąż była bledsza od ściany.

– Ale nie podejmuj pochopnych kroków. Wysłuchaj, co mamy do powiedzenia i postaraj się nie zdenerwować – powiedziała Basia.

– Czyli o czym chcecie gadać, bo mam wrażenie, jakbyście podczas mojej nieobecności przeryły ogród Buczków i znalazły trupa!

– Prawie trafiłaś. Bo wiesz – zaczęła Zosia – pojawiły się nowe fakty. Okazuje się, że moja mama nie była córką brata twojego dziadka ani mojej babci. Z dokumentów, jakie były cały czas w szafie mojej babci, wynika, że moja mama była przez babcię adoptowana. Jej biologiczną matką była Janina Kuszpil. Oddam wszystko, co dostałam od twojego dziadka. Będzie to trwało, ale oddam w ratach. Tak będzie uczciwie. Wyprowadzę się. Oszczędź tylko dzieciaki.

Iga zrozumiała tylko to, co chciała zrozumieć. Że mama Zosi nie była córką Józefa Leśniewskiego. No, proszę! Chwilę wstrzymała oddech, ale potem wybuchła. Oszustwo, kolejne oszustwo!

– Jak to!?! – zapytała zbyt głośno. – Czekałyście, by mi te rewelacje przekazać wtedy, kiedy wracam zmęczona i zapłakana z pogrzebu przyjaciółki? I ty, Zosiu, mogłaś mi przez te wszystkie dni patrzeć w oczy? Pić ze mną wino? Żalotne. Basiu, ciebie też nie poznaję. – Iga wstała z krzesła, wzięła kulę i zeszła po schodach Domu Złudzeń. Nie zatrzymywały jej. Wyszła z domu, szła i szła przed siebie. Zmęczona usiadła nad jeziorem i zaczęła wygrzebywać z ziemi kamienie i puszczać kaczki, jak w dzieciństwie. To ją uspokoiło.

Na dworze szarzało. Kilkadziesiąt metrów od niej, za drzewami, wyszedł z wody całkiem nagi mężczyzna. Bez wycierania się założył T-shirt i spodnie na gołe ciało. Iga patrzyła, jak zwija koc, zakłada na ramię torbę i idzie boso brzegiem jeziora w kierunku Wronczyna. Gdy zniknął za łukiem jeziora, wstała i podeszła do miejsca, które opuścił. Wydawało jej się, że zostawił na brzegu jakieś rzeczy. Rzeczywiście, zostawił. Śmieci. Błaszaną puszkę po wieprzowych klopsach, resztki śniadaniowego papieru i plastikową butelkę po mirindzie. Na trawie leżała też książka w papierowej obwolucie. *Wielcy tego świata w anegdotach* – wewnątrz stempel Biblioteki Publicznej w Pobiedziskach. Otwarta była na stronie o Szostakowiczu. Wzięła książkę pod pachę, z myślą, że odda ją do biblioteki. Poszła pieszo do Nadrożna, mimo że większość swoich rzeczy zostawiła u Zosi. Basiu jeszcze nie było w domu. Rysiu ze Stasiem oglądali mecz, głośno kibicując.

– Byłaś u Zosi? – Rysiu spojrział na Igę spod oka.

– Byłam.

– Basia tam była?

– Była.

– Mówiły coś?

– Mówiły.

– Już wiesz... Odtąd wszystko jest wyłącznie w waszych rękach. Albo będziecie razem, albo wszystko spieprzycie.

Iga nic na to nie powiedziała, a mogłaby wiele. Ryszard na pewno też był zamieszany w spisek. Znów czuła się oszukana, prawie tak samo jak przed laty przez dziadka.

Basia wróciła do Nadrożna późnym wieczorem, co znaczyło, że poświęciła Zosi znacznie więcej czasu niż jej, jedynej siostrzenicy, najprawdziwszej krewnej. Barbara próbowała w rozmowie powrócić do tematu przodków, zmiękczać Igę, opowiadając, jak Zosia ciężko przeżywa sytuację, ale Iga była zraniona i nie w głowie jej było ani przebaczenie, ani inne tego typu akty łaski. Burknęła, że nie chce o tym więcej słyszeć i poszła do pokoju. Zamknęła za sobą drzwi. Potem przez Internet nabyła bilety na lot do domu, a gdy już za nie zapłaciła i wydrukowała, wywołała na Skypie Kosmę.

– Wracamy, kochanie.

– Coś się stało? – zapytał przerażony

– Nie, nic. Pożegnałam dzisiaj Różę, więc czas wrócić. Tęsknię za domem, za tobą.

Lekko jej się głos załamał, ale wyszło, że z tęsknoty.

W Nadrożnie bardzo się zmartwili jej decyzją. Skłamała, że musi natychmiast polecieć na Florydę, bo w Clearwater jest do kupienia po okazjnej cenie dom. To tylko częściowo było prawdą, bo istotnie, dostała e-maila z taką informacją, ale chodziło o osiedle mieszkaniowe w budowie, a nie pojedynczy gotowy dom, a sprzedaż mieszkań zacząć się miała dopiero za miesiąc.

Ale, ale... Miała przy sobie papiery, jakie zostawił jej dziadek, między innymi były tam dokumenty dotyczące jego brata. Nie dała ich Basi, zapomniała. Nie przeglądała ich wcześniej. Jej uwagę do tej pory skupiały jedynie papiery wartościowe.

Przebrała się w pidżamę, zaczęła na łóżku układać papierzyska. Tyle lat były dla niej nieważne, a wręcz budziły niechęć. Ot, listy do rodziców, jakieś policyjne ustalenia dotyczące ojca dziadka i pradziadka. Oznaki żołnierskie i oznaczenia.

Było wiele listów do Józefa, na jego angielski adres. Jeden z Polski, od Janiny Kuszpil z Łabiszynka. Wyciągnęła go roztrzęsiona, fakty zaczęły się łączyć. Gdyby była bardziej uważna, lata temu ona pierwsza poznałaby

prawdę. Mogłaby wtedy zablokować przyjazd Zosi do Złotniczek.

Czy list, w którego była posiadaniu, stanowił brakujące ogniwo w rodzinnej historii?

Następnego dnia Iga pojechała do Łabiszynka, po drodze wstąpiła do biblioteki w Pobiedziskach i oddała znaną nad jeziorem książkę.

– Już widzę. – Bibliotekarka szukała w komputerze, na którym koncie znajdowała się książka. – No tak, jest sprawca. Pan Gibałt. Trzymał książkę przeszło rok, wyobraża sobie pani? Chciał się jej nauczyć na pamięć czy co? – Zażartowała.

Wyjazd do Pobiedzisk i do Łabiszynka zajął Idze pół dnia, potem odwiedziła jeszcze poznańskie archiwum, skąd już prosto przyjechała pod Dom Złudzeń. Była w znacznie lepszym nastroju niż dzień wcześniej.

Zosię zastała w ogrodzie wśród kilkorga dzieci, które na wakacje zostały na wsi. Były żniwa, więc rodzice chętnie pozbywali się ich na cały dzień. Krystian Mąderek i Krystyna Stelmach mieli wolne od zajęć. Na widok Igi Zosia powiedziała coś do dzieci, wysypała na stół kredki, którymi maluchy natychmiast zaczęły rysować.

Podeszła do Igi. Była smutna.

– Nie bój się – powiedziała do niej Iga. – Będzie dobrze. Trochę się sytuacja zmieniła. W paczce papierów po dziadku, jakie wykopałam przed emigracją w ogrodzie Buczków, były wojenne dokumenty Józefa. Rzuciłam je w domu w kąt, a lecąc do Polski zabrałam, bo poprosiła o nie Basia. Obie zapomniałyśmy je przejrzeć, dopiero wczoraj, po tym, co mi zaserwowałyście na kolację. Wkurzyłam się. Pomyślałam, że je przegładnę i spalę. Był tam list kobiety adresowany do twojego dziadka.

– Powiedzmy, że byłego dziadka – Zosia posłużyła się sarkazmem.

– Poczekaj. To nie jest takie oczywiste. Co się dowiedziałam? Twoją babcią rzeczywiście była Janina Kuszpil, która była córką Stefana i Antoniny Kuszpil, właścicieli majątku w Łabiszynie. Nie wiem, jak się z Józefem Leśniewskim poznali, ale wiem, że Janina była przed wojną jego dziewczyną. Mam zdjęcie tej Janiny, ładna, jasnowłosa kobieta ze ślicznym uśmiechem. Chyba nawet jesteś do niej podobna. Zaczęłam jeszcze raz przegłądać papiery, łączyć je. W dokumentach przesłanych z Anglii było to zdjęcie, ale są także fotki innych

kobiet. Nie ma stuprocentowej pewności, czy to Józef był ojcem jej dziecka, ale wszystko na to wskazuje. Ludzie też sugerowali, że gdy Kuszpilów wysiedlali, Janka miała dziecko. Wybuchła wojna, która wszystko zweryfikowała, Józef dostał powołanie i poszedł na front. Dalej wiemy, że po kapitulacji uciekał i przez kilka tygodni ukrywał się we wsi twojej babci. Mamy też kilkanaście listów do niego od kobiet, z Hlohovec, Esztergom, Komarom, z Liverpoolu, Warwickshire, Blackpool, nieważne, była wojna. Były adresowane na dom rodziców Józefa, więc nie podał adresu twojej babci. Przystojnym żołnierzom na pewno najbardziej pomagały kobiety. W tym liście, o którym mówiłam, Janina Kuszpil pisze do niego, że jest ojcem.

Zosia się rozplakała, wstała i ruszyła biegiem w stronę domu. Dzieci przysłuchiwały się całej tej rozmowie wystraszone.

– Zośka! Możesz mi powiedzieć, dokąd idziesz? Czy ty rozumiesz, co do ciebie mówię? – zawołała Iga. Wstała z fotela, opierając się na kuli.

Zosia odwróciła się na progu i zawołała:

– Miałaś rację wtedy w Drawsku. Miałaś rację. Oddam ci wszystko.

– Proszę pani, niech pani nie ukarze pani Zosi. Ona jest dobra. – Do Igi podszedł mały chłopiec bez zębów z przodu.

Iga do niego mrugnęła.

– Chodź do mnie. – Iga patrzyła na Zosię, która siadła na kamiennym progu domu. Znow zaczęła cicho płakać.

– No przestań ryczeć, chodź tutaj. – Iga wyciągnęła rękę w stronę Zosi, która w końcu wstała i podeszła. – Nie płacz. Kobiety z Domu Złudzeń są silne, nie płaczą z byle powodu. I ustalmy wreszcie coś, co na zawsze zamknie między nami furtę niezgody. Nic mi nie jesteś winna, zupełnie nic, naprawdę. Wystarczy mi to, co mam, życie sporo oddało mi w gotówce. Musiałam nie być chyba taka zła, bo zapłaciło mi i za sieroctwo, i za kroczenie błędnymi drogami, i za emigrację. Cholera z tym, że nie wiadomo, czy jesteś Leśniewska! Według mnie jesteś!

– Nie wiadomo... – Jak echo powtórzyła za nią Zosia.

– Czy my musimy aż tak wnikliwie analizować swoją przeszłość? Jesteśmy tutaj teraz. Cieszymy się z tego! – To powiedziawszy, Iga oparła się na kuli i powoli wyszła na wieś. Za bramą rozwiązała kucyka, wyrzuciła gumkę, aż szopa rudych kręconych włosów spłynęła jej na ramiona. Choć w Polsce poczuła się lepiej, a tutejsi lekarze stawali na wysokości zadania, by ją uzdrowić, mimo to jej kolano nadal nie było w pełni sprawne. Szła powoli

w stronę swojego pola. „Kocham tę ziemię, jestem ze wsi, czy mi się to podoba, czy nie” – pomyślała.

Kiedy po godzinie wróciła zmęczona ze spaceru, nie od razu skierowała się do domu. Usiadła na ławce w ogrodzie. Było pusto, dzieci poszły już do domów. Przez otwarte okno na strychu słychać było, jak Zosia głośno z kimś rozmawia. Wyłowiła, że mówi o Janinie Kuszpil. Potem słychać było tylko poszczekiwanie Mohito. W końcu i ono ucichło. Iga pomyślała, że pewnie się zdrzemnęli. Mohito na łóżku Zosi, a jego pani na psim dywaniku. Zaśmiała się z tej myśli sarkastycznie. Piesek niewątpliwie był rozpieszczony.

Oparła się wygodnie i wystawiła twarz w stronę słońca. Przy trexanie powinna uważać na promienie UV, mogła z nich korzystać tylko po południu. Potrzebna jej była cisza, po emocjach chciała zebrać myśli. Pobyć tylko z sobą.

– Co pani tu robi? – Usłyszała męski głos, nieczysty, ustawiony wysoko, co sprawiło, że indywiduum, które dostrzegła przez zmrużone powieki, wzięła za zgryźliwego trutnia.

– Siedzę sobie. A pan?

– Widzę, że pani siedzi. Ale niech będzie, odpowiem – otóż, ja stoję sobie.

– Ha! I tu ma pan plus.

– Że co?

– Że pan widzi.

– Miałbym nie widzieć?

– Tak.

– Głupoty pani opowiada. Byle mówić.

– Mógłby pan nie widzieć, zgodzi się pan ze mną? Byłoby to możliwe, gdybyś tutaj nie wlaź, człowieku!

– Wszystkich tak traktujesz, jędzo?

– Na pewno tych, co się nie przedstawiają, gdy wchodzą na mój teren. Czyli mniej więcej co drugiego.

– Nazywam się Andrzej Bliski, jestem poetą. Czy jest w domu Zosia?

– Zosia jaka?

– Co za baba! Oczywiście Zosia Kulińska. Bardzo miła, w przeciwieństwie do pani, rezydentko najbardziej wrednych obszarów kobiecości!

– Bardzo przepraszam, ale nie masz człowieka ani wyglądu, ani intelektu kogoś, z kim Zosia mogłaby być w zażyłości!

Siedziała na ławce prosto i przypatrywała się temu indywiduum, długo,

bezczelnie, żeby poczuł, jak jest żaloszny. Stał przed nią w całej swej męskości, w szarych, niewyprasowanych portkach, które zaliczyły niejedną wywrotkę, w koszuli ze śladami żółtego potu pod pachami, ze swoimi brązowymi od nikotyny paluchami i takim samym śladem pod ustami na brodzie, która była ohydna. Do tego trzymał w ręce pomarańczową gerberę (absolutnie niewspółgrającą z całością), jakby udawał się w konkury!

Po chwili zawahania odpowiedział piskliwie:

– Czy my musimy rozmawiać? To dla mnie nie jest żadna przyjemność. Niech pani ściśle i krótko odpowiada na moje pytania. Czy Zosia jest w domu?

Iga dawno się tak nie bawiła. Była panią sytuacji.

– Nie ma. – Wstała z ławki.

– Nie ma i co dalej?

– Nie ma i wynocha! – Próbowała przegonić go kulą, ale typ usiadł na ziemi i trzymał się trawy, wzrokiem próbując ją zabić. Ona zresztą czyniła to samo. I tak się mierzyli, aż obwieś nie wytrzymał, wstał, zaklął i poczłapał w stronę furtki. Przechodząc obok auta Zosi, zatknął za wycieraczkę jakieś papiery i kwiat, który od razu zwiesił swą główkę. Gdy Bliski zniknął za zakrętem, Iga podeszła do auta i wyciągnęła tomik poezji. Zajrzała za obwolotę, przeczytała nazwę drukarni i z pierwszej strony dedykację dla Zosi. I wiersze, fuj, porno, ponure, schizofreniczne. O miłości ponurej i ciemnej jak listopadowa noc.

W ogrodzie pojawiła się Zosia.

– Czy mi się wydawało, że z kimś rozmawiałaś?

– Nie nazwałabym tego rozmową. Znasz Andrzeja Bliskiego? To dla ciebie.

– Iga wskazała leżący na stole kwiat i tomik poezji Bliskiego.

– Gerbera. Czyli wiem już wszystko. Nachodzi mnie, nęka telefonami, już nie wiem, co mam zrobić.

– Wywaliłam go, mam nadzieję, że się dwa razy zastanowi, zanim tutaj wróci.

– On nie jest złym człowiekiem, chce tylko rozmawiać, jest zagubiony i samotny. Ale kłopotliwy strasznie.

– Tak sądzisz? Nie byłabym tego taka pewna, on chce od ciebie znacznie, znacznie więcej! Nie myśl, że samozwańczy poeci o wyglądzie kłozarda nie mają popędu! Dopadnie cię w krzakach, to i zamordować z miłości mógłby. Czytałaś jego wiersze?

– No, jakby racja.

– To się sprawuj, bo niebawem wyjadę i kto będzie ciebie bronił? A może

zrób sobie urlop od Bliskiego, przyjedź do nas, pojedziemy do naszych dziewczyn do Nowego Jorku, a potem zrobimy sobie wakacje na Karaibach. Nie byłoby fajnie?

– Dziękuję, ale wiesz, jaka jest moja sytuacja finansowa, nie do pozazdroszczenia, zjadam własny ogon. Gdy się odbiję od dna, przypomnę tobie, że mnie zaprosiłaś.

– No, nawet chętnie bym was widziała u siebie razem.

– Z kim?

– Z Piotrem. Basia mi powiedziała, że jest w tobie zakochany. Podobno fajny. A co myślałaś, że mam na myśli Bliskiego?

– Oj, nie żartuj z Bliskim. Od mniej więcej roku wszędzie go widzę, wpadamy na siebie, jak jestem w Poznaniu, jak jadę do urzędu, w Pobiedziskach, w Złotniczkach, we Wronczynie. Byłam na policji, ale oni się nie podjęli niczego. Byłam w telewizji, bo on jest w Poznaniu znany, ale też nic nie wskórałam. Nie grozi mi, nie popełnia przestępstwa, uznali go za mojego fana i na tym się skończyło. Ja chciałam mu tylko pomóc.

– Wydaje mi się, że nie zawsze dobrze lokujesz swoją pomoc. Zajmujesz sobie czas jakimiś typami spod ciemniej gwiazdy, tymczasem Piotr, który zasługuje na twoją uwagę, odchodzi z kwitkiem. Tak mocno bolą cię doświadczenia?

– To widać? Masz racje. Coś tam we mnie siedzi. Wydaje mi się, że stałam się uczuciowo wygasła, że faceci mnie nie ruszają. Ale to nieprawda.

– No, z tego, co słyszę, tylko Piotr cię nie rusza. Obiboki i inne żulostwo dobrze się w twoim sercu miewają. Niemniej trochę tego pomagania ludziom przeszło i na mnie. To dobrze.

– Jeszcze na mnie powinno przejść trochę twojego biznesowego pomysłu, to obie byłybyśmy ideałami.

Iga rano wstała z łóżka przed siódmą, była wyspana, chociaż poprzedniego dnia poszły spać po północy. Wyjrzała przez okno, było tak pięknie, słonecznie. Przeciągnęła się leniwie. Z hyczkowego zaułka wynurzał się Bliski!

Ubrała się w trzy minuty i nie budząc Zosi, ani nie zważając na ból kolana, zbiegła na dół i wyszła na ogród. Zrobiła to cicho albo Bliski miał stępiiony

wzrok i słuch, bo nie zauważył jej ani nie usłyszał. Stał i patrzył w okna pokoju Zosi, tymczasem Iga była metr od jego pleców. Popukała go palcem po ramieniu, odskoczył zdumiony.

– Spadaj! – Chciała go szturchnąć, ale się uchylił. – Won, bo autem rozjadę.

– Nic mi nie możesz kazać, ruda jędzo!

Chwyciła go za klapy.

Od tego pochwycenia dziada za klapy aż rozbolały Ige nadgarstki, kopnęła go więc zdrową nogą z całej siły w kostkę. Upuścił kurtkę i złapał się za nogę. Upadł na ziemię, zaczął się po niej tarzać, udając niewyobrażalny ból.

– Wstawaj, kreaturo! – Iga chwyciła go za ucho, jakby był małym dzieckiem, i prawie podniosła go do góry. W ten sposób wstał.

– Jeszcze się spotkamy! Pożałujesz! Zawiadomię policję, prasę, prezydenta. Jestem osobą publiczną, mogę naprawdę wiele! – zasyczał.

Iga rzuciła za nim kurtkę. Dopiero potem niestety przyszedł czas na refleksję. Przeraziła się słów Bliskiego. Pobicie poety to byłaby dla niej recydywa.

Upłynęło kilka dni. Uprzątnęły jego posłanie, jakie z desek zbudował sobie w hycze. Śladów bytności Bliskiego już więcej nie było. Nie pojawiały się też kwiaty ani liściki dla Zosi. Nie telefonował.

2006

Było to dwudziestego dziewiątego grudnia, Zosia tego dnia kończyła czterdzieści lat. Z Tomaszem umówiła się w garsonierze w Czaplunku, jak zwykle. Ubrała się w czarną koronkową sukienkę bez ramiączek, upięła włosy. Lubił ją w tej kiece. Ona siebie też. Przyjechał z wielkim bukietem róż i z naszyjnikiem z pereł. Pomyślała, że perły to łyzy, ale naszyjnik był niezwykle piękny. Pozwoliła, by zapiął go na jej szyi. Obrócił Zosię twarzą do siebie, patrzył jej w oczy, głaskał perły, a przy okazji jej ciało.

– Jedno i drugie są nieskazitelne. Jesteś warta klejnotów. Moja kochana.

Odwróciła się, zajrzała do lustra. Naszyjnik bardzo dobrze się prezentował.

Tomasz wcześniej poprosił Zosię, by spędziła z nim noc. Nigdy wcześniej w tym mieszkaniu nie zostawali do rana. Zgodziła się na to. Musiała użyć kłamstwa w domu, ale to było nieistotne. Rodzice i Marieta byli zainteresowani jej opowieścią o samotnej i chorej babci koleżanki, którą miała się zajmować noc po swoich urodzinach. Czuła się jak dziecko. Chciała jak najszybciej skończyć ten kamuflaż, wreszcie zwierzyć się rodzicom

i córce, wydukać, że od kilku lat z Tomaszem się po prostu kochają. Tak jej było wstyd, że okłamuje najbliższych!

Tego dnia była jeszcze jedna okazja do świętowania. Tomasz zawarł intratny kontrakt, który mógł go ustawić na całe życie.

– Musi być szampan! – Zakładał kurtkę.

– Nie masz za dobrze? – zapytała, śmiejąc się Zosia. – Inni wegetują na zasiłku, albo w domach opieki, a do ciebie pieniądze lgną, jakbyś miał obok serca wszczepiony magnes.

– Tym bardziej potrzebny jest szampan – odpowiedział w drzwiach i już go nie było.

Wybiegł z mieszkania i po chwili usłyszała, jak ostro rusza. „Wariat. Kochany wariat” – pomyślała. Spojrzała do lustra, perły mieniły się w świetle.

Telefon, który Tomasz zostawił na stole, zaczął wibrować. Ktoś nie rezygnował i wciąż wybierał jego numer. Zosia była zniecierpliwiona. Wzięła telefon do ręki, przeczytała na wyświetlaczu „Iza” – i to wszystko. Ale ten telefon znów zaczął harce po stole. Wcisnęła przycisk z zieloną słuchawką.

– Halo!

– Dzień dobry, chcę rozmawiać z Tomkiem. – Damski głos w słuchawce był słodki jak miód, ale ton nieznoszący sprzeciwu.

– O tej porze? – zapytała Zosia.

– Mam prośbę. Proszę przekazać, że sprawy przyjmą właściwy obrót.

– Oczywiście – odpowiedziała Zosia.

Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła, ale gdy kobieta się rozłączyła, Zosia przeszukała całą jego komórkę. Z Izą byli na „ty”. Ślali sobie SMS-y, wynikało, że się często spotykali. Kontaktów w postaci samych damskich imion było dużo więcej: Marta, Jusia, Meggy, Stefania. Rzuciła telefon na stół, właściwie z lęku, że przeczyta coś, co ją zrani na zawsze. Ale niewiedza była jeszcze gorsza.

Usłyszała pod blokiem auto Tomasza. Wrócił do mieszkania, wesolutki, z paczkami i pakunczkami, z siatką pełną owoców, z dwoma szampanami.

– Nie wiesz, jak się cieszę, że nie będziesz się dzisiaj spieszyć!

– Iza prosiła, by ci przekazać, że sprawy przyjmą słuszny obrót.

– Kto dzwonił!?! – Spojrzenie Tomasza zmieniło się w jednej chwili. Miał zimne czujne oczy, które mogłyby wywiercić w jej głowie dziurę.

– Iza – powiedziała Zosia, przybierając najbardziej hardy ton. Zmroził ją

wzrok Tomasza, czar wieczoru przysł.

– Kto tobie do diabła pozwolił przeszukiwać moją komórkę? Tak się na pewno nie będziemy bawić! – krzyknął.

Zbladła.

– No już dobrze. – Zrozumiał, że powiedział za dużo. – Muszę jechać, przepraszam. Zajmie mi to trochę czasu. Wypij swoje zdrowie w moim imieniu. Albo nie, na jeden toast jeszcze mogę sobie pozwolić.

Wzięła dwa kieliszki do ręki, otwierał szampana. Zosia, napięta z nerwów niczym struna, podskoczyła, gdy korek od szampana z hukiem wystrzelił w sufit.

– Moje zdrowie, a co! – Wzięła kieliszek z ręki Tomasza i wypła szampana duszkiem. Tomasz, mężczyzna, w związku z którym spędziła prawie siedem lat, a nie знаła go nawet w połowie. Miał czterdzieści lat, mógł odcinać kupony od tego, co wypracował, czynił to, ale nie widziała siebie w tym układzie już ani minuty dłużej. Nie była kuponem do odcinania.

Wzięła z jego ręki drugi kieliszek, w którym zaledwie umoczył usta. Wzięła i chlusnęła mu w twarz tym cholernym urodzinowym szampanem.

Ręką wycierał jego strużki z twarzy, marynarki i koszuli.

– Nasze zdrowie! – powiedział w drzwiach.

Zimny, obcy, daleki. Biznesmen.

Sierpień 2012

Iga wyjeżdżała do Stanów z poczuciem spełnienia, wiedziała, że musi częściej wracać do Złotniczek, bo to jest jej wieś, a nie Zosi, która na dobre się tam zadomowiła. Już z Beaumont szukała lokalizacji pod stadninę koni. Tym samym spełniłaby to, co sygnalizowała w niewysłanych listach do Ewy. Że tylko w Polsce może naprawdę podnieść głowę.

Tymczasem, będąc już w Beaumont, dostała odpowiedzi w sprawie córki Janiny Kuszpil. Ślady prowadziły do Weryni koło Kolbuszowej, to tam ukrywał się Józef Leśniewski, tam mieszkała babcia Zosi. Tak chciał traf, Boża opatrność. Tam ich wysiedlono, tam ze zgrzyoty i głodu zmarli jej rodzice – a nie zginęli w obozie, jak sugerowali mieszkańcy Łabiszynka – tam też Janina zmarła, osierocając córeczkę. Tam jest ich grób. Co dalej? Ano domysły. Babcia Ania zaopiekowała się córeczką męża, potem ją zaadoptowała. Jak do tego doszło? Prawdę skrył mrok historii.

Z Anglii przyszły też odpowiedzi na temat roszczeń majątkowych, jakie przed wyjazdem wysłała do towarzystwa ubezpieczeniowego. Oba pozytywne, miała tylko przedstawić dowody, że jest spadkobierczynią. Tak naprawdę spadkobierczyniami były wszystkie trzy. Basia jako córka Floriana Leśniewskiego, Iga jako wnuczka Floriana, Zosia jako wnuczka Józefa, o ile by to udowodniła. Pieniądze były tego warte, z polisy Józefa – czterdzieści tysięcy na polskie. Z polisy Floriana – sześćdziesiąt tysięcy.

– Zosia dzięki naszym staraniom stanie się niedługo bardzo majątna. Na dobrą sprawę powinna też starać się o zwrot majątku w Łabiszynku – Iga powiedziała do Basi.

– No i nam powinna zapłacić prowizję, przecież ona nic nie uczyniła w tym kierunku. – Zaśmiała się Basia.

– Zobacz, nie miałam racji? Po prostu jest w czepku urodzona, mogłaby już nie pracować, ze wszystkich spadków mogłaby całkiem dobrze żyć.

– No, na pewno będzie chciała podzielić się z Marietą.

– Myślę, że nie tylko z nią – zauważyła Iga.

Zaczęły się śmiać.

Wrzesień 2012

Wspólne zamieszkanie Mariety, Matteo i Oli w pięknym mieszkaniu na Manhattanie natychmiast zaowocowało pomysłem. Postanowili komitwę uczyć w nieszablonowy sposób i razem w trójkę wyjechać do Greve in Chianti. Marieta dobrze się czuła w ich gronie. Ola i Matteo byli użyteczni, zawsze przychodzili na jej koncerty i najgłośniej bili brawo. Nigdy nie przyszli bez kwiatów. Matteo pochodził z muzycznej rodziny, sam zresztą też ładnie śpiewał i grał na skrzypcach, ale dopiero, gdy go o to poprosiła. On grał, a Marieta stawała obok i śpiewała.

– Wariaci. – Wzruszała ramionami Ola, ale lubiła te wieczorne koncerty w mieszkaniu. Niezbyt często się odbywały, bo Ola i Matteo wciąż ścigali się z czasem. Mariecie po zakończeniu w czerwcu studiów przedłużono kontrakt na śpiew w chórze, już zarabiała lepsze pieniądze, spokojnie wystarczało jej na koszty, a nawet zostawało na ubrania. Wciąż liczyła na to, że niebawem dostanie większą rolę. Pan Massinini powiedział, że ma się zgłosić za rok, dwa, ale ona chętnie by to uczyniła od razu. Ćwiczyła całymi godzinami, z pasją i zaangażowaniem, o jakie siebie nie podejrzewała.

Często w trójkę rozmawiali o tym, czy w życiu warto być pewnym swego, czy raczej preferować skromność, pracowitość i liczyć, że zostanie się dostrzeżonym w przyszłości. Wszyscy stawiali na pewność siebie i pracowitość jednocześnie. Konkursy na role odbywały się także w europejskich operach, ale to byłyby dla Mariety zbyt kosztowne eskapady, więc z nich rezygnowała. Zosia, słysząc, że mogłaby spotkać się z córką gdzieś w Europie, namawiała ją, nawet oferowała, że zasponsoruje córce bilet na samolot. Ale Marieta nie chciała jej obciążać.

Między mamą i córką znów było rozmownie, dlatego że Zosia zaangażowała się w projekt z dziećmi, więc przestała zadręczać Marietę wskazówkami, jak ma żyć, z kim i czy w ogóle. Tematem ich rozmów stały się dzieciaki ze Złotniczek i ich pasje. Dziewczyna знаła na pamięć, co zrobił Kajtek Buczek, a co na to Lisa Kuśmierk. To byli Zosi ulubieńcy.

Marieta do wyjazdu do Chianti przygotowała się bardzo starannie. Tym razem powiadomiła mamę, że wybiera się do Włoch, poinformowała o tym też ojca, który wciąż ją zapraszał do swojego kraju. Zresztą obiecała mu to na lotnisku Orly. Opowiedziała im o rodzinie Guttuso. A wiedziała sporo, Matteo gadał cały czas, usta mu się nie zamykały, Ola nawet przeprosiła Marietę za swojego chłopaka, argumentując, że minął się z powołaniem, że powinien być na imprezach frontmanem.

Marieta bardzo lubiła wspólne wieczory, czasem udało im się zebrać razem, pili włoskie wino, na stole pojawiały się włoskie specjały. Matteo wspominał swoje dzieciństwo i wakacje w rodzinnej posiadłości, wśród gajów oliwnych i krzewów winorośli. Jego farmerska rodzina była dla Mariety jak wyjęta z filmów o Toskanii. Na myśl o serze Marzolino, Ricotta czy o szynce Prosciutto natychmiast uruchamiały się jej kubki smakowe. Toskańska oliwa z rodzinnej fabryki Guttuso, gęsta, zielona, aromatyczna, zawsze stała w ich kuchni. Poza tym pachniało tymiankiem, rozmarynem i bazylią. Czasem trufkami. Cudnie, toskańsko.

Mimo że lot z przesiadkami trwał długo i był męczący, słońce i zapach Toskanii zrekompensował im, już od wyjścia na płytę lotniska, cały trud. Ola wybłągała urlop, miała zresztą, podobnie jak Matteo, zaplanowany na wrzesień, ale w powietrzu wisiał nad jej głową projekt, w którym musiała wziąć udział, z uwagi na kontrahenta, który był Polakiem i w Warszawie mieściła się siedziba jego firmy. W stolicy kraju swoich rodziców miała spędzić kilka tygodni.

Państwo Guttuso oczekiwali gości, stojąc na kamiennych schodach prowadzących do domu, wśród oleandrów. Zbliżał się wieczór. Stoły na oświetlonym lampionami patio były przyszykowane na kolację. Pod zadaszeniem stał fortepian.

Ojciec Mattea w letnim błękitnym garniturze prezentował się bardzo elegancko. Był przystojny, wysportowany, ciemnowłosy, lekko posiwiał, jak się przypatrzeć, ale tylko na skroniach. Zarażał śmiechem. Przywitał się z dziewczynami tak, jakby się znali od lat. Marieta poczuła się, jakby była w rodzinie. Pani Guttuso światowa, świadoma swojej urody kobieta, zapraszała do środka. Ola była w Greve po raz drugi i знаła każdy kąt wielkiego majątku.

– Olu, tobie pościeliłam w pokoju z kolumnami, mam nadzieję, że nadal kochasz mojego Matteo, więc postanowiłam, że zamieszkacie tam razem. Co ty na to, moja śliczna?

– Tak, tak oczywiście. – Ola pocałowała mamę Matteo w policzek.

– A dla ciebie, moja słodka, pokój obok – zwróciła się do Mariety. – Będziecie mieli wspólny taras z widokiem na wzgórza. No i szybko przebierajcie się i wracajcie do nas. Zapraszamy na kolację.

Marieta była zauroczona okolicą, rodziną Guttuso, jedzeniem, winem. Wszystkim. Podczas kolacji, konsumując kolejne dania, które mogły doprowadzić do kulinarnej ekstazy, rozmawiali o literaturze, o muzyce, a każdy gość budził zainteresowanie gospodarzy, co było bardzo przyjemne. Marieta opowiedziała o swoim ojcu i mamie, o wątpliwościach, czy uda jej się zaistnieć na scenie. O trudnym operowym rynku i o rozterkach.

– Doskonale cię rozumiem – wykrzyknęła mama Matteo. – Ileż ja miałam podobnych obiekcji, kiedy rezygnowałam z dziennikarstwa, które dawało mi bilet do podróży po całym świecie. I do spotykania bardzo ciekawych ludzi. Jednak rzuciłam to, przyjechałam na wieś, by produkować oliwę. Wino też, ale to akurat mi się podobało. Bałam się, że moje marzenia o byciu tutaj szczęśliwą staną się złudzeniami. Znacznie później zrozumiałam, że gdyby nie było tego ryzyka, moje sukcesy przynosiłyby mi dużo mniejszą radość. Więc wypijmy za nasze wątpliwości, kochani! – Pani Guttuso wzięła kieliszek z bordowym trunkiem w swoje długie palce, z pięknymi, oszlifowanymi krótko paznokciami. Umoczyła usta. Matteo patrzył na matkę zakochanym wzrokiem. Tutaj nie był tak rozmowny jak w Nowym Jorku. Może dlatego, że pozwalał się wygadać rodzinie. Rozparł się na krześle, zamknął oczy i słuchał śpiewu

cykad. Obok niego siedziała Ola, trzymali się za ręce. Również odzyskiwała siły.

Po suficie nad patio przechadzały się dwie jaszczurki. Marieta zrobiła wystraszoną minę.

– Ojej. – Wstała z fotela.

Wszyscy się zaśmiali.

– Spoko. Jaszczurki są tutaj wszędzie, to normalność, nie robią ludziom krzywdy, zjadają owady, więc są pożyteczne – powiedziała Ola.

Marieta opadła na fotel uspokojona. Na patio panowało błogie lenistwo. Pan Guttuso siadł przy fortepianie. Zabrzmiały dźwięki z Toski. *Vissi d'arte*.

Marieta wstała i podeszła do fortepianu. Znała słowa. „Vissi d'arte, vissi d'amore, non feci mai male ad anima viva!” – zabrzmiało pięknie. Wszyscy wstrzymali oddech, tak krystalicznie i szlachetnie zabrzmiał głos Mariety. „Żyłam dla sztuki, żyłam dla miłości. Nigdy nie szkodziłam żywej duszy!” – śpiewała Marieta – o sobie...

Gdy skończyła, na patio panowała absolutna cisza.

– Cudo, cudo! – zawołał pan Guttuso.

– Dziękuję. – Podeszedł do niej Matteo. Pocałował Marietę w rękę.

Tylko dwa dni w trójkę jeździli po okolicy, by Mariecie pokazać region Chianti. Trzeciego dnia siedzieli całą rodziną, razem z dziadkami Matteo, z ciotkami i kuzynami, jak zwykle wieczorem i pili wino, kiedy zadzwoniła Oli komórka. Zeszła schodami do ogrodu, rozmawiając po angielsku. Gdy wróciła, było wszystko jasne. Kontrahentowi zależało na czasie. Musiała wrócić do Nowego Jorku, przygotować grunt pod projekt. Marieta była rozczarowana, chciała wracać razem z Olą, ale państwo Guttuso i Matteo bardzo prosili, by została z nimi w Greve.

Było jej niezręcznie odmówić.

Dzieci powróciły z wakacji. W Domu Złudzeń znów zrobiło się gwarno, bardzo dobrze się tam czuły. A i Zosi to pasowało, żyli się wszyscy ze sobą, można powiedzieć, że byli w wielkiej przyjaźni. Zosia już więcej nie rozmawiała z Izą na temat jej rodziny, Kuśmierkowie po prostu jej unikali. Choć wcześniej rzadko pokazywali się razem publicznie, teraz chadzali rodziną do kościoła, siadali w pierwszej ławce, jakby na pokaz, wybywali na

spacery. Lisa była spokojniejsza i miłsza. Zaakceptowała to, że nie będzie pierwszą śpiewaczką, nie dyrygowała już Anią ani chłopakami. Malowała dużo i przynosiła rysunki do Zosi. Każdy był dojrzały, jakiekolwiek narzędzie wzięłaby do ręki. Ołówek, kredki, pastele czy pędzel z farbami – wszystko było dopieszczone do szczegółu, a jednocześnie nie straciło na magii, jaką były naznaczone.

Z rysunków dało się odczytać, w jakim nastroju jest dziewczynka. A była w coraz lepszym. Kiedyś przyniosła obrazek przedstawiający rodzinę. Mama, tata i córeczka. Siedzieli przy stole z kubkami w ręce. Obrazek był w kolorach pastelowych, a uśmiech na twarzy rodziców na obrazku krzyczał, że w domu Kuśmierków sytuacja się poprawiła. Bardzo to Zosię cieszyło. Ba, była szczęśliwa, tak samo jak Lisa.

Wyciągnęła stary rysunek Lisy, ponury i położyła go przed dziewczynką obok nowego, tego radosnego.

- Widzisz? Na tym nowym rodzice są szczęśliwi, widzisz to?
- Tak. Mama już nie bije taty, to dlatego.
- Co ty mówisz?
- Bo mama się zmieniła. Tata mi to powiedział.

Listopad 2012

Iga wracała nocą z Florydy, jechała już kilkanaście godzin, była zmęczona, ale bardzo szczęśliwa. Kupiła dom marzeń. Za takie pieniądze w Polsce stać by ją było zapewne na trzypokojowe mieszkanie, ale z rynku wtórnego. A tam? Nowy dom, ogródek, basen i ciepło, pachnąco, ocean i uśmiechnięci ludzie. Floryda... To było idealne miejsce na wakacje, dla Oli i Mariety, dla córek Kosmy, dla nich samych. Przy domku nic nie trzeba było robić, bo na całym osiedlu o zielen dbała firma. Właściciele nie mieli prawa posadzić żadnej rośliny, mieli tylko odpoczywać i cieszyć się słońcem. Wszystko to było zagwarantowane w umowie.

Iga była już bardzo blisko domu, pokonała długą trasę, bez zatrzymywania się na dłuższy wypoczynek czy nocleg. Tak była podekscytowana. Pospała tylko ze dwa razy na parkingach, wypijała kawę i znów siadała za kierownicą. Jechała jak w transie, w samochodzie czuła się bardzo dobrze, miała tam swoje płyty, zestaw głośnomówiący, po drodze rozmawiała z Kosmą. Już organizowała przewóz mebli, Kos miał się tym zająć. Pod koniec podróży

wszystko miała zaplanowane w szczegółach. Chciała na zimowe miesiące przenieść się do Clearwater.

Na tablecie podczas drogi sprawdziła loty do Tamy.

Autostrada do Teksasu nie była zatłoczona, jak to nocą, można było przycisnąć gaz. Tak ujechała kilkadziesiąt kilometrów. Tuż przed Beaumont ruch na drodze się zwiększył, zrobiło się mgliście. Znała tę drogę bardzo dobrze. Zmieniła pas na ten do najszybszej jazdy. Za paręnaście kilometrów miała zjechać z autostrady. Nacisnęła gaz.

I... wjechała we mgłę.

Obudziła się w metalowej tubie. Chciała wstać, wyczołgać się, ale obezwładnił ją silny ból barku. Zaczęła wrzeszczeć.

– Proszę się uspokoić, jest pani w tomografie. Kończymy badanie. – Kobieta w zielonym szpitalnym ubraniu trzymała Ięgę za rękę.

– Miała pani szczęście, skończyło się na złamaniu obojczyka. Założymy gips i wróci pani do domu. Kto panią odbierze? – W ten sposób poznała diagnozę.

Następnego dnia „lizząc rany” na kanapie w domu, przeczytała w gazecie: „W Teksasie w gęstej mgle zderzyło się sto pięćdziesiąt samochodów, to był jeden z największych karamboli w tamtych stronach w ostatnich czasach. Były ofiary śmiertelne i wielu rannych”.

Grudzień 2012

Z obojczykiem w gipsie i z siniakami na twarzy była tą samą Ięgą co przed wypadkiem. Nic jej nie mogło powstrzymać od działania. Spieniżyła część majątku w Stanach, a dokładnie – dwa domy – te w najgorszym stanie, które zakupiła jako pierwsze. Wpłaciła zadek pod nieruchomość w Kołacie, wsi oddalonej kilka kilometrów od Wronczyna.

Piętnastego grudnia mieli polecieć do Polski, by sfinalizować sprawę zakupu nieruchomości. Często rozmawiali o Oli, Mariecie i Matteo.

Wystarczyło, że Ola oddaliła się od Greve, a Marieta natychmiast zajęła się jej chłopakiem. I sam sposób, w jaki ją o tym powiadomili! Urągał obyczajom. Żal im było Oli. Nie kochała Matteo, na pewno lubiła, dobrze się ze sobą czuli, ale go nie kochała. Tego Iga była pewna. Gdyby naprawdę była zakochana, rzuciłaby projekt i poleciałaby pierwszym możliwym samolotem do Greve ratować swój związek. Ola nie miała szczęścia w miłości, coś ją blokowało. Zasady? Pragmatyzm? Jej córka nie potrafiłaby rzucić wszystkiego

(wzorem matki), by zamieszkać z mężczyzną życia. Ola musiała wszystko przeanalizować na chłodno.

A Marieta? Bardzo wiele im wszystkim zawdzięczała. Trudno jednak było Idze mieć pretensje do Mariety. Sama podobnie by postąpiła, gdyby się zakochała.

Lekarze nie zabraniali Idze wyjazdu na inny kontynent, kości się zrastały, a na szczęście nic więcej jej nie dolegało. Staś obiecał uczyć się podczas pobytu w Polsce. Kosma tym razem miał polecieć razem z nimi.

Ola mieszkała w Warszawie od kilku tygodni. Nie była w tamtym czasie zbyt rozmowna. A już szczególnie nie dopuszczała, by poruszać tematy związane z Matteo. Zamknęła dyskusję, mówiąc, że w Nowym Jorku będzie mieszkać sama. Tak będzie lepiej.

– Marieta da sobie znakomicie radę beze mnie – powiedziała.

W zasadzie Ola nie interesowała się losami zdrajców, ale jakieś wiadomości do niej docierały. Od szefa kancelarii dowiedziała się, że Matteo zerwał kontrakt. Szef, nieświadomy ich relacji, chciał od Oli dowiedzieć się, jaki tak naprawdę był powód jego decyzji, ale Ola milczała wymownie.

Marieta po powrocie z Włoch zadzwoniła do Oli, bardzo ją przeproszając. Obiecała, że odda jej klucz do mieszkania. Ola poprosiła ją, by wzięła go ze sobą, gdy przyłeci na święta do mamy, ale Marieta planowała święta spędzić z rodzicami Matteo. Na Pasterkę wszyscy mieli udać się do Watykanu. Marieta była szczęśliwa.

Zosia, gdy z relacji córki poznała ze szczegółami całą historię dziewczyn, była niepokieszona. Trudno było jej ją obwiniać, wiedziała, jak bardzo się wstydzi. Ale gdy Marieta zakomunikowała mamie, że nie przyłeci do Polski na święta Bożego Narodzenia, Zosia się po prostu popłakała. Rekompensując mamie roczną rozłąkę, przysłała dla niej prezent – skórzaną torebkę firmy Dooney & Bourke w kolorze taupe.

– Córeczko, przeprosiłaś Olę? Co na to jej mama?

– Oczywiście, że przeprosiłam. Mamą Oli się nie przejmuję, bo ona, jak była młoda, zrobiła wiele świństw, więc nie powinna nikogo osądzać. Ola z kolei jest dumna, ale i w jakimś sensie wyrachowana, znam ją. Długo mnie obserwowała, zanim się zaprzyjaźniłyśmy. Ona nie powie mi nic złego, ale na sto procent czuje się urażona. Choć.... – Marieta zamilkła.

– Co choć?

– Nigdy nie potrafiłaby uszczęśliwić Matteo, bo po prostu jest diametralnie

inna niż on. Chłodna, pragmatyczna, typowa z niej skupiona na pracy perfekcjonistka. Matteo lubi ze mną gadać, a z Olą lubił tylko biegać.

– Nie bądź złośliwa. Nic takiego u Oli nie zauważyłam. Wręcz przeciwnie, jest miła, sympatyczna. Pamiętaj, że sztuka nie lubi się dzielić, nie zapomnij o tym. Miłość do sztuki może zwyciężyć miłość do mężczyzny.

– Oj tam, dostałam od natury duże serce, a kilka dni temu... w prezencie świątecznym... prawdziwą rolę za prawdziwe pieniądze. To miała być niespodzianka, ale powiem. Podpisałam kontrakt, od marca mam rolę w teatrze. Zdziwisz się, gdzie. W Modenie! – Zaśmiała się radośnie.

– Cudownie, naprawdę. Wygrałaś konkurs?

– Tak, wygrałam, to cover Noriny w *Don Pasquale* Donizettiego.

– Co to znaczy „cover”?

– Mam być w pogotowiu, gdy wykonująca rolę z jakichś przyczyn nie będzie mogła wystąpić. Może się to nigdy nie zdarzyć, ale płacą mi za to, no i będę mogła sobie to wpisać do CV. Schudłam trzy kilo z nerwów przed przesłuchaniem. Ćwiczyłam do późna, dobę nic nie jadłam, umoczyłam tylko krakersa w niedopitym z poprzedniego dnia mleku, wszystkie zmysły miałam wyostrzone do granic. Gdy włączyłam chyba po raz setny płytę z nagraniem opery, czułam, że pęka mi serce, z miłości, z podziwu, z zazdrości. Że ktoś tak może śpiewać. To była Anna Netrebko.

– Ćwiczenie przez dobę tej samej kwestii każdego by wyczerpało.

Zosia ze zdumieniem wtedy odkryła, że jej córka żyje śpiewem, mówi o śpiewie, a o Matteo Guttuso prawie nic.

Etat w Modenie to nie był zbieg okoliczności. Oczywiście Marieta nie zapomniała o Stefano Massenini, byłym dyrektorem tamtejszej opery, którego spotkała w Nowym Jorku. Przeczytała ogłoszenie o konkursie i natychmiast do niego zatelefonowała. Był w Nowym Jorku, nie był zaskoczony kontaktem z jej strony, a nawet zapamiętał jej nazwisko. Powiedział, że wspomni o niej komu trzeba. Krótko, rzeczowo. Dostała tę rolę. Prawdę powiedziawszy, wolałaby, żeby stało się to za sprawą głosu, umiejętności, talentu, a nie wstawiennictwa. Zresztą, nie wiedziała tego na pewno, bo nikt podczas konkursu słowem nie wymienił nazwiska byłego dyrektora.

Dopiero gdy stawiała się po raz pierwszy w operze, zaczęła ją garderobiana:

– To ty jesteś od Masseniniego?

Ola jeszcze przed świętami dała w Internecie ogłoszenie o wynajmie na dwa miesiące dwóch pokoi w mieszkaniu na Manhattanie. Natychmiast zgłosiły się dwie dziewczyny z Ekwadoru, które chciały zwiedzić Stany, a zwłaszcza Nowy Jork. Pasowała im cena i lokalizacja. Ola znów musiała odezwać się do Mariety, by przekazała dziewczynom klucz do domu i klucze do pokoi.

– Czy ty mi kiedyś wybaczysz to, co ci zrobiłam? – zapytała Marieta zaraz na wstępie.

– Postaram się.

– Niech ci się wiedzie w nowym roku, bo jeśli o mnie chodzi, to jakoś idzie. Bez szału – powiedziała na koniec rozmowy Marieta, ale Ola już tego nie usłyszała, po prostu się wcześniej rozłączyła.

Potem do Oli zadzwonił Matteo. Przeprosił, że jego uczucie do Mariety zapłonęło, gdy Oli nie było w Greve.

– Bywa – odpowiedziała Ola.

– Znasz mnie, nie jestem łgarzem. Zakochałem się! Olu, nie myśl, że ciebie nie kochałem! Coś się zmieniło, gdy poznałem Marietę bliżej, kiedy spędzaliśmy ze sobą całe dni. Nie wiń jej za to. Stało się. Jesteśmy z tej samej materii, spontaniczni, emocjonalni. No i spłonęliśmy.

– Oszczędź mi szczegółów, okej?

Właściwie, gdyby jej ciągle nie przepraszali, gdyby mama wciąż jej nie współczuła, wcale nie byłoby tragicznie. W gruncie rzeczy poczuła ulgę. Matteo miał rację. Nie było między nimi płomienia. Ten spontaniczny i hałaśliwy Toskańczyk ją, uporządkowaną Polkę, w jakimś sensie zawłaszczył. Wciąż był obok, razem pracowali, a po pracy też nie mogła ruszyć się bez niego.

Przez jakiś czas nawet myślała, że to miłość.

2007–2008

Zosia i Tomasz nie widzieli się ani nie słyszeli przez kilka miesięcy. Tomasz wciąż opłacał czynsz za ich garsonierę, to ustaliła, raz tylko tam zajrzała, by wziąć swoje drobiazgi. Zosia oparcie w tej sytuacji znalazła jak zawsze w rodzinie, święta i dni wolne spędzali razem, tata przy wszelkich toastach powtarzał to co zwykle: „Gdy się na świecie pojawi wnuczek Bartek, to on

będzie chodził z nim na spacer. To także on, pułkownik Kuliński, wpoi dziecku męskie zasady. Bo w tym babcinym to...”.

– Coś takiego! Spodziewacie się dziecka!? Nie wiedziałam! – Zosia, śmiejąc się, tarmosiła mamę po brzuchu.

– Nie żartuj. Tata chce doczekać jeszcze wnuka! Jesteś już po czterdziestce!

– Nic z tego. Nie mam z kim. Właśnie doznałam kolejnej porażki w tym temacie.

– To pojawił się ktoś w twoim życiu? Nic nie mówiłaś? Znamy?

– Tomasz.

– Tomasz? Rostawicki?! Ależ on jest żonaty!

– Żonaty już nie jest, ale to i tak nie ma znaczenia.

– No, w każdym razie – reasumując – jeśli chodzi o wnuka, to czas goni, mam sześćdziesiąt dziewięć lat, a w Polsce mężczyźni... – Tata Zosi posmutniał.

– Wiemy, wiemy, w Polsce mężczyźni żyją przeciętnie siedemdziesiąt dwa lata – przerwały mu, śmiejąc się.

Tomasz zadzwonił pod koniec marca, Zosia odebrała i powiedziała, by nie dzwonił więcej ani nie przyjeżdżał.

– To drugie aktualnie nie jest możliwe, bo jestem właśnie na lodowcu we Francji.

– Jesteś tam z kobietą? Gratuluję.

Zaśmiał się sarkastycznie.

– Nie, z chłopakami. Jak zapewne pamiętasz, mam synów i to oni zawsze będą u mnie na pierwszym miejscu. Uprzedzałem.

– To cię pocieszę. Odpadam w tej konkurencji.

– Zośka, z tobą w ogóle nie można pożartować.

– Tomasz, życie to nie żarty! Poza tym to nie jest rozmowa na telefon.

– Zgoda, zadzwonię, gdy będę w Szczecinku. Życz mi dobrej podróży.

Rzeczywiście, po paru dniach zadzwonił. Zosia powiedziała, że nie mogą się spotkać, bo ona wyjeżdża służbowo, co nie było prawdą. Kładąc się spać, pomyślała, że to koniec nerwów. Musi tylko zamknąć rozdział, poczuła ulgę, że tak się właśnie stanie, o ile oczywiście dotrzyma danej sobie obietnicy. Okazało się, że miesiące bez Tomasza w pobliżu były szczęśliwsze niż te spędzone z nim. Była przynajmniej spokojna.

Tomasz niewątpliwie nie należał do osób, które łatwo rezygnują.

Parę dni później, a był to już początek kwietnia, wstała w doskonałym

humorze. Kilka minut przed południem zadzwonił w domu telefon stacjonarny. Odkąd wszyscy mieli komórki, rzadko dzwonił.

– Magdalena Rostawicka. Przypominasz mnie sobie?

Zośka była jak wytrącona z równowagi.

– Przypominam sobie – odpowiedziała niepewnie. Zdenerwowała się, pomyślała, że Tomkowi przytrafiło się coś złego. Wypadek, napad. Z Magdaleną nie miała kontaktu od czasów Szczecina.

– Wracaliśmy z Międzyzdrojów, mąż gdzieś po drodze umówił się na spotkanie, a mnie, biedaczkę, zostawił u znajomych w Drawsku. Powiedziałam, że chcę odwiedzić dawne kąty. Czy możemy się spotkać?

– Po co? Chyba nie chcesz ze mną oglądać zdjęć ze studniówki? – Zosia zaśmiała się sarkastycznie. Zastanowiło ją słowo „mąż”.

– Nie, raczej nie.

Magdalena. Już nie było w niej krzykliwej, zbuntowanej, bezczelnej nastolatki, wyzwolonej – przede wszystkim tak można było ją nazwać – jaką niewątpliwie była w czasach szkolnych. Przynajmniej z głosu i z tego, w jaki sposób cyzelowała słowa, nic takiego nie wynikało. Zresztą, cała sytuacja była niezwykajna.

Umówiły się na popołudnie w kawiarni. Zosia dostosowała się do propozycji Magdaleny, dobrze się składało, nie musiała tego dnia być w domu opieki, a Tomaszowi przecież parę dni wcześniej opowiedziała bajkę o wyjeździe. Marieta od dawna nie potrzebowała matczynej troski, rodzice zaś cieszyli się z każdego wyjścia córki, mając nadzieję, że właśnie spotyka się z ich przyszłym zięciem.

Zosia ubrała się na spotkanie stosownie. Założyła swoją najlepszą granatową sukienkę z angory i szary wisior, na nogi zaś granatowe czółenka na platformie. Narzuciła szarobłękitną dyplomatkę z szarym kołnierzem z karakułów i takim samym obszyciem mankietów.

Chwilę siedziała przy stoliku, kiedy do kawiarni weszła wysoka, bardzo szczupła kobieta, właściwie dziewczyna, z długimi lśnącymi, ciemnobrązowymi włosami, z prostą puszystą grzywką, równo przyciętą nad brwiami. Czarny płaszcz zostawiła przy wejściu, a sweter z opuszczanym golfem, czarne spodnie i kozaki za kolana dopełniały całości. Na szyi miała kilka sznurów z artystycznymi zawieszkami. No i usta, i paznokcie w jaskrawej czerwieni. Wszyscy goście zwrócili na nią uwagę, nikt nie pozostał obojętny, wyglądała na stanowczą, władczą kobietę wielkiej klasy.

I... kasy. Nie pasowała do tej kawiarni.

Cmoknęła Zosię w policzek, pachniała Insolence Guerlaina. Dopiero niedawno te perfumy pojawiły się na rynku, Zosia wahała je w perfumerii, ale w ostateczności nie kupiła ich, bo zbyt wyczuwalne było piżmo, która to nuta do niej nie pasowała. Używała kompozycji kwiatowych, ale ten wyrafinowany zapach zapamiętała bardzo dobrze.

– Pięknie wyglądasz! Dojrzałość tobie służy. A mnie jak znajdujesz? – Magdalena siadła przy stoliku, zakładając nogę na nogę. Czarną torebkę z mosiężnymi okuciami rzuciła na wolne krzeselko. Miała bardzo szczupłe i jasne dłonie, przez co czerwień długich paznokci (najprawdopodobniej żelowych) rzucała się w oczy. Zosia patrzyła jej w oczy, które, mocno podkreślone szarymi cieniami, były wielkie i fiołkowe. Gdyby oczy rzeczywiście odzwierciedlały duszę, Magdalena byłaby aniołem.

– Zastanawiam się, dlaczego sobie o mnie przypominałaś – powiedziała po chwili milczenia Zosia.

Magdalena zaśmiała się gardłowo. Umilkła, kiedy kelnerka pojawiła się przy ich stoliku. Złożyły zamówienie.

– Właściwie nigdy o tobie nie zapominałam – odpowiedziała na pytanie Zosi dopiero wtedy, kiedy kelnerka odeszła.

– Tak jak i ja.

Chwilę milczały, powróciła kelnerka. Postawiła przed Magdaleną herbatę jaśminową, a dla Zosi waniliowe cappuccino.

– Tylko ty z naszej trójki pozostałaś normalna. Nie zepsuło cię życie – zaczęła Magdalena.

Zosia uśmiechnęła się i rozłożyła ręce, jakby chciała tym gestem wyrazić żal. Tak naprawdę z trudem powstrzymywała się, by nie rzucić Magdalenie w wyfiokowaną twarz jednego zdania: „On zawsze był mój, wtedy i teraz też jest!”. Wstrzymywały ją przed tym tylko wrodzony takt i delikatność.

– Uciekaj od niego. Uciekaj. – Magdalena jakby czytała w jej myślach. – Oczywiście Tomek dzisiaj wybrałby ciebie, ja to wiem. Chce się wypięknąć. Chce zrównoważyć się, zbilansować. Ty jesteś taka dobra, bawiąca się w charytatywność, była nauczycielka, nikt nie uwierzy, że możesz się zadawać z kimś sobie niegodnym. Nie wchodź pomiędzy nas. Źle na tym wyjdiesz.

– Co ty możesz wiedzieć? – Tak naprawdę Zosię przeraził podtekst, ale nie na tyle, by przegrać walkowerem.

– Wiedziałam! Ty nigdy nie przestałaś go kochać! Błąd. Tomasz i ja jesteśmy

tacy sami, nieobliczalni, zepsuci. To pieniądze nas popsęły, staliśmy się maszynkami do ich zarabiania, a że oboje mamy do tego talent, to wyszło, jak wyszło.

– Wiesz... Nawet nie zapytałaś, czy ja chcę to wszystko wiedzieć.

– Zabrzmiało, jakbym popełniła nietakt. Nie dbam o to, jeśli chcesz wiedzieć. To jest moja druga przysługa dla ciebie. Powinnaś mi być wdzięczna – Magdalena mówiła spokojnie, zarówno jej głos, jak i mimika twarzy nie wyrażały żadnych emocji. Uśmiechała się lekko, ale wyglądało to tak, jakby chciała pokazać się z grzecznej strony. Zosia знаła ją, ale nie była przygotowana na taki typ rozmowy. Wołała żyć świadomością, że ludzie są dobrzy. Tymczasem Magdalena próbowała obnażyć przed nią świat bezwzględny, zimny.

– Moja rodzina zawsze należała do bogaczy – ciągnęła Magda, nie czekając, co ma do powiedzenia jej rozmówczyni. – Więc można powiedzieć, że popsuta byłam od dzieciństwa, zresztą nie kryłam się z tym przed tobą. Nawiasem mówiąc, dobrze byś na tym wyszła, gdybyś trochę przy mnie się popsęła. Tomasz wywodził się z rodziny niemającej, podobno gdzieś pod Lwowem zostawili jakieś włości, o czym wciąż mówił dziadek Rostawicki, ale to była przeszłość albo mity. Czy zdążył tobie opowiedzieć historię, jak jego ojciec sprzedał obrączkę, by Tomusiowi kupić kolejkę? No to możesz sobie wyobrazić, co pieniądze czynią z kimś, kto od dzieciństwa marzył wyłącznie o ich posiadaniu. Myślisz, że wtedy w Szczecinie on się we mnie zakochał?

– Myślę, że tak.

– Nie masz racji, śliczna. Byłam jego trampoliną do dobrobytu. Ale mi też to pasowało. Bo ja go kochałam, dostrzegając w nim te cechy, których ty pewnie nie dostrzegłabyś nigdy. Każdy widzi to, co chce zobaczyć.

– Czegoś nie rozumiem. Dlaczego w takim razie go zostawiłaś?

– Ja? Nigdy go nie zostawiłam ani on mnie. Rozwiedliśmy się, owszem, ale dla finansowego bezpieczeństwa. Prawda jest taka, że ja w Rzeszowie nadzorowałam filię, którą zarządza wspólnik.

– Mężczyzna... Przespałaś się z nim?

– Z kim?

– Z tym wspólnikiem. Z tego, co obie wiemy, pruderyjna nie byłaś nigdy. Magdalena zaczęła się śmiać.

– I tutaj cię zaskoczę. Najbardziej lubię sypiać z pieniędzmi.

– Straszne to wszystko. Po co mi to mówisz? – Zosia jeszcze raz powtórzyła swoje pytanie.

– Myśl sobie, co chcesz, ale ja i tak do śmierci będę o niego walczyła, nigdy nie pozwolę sobie na rywalkę. Do śmierci, rozumiesz! To mój mąż, ale też brat.

– Cóż za zmiana frontu? Brat, a może synek jeszcze? – Zaśmiała się Zosia.

– Oddał mi swoją nerkę. To brat.

Zosia spojrzała na Magdalенę inaczej. Włosy, szczupłość.

– Nerkę? Dlaczego? Kiedy?

– Najpierw niewydolność, dializy, leczenie, cztery miesiące temu guz.

Wszystko było jasne. Nieobecność Tomka, wyzywająca fryzura Magdy, a właściwie peruka, wyzywający makijaż, tak bardzo pasujące do jej osobowości, nie raziły. Wszystko ze sobą konweniowało. Raziłoby, gdyby Magdalena przyszła z lichą czupryną na głowie, bez makijażu. Gdyby była słaba i potulna.

Zosia dotknęła ręki Magdy. W jednej chwili zapomniała o urazach, jakie do niej chowała latami.

– Samarytanko. – Uśmiechnęła się Magdalena. – Proszę cię, zwiąż się z kimś godnym ciebie, na pewno ci się to uda. Wystarczy, że uwolnisz się od wspomnień. No i spójrz na mężczyzn jak na produkt do konsumpcji. – Zaśmiała się.

Cała Magda. Pożegnały się.

– Nie powiesz Tomaszowi o naszej rozmowie? – zapytała Magda.

Zosia nic jej nie obiecała, ale sobie tak. W myślach planowała, co powie Tomkowi. Czy powie? Czy się z nim spotka? Nie chciała kończyć ich związku przez telefon. Za jakiś czas pewnie znów upomną się o siebie. Na koniec przytrzymała Magdę za rękaw. Musiała całkowicie rozwiązać swoje wątpliwości.

– Magdaleno, możesz mi powiedzieć, czy się widywaliście po tym waszym biznesowym rozwodzie? – Patrzyła jej w oczy.

– Oczywiście, dwa, trzy razy w tygodniu przyjeżdżał do Rzeszowa. Jakbyś chciała jeszcze pogadać, to do jutra jestem w okolicy, ale potem firmowy kierowca odwozi mnie do Rzeszowa. Tomasz zostaje w Szczecinku, sporo czasu nas nie było, musi w firmie posprzątać.

Tak, mówiła prawdę i tylko prawdę, fiołkowe oczy nie kłamały.

Następnego dnia zadzwonił Tomasz, znów przepraszając za incydent

z grudnia. Poprosił o spotkanie w mieszkaniu w Czaplinku. Spotkali się w Drawsku na lunchu.

– Tomasz, to jest nasze ostatnie wspólne popołudnie. – W ten sposób się przywitała.

– Przecież ciebie przeprosiłem! – Odsuwał krzesło dla Zosi.

– Jest ktoś w moim życiu, to dla mnie ważne – skłamała, gdy usiedli. – Bardzo go kocham. Planujemy ślub.

Jakże trudno było jej powstrzymać cisnące się do oczu łzy! Musiała się mocno starać, by się nie rozkleić. Pomogła reakcja Tomasza na jej słowa. Wstał od stolika. Poczzerwieniał na twarzy i wrzasnął, nie zważając na to, że robi widowisko.

– Wiesz, zabawna jesteś! Z iloma naraz się spotykałaś!?

– Możesz ciszej? Usiądź, nie jesteś na ambonie! Niczego tobie nie obiecywałam.

– Nie obiecywałaś? Idąc z facetem do łóżka, dajesz mu do zrozumienia, że coś między wami jest! Ty mnie prosisz, bym teraz był ciszej?!

Usiadł jednak przy stoliku, wciąż oburzony.

– Tomasz, uspokój się. To nie tak. – Zosia postanowiła kontynuować kłamstwo. – Znamy się od bardzo dawna, Marieta go zna i lubi. Rodzice akceptują.

– Mnie tymczasem trzymałaś w ukryciu! A wiesz co? Wal się! – Wstał i wyszedł, pozostawiając Zosię z niesmakiem po rozmowie przy stoliku. Zaczęła się zbierać do wyjścia.

Po chwili wrócił i usiadł.

– Zosiu, przepraszam, bardzo ciebie kocham, nie zostawiaj mnie. Nie będę potrafił bez ciebie żyć.

– Wróc do Magdy, jesteście z tego samego świata, ja jestem inna. Mnie można bardzo łatwo zranić.

Zosia wstała od stolika, pogłaskała Tomasza siedzącego wciąż z opuszczoną głową. Przytrzymała jej rękę, potem odsunął.

W ten sposób się rozstali.

Tomasz potem dzwonił jeszcze kilka razy, ale Zosia nie odbierała telefonu. Z czasem przestał. Gdzieś po miesiącu wyczytała w prasie, że wygrał konkurs na przedsiębiorcę roku województwa. Widziała zdjęcie, prezentował się bardzo dobrze, wśród nagrodzonych był najmłodszy. Wysoki, przystojny, dobrze ubrany w granatowy garnitur z lekkim prążkiem. Osiągnął sukces.

Widziała w telewizji, jak z rąk starosty odbierał statuetkę. Towarzyszyła mu Magdalena, tym razem miała krótką ciemną fryzurkę, pewnie włosy jej odrosły. Też było jej bardzo z nimi do twarzy. Zosi znów serce zadrżało, ale szybko przypomniała sobie powody, dla których musieli się rozstać. Opanowała się. Z czasem rana, mimo że otwarta po raz drugi, sama zaczęła się goić. Zosia była zmęczona, ale wciąż wolna i niezależna, a jednak nieudane związki uczyniły ją spętaną doświadczeniami i urazami.

Była w emocjonalnej niewoli u samej siebie.

Grudzień 2012, druga połowa miesiąca

Zosia zakończyła kilka tłumaczeń, musiała się z nimi pospieszyć. Wiedziała, że przed świętami nie znajdzie na nie czasu. Będzie się wtedy bardziej poświęcać dzieciom, a popołudnia spędzać z Igą i jej rodziną oraz z Koronowskimi. Umówiła się też z Michałem, że zjedzą symboliczną wigilię w Poznaniu w restauracji. Przełamią się opłatkiem, pogadają. Dzień wcześniej długo rozmawiali przez telefon. Michał powiedział, że ma nowe informacje o synu, że po nowym roku planuje polecieć do Ameryki Południowej. Musi zgromadzić jeszcze kilka setek, ale to było już niewiele w stosunku do całości kosztów eskapady. Skąd to znała! Też z trudem wiązała koniec z końcem. Też z powodu swojego dziecka.

Z Michałem jednak ułożyło się dziwnie. Niby wszyscy we wsi wiedzieli, że się spotykają, ale na temat mężczyzny panowała jakaś zмова milczenia. Tylko dzieci kiedyś się wygadały, że wiedzą. Co niby wiedziały? Temat Piotra pojawiał się często. Piotr to, Piotr tamto. Kiedy przyjedzie? Dawno go nie było. I tak dalej. Jej życie osobiste było w Złotniczkach przedmiotem zainteresowania, ale nie zaprzętała sobie tym głowy.

Umówili się na dworcu, Zosia ubrała się elegancko, w turkusową dzianinową sukienkę z dużym opadającym golfem. Oczy i usta podkreśliła kredkami. Pojechała pociągiem, a Michał zadeklarował, że po kolacji odwiezie ją do domu. Pociąg wjeżdżał na dworzec Poznań Główny nieco spóźniony. Od razu Michała zauważyła. Czekał na peronie i tupał nogami z zimna. Ubrany w dwurzędowy szary płaszcz, na szyi miał zakręcony wełniany szal w podłużne pasy. W ręce trzymał kwiaty.

Podał Zosi rękę, gdy wysiadała. Potem uroczyście wręczył kwiaty.

– Nie muszę chyba mówić jak się cieszę, że jesteś. Cudownie wyglądasz. –

Taksował ją spojrzeniem. Była w starym granatowym płaszczu, ale krawcowa obszyła go na kołnierzu i mankietach futerkiem. Wyglądał jak nowy.

– Dziękuję. – Też mu się przyjrzała. Gdyby pochwaliła jego za wygląd, byłaby nieszczerą. Jasne, miał wyczerpujące rodzinne kłopoty.

– Wyglądasz na zmęczonego, potrzebujesz pomocy?

– To minie. Sporo ostatnio miałem na głowie, sama wiesz, Zosiu. – Westchnął.

Nigdy nie powiedział na nią inaczej niż „Zosiu”, to budowało jej zaufanie, ale zdawała sobie coraz bardziej sprawę, że tęskniła za czymś – ze strony Michała – bardziej... intymnym? Była jednak wybredna. „Najdroższa”, „moja miła”, „kochana” i „kocham” – te słowa od jakiegoś czasu dyskwalifikowały w jej oczach każdego mężczyznę. Natychmiast tworzyła dystans.

– Kiedyś twoje kłopoty się skończą. – Pocieszyła Zawieję.

Michał spojrział na nią z góry i pocałował w czubek głowy. Potem zaproponował spacer w stronę Zamku Cesarskiego. W restauracji na jego tyłach miał zamówiony stolik. Było niedaleko. Zosia wzięła go pod rękę, co wyraźnie sprawiło mu satysfakcję. Dobrze się z nim czuła. Bezpiecznie. W zasadzie mogli tak iść i nic nie mówić. Michał był skupiony na Zosi, trzymał ją mocno, by nie poślizgnęła się na chodniku, gdzie zdarzały się odcinki nieuprzątnięte ze zbitego śniegu.

Po drodze opowiadał historie z pracy, ale Zosia nie była ich ciekawa. Wypytywała go o syna. Powiedział, że osiągnęli pierwszy sukces. Wiadomo już było, że jego chłopiec mieszka niedaleko Caracas razem z matką i podobno mają się dobrze. Mógłby do niego wysłać list, ale w ten sposób niewątpliwie przedwcześnie by się ujawnił. Znowu by uciekła. Kiedy o tym mówił, był potwornie smutny, a Zosia razem z nim.

– Maras! Maras! – Gdzieś, z okolic wejścia do Zamku słyhać było krzyki. Zosia spojrziała tam. Z budynku wychodziła grupa rozwrzeszczanej młodzieży. Wśród nich młody ksiądz i dziewczyna wyglądająca na oko na o kilka lat starszą od wszystkich w grupie. To ona się tak wydzierała.

– Maras! Nie poznajesz? To ja, Mimi.

Zosię drażnił piskliwy głos rozwydrzonej dziewczuchy. Mogłaby się opanować. Była w miejscu publicznym, co zobowiązywało do tego, by się jakoś zachowywać. No, ale dziewczyna wyglądała na ćpunkę. Była ubrana na czarno, włosy miała długie, ciemne, splątane i mocno usztywnione żelem. I widać było mnóstwo kolczyków w nosie i w uszach, błyszcząły w świetle

latarni. Na głowie zatknęła skórzaną rogatywkę. Nikt do niej nie podszedł. Michał lekko pociągnął Zosię do przodu.

– Chodźmy, to jakaś wariatka.

Dziewczyna odłączyła się od grupy, dała kilka kroków do przodu i przystanęła na chodniku. Zaczęła lizać sobie rękę, patrząc bezczelnie w oczy Michałowi. Wyglądało to lubieżnie, Zosia oburzona jej niestosownym zachowaniem, stała jak wryta, nie potrafiła odejść. Dziewczyna dała kilka kolejnych kroków, była już tylko o parę metrów od nich. Przestała się lizać, ale zarechotała.

– Nie poznasz mnie? – Mrużyła obrysowane czarną kredką oczy.

Dziewczyna nie była sama, lecz w grupie nobliwie wyglądającej młodzieży, wszyscy za nią cierpliwie czekali.

– Nie wygłupiaj się, Maras! Straciłeś pamięć? – Dziewczyna znów dała krok w ich stronę.

– Skończ, kobieto! Nie znamy się. Żegnam. – Michał, wyraźnie zdenerwowany, podniósł głos. Wziął Zosię za rękę i szarpnął. Zosia jednak stała w miejscu.

– Michał, wyjaśnijmy nieporozumienie. Po prostu powiedz pani, jak się nazywasz.

Dziewczyna dalej nacierała.

– Ale się odpierdzieliłeś! Ja nie mogę! Nie było ciebie na spotkaniach oazowych, telefon masz wyłączony, myślałam, czyś nie zachlał! – Dziewczyna z bliska była znacznie ładniejsza. – No co tak patrzysz, jakbyś mnie chciał zjeść na obiad?! To dziwne, że się cieszę?

Michał zostawił Zosię i dał dwa kroki w kierunku Mimi. Zosia widziała jego plecy i zaciśnięte dłonie.

– To pani znajomy? – Dziewczyna wyminęła Michała i stanęła obok Zosi.

– Tak, to Michał Zawieja.

– Michał Zawieja. Żałosne. – Prychnęła dziewczyna. – Jeśli facet nie przedstawia się swoim nazwiskiem, kiepsko to może w przyszłości wyglądać – powiedziała ciszej dziewczyna, a potem odwróciła się i zawołała do księdza, z którym wyszła z Zamku. – Mogę prosić?!

Ksiądz skinął głową, dał parę kroków, kiedy podszedł do Michała, poklepał go po plecach.

– Witaj, Marku!

Michał w zamieszaniu był po prostu pasywny, jakby nie zależało mu na

wyjaśnieniu pomyłki, co zaskoczyło Zosię.

– Może pokaż państwu swój dowód tożsamości – zaproponowała.

– Po co? – burknął.

– To Marek Gibałt, jestem pewien – powiedział ksiądz.

– Na drugie Palant – dopowiedziała dziewczyna. – Powiedzieć więcej? Narkoman, alkoholik, lubi metal, hip-hop i ostry, brutalny seks. To ostatnie było jego specjalnością – dodała złośliwie, wyraźnie znajdując radość w upokorzeniu Michała.

Było coś takiego w oczach dziewczyny, w tonie, już nie tak hałaśliwym, że Zosia była prawie pewna jej prawdomówności.

– Możesz mi powiedzieć, kiedy widzieliście się ostatni raz? – Zosia zadała jej to pytanie, choć najbezpieczniej dla jej emocji byłoby zatkać uszy, uciec, dotrzeć jak najszybciej do domu, zamknąć się w nim i nie wychodzić. Płakać, płakać, płakać.

Michał spojrzał na Zosię błagalnie.

– Chętnie. To było dwa miesiące temu – powiedziała dziewczyna, patrząc Michałowi prosto w oczy.

– Nie możemy go aż tak potępiać. Marek miał trudności ze znalezieniem pracy, szukał oparcia w oazie, bardzo dobrze, niestety, po incydencie z pieniędzmi znikł ze Szczecinka. Choć suma nie była duża, grupa go natychmiast wykluczyła. Do dzisiaj mam wątpliwości, czy słusznie – powiedział ksiądz.

Szczecinek! Zimne oczy Michała, jakże inne od tych, które znała, potwierdzały słowa księdza i Mimi. Jak mogła być tak łatwowierna!

– Rozumiem, że nie lubisz opery? Nigdy nie śpiewałeś w chórze uniwersyteckim? Nie pasjonujesz się muzyką symfoniczną? Generalnie – nie? – Zosia nie spodziewała się ze strony Michała odpowiedzi.

– Opera? – Mimi zaczęła się histerycznie śmiać. Ksiądz wziął ją pod rękę i prawie ciągnął w stronę grupy, wszyscy siedzieli już w autokarze. Dziewczyna wciąż się głośno śmiała, jakby uczestniczyła w szopce. Coś w tym było.

– Syna z Wenezuelką też nie masz? – zapytała już *pro forma*.

Zniknęła gdzieś jego pewność siebie, hardość, jaka chwilę wcześniej go cechowała.

– Przestań. Jestem uczciwy, z Mimi się rozstałem – zaczął niepewnie. – Dopiero dzięki tobie zrozumiałem, jakim człowiekiem powinienem być. Dla

ciebie chciałem być lepszy!

Nic nie powiedziała. Było już po wielkim romansie. Idiotka! Tak o sobie myślała. Była zraniona, jej duma urażona, wykpione uczucia. Który to już raz?! Zosia uważała ludzi za dobrych z natury. Choć przekreśliła Michała parę minut temu, uczyniła to wyłącznie w swoim kontekście, a nie przekreśliła go jako człowieka.

Michał tudzież Maras chwycił Zosię za rękę.

– Porozmawiajmy! Powiem całą prawdę, ale mnie nie zostawiaj. Nie jestem złodziejem, nie ćpam, nie piję, od dwóch miesięcy uczciwie pracuję w fabryce samochodów w Swarzędzu. Przyjechałem do Poznania, bo chciałem cię chronić!

– Mnie chronić? Przed czym?

– Przed złymi ludźmi.

– To chore! Musiałeś się sporo napracować i naczytać, by złapać mnie w swoje sidła. Co chciałeś osiągnąć?! – Zośka nie panowała nad głosem.

– Od dawna mi się podobałaś. Od dawna... – potwierdził. – Nie zauważyłaś? No pewnie, byłem i jestem nikim, niepozornym gościem, który nie ma u ciebie żadnych szans. Nawet nie rzuciłaś na mnie okiem, gdy przychodziłem do ojca. Ale jako elegancki koneser sztuki się sprawdziłem, prawda? – Zaśmiał się diabolicznie i mocno chwycił Zosię za nadgarstek. Wyrwała mu się. – Powiedziałem prawdę. Nie odrzucaj mnie! W taki czas nie możesz być dla mnie niedobra!

Rzeczywiście. Miał rację. Nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby tak perfekcyjnie nie zagrał roli idealnego mężczyzny. Marzyła o przyjacielu, podobnym do niej, z którym nie będzie miała powodów do kłótni, który nie będzie egzekwował swoich męskich praw, poczeka za nią, aż rozprawi się ze swoją przeszłością. Nawet chciała mu ją opowiedzieć.

– Dziwi mnie tylko, skąd wiedziałeś, co ja lubię? – powiedziała smętnie. – Śledziłeś mnie? – Choć na dworze było kilkanaście stopni mrozu, Zosia nie czuła zimna. Niemniej, trzęsa się jak w febrze.

– Z Facebooka, z naszych rozmów, z Google'a. Zewsząd. Gdy się kimś interesujesz, przeczujesz cały Internet, by coś znaleźć. To dziwne? Karalne?

Obca dziewczyna oświeciła ją, że mężczyzna, którego miała za „grającego na tych samych falach”, to człowiek, o którym nie wiedziała nic. Jak akwizytor w bezlitosnej gospodarce wolnorynkowej udawał przyjaźń, aż nabrała ufności. Sprzedał jej siebie jak proszek, który pierze lepiej od zwykłego.

– Popeliłeś jedno niedopatrzenie. Nie przeczytałeś, co u faceta cenię najbardziej. To szczerosc i prawda. Wiesz, co to znaczy?

Odwrociła się i odeszła szybko, pozostawiając go na chodniku przed Zamkiem. Co czuła? Radość, ulgę, satysfakcję, strach, niepewność? Raniące jej duszę rozczarowanie. Na Fredry wsiadła w tramwaj, wysiadła z niego na przystanku przed dworcem. Miała szczęście, pociąg był od razu. Wsiadła do ciepłego wagonu. Obrazy za oknem pojawiały się i znikaly.

Znajome, a jednak dzisiaj, jakby inne.

Po dwóch godzinach, kiedy już wróciła do domu, zmieniła ustawienia na Facebooku. Odtąd zdjęcia i wszelkie zmiany statusu widzieć mogli tylko jej znajomi, poza tym wyrzuciła z tego grona absolutnie wszystkich, których nie znała.

Następnego dnia rano wiedziała już, że w domu pomocy w Drawsku rzeczywiście jednym z podopiecznych był Zenon Gibałt. Przeszło siedemdziesięcioletni alkoholik, bezdomny, żona wyrzuciła go z mieszkania komunalnego, potem sama zmarła. Czasem odwiedzał go syn. Jeszcze parę miesięcy temu. Potem już nie.

Przeszło miesiąc temu Zenon Gibałt zniknął, do tej pory nie pojawił się więcej. Nikt z rodziny go nie szukał.

– Może zamarzył? – zasugerował Piotr. – Pytasz, bo?

– Pytam za późno. Ech.

Kolejnego dnia po południu Basia zastała Zosię siedzącą w domu o ciemku.

– Siedzisz jak przed laty ukrywająca się przed komornikami Iga! Znalazłabyś sobie kogoś... To znaczy Piotra. To fajny facet.

– Zbyt duża różnica płci – odpowiedziała Zosia. – Nie mogę na facetów patrzeć. Znów popeliłam ten sam błąd. Uwierzyłam.

– Komu?

– Michałowi.

– Ty i Iga, same przeciwności. Ona wierzyła im za bardzo, ty w ogóle.

– Wydawało mi się, że wszystko pasuje. Jak nikt potrafił odgadnąć moje myśli. Potem się okazało, że czytał z Facebooka, jak z mojej duszy. A ja, idiotka, klejałam wpisy, sądząc, że czytają je tylko przyjaciele. Wiedział, co lubię, co myślę, a potem, chcąc mi się przypodobać, zbierał informacje na

interesujące mnie tematy w necie i brylował informacjami o Callas, o rosyjskich kompozytorach, o muzach Yves Saint Laurenta, zbierając u mnie punkt za punktem. Mówił, że jest manedżerem w firmie logistycznej, a tymczasem składa auta i na pewno nie lubi muzyki takiej jak ja, a o Callas pewnie się dowiedział za moją przyczyną.

– On dziwny był od początku. I pomyśleć, że uciekając przed Piotrem, wpadłaś na takiego kłamczucha! Dobrze. Skąd się tutaj wziął?

– Z Drawska, miał ojca u nas w ośrodku. Wiedząc, jaka jestem, pewnie liczył na moje dobre serce. Tylko dlaczego mnie miał za aż tak łatwowierną?

– Chcesz ludziom pomagać, zapominając o sobie, poświęcasz się dla innych, a to właśnie ty potrzebujesz drugiego człowieka, mężczyzny. Szlachetnego i prawdomównego, się rozumie. Zapomnij o popaprańcach, których spotykasz. Z jakichś powodów wpadasz na właśnie takich, ale to nie jest próbka reprezentatywna. Czas otworzyć się na mężczyznę na dobre i złe. Piotr... Stawiam, że nie byłoby fana Callas ani domorosłego poety, jeśli byłabyś z Piotrem. Co on musi zrobić, żeby ciebie do siebie przekonać?

– Strasznie lobbujesz na jego rzecz.

– Bo ja mam oko do mężczyzn. Patrzysz na niego jak na jeża, ale gdzieś pod skórą sama na pewno czujesz, jestem tego pewna, że to on jest dla ciebie stworzony. Nie chciałybyś budzić się przy fajnym facecie, który patrzy na ciebie jak na obrazek, który jest na twoje każde skinienie? Nie żali się, nie wścieka, po prostu czeka, bo wie, że tylko ty możesz go uszczęśliwić? Że gdy jesteście razem, byle piorun was nie przerazi...

– Piorun? Rozmawialiście o mnie, teraz już wiem.

Barbara chwyciła Zosię za ramiona.

– Dziewczyno, ocknij się. Chcesz to zniszczyć? Chcesz złamać mu serce tak, jak ktoś to uczynił z twoim? Chcesz być taka sama jak Tomasz? Jak Michał? Jak oni wszyscy, ci, którzy sprawili, że jesteś na miłość zamknięta jak stary kufer na strychu? Kufer ma zardzewiałe zamki, które nie puszczają. Ale ty masz rozum i serce.

W oczach Zosi pojawiły się łzy.

– I jeszcze coś dodam. Muszę. Myślę, że znacznie łatwiej jest pomóc innemu człowiekowi, dać mu jeść, jakieś pieniądze, może wystarać się o zasiłek, zorganizować buty na zimę, to nie jest trudne. Tylko trzeba pamiętać, by w tym wszystkim nie zapomnieć, że życie ma głębię. Nie jest powierzchowne, od zadania do zadania. Satysfakcjonujące życie w parze ma kilka pokładów tej

głębi, i wierz mi, starzeje się twarz, ciało, ale serce i dusza nie. Więc odważ się, kochaj i bądź kochana.

Zosia się rozpłakała.

Słowa Basi trafiły ją w samo serce. Nikt jej nie rozumiał tak jak Basia. Urodziła się, czy jej się to podobało, czy nie, z gotowością na miłość. Miała przede wszystkim potrzebę jej dawania, generowała pozytywne emocje. Dlatego był Michał.

Sorry. Maras.

Tuż przed wylotem do Polski (byli już na lotnisku) Iga i Kosma usłyszeli, a wraz z nimi cały świat, że w stanie Connecticut, w szkole podstawowej doszło do strzelaniny. Zamachowiec po dokonaniu masakry strzelił sobie w łeb. Nauczyciele ewakuowali dzieci, tłumacząc im, że na korytarzach szaleje dzikie zwierzę. Dzieci kryły się w toaletach i szafach. Iga była przejęta. Wyobraziła sobie Stasia, jak się boi, szuka kryjówki. Wyobraziła sobie, co czuły matki, których dzieci zginęły.

Podczas lotu rozmawiali o tym z siedzącymi obok pasażerami.

– Od mordu do mordu, od masakry do masakry, od wojny do wojny. A my nazywamy to demokracją! – To słowa młodego Polaka, który wracał do kraju.

– Nie zgodzę się. Demokracja to demokracja, mord to mord. Wszystkiemu winien jest swobodny dostęp do broni. Dawniej ludzie się zabijali, ale w imię jakichś idei. Dzisiaj robią to dla rozrywki, z nudów, uśmiercając na komputerze. Aż co bardziej zdemoralizowanym typom komputer przestanie wystarczać. – Do rozmowy włączył się Amerykanin pracujący w banku w Polsce.

– To frustracja rodzi agresję. Powstaje jedno ważne pytanie, w jaki sposób ktoś z gotową do wystrzału bronią w ręce, podobno zamaskowany, mógł wejść do szkoły? Gdzie monitoring, alarmy, ochrona? – Zastanawiał się Kosma.

– W naszej szkole drzwi były szeroko otwarte dla wszystkich, na portierni siedziała jedna woźna. Pamiętasz? – Igi wspomnienia wywołały na twarzy Kosa uśmiech, a Staś prychnął.

– Mamo, to była wiejska szkoła! – odpowiedział.

– W Stanach co chwilę coś makabrycznego się dzieje, jakaś masakra. – Upierał się młody Polak.

– Za to Polacy mają ułańską fantazję za kierownicą i jeżdżą po pijaku. Nikt się tym nie przejmuje, na pijaka nie wypada donieść, bo przecież policji się nie kabluje. – Obruszył się Kos.

Te wydarzenia postawiły pieczęć pod decyzją Igi o przeniesieniu części interesów do kraju. Podczas lotu nie mogła zasnąć. Kosma założył opaskę na oczy i chrapał, Staś świszczał. Ona sączyła sok grejpfrutowy i wcale nie miało jej się na sen.

– Lato w Polsce, zima na Florydzie? – powiedziała głośno z ustami przy uchu Kosa, dała mu kuksańca w bok, aż podskoczył.

– Co? Co?

– Nic. Lata będziemy spędzali w Polsce, a zimy na Florydzie.

– Przestań, trzeba jeszcze na to zapracować.

– Już ty się nie bój. Ty śpisz, a ja kalkuluję.

W Warszawie z lotniska odebrała ich Ola.

– Słyszeliście? Zabrał życie trzydziestce niewinnych maluchów. Jakie to niesprawiedliwie! – Ola też była wstrząśnięta.

2012, Boże Narodzenie i sylwester

Docierali do Nadrożna, po drodze obserwując zza okien samochodu ogólnonarodowe przygotowania do świąt Bożego Narodzenia. Okna w większości domów były ustrojone, a choinki mieniły się od świateł. Iga ze Stasiem w domu Basi i Ryszarda padli ze zmęczenia, nawet nie porozmawiali, a Kosma od razu pojechał do Złotniczek, żeby odwiedzić rodziców i brata.

Nie było im dane pospać. Kilka minut po wyjściu Kosa, zadzwoniła z Konina sąsiadka Leszka, że były mąż Igi jest w szpitalu. Miał zawał. Do pokoju weszła Basia i od razu wiedziała, że wydarzyło się coś niepokojącego. Mina Igi trzymającej przy uchu telefon zwiastowała co najmniej tragedię. Basi ze strachu zabrakło tchu. Jak nic coś z Olą!

– Jasny gwint! – zaklęła Iga, kasując połączenie. – Natychmiast musimy pojechać do Konina! Twój tata jest umierający! – Staś zapłakał. – Basiu sprawdź, proszę, o której mamy pociąg! Przepraszam, że tak wyszło.

Iga i Staś zakładali kurtki.

– Pociągi do Konina jeżdżą naprawdę bardzo często – odpowiedziała Basia. Kiedy usłyszała, że chodzi o byłego męża Igi, strach jej minął, przeistoczył się w zwyczajne zaciekawienie. – Na pewno jego stan jest tak ciężki? Stracił

przytomność? Kiedy to się stało? Tak nawiasem mówiąc, każdy jest kowalem swojego losu. To było do przewidzenia!

– Jest przytomny i podobno nie czuje się najgorzej, ale zawał to zawał. Dla mnie kłopoty z sercem oznaczają kaplicę.

– Zawiozę was, oczywiście, ale nie sądzę, że powinnaś ciągnąć ze sobą dziecko. Staś, na pewno chcesz pojechać do ojca?

– Nie wiem. A muszę?

– Nie musisz. Dobra, zostaniesz tutaj – powiedziała Iga. – Proszę mi ładnie ubrać choinkę. Mają na niej wisieć papierowe łańcuchy i bombki. Generalnie trzymajcie za Leszka kciuki. Basiu, odwieziesz mnie do Poznania? Staś, bądź grzeczny dla Rysia.

Jadąc do Poznania, Basia zadała Idze podstawowe pytanie:

– Czy ty o tym, że jedziesz do byłego męża, powiadomiłaś Kosmę?

Iga nic nie powiedziała. Po prostu złapała za telefon.

– Kos, jesteś jeszcze u rodziców?

– Tak. Zaraz będę. Przepraszam, ale nie widzieliśmy się szmat czasu. Postaram się kolację zjeść z wami.

– Kilka lat temu w Polsce napytałam sobie biedy na swoje życzenie i ty mi wtedy pomogłeś. A teraz ja mam obowiązek, by pomóc. Jadę do Konina, po prostu Leszek miał zawał i jest w szpitalu.

– Jasne, że powinnaś. Jak długo tam będziesz?

– Nie wiem. To zależy od sytuacji.

– Mogłaś poczekać, aż wrócę, pojechalibyśmy tam razem.

– Chyba się zdenerwowałam. Po prostu chcę, żeby wyzdrowiał i stanął na nogi. I nic więcej.

Barbara ze strachem przysłuchiwała się rozmowie. Niewątpliwie Kosma musiał Igę bardzo kochać, inaczej nie potrafiła sobie wytłumaczyć jego bierności w tej sytuacji.

– Się tak nie dziw – burknęła Iga, czytając myśli Basi z jej twarzy. – Dostałaś?

– Niby co?

– Dokumenty do wypełnienia w sprawie spadkowej po dziadku i jego bracie. Mecenaz miał je tobie wysłać. Znalazłam w Internecie, że mieli przedwojenne polisy na życie w brytyjskim towarzystwie, które, wyobraź sobie, nadal spłaca je spadkobiercom.

– Ty chyba jesteś czarownicą albo masz konszachty z zaświatami!

W szpitalu w Koninie lekarz prowadzący powiedział do Igi mniej więcej to samo co Basia. Zawał był lekki, nie zostawił głębokiej rany, ale jeśli pacjent nie będzie żył higienicznie, sytuacja może się powtórzyć, i to prędko.

Iga wróciła do Nadrożna następnego dnia nad ranem. Od wejścia opowiedziała, że Leszek za swój zawał obwinia ją i Stasia. Poprosiła Koronowskich, by na parę dni pożyczili jej auto.

– Jak chcesz. Równie dobrze ja mogę cię wozić.

– Muszę kupić mu kilka rzeczy i przewieźć do jego mieszkania.

Kosma się boczył, a Basia tylko pokręciła głową. Gdy zostały same, szepnęła jej do ucha.

– Przyszły, zaraz zacznę je wypełniać.

Kolejnego dnia Iga kupiła dla Leszka stacjonarny treningowy rower.

– Dlaczego to robisz? Przecież sama mówiłaś, że nie jest umierający. – Ryszard był solidarny z Kosmą.

– To jest ojciec Stasia. Wystarczy.

– To za ojcostwo należą się profity? Czyżby? – zapytał do tej pory milczący Kosma. Był obrażony, a Podkańskiego po prostu nie znosił. Ale tym razem nie wytrzymał.

– Kosma ma prawo do sarkazmu. Popieram. – Basia też dołączyła do grupy przeciwników pomagania Leszkowi.

– Oj tam. On poza nią nie ma na kogo liczyć. Ja rozumiem Igę. Też bym tak postąpiła. – Wtrąciła się do rozmowy Zosia, która przyjechała do Nadrożna, żeby przywitać się z Igą.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się do niej Iga.

– Zośka. I ty przeciw nam? Nie wiesz wszystkiego. Iga dba, by miał co jeść i co na siebie włożyć, nawet od lat opłaca jego mieszkanie, a on i tak ją o wszystko obwinia i mnoży pretensje. Wcale nie rozmawia, udaje obrażonego. Weź to pod uwagę. – Basia się zagalopowała.

– Igo, to prawda, że ty nadal opłacasz mieszkanie Podkańskiego? I ja mam te rewelacje wytrzymać? – Kosma osłupiał.

– Brałeś mnie z całym dobrodziejstwem inwentarza. – Obruszyła się Iga. Ale było jej przykro, że Kos o tym, że ona wciąż finansuje byłego męża, dowiedział się w takich okolicznościach, i to od osoby trzeciej.

Atmosfera się zagęściła. Nie było na co czekać. Tym razem Staś chciał odwiedzić ojca, pojechali więc we dwójkę. I zostali tam na święta! Ileż było zaklęć, by wrócili. Na nic.

– Muszę mu pomóc. – Iga była zdeterminowana, przez telefon powtarzała to samo co parę dni wcześniej. – Nie podałam mu ręki, gdy byłam w Polsce, teraz muszę. Byście widzieli, to cień człowieka. Robimy porządek w jego mieszkaniu, na szczęście zaczyna w nim jakoś wyglądać. Wczoraj przytachaliśmy drzewko, kupiliśmy bombki i lampki. W lodówce mamy już wszystko. Kupiłam, nie gotowałam, bo nawet na dobrą sprawę nawet nie byłoby w czym. Muszę mu jeszcze napisać wniosek o rentę, może mu dadzą. To by było tylko parę groszy, ale płacił podatki, to się należą. Chcę mu jakoś te święta umilić, jak wyjdzie ze szpitala, wrócimy do was.

Najbardziej zdruzgotany był Kosma. Chciał natychmiast pojechać do Konina, obić Podkańskiemu gębę, ale Basia kazała mu ochłonać. Zapowiedział, że się nie odezwie do Igi, choćby padła przed nim na kolana. Klócili się przez telefon. Wszyscy słyszeli. Widać też było, ile to Kosmę kosztuje.

Magia świąt!

Dzień przed sylwestrem Iga zadzwoniła, że Leszek wyszedł ze szpitala, więc mogą wrócić do Nadrożna. Basia od rana piekła pączki. Ola święta i koniec roku spędzała z ojcem i macochą w Warszawie. Tak się umówili. Iga martwiła się o córkę, że nikogo nie ma. Dziewczyna była zbyt silna emocjonalnie i zbyt nastawiona na pracę i sport, co dla wielu facetów było trudne do zaakceptowania. Po nieudanym związku z Matteo chciała być sama, odprawiała adoratorów za każde najdrobniejsze przewinienie. Nawet nie próbowała tworzyć związku. Była zbyt dumna, by udawać miłszą, sympatyczniejszą i głupszą. Nie chciała stwarzać pozorów, pragnęła, by ją ktoś pokochał taką, jaka była.

Kosma chodził nadąsany, mimo że Zosia i Basia zmiękczały go przez całe święta. No, nie całe, bo jeden dzień spędził z Bednarzami. W pozostałe, częstowany smakołykami, rozpieszczany, nie zdołał całkowicie wyjść ze złości, w jaką wpędziła go żona.

Gdy Iga wróciła dzień przed sylwestrem i rzuciła się mężowi na ramiona, to już w ogóle był w siódmym niebie. Całował ją namiętnie, aż Staś, widząc to, krzywił się z udawanego obrzydzenia.

– Nie wessij mi ust! – Przekomarzała się Iga. Wszyscy się z tego śmiali.

No i... potem... poszli do łóżka.

Na sylwestrowy wieczór w Domu Złudzeń Iga założyła czarną asymetryczną sukienkę, z przodu przed kolana, z tyłu do połowy łydki. Przy dekolcie wpięła amarantową różę, założyła szpilki w kolorze głębokiego fioletu. Widząc ją,

wszyscy wstrzymali oddech. Wyglądała cudnie. Kosma też był przystojny w czarnym smokingu.

Tworzyli piękną parę.

Basia była dumna z rodziny, tym bardziej, że do sali weszła Zosia w amerykańskiej sukience od Igi, wyglądała przecudownie. Tylko w kącikach jej ust i w oczach czaił się smutek. Wciąż opłakiwała Michała. Zadzwoił rano, odebrała, w taki dzień nie wypada nikomu sprawiać przykrości. Życzył jej szczęścia w nowym roku.

– Gdybyś wiedziała, że jestem synem alkoholika, nie chciałabyś ze mną rozmawiać. A ja tylko chciałem inaczej żyć.

– Dyskwalifikuje ciebie nie to, z jakiej rodziny pochodzisz, a to, że kłamałeś. Ale nie mówmy już o tym, baw się dobrze.

– Wzajemnie. I do zobaczenia.

Usłyszała, jak cmoknął do słuchawki. Dziwne.

Piotr zaś nawet nie zadzwonił. Wysłał jej na święta i nowy rok internetową kartkę o lakonicznej treści. I to wszystko. Jeden był wart drugiego!

Kończył się trudny rok dla Zosi.

– Niby wszystko elegancko, koniec roku z kochaną rodziną, ale jak pomyślę, że są ludzie, którzy spędzają ten wieczór sami, chorzy. Jak im pomóc? – wypowiedziała się nostalgicznie Iga, gdy już siedli przy stole na dole Domu Złudzeń.

Sala była ozdobiona serpentynami, balonikami, wisiały papierowe gwiazdy i bombki zrobione przez dzieci. Krzesła ubrane były w białe „sukienki”, a na stole stała kolorowa zastawa, a w niej mnóstwo jedzenia. W telewizorze leciał koncert sylwestrowy z Warszawy.

– Głupoty, przecież pomagasz. Dzisiaj się ciesz z tego, co masz. – Basia wzruszyła ramionami. – A tak w ogóle... pięknie wyglądasz. Kiecka jak marzenie, a takie buty widziałam w kolorowej gazecie, to ostatni krzyk mody. O co ci chodzi? – dziwiła się Basia. Oczywiście, Barbara doskonale zdawała sobie sprawę, że Iga ma na myśli byłego męża.

– Nie wiem – odpowiedziała Iga, będąca w zbyt refleksyjnym nastroju jak na ten wieczór.

Koniec stycznia 2013

Tego dnia Zosia wstała wcześniej rano, choć zasnęła dopiero około drugiej

w nocy. Lubiła słuchać śpiewu Mariety nocą, kiedy we wsi panowała już cisza. Córka przysłała jej niedawno płytę z ariami, które przygotowała na kolejny konkurs. Emocje Zosi podczas przesłuchiwania płyty były naprawdę wielkie. Szarpały ją. Czowała to samo w śpiewie córki. Miłość. Po prostu miłość. Marieta spędziła święta z Matteo i rodziną Guttuso w Rzymie, a sylwestra i Nowy Rok w ich rodzinnej posiadłości. Do Rzymu na jeden dzień po świętach przyleciał też jej ojciec i zrobił wielkie wrażenie na Toskańczykach. On to potrafił...

Marieta i Matteo zostali zaproszeni do Dakaru i obiecali, że przylecą, gdy tylko załatwią wizę. Marieta powiedziała do Zosi ważne zdanie:

– On mnie wprawdzie nie wychował, nie było go przy mnie lata całe. Ale jest blisko, kiedy dzieją się w moim życiu tak ważne rzeczy. Nie jest mi obcy, jak o nim zawsze myślałam.

Tego dnia Zosia jechała do Drawska. Najpierw na dworzec w Poznaniu samochodem, auto postanowiła zostawić na parkingu i dalej jechać pociągiem. Nie była w Drawsku na grobach rodziców przed Bożym Narodzeniem, to nie tak miało być. Nie zapomniała, ale tak wyszło. Potem planowała pojechać zaraz po Nowym Roku, ale znów coś jej przeszkodziło.

Piotr w końcu dał znak życia, przyjechał do Złotniczek w Trzech Króli. Dzień przed świętem miał zaliczenie na podyplomówce. Myślała o nim, jadąc autem.

- Co z nami? Namysliłaś się w końcu? – zapytał wtedy zamiast przywitania.
- Komplikujesz wszystko, nie jesteś jednoznaczny. Raz dzwonisz za często, innym razem wcale. Dla mnie to jest dziecinada.
- Nieprawda. Zawsze mówię to samo. Że zrobię wszystko, byś była ze mną.
- Uwagę na temat kontaktów telefonicznych zbył milczeniem.
- Wszystko? Zło też? Fajnie.
- Wiesz co? Jeśli mam być szczerzy, wolę pogadać z Basią niż z tobą. Ona mnie przynajmniej szanuje. – Ale po chwili się zreflektował, że Zosi się to może nie spodobać i dodał: – Oczywiście, to my jesteśmy dla siebie stworzeni, więc się zastanów.
- Dobrze, jesteśmy. Wystarczy?

Wyjechał wtedy do Bornego Sulinowa obrażony. Zamiast pożegnania usłyszała, że rzuca pracę w Drawsku, wyjedzie do Holandii, a jeśli nie tam, to może i do Stanów albo na Islandię. Nie powinien. Był naprawdę odpowiednią osobą na odpowiednim miejscu. Lepszym od niej. Kierowanie domem pomocy

było ciężkim kawałkiem chleba. Lata wcześniej była zbyt młoda, kiedy podjęła się pracy z bezdomnymi. To zrozumiała całkiem niedawno. Coś straciła. Jakąś część siebie odpowiedzialną za radość życia. Praca z dziećmi w Złotniczkach to było całkiem coś innego. Były dla niej wszystkim, wdzięczne, radosne, ale przy okazji zmagające się ze swoimi dziecięcymi złudzeniami.

Wtedy po wyjściu Piotra rzeczywiście zastanowiła się, jak jej poradził. Powinien poczekać, jeśli mu na niej zależało. Nie potrafiła iść na żywioł, a po rozczarowaniu Michałem wiedziała, że już na pewno będzie musiała mieć do mężczyzny stuprocentowe zaufanie. Najchętniej poddałaby takiego badaniu na wykrywaczu kłamstw. Ale zadzwoniła do Piotra parę godzin później i zainteresowała się, czy szczęśliwie dojechał.

– Tak. Jestem w domu – powiedział – od pół godziny słucham requiem Mozarta. Ale mi, kurwa, wesoło!

Tak było parę tygodni temu. Myślała o tym podczas jazdy na dworzec w Poznaniu. Łamała się, czy by do Piotra nie zadzwonić i powiedzieć, że będzie w Drawsku. O ile Basia go o tym nie zawiadomiła. Miała chytrą minę, gdy Zosia w drodze na dworzec przystanąła w Nadroźnie. Barbara nigdy nie kryła się z tym, że go bardzo lubi i że mają ze sobą kontakt. A i w łaski Ryszarda wkupił się od samego początku. Zresztą z wzajemnością.

Tuż przed pierwszymi zabudowaniami Pobiedzisk mignęła jej znajoma sylwetka. Mężczyzna szedł w stronę miasta. Czyli co? Był w Złotniczkach? Znow ją śledził! Zatrzymała auto, zdecydowana na awanturę, ku swojemu zadowoleniu, przejęła od Igi nieco spontaniczności. Ostro ruszyła na wsteczny. Ależ to nie był Bliski, a mieszkaniec Nadroźna, którego znała z widzenia, nawet trochę podobny do Bliskiego. Tylko trochę. Pomyślała, że koniecznie musi zadbać o swoje nerwy.

– Dzień dobry! Jadę do Poznania. Podwieźć?

– Pewnie, ale tylko do Pobiedzisk – powiedział mężczyzna i klapnął na siedzeniu. – A my skąd się znamy? Ze szkoły? – zapytał po chwili.

– Z widzenia, proszę pana. Mieszkam w Złotniczkach, mówiąc dokładnie. – Uśmiechnęła się Zosia.

Na dworcu w Poznaniu pociąg stał już na peronie. Nowy, elegancki, parę wagonów, aż do Świnoujścia. Usiadła w ciepłe i oparła głowę o okno. Zasnęła. Kiedy się obudziła, byli już w Choszcznie. Nawet nie zdążyła przeczytać gazety. Przed Stargardem była gotowa, by wysiąść i przesiąść się do

pociągu do Drawska. Wjechał na dworzec z parominutowym opóźnieniem, wbiegła do ostatniego wagonu, pociąg do Drawska od razu ruszył. Usiadła w przedziale. Była w nim sama. Wszędzie cicho, pusto. Pociąg nabierał prędkości, a jej znów się wydało, że po peronie biegnie Piotr... i goni pociąg? Nie, to niemożliwe! Już raz tego dnia coś jej się wydawało. I to była nieprawda. Trochę wiało, wstała, by zatrzaskać niedomknięte okno. Usłyszała za sobą hałas otwieranych drzwi, nie zdarzyła się odwrócić. Poczowała silny uścisk.

– Nie, ratunku, pożar, proszę mnie zostawić!

Kiedyś na kursach uczono ją, że w takiej sytuacji trzeba głośno wrzeszczeć, by napastnik wiedział, że na pewno nie chcemy tego, co on sobie zaplanował. Zakrył ręką jej usta, uścisk miał mocny, był wyższy, silny. Czowała oddech na swojej szyi.

– Każda tak gada, ale przecież wiesz, po co kobiecie służy facet!

Ten głos. Ściśnięty gniewem i podnieceniem, skrzeczący, być może celowo zmieniany, jednak było w nim coś znajomego. Zaczęło jej brakować tchu, zdarła rękę zbirą ze swoich ust.

– Ja mam męża – skłamała. – Porozmawiajmy. Czego chcesz? Pieniędzy?

– Nie kłam. Męża miałaś! A ja zawsze swoje plany doprowadzam do końca.

– Czowała, że rozrywa jej bluzkę, wkłada ręce w jej stanik, zsuwa go. Nie miała siły, by mu się wyrwać. Przez okno zauważyła, że pociąg zatrzymał się w Ulikowie. Zaczęła się szarpać, ale zabrakło jej siły. Nikt nie wsiadł, a kilka osób wysiadło. Po minucie pociąg znów ruszył.

Wciąż się szamotali, dźgała napastnika łokciami, gryzła jego ręce, zabołało, więc obrócił ją twarzą do siebie.

– Michał!

Niedowierzenie. Dlaczego?

– Jesteś mi winna randkę. Zostawiłaś mnie i to był twój błąd – wycedził powoli.

– Odejdz. Zostaw mnie. Zawsze byłam dla ciebie przyjaciółką! – Zaczęła z nim negocjować.

To nie był Michał. To nawet nie był Maras. To był bandyta. Zimny, bezwzględny. Trzymał jej ręce tak wykręcone, że nie miała szans się ruszyć. Widziała, że wyciąga z kieszeni sznur, była przerażona. Wiązał jej ręce systematycznie, powoli, nie miała już siły krzyczeć. Na usta nakleił jej taśmę klejącą. To wszystko działo się zbyt szybko. Z łatwością przewrócił Zosię na

siedzenia, opadł na nią i bez ściągnięcia jej spodni, gryząc jej piersi, wykonywał ruchy frykcyjne, wydając głosy ranionego zwierza. Wtedy zadzwoniła jej komórka. Wyrwał ją razem z kieszenią jej spodni, rzucił na podłogę. Wpadła pod siedzenia.

I wtedy rozległ się głos:

– Masz sprawę do mojej narzeczonej?

To był głos Piotra.

Potem cios i Michał vel Maras opadł na ziemię bez ruchu. Zosia wybiegła na korytarz. Natychmiast znalazła konduktora. Potem już było rutynowo. Policja, zeznania. Słuchała zeznań Piotra. Dowiedział się, że Zosia ma jechać pociągiem do Drawska, dojechał do Stargardu i tam na nią czekał. Chciał umilić jej podróż. Szukał przedziału, w którym usiadła. W Ulikowie poruszyła się zasłonka w oknie zamkniętego przedziału. Wtedy ich zobaczył. Kluczem do domu otworzył drzwi, udało się. Gibał nic nie zauważył.

– Ma pani szczęście, że kolega ma taką intuicję – powiedział policjant.

Piotr zaparkował samochód przed dworcem w Drawsku, razem pojechali najpierw do sklepu z odzieżą, gdzie Zosia kupiła pulower i dzinsy. Od razu w przymierzalni się przebrała, a porwaną bluzkę i spodnie, o które ocierał się Gibał wyrzuciła do kosza. Potem pojechali na cmentarz, a gdy wracali, Zosia przyjęła zaproszenie Piotra na obiad do restauracji. Miasto jej szczeniących lat zimą było szare, brudne, zimne. Do Drawska jechała z myślą, że wróci do domu tego samego dnia. Takie miała plany, ale po wypadku w pociągu czuła się tak słaba, jakby uszła z niej cała adrenalina. W restauracji zamówiła pierogi i kawę, a potem colę. Piotr zaproponował coś mocniejszego, ale nie czuła się na siłach. W ogóle nie miała ochoty wracać do domu, a pociąg budził w niej paniczny lęk. W Drawsku nie miała się gdzie zatrzymać, pozostawał hotel. Przy obiedzie rozmawiali wreszcie jak dobrzy znajomi, potem Piotr odwiózł Zosię do hotelu. Obiecał kolejnego dnia podrzucić ją na dworzec.

Zosia została w pokoju sama, chwilę patrzyła przez okno na szare miasto, potem siadła przed toaletką i przyglądała się swojej twarzy. Były na niej widoczne ślady zgorzknienia. Czuła się obolała. Na nadgarstkach miała sińce od sznura, gdy rozchyliła blezer, widoczne były ślady od zadrapań. Cóż za fatalna sytuacja! Tyle lat radziła sobie z mężczyznami różnego przecież pokroju, tymczasem... Była sobie winna.

Piotr. Wszystko, co popsuka między nimi i co zaniedbała, w czym była niesprawiedliwa, powinna załatwić sama ze sobą. Należało zajrzeć w głęb

siebie i dowiedzieć się, czego tak naprawdę chciała. Zdjęła ubrania, a kiedy weszła do łazienki i puściła na swoje ciało ciepłe strugi wody, wiedziała już, co zrobi. Nagle wszystko stało się jasne. Gdy osuszyła ciało i siedziała na fotelu tylko w ręczniku, chwyciła za telefon i wybrała numer Piotra. Powinna była wyartykułować to dwa lata temu.

– Nie jest dla nas za późno? – zapytała cicho, ale dobitnie.

– „Ogniska malinowe niczym róże zakwitają na śniegu”[\[12\]](#) – odpowiedział cytatem.

Tak, właśnie te słowa chciała w tamtej chwili usłyszeć.

2008–2009

Na początku 2008 roku w fundacji w Drawsku zatrudnił się Piotr Braś. Zajął miejsce wychowawcy odchodzącego na emeryturę. Od razu, odkąd wszedł do pokoju, spodobał się Zosi. Miał ze sobą uporządkowaną teczkę z dokumentami, ciekawy list motywacyjny i CV wydrukowane granatową czcionką na wytłaczanym papierze. Był wykształcony, młody, widać było, że ma zapał. No i był niewątpliwie humanistą. Od razu się zaprzyjaźnili, nadawali na tych samych falach. Piotr opowiedział jej pokrótce o sobie. Dlaczego opuścił Śląsk i zamieszkał w porosyjskim mieście.

To dzięki Piotrowi przestała namawiać Marietę, by zdawała na ekonomię, a nie na Akademię Muzyczną, mimo że latami kształciła głos i śpiewanie dawało jej największą radość. Na skutek rozmów jakie z Piotrem wiedli, zrozumiała, że nie ma żadnych ograniczeń innych niż te, które ma się w głowie. Że brak pieniędzy nie znaczy, iż nie można podróżować czy poznawać świata. Piotr podparł się wtedy przykładem swojej rodziny.

Ojciec Piotra pracował w kopalni, a mama prowadziła dom i szyła ubrania dla żon górników. Oboje ciężko pracowali, do wszystkiego dochodzili sami. Nie mieli pieniędzy, jeździli starym maluchem, który potem zamienili na jeszcze bardziej leciwe audi. Mimo to mieli odwagę wyruszać w świat, nocować pod namiotem, nie przeszkadzało im, że jedzą byle co, że śpią byle jak. Zobaczyli prawie całą Europę. Kiedy Piotr kończył studia, planowali pojechać do Norwegii zobaczyć zorzę polarną. Chcieli wyruszyć w lipcu. Wszystko było zaplanowane. Kilka dni przed wyjazdem ktoś ukradł im audi sprzed domu. Nie pojechali tego roku, ale następnego tak. Maluchem. Dlaczego nie zrezygnowali? Bo podróże były ich pasją.

Marieta bardzo polubiła Piotra, rodzicom Zosi też przypadł do gustu. Ojciec, gdy Piotr nie słyszał, wypowiadał na głos swoje główne marzenie, o wnuczku Bartku. Rodzice Zosi byli bardzo kochającym się małżeństwem, nawet gdy się kłócili, robili to z szacunkiem do siebie. I zawsze pilnowali, aby nie kłaść się spać w gniewie. Zosia i Marieta niedziele rezerwowały dla nich. Wspólnie siedząc przy stole, opowiadali sobie wydarzenia z całego tygodnia. Po obiedzie był obowiązkowy spacer po mieście, w najlepszych ubraniach zadawali szyku. Potem była cukiernia, a po powrocie do domu zjadali ciastka tortowe, popijając kawą.

To się stało właśnie w niedzielny poranek. Tata wstał pierwszy, nastawił wodę na kawę dla mamy. Musiała być parzona w specjalnym tygielku. Pili kiedyś taką w Turcji, bardzo im smakowała. Gdy mama weszła do kuchni, mała czarna stała na stole, a tata przy nim siedział. Gdy ją zobaczył, powiedział:

– Krysiu, coś dziwnie się czuję. Podaj mi nitroglicerynę. – I upadł.

Pułkownik Kuliński miał nieco ponad siedemdziesiąt dwa lata i, jak się okazało, tętniaka na aorcie, który pękł. Lekarz pogotowia stwierdził zgon.

Świat Zosi zawalił się po raz kolejny. W domu zostały same kobiety, a mamą trzeba było się zaopiekować. Zosia nie mogła patrzeć, jak niknie. Codziennie chodziła na cmentarz, a potem w domu siedziała w pokoju, w ogóle nie zapalając światła. Zosia weszła w codzienną rutynę, która trzymała ją w pionie. Nie było dnia, by nie myślała o ojcu. Miała wyrzuty sumienia, że nie obdarowała go Bartkiem. Śmiały się, kiedy mówił, że będzie żył tyle lat, ile wynosi przeciętna wieku dla mężczyzn w Polsce. Nikt tego gadania nie brał na poważnie. Ale tak się stało. On właśnie tyle lat żył!

Marieta dostała się na studia muzyczne w Poznaniu, ale żadna z nich nie potrafiła się z tego cieszyć w takim stopniu, jak by należało. Na roku było zaledwie kilkanaście osób, ale tylko Marieta nie była związana z operą tradycjami rodzinnymi. Do egzaminu przygotowywał ją profesor tejże uczelni, ale niedługo. W październiku zaczął się rok akademicki, Marieta wyjechała do Poznania, w domu Kulińskich zapadła cisza. Mama nie radziła sobie z codziennością. Kiedyś gotowała, robiła zakupy, prowadziła dom, po śmierci męża straciła motywację. Okazało się, że to on był motorem jej życia. Zosia wykupiła dla mamy turnus w sanatorium w Sopocie, ale wróciła stamtąd w niewiele lepszym nastroju. Zaprzyjaźniła się z panią równie mocno oplakującą śmierć swojego męża, która też lubiła siedzieć w pokoju o ciemku.

Sylwestra spędziłyby same w domu, gdyby nie Piotr, który się bezczelnie wprosił w gościnę, choć Zosia ostrzegła, że nie będzie wesoło.

Po Nowym Roku mama nadal codziennie chodziła na cmentarz i kilka godzin siedziała nad grobem męża, to było jak obsesja. Pod koniec lutego znajoma zadzwoniła do Zosi, że pani Kulińska upadła obok grobu, na szczęście ktoś wezwał pogotowie i dzięki Bogu była już w szpitalu. Kiedy Zosia przyjechała, mama nie żyła. Udar. Już jej nie uratowali.

Gdy Zosia pozałatwiała formalności pogrzebowe, poczuła się źle z samą sobą. Nie miała rodziny, nie miała już nikogo bliskiego obok, na to nie była przygotowana. Żyli sobie spokojnie we czwórkę, bez konfliktów, w miłości, miało tak być jeszcze przynajmniej kilka lat. Tymczasem została sama w czteropokojowym mieszkaniu, z szafami pełnymi wspomnień. Była rozżalona, samotna, nie pocieszyła jej nawet Marieta, choć się bardzo starała.

Gdy wracała z pogrzebu, zadzwoniła jej komórka. Sporo telefonów odebrała ostatnimi czasy. Jako rodzina byli znani w okolicy, wiele osób się poczuwało, by złożyć Zosi osobiste kondolencje. Odebrała mechanicznie.

– Halo.

– Mówi Tomasz.

– Kto?

– Tomasz. Bardzo mi przykro, przyjmij moje kondolencje. Jestem z tobą.

– Dziękuję.

– Zosiu, czy możemy się spotkać? Życie jest tak krótkie, że nie warto się obrażać na zawsze.

– To prawda, nie warto.

– Nie będzie z mojej strony nietaktem, jeśli zaproponuję wspólny obiad? Jutro na przykład?

– W porządku.

Spotkali się na obiedzie.

– W czerni jesteś jeszcze bardziej krucha. – Przywitał ją Tomasz.

Jedli obiad, Tomasz opowiadał o firmie, o interesach, o fundacji, jaką powołał, to było nowością, jednak Zosia od początku stworzyła dystans i udało jej się utrzymać go do końca spotkania. Choć, paradoksalnie, rozmowa toczyła się wartko i było naprawdę miło. Opadły emocje, dopiero teraz mogli się pożegnać w cywilizowany sposób.

– Co z Magdaleną?

– Dobrze, za parę dni będziemy mieć aktualne wyniki.

– Miałam was na myśli.

– Bez ekscesów. Musieliśmy się zinwentaryzować. Teraz musi być tylko dobrze. Gdy człowiek porządnie, to i dla siebie lepszej przyszłości wymaga.

Patrzyła na swojego byłego kochanka i zastanawiała się, dlaczego nigdy nie zrobiła mu karczemnej awantury?! Tyle oszustw! Tak grał jej na nosie! Pojawiał się w jej życiu na chwilę, ale po to, by zostać w nim na zawsze. Nie wierzyła w to, co mówił, na pewno znów po swojemu kalkulował, że jest samotna, bez rodziny, że znów coś w niej zaiskrzy. Iskrzyło, oczywiście. Tego zgasić w sobie nie potrafiła. Ale chciała być ponad tą całą sytuacją.

Pożegnali się w zgodzie. Życzyli sobie dobrego życia.

Nie wiedziała, co popołudniami robić w domu, zostawała więc dłużej w pracy. Czasem nawet tam spała. Była przemęczona, wciąż z obrazem Tomasza w głowie. Piotr starał się poprawić jej humor, choć wiedział, że okres żałoby jest każdemu potrzebny.

Nie wiedział jednak, że znów spotkała się z Tomaszem.

Dwa dni później rano przeczytała w gazecie, że auto prowadzone przez przedsiębiorcę roku ze Szczecinka, Tomasza R., z niewiadomych przyczyn wypadło z drogi i rozbiło się na drzewie. Pasażerka, Magdalena R., zginęła na miejscu, a kierowca nie odniósł żadnych większych obrażeń. Oboje byli pod wpływem alkoholu. Tomasz R. pozostał w areszcie do dyspozycji prokuratora.

Po południu zadzwoniła do Zosi Iwona, koleżanka z liceum.

– Wiesz już? Kiedyś się przyjaźniliście.

– Wiem – odpowiedziała Zosia.

– W mieście nie mówi się o niczym innym. Podobno Magdzie niewiele życia pozostało, ktoś dowiedział się od znajomego pracującego w drogówce, że w samochodowej skrytce znaleziono wyniki badań Magdy. Wyobraź sobie, że one były z dnia wypadku. Rak. Słyszałam, że to był nawrót. Chyba nawet wracali od lekarza. Ale dlaczego byli pijani? Rozumiesz coś z tego?

– Nie, nie rozumiem.

– Ludzie mówią, że on kogoś miał na boku i dlatego walnął w to drzewo. Żeby ją zabić. A może ona nie chciała już żyć i chwyciła za kierownicę, szamotali się i dlatego wpadli na drzewo. Straszne. Jeśli założymy, że miała miejsce ta druga sytuacja, to ładnie niewiernego mężusia ustawiła. Wiele lat posiedzi, no chyba, że opłaci kogo trzeba. Biedny nie był.

Zosia nie mogła znaleźć sobie miejsca, cały dzień szukała nowych informacji na temat wypadku. Iwona zasiała w niej wątpliwość. Do nich naprawdę

wszystko było podobne. W Internecie widziała zdjęcie rozbitego samochodu, który prawie owinął się wokół pnia drzewa. Przeczytała też, że Tomasz pozostał w areszcie do dyspozycji prokuratora. Nie miała z kim o tym porozmawiać. Marieta nie zdawała sobie sprawy, że jej mama była kochanką tuza ze Szczecinka, przy okazji będącego jej byłym chłopakiem, jeszcze z czasów liceum. A Piotr? Też nie wiedział.

Nadeszła noc, tragiczna, smutna, samotna. Z zakamarków zaczęły wychodzić wszystkie trupy. Nie pomogły uspokajające tabletki, nie mogła zasnąć. Wszystko było nie tak, w oczach miała obraz rozbitego auta, obraz Magdy sprzed roku, słyszała jej słowa. „Tomasz i ja jesteśmy tacy sami, nieobliczalni, zepsuci”. Widziała Tomasza, czuła jego oddech. Kilka dni wcześniej niczego nie przeczuwała.

Wstała z łóżka jak automat, narzuciła na siebie ubrania, wyszła z domu, wsiadła do auta i pojechała do Piotra do Bornego Sulinowa. Chciała, by z nią porozmawiał, by ją po przyjacielsku przytulił, wytłumaczył, jak ma żyć, uspokoił. Powinna była opowiedzieć mu o Tomaszu, tym razem wszystko, bez woalu. Potem mogliby posiedzieć obok siebie i pomilczeć. Tymczasem znaleźli się w łóżku i pieprzyli do rana. Piotr był nadzwyczajnym kochankiem, eleganckim, czułym. Poświęcił Zosi wiele uwagi, a jej satysfakcja sprawiła mu najwięcej przyjemności. Po wszystkim całował jej rękę.

Nie spodobało jej się to, co zrobiła. Wpakowała się młodemu chłopakowi do łóżka, a to przekreślić mogło wszystko dobre, co było między nimi. Przyjaźń i współpracę. Kochała się w dniu śmierci Magdaleny, odwiecznej rywalki, zamiast ratować z opresji Tomasza, który wprawdzie zrujnował jej osobiste życie, ale był człowiekiem w kłopotach. W zamian za to pognała na złamanie karku do samotnego faceta po seks. Zaczęła płakać. Piotr tulił ją do siebie.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał.

– Nie jestem taka Matka Teresa, za jaką mnie masz. Nie wiesz o mnie wszystkiego. Dzisiaj tak naprawdę skończyła się historia całego mojego życia. Kochanek, który zdradzał mnie ze swoją żoną, siedzi w areszcie. Moja odwieczna rywalka nie żyje. A ja egoistycznie szukam w łóżku zapomnienia. Czy, posiadając takie obciążenie, mogę obarczać nim kogokolwiek? Nie, nie mogę. To wyłącznie moja trauma. Nie mogę dalej tak żyć.

– Wiedziałem o was.

– Wiedziałeś, a mimo to pozwoliłeś mi u siebie zostać?

- Kocham cię.
- Nie wytrzymasz ze mną, za rok dwa uciekniesz.
- Nie po to proponuje się kobiecie małżeństwo, by ją po roku zostawić.
- To życia nie znasz. Nie potrafiłam zatrzymać przy sobie żadnego faceta.
- Mnie potrafiłaś zatrzymać. Nie zakładaj, że wszyscy jesteśmy draniami. – Odgryzł się.

Owszem, miał rację, w jej życiu małe chwile szczęścia przytłoczyły dłuższe okresy samotności, tęsknoty, smutku. Zawsze mogła się schronić w ramionach babci i rodziców. W rodzinie czuła się najbezpieczniej, to oni podawali jej rękę, gdy szamotała się po Tomku i po Saliou.

- Zosiu, ja nigdy cię nie zranię, przysięgam.

Pozbierała swoje rzeczy, po czym wyszła z mieszkania Piotra, a raczej wybiegła. Nie pamiętała, jak i którędy dojechała do Drawska. Zrobiła to szybko. Kolejnego dnia miała wszystko poukładane. Powinien się spodziewać, że chciała być blisko córki, były jak naczynia połączone.

Tylko ona jej została. Tyle że i pomiędzy nie wkraczało prawdziwe życie, wiedziała, że na pewno kiedyś jej córka będzie chciała stanąć sama o sobie, a wtedy będą weryfikować swoje drogi.

Zośka w swoim życiu nie była w stanie pielęgnować jednocześnie uczuć do mężczyzny, przyjaźni, okazać ciepło ludziom pokrzywdzonym przez los, a w domu dbać o więzy miłości z rodzicami, z córką. Każde z nich oczekiwało objawów tej pielęgnacji. Nie zadowolila wszystkich, nie wystarczyło jej na to po prostu czasu i sił. Z pewnością nie obdzieliła ich wszystkich równo, zrobiła to powierzchownie i pośpiesznie.

Niestety, było za późno. Oni odeszli swoimi drogami.

Marzec 2013

Marieta zaśpiewała w teatrze w Modenie. Raz w zastępstwie partię Noriny i kilka razy rolę niosącej tren w *Elektrze*. W tej drugiej wypadła widać bardzo dobrze, że zaproponowano jej tę rolę na stałe. Miała być główną śpiewającą. Podniesiono jej gażę. Odkąd zamieszkała w Modenie, w każdej wolnej chwili uczyła się języka włoskiego, robiła spore postępy, zapewne po mamie odziedziczyła językowe zdolności.

Z uwagi na duże obciążenie pracą, nie mogła polecieć do Nowego Jorku nawet na weekend. Zawiesiła naukę u Ronietty Granzianno i źle znosiła

rozłąkę z Matteo. Miasto Modena wciąż było jej obce, mimo że minęło kilka miesięcy, odkąd tam osiadła. Po prostu nie wychodziła nigdzie, tylko do sklepu i do opery. W tym czasie Matteo mógł przylecieć do niej tylko trzy razy, poza tym na bardzo krótko. To było jej za mało. Nie wychodzili wówczas z łóżka. Nigdy nie rozmawiali o Oli, zamknęli ten rozdział na cztery spusty. Po kilkudniowych pobytach w Modenie Matteo wracał do Nowego Jorku rozżalony, że nie mogą być razem. Oboje mieli poczucie, że się mijają.

Już pod koniec lutego Marieta przestała prowadzić życie pustelnicy, zaprzyjaźniła się ze śpiewakami i instrumentalistami. Nie miała czasu, by płakać za Matteo, który, choć wiecznie skupiony nad ustawami i aktami prawnymi, myślami wciąż jej towarzyszył. Był jej potrzebny, to wiedział. Chciała, by ktoś zadbał o jej interesy. Matteo zawsze był rozdarty między życiowym pragmatyzmem a luźniejszym podejściem do świata. Pod koniec marca kończył się jego kontrakt. Szef firmy gratulował mu refleksu i wiedzy, szefowie byli z niego zadowoleni, zamierzano przedłużyć kontrakt z nim na kolejny rok, zaproponowano znacznie lepsze warunki finansowe, samodzielny gabinet i więcej bonusów, włącznie z dziesięcioma dodatkowymi dniami urlopu. Żeby wręczyć mu umowę, do Nowego Jorku pofatygował się główny szef sieci kancelarii.

Matteo podziękował za współpracę, nie podpisał umowy. Nieczuły był na namowy nawet wtedy, gdy pojawiły się dodatkowe cyfry. Gdy zatrzasnęły się za nim drzwi, odetchnął pełną piersią. Chciało mu się śpiewać! Z nowiną od razu zadzwonił do Mariety, płakał ze wzruszenia w słuchawkę. Powiedział, że teraz już zawsze będą razem. Historia się powtórzyła. Postąpił podobnie jak jego mama, która zrezygnowała z dziennikarstwa na rzecz pomocy ojcu w prowadzeniu winnicy.

Ostatniego marca ciągnąc za sobą walizkę, stanął pod drzwiami kawalerki jaką zajmowała w Modenie Marieta. Zastukał, ale nikt mu nie otworzył. Usiadł na schodach i czekał, mijały godziny, w końcu zasnął. Około pierwszej w nocy obudziła go Marieta, a właściwie jej śmiech na schodach. Gdy pojawiła się przed nim z wielkim czerwonym balonem w kształcie serca w ręce, wziął ją w ramiona, nic nie mówiąc.

Iga kupiła nieruchomość w Kołacie. Do Polski przyleciała sama na parę dni,

tylko po to, by odebrać klucze, zlecić przebudowę i zatrudnić stróża. To był stary, parterowy, przedwojenny dom, w którym kiedyś mieszkały dwie rodziny. Z czerwonej cegły, bez piwnicy, ze skośnym dachem, był podobny do domu jej dziadka. Zawążyły sentymenty. Sam dom nie kosztował dużo, znacznie więcej musiała zapłacić za ogród zajmujący powierzchnię prawie połowy hektara. Wciąż myślała, jak zabezpieczyć się na wypadek braku *prosperity* w Polsce. Chciała prowadzić w Polsce biznes, ale gdzieś w tyle jej głowy wciąż czał się strach, że się nie uda. Nie zapomniała jeszcze o przeszłości, ale – musiała to przyznać – przecież w jej życiu zdarzały się też momenty dobre. Była matką dwójki cudownych dzieci, które nie miały słodkiego dzieciństwa, a mimo to albo właśnie dlatego były mądre i kochające. Ola pięła się po szczeblach prawniczej kariery w kancelarii w Nowym Jorku, prowadziła na rzecz firmy coraz większe projekty. Ostatnio coraz częściej podejmowała się projektów poza Nowym Jorkiem. Była w Polsce, potem w Bośni, a w perspektywie miała nadzorować projekt w Wilnie. Staś też miał ugruntowane poglądy na życie. Gdy wrócili do Beaumont po świętach, powiedział, że w przyszłości chciałby zostać lekarzem i wynaleźć lek na choroby autoimmunologiczne.

– I na pęknięte serca – dodał.

Ojciec Stasia miał się lepiej, choć zawał niczego go nie nauczył, żył w taki sam sposób jak przedtem, a nawet gorzej. Uznał, że jest ciężko chory i czas spędzał głównie w łóżku. Iga, będąc w Polsce, znów pojechała do niego. Wprawdzie przestał palić, ale bardzo przytył, co tak samo, o ile nie bardziej, obciążało jego serce. Na stacjonarny rower, który mu kupiła, nie wsiadł nigdy. Do Konina przyjechała też na kilka dni jego matka, chciała się nim zajmować jak za młodu, ale tak naprawdę to ona bardziej potrzebowała opieki niż jej prawie pięćdziesięcioletni synek. Cierpiała na daleko posuniętą chorobę Parkinsona. Podobno kilka razy traciła przytomność i Leszek musiał ją ratować. W końcu (kilka dni przed przyjazdem Igi) wsiedli w pociąg, Leszek odwiózł matkę do Wrocławia. Iga nie zapomniała o byłym mężu, wciąż mu pomagała finansowo, na szczęście czyniła to na mniejszą skalę, bowiem Leszkowi przyznano rentę.

Zosia i Piotr byli wreszcie szczęśliwi. Piotr żegnał się definitywnie z Drawskiem. Wciąż szukał w Wielkopolsce pracy, a raczej zastanawiał się,

którą wybrać, otrzymał bowiem kilka całkiem dobrych ofert. Iga zaproponowała mu, by przez co najmniej rok nadzorował jej budowę w Kołacie, ale nie chciał. Powiedział, że to nie jego branża i musiała mu przyznać rację. Oboje, to znaczy Iga i on bardzo się polubili.

Gdy Iga wróciła do Beaumont, Zosia i Piotr pojechali do Poznania potańczyć. W lokalu Zosia zdjęła płaszcz, została w koronkowej sukience bez ramiączek. Piotr otulił ją szalem. W błyszczącym od kryształowych luster holu restauracji przyglądał się jej, a ona w lustrze widziała, jak jest zachwycony.

– Jesteś śliczna.

Grał zespół. Kelnerzy wnieśli jedzenie i wino. Zosia bawiła się świetnie. Była spokojna, bezpieczna. Dopiero teraz dojrzała, że Piotr ma ładne oczy, no i fantastycznie się rusza na parkiecie!

Wrócili do stolika, kelner otworzył butelkę szampana.

– Za co pijemy? – zapytał Piotr.

– Za miłość! – odpowiedziała Zosia

Piotr popatrzył jej w oczy. Straciła tyle czasu, to było głupie, nie będzie przecież żyć dwieście lat. Chciała wykrzyknąć mu tysiąc słów – o szczęściu, o marzeniach. O złudzeniach, które pewnie będą im jeszcze nieraz towarzyszyć. Ale nie mogła, bo gardło miała ściśnięte ze wzruszenia.

– Kocham cię – wyszeptała.

Jakież to było proste! Wystarczyło, że Piotrowi uwierzyła. Czuli się przy nim jak księżniczka, bo on robił wszystko, żeby przychylić jej nieba. Tylko on nigdy jej nie zawiódł. To on ratował ją z opresji. Podobnie jak rodzina. Tamci przychodzili, odchodzili, mówili, że kochają, ale nie byli jej przyjaciółmi. Piotr był oparciem, cudownym, delikatnym kochankiem, był bardziej dojrzały od każdego z mężczyzn, jacy stanęli na jej drodze.

– Wiesz, Piotr. Boję się tobie to powiedzieć. Nie będziesz zły?

Tańczyli. Piotr mocniej przytulił ją do siebie.

– Chciałabym do niego pojechać, muszę. On na pewno potrzebuje pomocy.

– Miałem to już dawno temu tobie zaproponować.

– Przed Wielkanocą. Wtedy najlepiej by było. Pojedźmy razem.

– Rozkaz, kochana.

Jakie to szczęście spotkać człowieka, z którym (to już wiedziała na pewno) chciałaby być do końca. I co najważniejsze, wierzyła, że i Piotr chce tego samego.

Udowodnił jej to niejednokrotnie.

Czerwiec 2013

Zosia była dumna z Mariety, wszystkim opowiadała, że jej córka śpiewa w operze. Libretta знаła na pamięć, a amatorskie nagrania jej córki znów umieszczała na Facebooku. Chciała, by o jej talencie dowiedział się cały świat. Teraz się nie bała, że ktoś to wykorzysta. Nie była już sama.

To, że Matteo rzucił pracę w Nowym Jorku, by być bliżej jej córki, uspokoiło Zosię, nie lubiła ani tego, jak Marieta latała samolotem, ani gdy poruszała się po zmierzchu po mieście. Matteo pomagał jej w karierze, podobno pracował nad tym, by otrzymała w operze w Liège rolę Leili w *Poławiaczach pereł* Bizeta. Gdyby się udało, przenieśliby się do Belgii. Zosia lubiła arię Nadira z tej opery, zwłaszcza w wykonaniu Placido Domingo.

– To teraz chyba pojedziecie do Dakaru? Wypadałoby...

– Coś ty! Nie mam czasu! Tata nas często odwiedza, był już na kilku sztukach, siedział w pierwszym rzędzie i nie spuszczał ze mnie wzroku. Rodzice Matteo bardzo go lubią, ciągle pytają, kiedy przyłeci. A wiesz? Tata może będzie ministrem kultury Senegal!

– Co ty mówisz!? Muszę do Saliou zadzwonić. Marieto, dbaj o Matteo, pomagajcie sobie, bądźcie dla siebie ważni, bo to jest niezwykle cenne.

– Nie patrzysz na wszystko zbyt idealistycznie? Niekoniecznie to Matteo jest tym jedynym, na którego czekam. Jest zazdrosny, to po pierwsze. Ze wszystkiego muszę się spowiadać. Nawet gdy na scenie chwycę partnera za rękę, to zaczyna mnie maglować, co jest nie do zniesienia.

Zosia zamarła ze słuchawką w dłoni

– Jak to!? Dziewczyno, nie dobijaj mnie! On dla ciebie zostawił drogę kariery, wielkie pieniądze, rzucił wszystko, by być obok ciebie, a ty teraz zastanawiasz się, czy go kochasz?! Właściwie wątpisz w to? Jeśli jest prawdą to, co mówisz, to... Ty musisz być złym człowiekiem!

– Wiesz co, mamó? Ustalmy coś. Przede wszystkim kocham śpiew, sztukę. Jeśli to uwzględnić, to tak naprawdę ja operę zdradzam. Wchodzę w układy z mężczyznami, choć coraz bardziej zastanawiam się, po co. I czy powinnam.

– Udane życie rodzinne pozwala nie zwariować! Weź to pod uwagę, proszę cię!

– I ty, mamó, to mówisz?!

Lipiec 2013

Iga ze Stasiem przylecieli do Polski, tak jak zapowiedzieli. Staś kręcił głową, gdy zobaczył nieruchomość w Kołacie, ich nowy rodzinny nabytek.

– Mamo, i ty kupiłaś taką ruinę? – powiedział.

W domu nie było okien, ściany wyburzono, brakowało dachu, sterczały tylko dwa kominy wyglądające jak kikuty. Na ogrodzie stały hałdy rozbiórkowej cegły. Chłopiec nie wiedział, że to był pierwszy etap remontu.

Iga relacjonowała wrażenia po obejrzeniu nowego nabytku. Był wieczór. Basia, Zosia i Iga siedziały w ogrodzie przy Domu Złudzeń i zaśmiewały się z pointy, jaką Staś podsumował matkę.

– Iga będzie budowała kolejny Dom Złudzeń. – Uśmiechnęła się Basia. – A tak nawiasem mówiąc, Staś na szczęście odzyskuje dawny rezon. Wolę go takiego.

– Tego się właśnie najbardziej boję. Że to może być dom niespełnionych marzeń. – Iga była skupiona, piła wodę z cytryną i miętą, głowę opierała o leżak.

– A życie i tak pisze swoje scenariusze. Podobno dziewięćdziesiąt procent naszych chorób to właśnie niespełnione pragnienia – dodała Zosia.

– Najważniejsze, że uspokoiły się nasze serca. Za dużo chciały – Iga wypowiedziała się refleksyjnie.

Staś do tej pory bawił się z Mohito, a w tym momencie przystanął i spojrzał na kobiety spod oka.

– Serca mamy i cioci Zosi przeszły lifting – zamruczał pod nosem.

– Skąd ty znasz takie określenia? – zapytała rozbawiona Basia.

– Bo o kobietach dużo wiem! Mamie odmłodzili twarz, widziałem ją zabandażowaną – pochwalił się Staś.

– Rzeczywiście? – Basia aż podniosła się na fotelu.

– No tak, ale nie mówcie o tym Kosmie. Poprawiłam sobie owal, przy okazji usuwając pieprzyki na szyi. Nie widać? Robię to dla siebie. Ale i dla niego. My niestety starzejemy się od nich znacznie szybciej. – Iga uśmiechnęła się z sarkazmem.

– No, ba! – Zaśmiała się Zosia. – Z ust mi to wyjęłaś.

– Nareszcie jesteście szczęśliwe, więc mogę umierać – powiedziała refleksyjnie Barbara.

– Podobno przeciętne dożycie dla kobiet w Polsce to osiemdziesiąt jeden lat,

więc podporządkuj się statystykom i nie próbuj żadnych kawałów – powiedziała Iga.

– Widzisz, Igo – powiedziała Zosia – ty masz wszystko. Męża, dzieci, pieniądze, domy, masz nadwyżki, by inwestować w Polsce. Jedziemy na różnych wózkach. Łudziłam się, że tutaj ukryję się przed sobą. Coś się po drodze stało i musiałam się zmienić. Kiedyś mi się wydawało, że ten, któremu pomagam, nie zrobi mi krzywdy. To jest nieprawda! Społeczne posłannictwo było dla mnie takim jakby parasolem chroniącym przed deszczem wspomnień.

– Wiesz, Zośka, dla mnie wciąż najważniejsza w życiu jest miłość, szacunek i pewność, że możesz na kogoś liczyć. A ja? Każdy ma swojego mola. Ja liczę wyłącznie na siebie, biznesowo na pewno nie mogę się na Kosie oprzeć, nie zawsze też patrzemy w tym samym kierunku. Powinnam być sama! – Iga westchnęła.

– No dobra, pomówmy o przyszłości. Ty, Zosiu, naprawdę masz zamiar kogoś w fundacji zatrudnić na stałe? – zapytała Basia.

– Tak, już nawet jesteśmy po słowie. To Mirka Grabowska. Zaczyna od września. Muszę jej pomóc. Od 2005 roku pracowała w Irlandii, potem w Belgii. Zarobiła trochę euro, chciała wrócić do Polski i zamieszkać z matką. Tak zrobiła, na remont i modernizację domu rodzinnego wydała prawie wszystkie pieniądze, ale dom naprawdę jest śliczny, taki nowocześnie wypasiony. Zrobiła osobne wejście, bo na piętrze mieszkał jej brat z rodziną. Na sieć kwaciarni, które chciała w Polsce uruchomić, zostało jej niewiele pieniędzy. Gdy inwestowała, było cacy. Gdy zamieszkała na parterze, okazało się, że wspólne mieszkanie nie jest możliwe. Mało tego, matka w tajemnicy przepisała całą nieruchomość na syna. Mirka postanowiła wrócić do Irlandii, ale zgadła się z dziewczynami prowadzącymi ranczo w Kołacie, i to one właśnie nas poznały ze sobą. Pogadałyśmy i postanowiłam ją przyjąć. Zamieszka w Domu Złudzeń na parterze, wydzielili jej pokój z łazienką. Ten na tyłach, gdzie za twoich czasów była księgowość. Można tam zrobić osobne wejście.

– Można. Tam nawet kiedyś było drugie wejście. To był wielorodzinny dom, mieszkały w nim same kobiety. Były bardzo ładne. Mój dziadek mówił, że są jak róże, ale bez kolców, mówił, że karmią się złudzeniami. Gdy dom stał się siedzibą naszej firmy, zamurowaliśmy tamte drzwi.

– Złudzenia? Każdy je miewa. Trzeba w coś wierzyć, o czymś marzyć, bo jeśli tak nie jest, nie jesteś przygotowana na szczęście.

Iga z trudem odparła chęć poddania się wspomnieniom, miała takie, do których wciąż wracała. Na przykład Ludwik. To był mężczyzna jej życia! I o dziwo, i o zgrozo, nadal go wspomniała.

– Byłaś u Rostawickiego? – zapytała Zosię, którą coraz bardziej wyczuwała.

– Tak, byliśmy razem z Piotrem. Przykro mi o Tomaszu mówić. Jest wrakiem człowieka, nie mogłam go poznać. Patrzył na mnie kompletnie niemym wzrokiem. Odmówił mojej pomocy, synowie i teść go regularnie odwiedzają. Firmę mu rozkradli, zresztą miał mnóstwo kredytów. Byłam też na grobie Magdy...

Iga pokiwała głową.

Były tak różne, a jednocześnie sobie bliskie. Zosia kiedyś nie potrafiła zrozumieć, po co Idze było tylu mężów. Proste. Wierzyła w miłość. Czy to źle? Sama też miała kilku partnerów, kto wie, czy nie więcej niż Iga? Tyle, że nie z każdym brała ślub...

– Zosiu!

– Słucham cię, Igo.

– To dla ciebie. – Iga podsunęła na stole w stronę Zosi białą kopertę. Mocno pękata.

– O matko! – Zosia natychmiast przypomniała sobie incydent z pociągu. Tamta koperta wyglądała podobnie.

– Zajrzyj. – Iga wsadziła pakunek w rękę Zosi.

Zosia ostrożnie zajrzała do środka.

– O, Chryste! Co to za kasa?!

– Twój spadek. Czterdzieści tysiaków.

Zosia zbladła.

– Nie bój się. Nie pochodzą z napadu. To jak najbardziej legalne pieniądze. Iga znalazła je w komputerze – uspokoiła ją Basia, chichocząc.

– Gdy będziesz chciała porady, jak odzyskać włości w Łabiszynku, o co wnoszę niniejszym, zwróć się do mnie. Mój komputer na pewno wynajdzie podstawę prawną.

– Kurczę, też chcę mieć taki sam komputer! – Zosia z wrażenia aż się zarumieniła.

– Ta forsa dotyczy twojego dziadka. Bracia Leśniewscy ubezpieczyli się przed wojną w brytyjskiej firmie, która prowadziła działalność również w Polsce. Wyobraź sobie, mój komputer wynalazł, że ta firma nadal istnieje i wciąż spłaca przedwojenne polisy. My z Basią też dostałyśmy. – Iga

spoważniała.

– Założmy, że Józef Leśniewski rzeczywiście był moim dziadkiem. – Zosia zrobiła smutną minę.

– Nieważne. Adoptowałyśmy cię i już się nie wywiniesz. Jesteś nasza! Po prostu Leśniewska! – Ostatnie zdanie Iga zaakcentowała mocniej.

– Fajnie, pieniędzy wystarczy, by powołać szkołę. Może do Mariety wreszcie polecę... Dziękuję, kuzynko. – W oczach Zosi pojawiły się łzy.

Basia i Iga uśmiechnęły się do siebie. Były szczęśliwe.

Słońce odbijało się o okna domu. Ładnie zachodziło tego dnia, tak powoli. Ten dom. To na pewno już nie był dom złudzeń, to był dom kobiet. Silnych, błądzących ścieżką pomiędzy złudzeniami i marzeniami. Kobiet połączonych meandrami życia przodków, a jeszcze bardziej związanych ze sobą terażniejszością, już nieposiadających powodu, by się rozdzielić.

Były jak róża, która objęła splątanymi łodygami wejście do domu. Ich domu.

I pomyśleć, że jeszcze niedawno był on powodem rodzinnej waśni.

Powieść powstała z miłości do miejsc mojego dzieciństwa, zaś opowiedziana historia, jak i jej bohaterowie pochodzą z mojej wyobraźni i wszelkie podobieństwa do prawdziwych wydarzeń i osób są przypadkowe.

[12] Anna Achmatowa, *Masz odwagę* z tomu *Białe ptaki*.

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)